



Peter Moore

# śłodki smak pomarańczy

Szalone  
włoskie  
wakacje

Peter Moore

# śłodki smak pomarańczy

Szalone  
włoskie  
wakacje

Tłumaczenie

Grażyna Łaciak-Gomola

Aleksander Gomola

**Pascal**

---

## O autorze

Peter Moore to włóczęga, który ma to szczęście, że dzięki zarobkom z pisania o podróżach może zaspokajać swój nienasycony głód wędrówki. Jest autorem bestsellera *No Shitting in the Toilet*, który narodził się ze strony internetowej o tej samej nazwie, oraz takich książek, jak, *Z widokiem na Italię*, *The Full Montezuma*, *Swahili for the Broken-Hearted* oraz *The Wrong Way Home*. W Wielkiej Brytanii i Australii jego opinia to głos niezależnego podróżnika. W przeszłości pracował jako copywriter i twórca stron internetowych. Podczas swoich wędrówek zwiedził dziewięćdziesiąt osiem krajów. Kiedy nie wlecze bezsensownie przeładowanego plecaka gdzieś przez państwa Trzeciego Świata lub nie śmiga po Włoszech na vespie, można go znaleźć w jego domu w Londynie, gdzie jest oddanym mężem swojej żony Sally i czułym tatą córki Daisy.



*Dla Sally i Daisy*

## Podziękowania

Dziękuję Filippowi Lulli i Marcowi Quaretcie oraz ich dziewczynom (a teraz żonom): Walerii Lulli i Lucilli Bertocchini – jadąc do Livorno, dzięki nim czułem się, jakbym wracał do domu.

Kolejni adresaci moich podziękowań to Mario Zizi z Nuoro, Sergio Passalacqua z Palermo, Gianluca Grandi z Rzymu i Gioacchino Coco z Poggioreale. Jestem im wdzięczny za gościnność i za podzielenie się ogromną wiedzą o miejscowej kulturze i zwyczajach.

Dziękuję także Johnowi Stillone'owi, mojemu doradcy podatkowemu, nie tylko za to, że wziął na siebie pertraktacje z Australijskim Urzędem Podatkowym, ale i za to, że nalegał, żebym odwiedził Poggioreale, jego rodzinne miasto na Sycylii. To było jedno z najciekawszych miejsc, jakie poznałem podczas podróży.

Dziękuję Cherry Brewer i Steve'owi Dorretcie za to, że ulegli prośbie: *Insegnami a ballare il*, naucz mnie tańczyć, i pokazali mi, jak się bawi przy muzyce Northern Soul;

Robertowi Villerowi za to, że troszczył się o białą vespę PX 200, którą obiecałem sprzedać;

Fionie Inglis za to, że dba o moją karierę; Heather Curdie i Meredith Curnow z wydawnictwa Random House za cierpliwość i wyrozumiałość, a Annie Crago za sprawną i superszybką redakcję tekstu; moim siostrzeńcom i siostrzenicom: Jessice Howard, Taylorowi Blackowi, Amandzie Howard, Harrisonowi Blackowi, Jamesowi Howardowi, Kai Moore i Isaacowi Rosenbergowi, bo lubię widzieć ich imiona i nazwiska w druku.

I wreszcie dziękuję Sally za jej miłość i wsparcie. I Daisy – za to, że dała mi naprawdę dobry powód do tego, by tak długo pisać tę książkę.

Dziękuję wam wszystkim.

*Strona internetowa ze zdjęciami  
z podróży opisanej w tej książce*

Dzięki Internetowi każdy może wybrać się na wirtualną wycieczkę na pomarańczowej wespie po słonecznej Italii. Wystarczy wejść na stronę [www.petermoore.net](http://www.petermoore.net) i tam odszukać link do prezentacji zdjęć pt. *Vroom by the Sea*. Już po chwili będziesz jechać wąskimi drogami nad brzegiem morza, zwiedzać wiekowe ruiny i oglądać zachody słońca na wspaniałych włoskich plażach. Przy odrobinie szczęścia zarobisz nawet mandat od karabiniera za jazdę bez kasku. Uwierz mi, objechać na vespie włoskie wyspy i ani razu nie ubabrać sobie rąk olejem to naprawdę frajda!

Gdy już będziesz na tej stronie, zerknij także na inne moje książki lub zapisz się do newslettera, żeby dostawać najświeższe informacje o moich podróżach i zyskać szansę wygrania książek ozdobionych autografem.

Do zobaczenia na [www.petermoore.net](http://www.petermoore.net).

*Ciao!*

**Peter Moore**



## Prolog

Dwa miesiące po pierwszej rocznicy mojego ślubu i pięć miesięcy przed narodzinami mojego pierwszego dziecka siedziałem w samolocie lecącym do Pizy, marząc o tym, by znów znaleźć się w objęciach włoskiej piękności o gasnącej urodzie, którą poznałem dwa lata wcześniej. Chcieliśmy po raz ostatni wspólnie spędzić lato, wybierając się na krótką wycieczkę po Sardynii, Sycylii i wzdłuż Costiera Amalfitana, czyli wybrzeża Amalfi. Później, opalony i cięższy o parę kilogramów, miałem wrócić do Londynu, do żony i ojcowskich obowiązków.

W ten romans wdałem się z pełnym błogosławieństwem mojej żony Sally. Ba, to był jej pomysł. Powiedziała, że lepiej, jak wyszumie się teraz, aniżeli miałbym to robić po narodzinach naszej córki. Myślę, że na decyzji Sally zaważyło to, że włoska piękność o gasnącej urodzie odegrała kluczową rolę w historii naszej znajomości. No i to, że Sophia była vespą z 1961 roku.

Lato w roku moich czterdziestych urodzin spędziłem, podróżując z Mediolanu do Rzymu na moim równolatku: skuterze w kolorze kawy z mlekiem. Jechałem, mijając wille z kamienia i pola słoneczników, a haczyk pod siodełkiem niemal zawsze był obciążony reklamówką ze świeżym pieczywem, serami, szynką i pomidorami, które kupowałem każdego ranka na straganach w miasteczkach rozłożonych na wzgórzach Toskanii. Były to trzy magiczne miesiące pełne słońca i zapachu świeżego siana.

Sally dołączyła do mnie i spędziliśmy w Toskanii cudowne dwa tygodnie. Później przyleciała jeszcze raz, pod koniec mojej podróży, na weekend do Rzymu. W Rzymie udawaliśmy, że jesteśmy bohaterami *Rzymskich wakacji* i jeździliśmy po brukowanych ulicach, mijając Kolozeum i Panteon i nie przejmując się policjantami, którzy za nami gwizdali. A potem zaglądaliśmy do małych kafejek i restauracji Zatybrza. Sally była świetną Audrey Hepburn, ja zaś zdecydowanie niskobudżetową wersją Gregory'ego Pecka. W niecały rok po naszym pobycie we Włoszech wzięliśmy ślub, a kilka miesięcy później Sally zaszła w ciążę. Każdemu, kto zechce słuchać, powtarzam: jeśli zapraszasz dziewczynę na przejażdżkę vespą po Włoszech, przygotuj się na naprawdę poważne konsekwencje. Pomimo tego wszystkiego wiedziałem, że podróż po południowej części Włoch na skuterze z dwucylindrowym silnikiem nie jest zwyczajowym sposobem przygotowywania się do roli ojca. Strony internetowe dla młodych rodziców podpowiadały, że powinienem raczej malować pokój dla dziecka, składać łóżeczko i chodzić do szkoły rodzenia. Albo przynajmniej wybierać dobrą polisę na życie.

Sally wcześniej niż ja sam zauważyła, że trudno mi się oswoić z myślą o byciu ojcem. Tylko nie zrozumcie mnie źle. Myśl o zostaniu tatusiem budziła we mnie ogromną radość i ekscytację. Człowiek, który ma czterdzieści dwa lata, już dawno stracił nadzieję, że będzie miał swój wkład w przedłużenie istnienia gatunku.

Przez całe dotychczasowe dorosłe życie żyłem jak student. Dzieliłem z innymi wynajmowane mieszkania. Większość pieniędzy wydawałem na płyty. A ilekroć uciułałem trochę grosza, znikałem, by włóczyć się po świecie. Nigdy nie byłem naprawdę głodny, ale czasami niebezpiecznie zbliżałem się do tego stanu. Nawet początki małżeństwa z Sally naznaczone były podobną niestałością. Pierwsze pięć miesięcy po ślubie spędziliśmy, podróżując starym samochodem po Australii. A gdy Sally była już od paru miesięcy w ciąży, zwinęliśmy manatki i przenieśliśmy obóz do Londynu, by tam zacząć nowe życie. Odtąd miałem stać się człowiekiem odpowiedzialnym. Pewna ludzka istotka była całkowicie zdana na mnie – to ja miałem zapewnić jej jedzenie i dach nad głową. Do tej pory unikałem brania na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności za kogoś, teraz lada dzień miałem się zmierzyć z największym możliwym zobowiązaniem.

Niewiele pomagały mi relacje innych ojców, z których wynikało, że ojcostwo to próba,

którą trzeba znieść mężnie i nie dać plamy. Jeden ze znajomych przyrównał narodziny dziecka do bomby, która nagle eksploduje w naszym życiu.

– Oczywiście dobrej bomby – poprawił się pośpiesznie, ale to tylko pogorszyło sprawę, bo brzmiało jak eufemizm typu „przypadkowe ofiary”, gdy mówi się o cywilach, którzy zginęli w czasie akcji wojskowej.

I dlatego zostało postanowione, że lato przed narodzinami mojej córki spędzę z Sophią. Może Sally dołączy do nas w lipcu, mniej więcej w okolicach moich urodzin, gdy będę gdzieś na wybrzeżu Amalfi, wykorzystując ostatnie dni, w których jeszcze wolno jej podróżować samolotem.

O tej podróży marzyłem od zakończenia pierwszej eskapady do Włoch. Widziałem w myślach, jak Sophia oprowadza mnie po najcieplejszych częściach swojego kraju, których nie zdążyłem poznać podczas poprzedniego pobytu na Półwyspie Apenińskim. Będzie to równocześnie pożegnanie z moim dawnym stylem życia i ostatnia szansa, by nacieszyć się chwilami oszłamiającej wolności.

Mogłoby się wydawać, że na wycieczce będę się jedynie rozkoszował wspaniałymi plażami, doskonałymi posiłkami i campari sączonym o zachodzie słońca. Ale biorąc pod uwagę, jak wiele kilometrów miałem pokonać, żywiłem nadzieję, że wyjazd stanie się też okazją do uporządkowania myśli. Gdy się jedzie na skuterze, zwłaszcza na starym skuterze, człowiek ma dużo czasu na myślenie. Musiałem zapomnieć o szczegółowym planie porodu i pieluchach i skupić się na tym, co odtąd miało się zmienić w moim – a właściwie naszym – życiu. Jeśli nie uda mi się tego zrobić, nie pomoże żaden, nawet najbardziej szczegółowy plan.

Ciągle dręczyło mnie poczucie winy z powodu wyjazdu. Sally przez kilka miesięcy będzie zdana na siebie, zostanie sama ze wszystkimi problemami związanymi z ciążą, a mnie ominie kilka pierwszych lekcji w szkole rodzenia. Powiedziała, że przedstawi się tam jako samotna matka, więc kiedy zjawię się w połowie kursu, wezmą mnie za uroczego faceta, który gotów jest się poświęcić i zatroszczyć o nieswoje dziecko. A na końcu oświadczyła, że nie może się doczekać, kiedy wreszcie będzie miała całe łóżko tylko dla siebie.

I tym sposobem w połowie drugiego trymestru, a dokładniej w dwudziestym czwartym tygodniu ciąży Sally znalazłem się na pokładzie samolotu linii Ryanair lecącego do Pizy. Czuję się jak przedstawiciel handlowy, który zostawia żonę i dziecko i wyrusza w trasę. Tylko że przedstawiciel handlowy ma w portfelu zdjęcie żony i dzieci, a ja miałem zdjęcie USG z dwudziestego drugiego tygodnia ciąży. Sally zabroniła mi pokazywać je komukolwiek, bo uznała, że wygląda trochę przerażająco. Zasugerowała jednak, żebym wyjmował je od czasu do czasu i przypominał sobie w ten sposób o dziecku, które jest już w drodze.

Pożegnaliśmy się na lotnisku Stansted przed wejściem do sklepu WH Smith, a nim ruszyłem w stronę bramek, położyłem rękę na brzuchu żony. Starłem się nie okazywać ekscytacji. Mimo że wszystko sobie racjonalizowałem i mimo że Sally była tak wspaniałomyślna, czułem, że to nie fair, że mogę tak po prostu wyjechać, podczas gdy ona musi zostać w Londynie. Więc tłumiliłem w sobie emocje, udając przed Sally i przed sobą samym, że wybieram się jak zwykle do pracy.

Ale w rzeczywistości byłem podekscytowany. Po dwóch latach wracałem do Włoch, by znów znaleźć się w objęciach Sophii.





## *Livorno*

### *Patronka: Matka Boska z Montenero*

Jeszcze przed wyjazdem do Włoch razem z Sally sporządziłem listę rzeczy, które należało kupić, nim nasza córka przyjdzie na świat. Znalazły się na niej: łóżeczko, fotelik do samochodu, stolik do przewijania, śpioszki, pieluchy, cała masa butelek i smoczków, sterylizator do tychże, a prócz tego grzechotki, dzwoneczki i karuzele do łóżeczka. Lista była długa – liczyła sto trzydzieści siedem pozycji – i sporządzając ją, staraliśmy się przygotować na każdą ewentualność.

Mimo to nie znalazła się na niej vespa Rally 200 z 1972 roku. Planowałem spotkanie z moją ukochaną Sophią, rocznik 1961, którą zostawiłem u jej poprzedniego właściciela: Gianniego. Jednak w ciągu ostatnich dwóch lat życie Gianniego trochę się skomplikowało. Jego żona wystąpiła o rozwód i bał się, że Sophia jako część jego majątku może stać się przedmiotem sprawy rozwodowej i przepaść. Dlatego ją wyrejestrował i wysłał do mojego przyjaciela Marca mieszkającego w Livorno w Toskanii.

Marco żyje z naprawiania starych vesp, więc miał dość miejsca, by trzymać Sophię u siebie. Zapewnił jej godne miejsce obok innych skuterów tej marki w swoim warsztacie niedaleko nabrzeża, nad Morzem Liguryjskim. Przez kolejnych osiemnaście miesięcy Sophia odpoczywała, oddychając zdrowym morskim powietrzem, a ja zastanawiałem się, co mam z nią zrobić.

Marco od czasu do czasu wysyłał do mnie maila, pytając, czy podjąłem już jakąś decyzję. Robił to zazwyczaj w przerwie między renowacją kolejnych starych skuterów, gdy miał czas, by ewentualnie zapakować Sophię do skrzyni i wysłać do mnie statkiem. Ja jednak cały czas go zwodziłem. Mówiłem, że nie zdecydowaliśmy jeszcze z Sally, gdzie zamieszkamy. Może w Anglii. Może w Australii. Jak będę to wiedział, zaraz dam mu znać. A wtedy koła pójdą w ruch.

Teraz, gdy ustaliliśmy z Sally szczegóły mojej wyprawy, zadzwoniłem do Marca, żeby mu powiedzieć, że przyjeżdżam do Włoch. Cały czas byłem też w kontakcie z Filippem, jego przyjacielem. Filippo był moim przewodnikiem i opiekunem w czasie mojego pierwszego pobytu w Livorno. Razem z Markiem zabierali mnie do miejscowych barów i na święta orzeszków pińowych, wprowadzali tylnymi drzwiami na imprezy sponsorowane przez producenta martini i bladym świtem organizowali szalone, zakrapiane alkoholem wyprawy motorówką po starych kanałach Livorno. To dzięki nim stało się ono moim ulubionym włoskim miastem.

Byłem szczęśliwy, znów widząc moich kumpli. No i konstatując, że znaleźli sobie dziewczyny. Zatrzymałem się u Filippa i Walerii w willi w małej wiosce Cevoli w samym sercu malowniczej Toskanii. Razem z Markiem i jego dziewczyną – Lucillą, któregoś wieczoru wybraliśmy się do restauracji przy starych kanałach w Livorno, gdzie poczęstowano mnie lokalnym daniem znanym już w starożytności: *cacciucco*. Jest to rodzaj zupy rybnej podawanej z chlebem czosnkowym.

Ale chociaż byłem w Livorno już od paru dni, tak się jakoś złożyło, że nie widziałem jeszcze Sophii. Nie byłem pewien, o co chodzi, ale odnosiłem wrażenie, że moi gospodarze nie chcą o niej wspominać. Mnie jednak – chociaż doskonale się czułem w Toskanii – śpieszno już

było na Sardynię.

Gdy wracaliśmy samochodem z lokalu wyborczego – we Włoszech odbywały się właśnie wybory do władz lokalnych – zauważyłem przy drodze znajomy znak. Spytałem Filippa, czy moglibyśmy zajrzeć do warsztatu Marca. Znałem Livorno na tyle, że wiedziałem, że byliśmy naprawdę bardzo blisko warsztatu. Wystarczyło przejechać Viale Nazario Sauro i skręcić w prawo, zaraz za zjazdem na stadion Armanda Picchiego i byłibyśmy na miejscu.

– Nie mówiłem ci? – zaczął niepewnie Filippo. – Dzisiaj Marco gotuje dla nas u Lucilli. Jest teraz na *mercato centrale*, głównym targu, i kupuje wszystko do obiadu.

Mieszkanie Lucilli znajdowało się w centrum Livorno, za Piazza Micheli i hotelem Gran Duca. Marco już wrócił z zakupów i przywitał się z nami w drzwiach. Miał na sobie kuchenny fartuch i nie byłem zaskoczony tym, że podobnie jak w warsztacie, tak i tu dokładał starań, by w żadnym razie nie pobrudzić sobie ubrania.

Gdy Marco czynił ostatnie przygotowania do obiadu – kiedy zajrzałem do kuchni, właśnie starannie układał plasterki pomidora na brzegu talerza – Lucilla oprowadziła mnie po mieszkaniu. Dominowały w nim motywy morskie, co zrozumiałe, skoro było stąd tak blisko do morza. Zastłonkę prysznicową zdobiły wizerunki muszelek, w salonie zaś z sufitu zwisała stara sieć rybacka z oryginalnymi, zniszczonymi przez morską wodę plastikowymi pływakami, a w sieci umieszczone były zdjęcia rodziny i przyjaciół Lucilli. Jedynym ustępstwem na rzecz jej nowego, rozkochanego w vespach chłopaka okazała się zabawna lampa wykonana z dwóch rączek kierownicy vespy. Marco zrobił ją sam i zawiesił nad stołem, gdzie jadano posiłki. Gdy Lucilla naciśnęła włącznik, reflektorki w rączkach zapaliły się. Marco podarował jej tę lampę – i od razu zamontował – na Walentynki. Naszła mnie pokusa, by poprosić go o zrobienie identycznej dla mnie, ale nie sądzę, by Sally spodobała się tak jak Lucilli.

Obiad jedliśmy na balkonie biegnącym wzdłuż całego mieszkania. Ponieważ znajdowało się ono na najwyższym piętrze budynku, mieliśmy wspaniałą widok na miasto: od portu Medyceuszy i Fortezza Vecchia aż po współczesny port, gdzie cumowały statki odpływające na Sardynię i Korsykę.

Po pierwszym daniu – pysznym spaghetti z marynowanymi krewetkami – zapragnąłem się dowiedzieć, czy to właśnie stamtąd wypłynę, gdy wreszcie ruszę w drogę.

– Który z tych statków płynie na Sardynię? – spytałem.

Filippo poruszył się niespokojnie na krześle i spojrzał z zakłopotaniem na Marca. Ten także zaczął się nerwowo wiercić, po czym szybko wstał i zaczął zbierać talerze. Lucilla zmierzyła obu surowym wzrokiem, a potem wskazała na duży biały statek pasażerski z wymalowanymi postaciami z kreskówek z serii *Zwariowane melodie*.

– Widzisz tego z Sylwestrem i ptaszkiem Tweety? Ten płynie na Sardynię.

Marco wniósł drugie danie i obwieścił wszystkim, że to rostbef z tuńczyka. Rzeczywiście był to ogromny kawał tuńczyka – w oliwie z oliwek, z morską solą i świeżym rozmarynem, tak usmażony, że w środku był jeszcze surowy. Ryba tak mi smakowała, że nie miałem głowy, by podejmować wątek Sophii czy Sardynii, i zrobiłem to dopiero przy kawie.

Przycisnąc do ściany Włocha i zapytać o coś wprost to niełatwa sprawa. Potrzeba zachowania twarzy jest w tym kraju równie silna co w Azji. Ale ponieważ z każdym dniem było coraz bliżej do narodzin mojej córki, musiałem wiedzieć, kiedy mogę wyprowadzić Sophię z warsztatu i rozpocząć podróż. Zapytałem więc Marca i Filippa, czy jest jakiś problem. Ukradli Sophię? Jest poważnie uszkodzona? Dlaczego mi jej jeszcze nie pokazali?

– Jutro ją zobaczysz, słowo – obiecał Filippo, ale to wcale mnie nie uspokoiło.

Przy stole zapadła niezręczna cisza. Waleria wbiła wzrok w Filippa. Lucilla wbiła wzrok w Marca. Ten pękł pierwszy. Poderwał się i wziął kluczyki do vespy GT 200, która stała przed

blokiem.

– No dobra, chodź – powiedział, podając mi kask. – Pojedziemy do warsztatu od razu.

Filippo ruszył za nami samochodem i tak jechaliśmy Viale Italia obok Terrazza Mascagni w stronę warsztatu, a nad morzem zachodziło właśnie słońce. Był ciepły i przyjemny wieczór, a w barach przy nabrzeżu, których wystrój zmienił się od czasu mojej ostatniej wizyty, młodzi mieszkańcy Livorno przyjeżdżający tu na skuterach desperacko przeglądali SMS-y, żeby mieć pewność, że są tam, gdzie wypada być tego wieczoru.

Gdy dotarliśmy do warsztatu, Marco otworzył ciężkie metalowe drzwi i sięgnął do włącznika. Głośny dźwięk przekręcanego pokrętła dodał mi otuchy. Jarzeniówki, migocząc, przebudziły się do życia i po chwili zalały warsztat swoim charakterystycznym światłem. Natychmiast dostrzegłem Sophię. Stała w głębi warsztatu na stojaku, z którego korzystał Marco, gdy naprawiał skutery. Wyglądała ślicznie jak zawsze. Tyle że w miejscu silnika ziała ogromna dziura.

No to mam przechłapanie.

Nie zdążyłem zapytać, gdzie się podział silnik, gdy Marco bez słowa wskazał na stos części leżących w warsztacie. Rozebrany blok silnika tkwił w uścisku imadła. Stałem w milczeniu i przyglądałem się skuterowi i silnikowi. Nie jestem ekspertem, ale zacząłem się domyślać, że Sophia nigdzie nie pojedzie w najbliższych dniach.

Ponieważ Filippo mówił po angielsku lepiej od Marca, jemu przypadł przykry obowiązek wyjaśnienia mi, co się stało.

– Marco źle cię zrozumiał, kiedy zadzwoniłeś i powiedziałeś, że przyjeżdżasz do Włoch – zaczął. – Myślał, że przyjeżdżasz po to, żeby zabrać Sophię do Londynu.

Zaczynałem rozumieć. Powiedziałem wtedy Marcowi, że Sally jest w ciąży. A kiedy powiedziałem mu też o wycieczce na Sycylię i Sycylię, doszedł do wniosku, że po prostu marzę o takim wyjeździe. No dobrze, ale to wszystko nie tłumaczyło stanu Sophii.

Filippo wyjaśnił, że Marco postanowił zrobić kapitalny remont silnika.

– W prezencie dla twojego dziecka – dodał. Rzeczywiście, w czasie mojej pierwszej podróży najwięcej problemów miałem właśnie z silnikiem Sophii, a przede wszystkim ze stykami rozdzielacza. Teraz Sophia miała dostać nie tylko nowe styki, ale i wyremontowany silnik mający większą moc i mniejsze luzy tłoka.

– Byłby jak nowy – powiedział Filippo.

– Lepszy niż nowy! – zawołał Marco. Hmm, silnik był w proszku, ale Marco to przecież jeden z najlepszych mechaników od vesp w tym kraju! Poskładanie wszystkiego nie zajmie mu chyba zbyt wiele czasu? Spytałem Filippa, kiedy silnik będzie na chodzie i kiedy będę mógł ruszyć w drogę, a Marco posłał mu niespokojne spojrzenie.

– Jest drobny problem – zaczął Marco niepewnym głosem. – W silniku potrzebne jest nowe koło zamachowe i nigdzie nie mogę go dostać.

Spytałem więc, ile czasu będzie potrzebował na znalezienie tej części, ale on tylko wzruszył bezradnie ramionami.

No to miałem podwójnie przechłapanie.

Moja szansa, by po raz ostatni zakosztować wolności, właśnie rozpływała się we mgle. Filippo zauważył, w jakim jestem stanie, i próbował mnie pocieszyć.

– Nie traktuj tego jak katastrofy – powiedział, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Przecież są jeszcze inne możliwości poruszania się po Włoszech.

Potrząsnąłem przecząco głową. Podróż komunikacją publiczną nie wchodziła w grę. W czasie pierwszej wyprawy to Sophia otwierała przede mną tyle drzwi i oczarowywała tylu spotkanych po drodze ludzi, to dzięki niej poznałem takie zakątki Włoch, których bez skutera nigdy bym nie odnalazł. Z autobusu lub pociągu będę widział tylko brudne fabryki i betonowe pla-

ce na stacjach benzynowych.

Ale na szczęście nie taką podróż miał na myśli Filippo.

– Zawsze możesz kupić inny skuter – powiedział z szerokim uśmiechem. Vespa, o której mówił, stała w głębi warsztatu Marca – był to model Rally 200 z 1972 roku, w takim samym pomarańczowym odcieniu jak skóra Donatelli Versace i z białymi paskami po bokach. Wyglądała jak krzykliwa i bezczelna kobietka, a wszystkie inne skutery w warsztacie prezentowały się obok niej po prostu nudno i nijako. Nawet kiedy stała na stojaku, biła z niej pewność siebie.

Marco sprzedawał ją w imieniu swojego przyjaciela Roberta, który chciał za nią dwa tysiące euro, ale Marco był pewien, że uda mi się zbić cenę do tysiąca siedmiuset. Powiedział, że nic sobie nie policzy za pośrednictwo i dzięki temu trochę zaoszczędzę. Myślę, że ciągle dręczyło go poczucie winy z powodu nieporozumienia, za sprawą którego moja Sophia stała teraz w warsztacie wybebeszona i niezdolna do jazdy.

Gdy model Rally 200 pojawił się na rynku, nie miał sobie równych. Był głośny i krzepki, a jego napakowany silnik o pojemności dwustu centymetrów sześciennych osiągał moc solidnych dwunastu koni mechanicznych przy pięciu tysiącach siedmiuset obrotach na minutę. Wyciągał sto jeden kilometrów na godzinę i był szybszy niż jakikolwiek produkowany wcześniej skuter. Poprawiono także zawieszenie, dzięki czemu jazda była wygodniejsza, a skuter lepiej się sprawdzał na długich trasach niż jego starsze rodzeństwo.

– Na twoją wyprawę nadaje się wprost doskonale! – zawołał Filippo. – Nie ma takiej góry na Sardynii i na Sycylii, na którą nie wjedziesz!

Rally 200 był z pewnością bardziej niezawodny niż wszystkie starsze modele vespy. Rozwalający się mechaniczny rozdzielnik zapłonu zastąpiono zapłonem elektronicznym przykręconym do korpusu zaraz obok silnika. Główną zaletą zapłonu elektronicznego było to, że vespa Rally zawsze zapalała za pierwszym razem. Wyprawa, którą planowałem – przez Sardynię i Sycylię, a potem z powrotem wzdłuż wybrzeża Amalfi, była bardziej zuchwałym przedsięwzięciem niż podróż z Mediolanu do Rzymu na Sophii. Po pierwsze, była dłuższa, a teren, po którym miałem jechać, bardziej górzysty. Na dodatek były to najbardziej odludne części Włoch, gdzie życliwych mieszkańców, takich, którzy mi pomagali, gdy wpadłem w tarapaty w czasie pierwszej podróży, było jak na lekarstwo.

Nie trzeba mnie było namawiać do kupna tego skutera. Ba, ta vespa była jedną z tych rzeczy, których najbardziej pragnąłem. Była oldskulowa, a jej pomarańczowy kolor wydawał się dostatecznie *tutti-frutti*, jaskrawy i radosny, by pasować do włoskiego wybrzeża. Jeśli moja pierwsza wyprawa, na Sophii, przypominała czarno-białe filmy, które oglądałem jako nastolatek, to wyprawa na tej vespie będzie jak film w technikolorze.

Zadzwoiłem do Sally, żeby jej o wszystkim opowiedzieć. Nie byłem pewien, jak to przyjmie. Gdybym kupił Rally 200, liczba posiadanych przeze mnie vesp wzrosłaby do trzech. Oprócz Sophii miałem jeszcze w Sydney bezimienne białe PX, które obiecałem sprzedać, kiedy Sally zaszła w ciążę, ale nigdy się za to nie zabrałem. Moja żona, choć niechętnie, przyznała mi rację i zgodziła się z tym, że jeśli mam odbyć tę wyprawę, potrzebuję innej vespy. Nie sądzę jednak, by moja pośpiesznie sklecona argumentacja, oparta na pomysle, że teraz każde z nas: Sally, nasza nienarodzona jeszcze córka i ja, będzie mieć własną vespę, trafiła jej do przekonania.

Marco zadzwonił do Roberta, przedstawił mu moją propozycję, a potem poinformował mnie, że została przyjęta. Roberto miał przyjechać jutro do warsztatu, żeby odebrać pieniądze i dać mi wszystkie dokumenty. Filippo poklepał mnie po plecach. Był równie podekscytowany moim nowym nabytkiem jak ja.

– No, to jak się będzie nazywał ten twój nowy skuter?

– Jakoś po męsku – odparłem. – Vespa z taką ilością testosteronu w przewodach nie może

mieć żeńskiego imienia.

Marco i Filippo pokiwali głowami ze zrozumieniem. Próbowałem coś wymyślić, lecz nic odpowiedniego nie przychodziło mi do głowy. Imię musiało mieć w sobie coś włoskiego i coś z macho. Ale jedyne, co na co się zdobyłem, to „Rocky”, tak jak Rocky Balboa grany przez Sylvestra Stallone’a.

– A może Marcello? – zaproponował Filippo. – Jeśli dobrze pamiętam, to jesteś wielkim fanem Marcella Mastroianniego.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową, a Marco poklepał mnie uradowany po plecach.

– *Perfetto!* Doskonale! – powiedział.

Tamtego wieczoru w willi Filipa zacząłem wertować jego książki o skuterach, w tym podręczniki obsługi, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Rally 200. Według oficjalnej publikacji dotyczącej tego modelu: *Technica manual*, tom trzeci, Marcello miał tysiąc siedemset siedemdziesiąt milimetrów długości, sześćset siedemdziesiąt milimetrów szerokości i ważył sto sześć kilogramów. Przyśpieszał od zera do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę w dziesięć i siedem dziesiątych sekundy i spalał dwa i osiem dziesiątych litra benzyny na sto kilometrów. Do baku wchodziło osiem i pół litra paliwa, co pozwalało przejechać na jednym tankowaniu około trzystu kilometrów. Łącznie wyprodukowano czterdzieści jeden tysięcy dwieście siedemdziesiąt pięć egzemplarzy tego modelu. Zaś odcień oranżu, który z taką werwą prezentował światu Marcello, firma Piaggio określiła zupełnie pozbawioną polotu nazwą „Max Meyer 12985875”.

Dowiedziałem się także, że pojawienie się modelu Rally 200 oznaczało kolejny etap w historii firmy Piaggio, gdy zmieniła ona swój target, porzucając włoskie rodziny, interesując się za to rosnącym rynkiem młodych klientów.

Był to ruch podyktowany koniecznością finansową. Pod koniec lat sześćdziesiątych poziom życia we Włoszech był na tyle wysoki, że ludzie coraz częściej rozważali kupno samochodu, a nie vespy. Ba, skutery zaczęły się nieprzyjemnie kojarzyć z trudnymi powojennymi czasami. Chowano je po stodółach albo upychano w głębi garaży, żeby zrobić miejsce dla nowego lśniącego fiata lub lancii.

Spadek sprzedaży skuterów wykończył głównego rywala Piaggio, firmę Innocenti, która w roku 1971 przestała produkować lambretty. Piaggio uznał, że vespa to doskonały pojazd dla nastolatków, których jeszcze nie stać na motocykl lub samochód. Z przeprowadzonych przez firmę badań wynikało, że szesnaście milionów włoskich nastolatków marzyło o tym, żeby mieć jakiś szybki i wygodny środek transportu. Vespy trochę za bardzo kojarzyły się wówczas z tradycyjnymi rodzinnymi wartościami, żeby wzbudzić entuzjazm przeciętnego nastolatka, ale przecież ten stan rzeczy mogła zmienić jakaś dobra, ostra kampania reklamowa. Wykorzystując slogan: *Chi Vespa mangia le mele* („Kto ma vespe, ten zjada jabłko”), nawiązujący do idei zakazanego owocu, firma Piaggio zręcznie dopasowała swój skuter do nowych czasów. Życie, podobnie jak jabłko, tylko czekało, by wbić w nie zęby.

O powodzeniu strategii przesądziło także i to, że nowe vespy dawały to, co obiecywały. Miały mocne silniki, były odlotowe i malowane w takie kolory, jak jaskrawa czerwień wozów strażackich, słoneczna żółć, mandarynkowy i ostry niebieski, które starych *grigi*, siwowłosych, przyprawiały o palpacje serca. Zaczęła się rewolucja. A jej przywódcą, albo jak kto woli Che Guevarą, był model Rally 200. Z vespą taką jak Marcello człowiek nie dostawał jabłka. Dostawał całą skrzynkę jabłek.

Angielskie tłumaczenie pierwszej reklamy z „jabłkiem” znalazłem w pewnej książce, którą Filippo nazywał książką o kulcie vespy. Napisał ją Gilberto Filippetti, a zawarte w niej reklamy były zdecydowanie bardziej poetyckie w charakterze niż ich współczesne odpowiedniki. Książka sugerowała, jak można „zjeść jabłko” w pojedynkę albo z innymi, o zachodzie słońca,

na nadmorskich skałach lub z wiatrem rozwiewającym włosy. „Po prostu wbij zęby w jabłko – zachęcała – dodaj gazu i rusz przed siebie, zostawiając z tyłu wszystkich pozbawionych wyobraźni zgredów”.

Przeczytałem jeszcze raz jabłkowe hasło reklamowe i zamknąłem książkę przekonany, że kupując Marcella, postąpiłem słusznie. Słowa Gilberta Filippettiego kapitalnie podsumowywały wszystkie powody, dla których wybrałem się na tę wyprawę. Postanowiłem, że muszę zacytować je któregoś dnia mojej córce. Kiedy zostanie buntowniczą nastolatką, na pewno spyta, dlaczego wybrałem się w podróż po Włoszech na vespie.

\* \* \*

Jako cudzoziemiec nie mogłem zarejestrować Marcella na swoje nazwisko. Włoskie prawo stanowi, że wszystkie pojazdy we Włoszech muszą być zarejestrowane na obywatela włoskiego mieszkającego w kraju. Taki sam problem miałem z Sophią podczas pierwszej wyprawy. Obszedłem przepis, rejestrując skuter na jego dotychczasowego właściciela, od którego go kupowałem. Gianni nazwał to „włoskim rozwiązaniem” i zrobienie tego samego teraz wydawało się całkiem sensowne. Tylko że tym razem w papierach nie będzie stało „Gianni Giovanni, Mediolan, Lombardia”, tylko „Filippo Lulli, Cevoli, Toskania”.

– Na szczęście dokumenty vespy są w porządku – orzekł Filippo. – Ale i tak będziemy musieli wszystko zrobić zgodnie z przepisami.

Z Sophią nie było tak łatwo. Gianni zgubił gdzieś dowód rejestracyjny i musieliśmy pójść na komisariat policji i zgłosić jego zaginięcie. W wydziale komunikacji powiedziano nam, że na nowy dowód będziemy musieli poczekać sześć tygodni. Ale kiedy Gianni obiecał urzędnicze, że zaprosi ją na obiad, dowód rejestracyjny wystawiono nam od ręki.

Filippo powiedział, że tym razem nie zdołamy zastosować takiej samej wersji „włoskiego rozwiązania”. Zanim będzie mógł zarejestrować skuter na siebie, Marcello musi przejść przegląd techniczny.

– Przepisy stały się bardziej rygorystyczne od twojej ostatniej wizyty – westchnął. – Unia chce, żeby wszystko było zgodne z jej regulacjami!

Żeby uświadomić mi skalę problemu, Filippo dodał, że we włoskim parlamencie właśnie omawiano rozporządzenie, zgodnie z którym policja będzie miała prawo skonfiskować skuter każdemu, kto będzie jechał bez kasku lub będzie przewoził zbyt wiele osób.

– Skonfiskować skuter! – powtórzył głosem pełnym zdumienia. – Z powodu takiej bzdury!

Zabraliśmy Marcella do warsztatu diagnostycznego, który znajdował się przy drodze wychodzącej z miasta, zaraz obok stadionu. Diagnostyk był znajomym Filippa, ale przepisy kazały mu tak czy owak poddać skuter serii testów, bo w innym razie, gdyby wystawił dowód sprawności bez jej zbadania, ryzykował utratę licencji. Włoch wytoczył jakieś skomplikowane urządzenia z monitorami, które bardziej pasowałyby do szpitalnego oddziału ratunkowego niż do warsztatu samochodowego, i podpiął je do Marcella.

– Woląłem dawne sposoby – powiedział Filippo, gdy przyglądaliśmy się piszczącym i brzęczącym aparatom pomiarowym. – Facet obchodził vespę, oglądał ją i tyle.

Pół godziny później było już po testach i diagnostyk drukował wyniki na starej drukarce igłowej, która była najbardziej przedpotopowym sprzętem na tej stacji. Marcello zdał egzamin na piątkę.

– Tylny hamulec ma osiemdziesiąt trzy procent skuteczności, a przedni siedemdziesiąt dziewięć – powiedział Filippo tonem znawcy.

Odparłem, że czułbym się lepiej, gdyby oba miały sto procent skuteczności, ale Filippo

orzekł, że jak na tak leciwą vespę to bardzo dobry wynik.

Ubezpieczenie załatwiliśmy przez kolejnego znajomego rodziny: tryskającą humorem kobietę w średnim wieku o imieniu Maria, która chodziła do szkoły razem z mamą Filippa. Maria była agentem wydziału komunikacji z odpowiednimi uprawnieniami. Wzięła kopie wszystkich wyników badania technicznego i polisę ubezpieczeniową i wystawiła nowy dowód rejestracyjny na nazwisko Filippa. Ten, wręczając mi go, zażartował, że Marcello to w tej chwili skuter z najlepszymi papierami w kraju.

– Jak cię zatrzyma policja, pomyślą, że jesteś najnudniejszym facetem w całych Włoszech – dodał ze śmiechem.

Teraz, kiedy poruszanie się Marcellem było już w pełni legalne, Filippo zaproponował krótki wypad do Santuario di Montenero, kaplicy położonej wysoko wśród wzgórz nad Livorno, na południe od miasta. Większość osób dociera tam kolejką linową i z góry podziwia panoramę miasta, portu i morza. Ale Filippo powiedział, że stroma, wijąca się droga, którą też można było dotrzeć do Santuario di Montenero, pokaże mi przed wyjazdem, jakie są możliwości Marcella.

– Zobaczysz, że po Sophii to będzie dla ciebie ogromna niespodzianka – zapewniał Filippo. – Rally 200 to cudna maszyna!

Santuario di Montenero posiada jedną z największych kolekcji obrazów wotywnych w całych Włoszech. Obrazy te powstały jako podziękowanie Matce Boskiej za uratowanie od niechybnej śmierci tych, którzy je zamawiali i ofiarowywali. Tym, co wyróżniało malowidła w Santuario di Montenero, była ich tematyka, ponieważ przedstawiały chwile, gdy ktoś był o włos od rozstania się z tym światem. Na jednym zobaczyłem na przykład dziecko spadające z balkonu, a na innym konia kopiącego człowieka w krocze. Obrazy namalowano w różnych stylach, ale w górnym rogu każdego z nich znajdowała się zawsze Matka Boska Łaskawa uśmiechająca się tajemniczo i wyglądająca na dość zadowoloną z tego, że udało jej się uratować kolejne ludzkie życie. Ocaleni w dowód wdzięczności zostawiali nie tylko obrazy. W rogu kaplicy leżał też stos kasków motocyklowych osób, które przeżyły wypadek i które w miały na głowie przyniesiony tu później kask. Kaski, podobnie jak obrazy, pochodziły z różnych czasów i odzwierciedlały modę i wzornictwo danego okresu. Niektóre były bardzo stare i – jak mówił Filippo – bardzo rzadkie.

– Za ten tam dostałbym na eBayu kupę forsy – syknął mi do ucha Filippo, wskazując pokierszowany zielony kask, który wyglądał jak pomalowana salaterka.

Spośród wszystkich darów wotywnych najbardziej podobała mi się bogato wyszywana kamizelka. Umieszczono ją wyżej niż inne wota i towarzyszyła jej para arabskich pantofli z zawijanymi noskami, takich samych jak na ilustracjach do *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Kamizelka i pantofle zajmowały honorowe miejsce na specjalnej kolumnie u wejścia do kaplicy. Pochodziły z XIX wieku i należały do miejscowej dziewczyny, która nazywała się Giovinetta i którą porwali z Livorno tureccy piraci. Zabrali ją do Konstantynopola i tam sprzedali do haremu tureckiego władcy. Jak informowała plakietka umieszczona poniżej przedmiotów, Giovinetta co noc modliła się do Matki Boskiej z Montenero o wybawienie. Ostatecznie brat dziewczyny dotarł do Konstantynopola, uratował ją i przywiózł z powrotem do Livorno. W kaplicy zostawiła w darze strój, który musiała nosić w haremie.

Oczywiście Filippo przywiózł mnie do Santuario di Montenero nie po to, żebym zobaczył, co się nosiło w haremie. Ani żebym pooglądał niezliczone obrazy przedstawiające ludzi na vespach potrąconych przez traktory, ciężarówki i samochody lub owiniętych dookoła drzew. Chciał, żebym w sklepie z pamiątkami kupił sobie magnes z obrazkiem Matki Boskiej Łaskawej i żebym go przymocował do metalowej pokrywy schowka, na szczęście.

– Teraz ciąży na tobie wielka odpowiedzialność – powiedział uroczystym głosem, wrę-



czając mi odpustowy obrazek z magnesem pod spodem. – Potrzebujesz potężnej opiekunki.

Obrazek przedstawiał Matkę Boską z Montenero z Dzieciątkiem Jezus i oficjalnie nosił miano „świętego magnesu”, a nie „magnesu na lodówkę”. Magnesy te sprzedawano zapakowane w kartonik i celofan. Na kartoniku umieszczono zdjęcia pokazujące, gdzie można umieścić obrazek. Na przykład na desce rozdzielczej samochodu. Na skuterze, zaraz pod licznikiem (tam chciałem przypiąć ten, który kupiłem). Na drzwiach lodówki oczywiście. A nawet, co dziwne, w prawym dolnym rogu telewizora LCD lub plazmy. Napis na kartoniku informował również, że magnes „powstrzyma wszelkie czynniki atmosferyczne”.

Filippo miał tego popołudnia wykłady na uczelni, więc wysadził mnie przy warsztacie. Zawsze lubiłem obserwować Marca przy pracy. Był sprawny i dokładny i każdą czynność, nawet tak banalną jak przykręcanie śruby, wykonywał z ogromną pieczołowitością. Ilekroć gościłem w jego warsztacie, miałem wrażenie, że przebywam w obecności Wielkiego Mistrza. Biorąc pod uwagę to, jaką renomą cieszył się Marco w świecie właścicieli vesp, myślę, że rzeczywiście był mistrzem.

Po drugiej wpadła Lucilla i przyniosła nam lunch: *panini*, kanapki, z szynką i serem. We Włoszech nie mogły to być byle jakie, nieświeże kanapki z szynką i serem. Ser z koziego mleka był miejscowym specjałem. A wędlna okazała się cieniutko krojonymi plastrami *prosciutto* – tradycyjnej podsuszanej szynki pochodzącej z regionu położonego na północ od Florencji. Usiedliśmy przed warsztatem w ciepłych promieniach popołudniowego słońca i zjadaliśmy *panini* w błogim milczeniu.

Lucilla wzięła sobie wolne popołudnie w pracy, żeby popływać, i kiedy zjedliśmy kanapki, spytała, czy chcę pójść z nią.

– Pokażę ci moje ulubione miejsce do pływania w Livorno – powiedziała. – Jest tam jak w jacuzzi.

Miejsce, o którym mówiła, znajdowało się na południe od miasta, gdzie droga, do tej pory trzymająca się skalistego wybrzeża, zaczynała piąć się ostro w górę. Lucilla powiedziała, że nikt o nim nie wie, ale chmara skuterów stojących na końcu ścieżki wskazywała, że wtajemniczonych jest jeszcze co najmniej kilkanaście innych osób. Dziewczyna zaparkowała na poboczu, obok innych skuterów i zaczęliśmy ostrożnie schodzić stromą, skalistą ścieżką ku morzu.

Nie było tam plaży ani nawet jakiejś zatoczki, ot, parę malowniczych płaskich skał znajdujących się blisko brzegu. Lucilla powiedziała, że każda z nich przeznaczona jest dla innej grupy ludzi i że trzeba uważać, żeby zająć właściwą.

– Tamta jest dla tych, co mają stroje od Gucciego – wyjaśniła, wskazując skałę najbardziej oddaloną od brzegu. – A ta obok dla tych, co wolą Pradę.

Na jednej ze skał opalała się topless jakaś kobieta, pracując równocześnie na notebooku. Wydawało się, że mówi do siebie, ale Lucilla wskazała na przypiętą do ucha słuchawkę.

– Rozmawia przez komórkę – powiedziała, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Zastanawiałem się przez chwilę, czy osoba po drugiej stronie zdaje sobie sprawę, że jej rozmówcy nie ma na sobie stanika, i czy ja czasem przez nieuwagę nie prowadziłem w przeszłości podobnej rozmowy. Ale ponieważ nigdy nie dzwonię na numery atrakcyjnych pań podawane w atrakcyjnych magazynach dla panów, ani nie prowadzę we Włoszech żadnych interesów przez telefon, doszedłem do wniosku, że prawdopodobieństwo było znikome.

Wgramoliliśmy się z Lucillą na skałę dla ludzi, którym styl był dość obojętny. „Jesteśmy przypadkową zbieraniną” – określiła nas Lucilla. Rozłożyliśmy ręczniki i rozebraliśmy się do strojów kąpielowych. Bardzo wiele o Livorno mówi to, że na skale dla „przypadkowych ludzi” nie było nikogo prócz nas. Wyjąłem krem do opalania z filtrem trzydzieści plus i zacząłem się smarować. Lucilla roześmiała się.

– A co to takiego? – zapytała z udawaną wzgardą. – Włosi niczym się nie smarują!

Pokazałem jej zrogowacenie słoneczne na mojej nodze. Nie zrozumiała angielskiego słowa, więc wyjąłem rozmówki angielsko-włoskie wydane przez Lonely Planet i zacząłem szukać jakiegoś zwrotu, żeby jej to wyjaśnić. Najbardziej odpowiednim terminem, jaki udało mi się znaleźć, było *melanoma*, czerniak. Lucilla uśmiechnęła się z przestraczem w oczach i widać było, że rozumiała, o co mi chodzi.

– A, *melanoma* – powtórzyła i widać było, że chce zapamiętać to słowo.

Potem wzięła do ręki rozmówki i zaczęła je kartkować. Jak chyba każdy zatrzymała się przy części dotyczącej seksu w rozdziale *Zawieranie znajomości*. Była trochę zaskoczona, że o wszystkim pisano tam wprost i bez ogródek. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Włosi w czasie gry wstępnej zdobywają się na coś bardziej romantycznego niż tylko pytanie: *Hai un preservativo?*, co znaczy „Czy masz prezerwatywę?”. A potem przeczytała któreś z kolejnych zdań i zaczęła się śmiać do łez.

– *Non mi si raddrizza. Mi dispiace!* – krztusiła się ze śmiechu. – Nie staje mi. Bardzo mi przykro!

Nasza skała może i była niestylowa, ale i tak stwarzała najlepsze warunki do korzystania z uroków wody, bo w jej najniższej części znajdowało się naturalne wgłębienie i miała występ schowany płytko pod wodą, na którym można było usiąść. Od czasu do czasu występ obmywała fala, wytwarzając bąbelki i drobne wiry. To właśnie było jacuzzi, o którym mówiła Lucilla. Spędziliśmy tam przyjemnie mniej więcej godzinę: wygrzewaliśmy się na słońcu, a dłonie łaskotały nam łagodne morskie fale.

Mógłbym tak trwać w pełni szczęśliwy nawet i całe popołudnie. Nasza skała była nieco oddalona od innych i siedząc nisko na występie, nie widzieliśmy znajdujących się na nich osób. Przede mną było tylko ciągnące się aż po horyzont, lśniące w słonecznych promieniach Morze Liguryjskie i mogłem udawać, że prócz mnie nie ma na świecie nikogo innego.

Na koniec dnia razem z Markiem i Lucillą wybraliśmy się do małej pizzerii w Quercianelli, nadmorskiej miejscowości piętnaście kilometrów na południe od Livorno. Z ogromnych okien lokalu rozciągał się wspaniały widok na morze, którego nie przesłaniały żadne hotele ani inne budynki. Okna były uchylone i do środka wpadała chłodna, wieczorna bryza. Zamówiliśmy pizzę i butelkę wina i przyglądaliśmy się słońcu, które chowało się za horyzontem. Na koniec zamówiliśmy jeszcze kolejną *negroni*: typowego koktajlu miłośnika vespy – jak powiedział Marco – sporządzanego z campari, ginu i słodkiego wermutu. Gdy stuknęliśmy się szklankami, żeby uczcić ten miły dzień, Marco wyjął i podsunął mi ulotkę.

Była to informacja o szóstym corocznym toskańskim zlocie skuterowym na Elbie. Zlot miał się odbyć w najbliższy weekend, a jego organizatorzy, czyli klub skuterowy Green Onions (Zielone Cebulki), oświadczyli z dumą, że jest to „najlepsza impreza we Włoszech”. Miało być *vino e buffet*, wino i jedzenie, *birra a fiumi*, rzeka piwa, przejazd skuterami oraz *esposizione*, czyli prezentacja skuterów, a także przyjęcie na plaży i trzy całonocne balangi przy muzyce Northern Soul z zagranicznymi DJ-ami i dwoma zespołami: Kinky Faces i The Playboys. (Wszystko wskazywało na to, że te zespoły bardzo się liczą na *scena scooteristica*, wśród miłośników skuterów).

Marco i Lucilla wybierali się na tę imprezę i spytali, czy do nich dołączę. Uważali, że to będzie doskonała okazja, żeby dać wycisk Marcellowi i wykryć wszystkie możliwe usterki, nim wyruszę na Sycylię i Sycylię.

Hmmm. Wycieczka na jedną z najpiękniejszych włoskich wysp i możliwość popisania się moją nową vespą na oczach znawców, którzy potrafią docenić dobry skuter... Może wypilem za dużo *negroni*, ale odpowiedziałem, że to naprawdę świetny pomysł.



## *Elba*

### *Patron: święty Michał*

Miłośnicy vesp to z natury stworzenia stadne i firma Piaggio bardzo szybko zdała sobie sprawę z tego, jaki potencjał marketingowy ma zachęcanie ich do skrzykiwania się. W roku 1949, zaledwie trzy lata po wyprodukowaniu pierwszej vespy, Piaggio wynajęło Renata Tassinarię, dziennikarza z „Corriere dello Sport”, żeby zorganizował zjazd tak zwanych *vespisti*, czyli miłośników vespy, przy okazji targów w Mediolanie.

Na jego wezwanie odpowiedziało dwa tysiące posiadaczy vesp z całego kraju. Było wśród nich wiele kobiet i każda z nich pojechała do Mediolanu, żeby się tam dobrze bawić. Wszystkie większe włoskie gazety pisały wówczas, że na miasto zstąpił „radośnie świętujący srebrny rój”.

Na początku 1952 roku we Włoszech było już sto jedenaście lokalnych klubów miłośników vesp. Wszystkie działały pod auspicjami Vespa Club d'Italia, zarządzającej nimi organizacji, na czele której stał Renato Tassinari. Każdy klub organizował rajdy, wycieczki, bale przebierańców, wyścigi, konkursy piękności i zabawy taneczne.

Na dziesiątym kongresie Vespa Club d'Italia Tassinari powiedział, że kluby miłośników vespy tworzą ruch, który „dokonuje się, wyraża i rozwija przy terkocie niewielkich silników i bicu pogodnych, miłujących swobodę serc wyruszających na poszukiwanie dalekich, pięknych miejsc i serdecznych przyjaciół”.

Może słowa Tassinarię były zbyt poetyckie. Słyszał zresztą z zamiłowania do takich kwiecistych fraz. Tak czy owak, jeśli przez jakieś miasteczko przejeżdżała z hałasem kawalkada *vespisti* zmierzających na kolejny zjazd, nikt z obserwujących nie miał wątpliwości co do tego, że jazda vespą to duża frajda i doskonały sposób na zawieranie nowych znajomości.

Na Elbę wyruszyliśmy z Markiem kilka minut po dziesiątej. Z Livorno do Piombino, brzydkiej przemysłowej miejscowości na południu Toskanii, skąd odpływają promy na Elbę, jest tylko siedemdziesiąt pięć kilometrów. Ale jak w przypadku większości moich eskapad z Markiem, nasza podróż nie była zwykłym przejazdem z punktu A do punktu B. Marco chciał mi pokazać po drodze swoją „najbardziej ulubioną w całych Włoszech” restaurację, a potem wpaść do mieszkającego niedaleko od niej przyjaciela, producenta wina i oliwy.

Całe poprzednie popołudnie spędziłem, myjąc i polerując Marcella, więc teraz błyszczał jak złoto. Marco rano zdecydował się na podróż nowym skuterem GT 200. Lucilla miała jechać samochodem i dołączyć do nas w drugiej połowie dnia w Piombino. Musiała jeszcze nadrobić zaległości w pracy – efekt tego, że tydzień wcześniej wzięła sobie wolne popołudnie.

Postanowiliśmy zrezygnować z trasy szybkiego ruchu biegnącej mniej więcej kilometr od wybrzeża na rzecz drogi wzdłuż morza, która oferowała piękne i urozmaicone widoki. Czasami mijaliśmy szpalery oleandrów, a czasem szosa wiła się między kępami intensywnie pachnących pinii o grubych pniach. Potem nagle zalewało nas oślepiające słońce, a droga zdawała się gnać na złamanie karku po krawędzi klifów zdobnych w majestatycznie wyglądające wille.

Nasz pierwszy postój wypadł przed jedną z takich willi – kiedyś należała ona do Marcella Mastroianniego. Trasa, którą zdecydowaliśmy się jechać na Elbę, przyniosła nam niespodziankę tym miłą, że dopiero co ochrzciłem moją vespę imieniem Marcello. Willa Mastroianniego była kilkupiętrową rezydencją w łososiowym kolorze, z wieżyczką, z której z pewnością rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na północ, na postrzępioną linię wybrzeża. Marco chciał, żebym zrobił sobie zdjęcie na tle rezydencji, więc ryzykując życiem, stanąłem na środku ruchliwej ulicy, tak, żeby mieć pewność, że na fotografii będę ja, mój Marcello i willa Mastroianniego.

Rezydencja znajdowała się niedaleko na północ od Castiglioncello i Marco powiedział, że tu właśnie aktor spędził ostatnie lata życia i podobno prawie codziennie wpadał do miejscowej kafejki na filiżankę espresso. Kolejny postój zrobiliśmy sobie przy ulubionej restauracji Marca. Znajdowała się w Bolgheri, małej miejscowości czterdzieści osiem kilometrów na południe od Livorno. Żeby się tam dostać, trzeba zjechać z głównej drogi i jechać mniej więcej cztery kilometry długą, prostą aleją wysadzaną po obu stronach majestatycznymi cyprysami wysokimi na ponad dwadzieścia pięć metrów. Ta droga – Viale dei Cipressi, Aleja Cyprysów – pojawia się w wierszu *Davanti a San Guido* Giosuè Carducciego, pierwszego włoskiego laureata literackiej Nagrody Nobla. Miejscowość wyrosła wokół dominującego nad nią starego zamku i jest otoczona murami z czerwonej cegły. Pierwsze umocnienia powstały tu jeszcze w IX wieku, a istniejące obecnie to efekt rozbudowy, jaką w 1895 roku przeprowadził hrabia Alberto Guido, dodając do nich blanki i wieżę. Do miejscowości dostać się można jedynie przez niewielki sklepiony otwór bramny i gdy przejechaliśmy przez niego na skuterach, miałem wrażenie, jakbym cofnął się w czasie.

Dotarliśmy do Bolgheri dokładnie o pierwszej po południu. W Castagneto Carducci, ulubionej restauracji Marca, czekał już na nas stolik, a kelner powiedział, że przyjechaliśmy w samą porę, by skosztować specjalności lokalu. Marco zrobił zdziwioną minę, jakby ta informacja była dla niego zupełną, aczkolwiek miłą niespodzianką, ale wiedziałem, że on nigdy nie zdawał się na przypadek, gdy rzecz dotyczyła dobrego jedzenia. Biorąc pod uwagę to, czym nas wówczas uraczono, wcale nie mam mu tego za złe. Moje *gnocchi Carducci* z orzeszkami piniowymi – nazywane tak na cześć noblisty – było tak znakomite, że nie da się tego wyrazić słowami, zaś porcje okazały się przeogromne.

Po lunchu tą samą drogą, przez wąską bramę w murze, wydostaliśmy się z Bolgheri i ruszyliśmy przed siebie Viale dei Cipressi. Mniej więcej w połowie Alei Cyprysów zjechaliśmy w boczną drogę prowadzącą do winnicy, którą niedawno założył Simone, przyjaciel Marca. Znajdowała się u wylotu drogi z winnicy Sassicaia, pierwszej i jedynej we Włoszech posiadającej swoją własną kategorię DOC (Denominazione di Origine Controllata) przyznawaną winom o gwarantowanej jakości produkowanym w danym regionie. Bolgheri leży na tej samej szerokości geograficznej co słynące z produkcji doskonałych tokańskich win miasteczka Montalcino i Montepulciano, ale dopiero niedawno samo zaczęło zyskiwać uznanie w tej dziedzinie. Wcześniej w okolicznych winnicach wytwarzano trunki wyłącznie na własne potrzeby, jednak utworzenie w 1994 roku kategorii DOC dla Bolgheri Rosso i Bolgheri Rosso Superiore sprawiło, że tutejsze wina docenili smakosze także z innych części świata.

Gdy przyjechaliśmy, Simone, stojąc na drabinie, podcinał właśnie gałęzie drzew oliwnych na tyłach swojego gospodarstwa. Był wysoki i chudy, miał zmierzwioną brodę, a na nosie lenonki. Czekał, aż jego wina zyskają uznanie, utrzymywał się z produkcji oliwy. Widać było, że pracuje teraz na pół gwizdka, ale biorąc pod uwagę skalę przedsięwzięcia, to wystarczyło. Obok, w cieniu, siedział mały Jack Russell terrier i przyglądał się swemu panu.

Gdy Simone dostrzegł Marca, uśmiechnął się szeroko i zszedł z drabiny. We Włoszech pojawienie się gościa to doskonała wymówka do przerwania pracy i dlatego Simone zaraz dał

nam znak, byśmy poszli za nim. Zaprowadził nas do chwiejącego się stolika turystycznego stojącego pod drzewem. Zniknął we wnętrzu starego wiejskiego domu zbudowanego z kamienia i po chwili wrócił z kilkoma butelkami wina, chlebem i oliwą, w której zanurzało się chleb. I wino, i oliwa pochodziły z jego gospodarstwa. I jedno, i drugie było bardzo dobre.

Simone powiedział, że gdy przejął gospodarstwo, drzewa oliwne były zaniedbane i nie rozdziły zbyt wielu owoców. Musiał je przyciąć i to dość drastycznie. Mówiąc wprost: posłużył się piłą łańcuchową – wyglądając pewnie niczym Freddy Krueger w wersji rustykalnej – i zostawił na każdym drzewie tylko po cztery gałęzie, które niczym strzałki kompasu wskazywały kierunek nowego wzrostu. Niektóre gałęzie, które wówczas ściął, były tak ogromne, że starczyło mu ich jako drewna na opał na następne dwa lata.

Musiało upłynąć trochę czasu, nim drzewa oliwne znowu zaczęły owocować. Ale Simone powiedział, że warto było czekać, bo teraz zbiory są lepsze. Nawet dawny właściciel gospodarstwa, który kiedyś zajrzał do niego, żeby zobaczyć, jak sobie radzi, był zaskoczony ich obfitością.

To, że nieduże gospodarstwo zapewniało tak dobre zbiory oliwek, wynikało między innymi stąd, że rosło tu jedno drzewo, które je skutecznie zapylało. Było to długo kwitnące maurino, odmiana oliwki.

– Ten, kto sadził te drzewa, wiedział, co robi – orzekł z uznaniem Simone. – Żadne z nich nie rośnie dalej niż trzydzieści metrów od oliwki maurino, która je zapyla.

Simone wysyłał większość zebranych oliwek do miejscowej tłoczni, a drobną część zostawił sobie do jedzenia. Włochy mogą się pochwalić wysokim, ba, jednym z najwyższych w Europie, poziomem upraw organicznych, a Simone, podobnie jak większość włoskich rolników, trzymał się na dystans od jakichkolwiek środków chemicznych. Powodem były nie tylko względy środowiskowe. Gospodarstwo przynosiło niewielki dochód, a środki chemiczne były bardzo drogie.

– Wielu rolników moczy oliwki w ługu – mówił nam. – To wyplukuje z nich gorycz. Simone wolał jednak bardziej tradycyjny i tańszy sposób. Zalewał oliwki zimną wodą i przez dzień codziennie ją zmieniał. Potem przygotowywał roztwór soli, tak gęsty, że na wodzie bez trudu mogło unosić się jajko, i zostawiał w nim oliwki na trzy do czterech tygodni.

Spytałem go, co się robi z wytłoczynami z oliwek, bo z doświadczenia wiedziałem, że w takich małych gospodarstwach nic się nie marnuje. Simone wskazał na stos brykietów przykrytych brezentem, leżący obok stodoły.

– Na te wytłoczyny mówi się *sansa* – wyjaśnił. – Robi się z tego brykiety. Ludzie z tłoczni dają mi worek takich brykietów, gdy odbieram swoją oliwę. Palę nimi w zimie.

W pewnej chwili Simone rzucił szyszkę z pinii w stronę teriera. Pies zaatakował ją, jakby to był szczur.

– Wabi się Giosuè – powiedział. – Nazwałem go tak na cześć Giosuè Carducciego, tego, który napisał wiersz o cyprysach.

Simone nosił kapelusz przypominający fasonem *pork pie*, tyle że ze słomy. Bardzo mi się podobało to nakrycie głowy, bo wyglądało równocześnie modnie i swojsko. Spytałem, gdzie je kupił, a on odparł, że na Sardynii. Powiedziałem, że właśnie się tam wybieram, a jemu od razu zaświeciły się oczy.

– Pięknie tam... – rozmarzył się. – Piasek na plażach biały, a morze niebieskie. Będzie ci się zdawało, że jesteś na Karaibach.

Marco spojrzął na zegarek i powiedział, że na nas już pora. Lucilla niebawem będzie w Piombino, a on chciał dotrzeć na Elbę jeszcze przed zmrokiem. Gdy staliśmy przy naszych wespach i żegnaliśmy się z Simonem, Giosuè podniósł łapę i obsikał tylną oponę Marcella.

– Masz szczęście! – roześmiał się Simone.

Marco przytaknął:

– We Włoszech to dobry znak! – Ale ja pomyślałem tylko, że przez godzinę malowałem opony tego skutera specjalną czarną farbą, żeby wyglądały super na *esposizione*, zjeździe, a tu pies mi je obsikuje...

W niecałą godzinę dotarliśmy na przedmieścia Piombino. Miasto było ponure jak każdy hutniczy ośrodek, przez jaki miałem nieszczęście przejeżdżać. Wszystko lepilo się od brudu, w powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach, a jedynym barwnym akcentem były przytwierdzone do betonowych słupów krzykliwie kolorowe plakaty zapowiadające przyjazd cyrku. Na szczęście promy do Portoferraio na Elbie odpływają z Piombino co pół godziny, więc gdy odnaleźliśmy Lucillę i kupiliśmy bilety, nie musieliśmy długo czekać. Wtoczyliśmy skutery na pokład promu i po chwili odbiliśmy od brzegu.

Elba to trzecia co do wielkości wyspa Włoch, po Sycylii i Sardynii. Jest to dalekie trzecie miejsce, bo wyspa ma tylko dwadzieścia osiem kilometrów długości i dziewiętnaście szerokości, ale nadrabia to urodą. Za sprawą swego górzystego, gęsto zalesionego wnętrza i olśniewająco pięknych białych plaż uważana jest za jedną z najpiękniejszych włoskich wysp. Według rzymskiej legendy, Wenus, bogini miłości, spacerowała kiedyś po Morzu Tyrreńskim i zgubiła jeden z cennych kamieni ze swojego naszyjnika. Klejnot wpadł do wody i tak powstała Elba. Wyspę tę po raz pierwszy zobaczyłem mniej więcej po dwudziestu minutach godzinnej przeprawy promem. Przy Piombino wyglądała jak cudny diament.

Portoferraio prezentowało się wprost ślicznie. Ukazało się na horyzoncie w postaci płataniny brukowanych uliczek i pastelowych willi pokrytych czerwonymi dachówkami. Na samym szczycie wzgórza, na którym rozłożyło się miasto, znajdowała się Villa dei Mulini, w której mieszkał Napoleon, gdy więziono go na Elbie w 1814 roku. Rezydencja jest świadectwem tego, jak bardzo odizolowana od świata była Elba przed przybyciem tam Napoleona, a także później, gdy już ją opuścił. Krótki pobyt cesarza Francuzów to coś, z czego wyspa jest znana do dzisiaj. Przed II wojną światową wydobywano tu rudę żelaza, zaś Rzymianie szczególnie upodobali sobie produkowane tu wino. Regularność, z jaką Elba zmieniała właścicieli, przechodząc z rąk Pizańczyków w ręce Genuńczyków, a potem Medyceuszy, Hiszpanii, Turcji i Francji, sugeruje, że żadnemu z jej posiadaczy nie zależało na tym, by zatrzymać ją na dłużej.

Napoleon przebywał na Elbie zaledwie dziewięć miesięcy, ale w tym czasie zreorganizował tutejszy system prawny i edukacyjny, zmodernizował gospodarkę wyspy i wybudował sieć dróg. Flaga, którą zaprojektował dla zabicia czasu, gdy na pokładzie brytyjskiej fregaty „Undaunted” (Nierażony) zmierzał w kierunku wyspy, wciąż powiewa w wielu miejscach na Elbie. Są na niej trzy złote pszczoły, co było ze strony Napoleona ukłonem w stronę dynastii Medyceuszy, budowniczych portu w Portoferraio. A ponieważ vespa to po włosku osa, a więc w pewnym sensie krewniaczka pszczoły, jak najbardziej słusznym wydaje się, że najważniejszy włoski zlot skuterów odbywa się co roku właśnie na Elbie.

Legenda mówi, że tym, co uderzyło Napoleona – w nos – po przybyciu do Portoferraio był smród. Mieszkańcy wyspy wciąż jeszcze wylewali zawartość nocników wprost na ulice. Jednym z pierwszych rozporządzeń Napoleona jako władcy na nowych włościach był nakaz budowy latryn, zatrudnienie osób odpowiedzialnych za sprzątanie śmieci i zanieczyszczeń oraz wprowadzenie wysokich grzywien dla tych, którzy mimo to nadal zapaskudzali ulice.

Pierwszą rzeczą, która uderzyła mnie, gdy dotarliśmy do Portoferraio, był charakterystyczny zapach silników dwusuwów. Na promie oprócz mojego były co najmniej dwa tuziny innych skuterów i gdy dobijaliśmy do brzegu, ich właściciele siedzieli już na nich i przegazowywali swoje maszyny, czekając, aż obsługa opuści furtę, po której będzie można przejechać na na-

brzeże.

W Portoferraio zobaczyłem jedynie ruchliwy port, do którego od lewej strony przylegało urocze stare miasto. Miejscem zbiórki uczestników Rajdu Elby było Mandel 2, niewielkie pole kempingowe w Morcone, w południowo-wschodniej części wyspy. Marco powiedział, że najlepiej będzie jak najszybciej tam pojechać i się zarejestrować.

– Im wcześniej to zrobimy, tym wcześniej będziemy mogli sobie popływać w rzece piwa – wyjaśnił z uśmiechem.

Ciągle bawiło go to, że z tekstu na ulotce zapraszającej na Rajd Elby najbardziej zaintrygował mnie fragment obiecujący *birra a fiumi*, rzeki piwa.

Droga na południe, do Morcone, prowadziła najpierw między polami, a potem zaczęła piąć się w górę. Teraz wiodła nas pośród surowych górskich krajobrazów południowo-wschodniej Elby. Bardzo szybko stało się oczywiste, że ta część wyspy należy do świata równoległego, bo jedynymi pojazdami na drodze były vespy i lambretty. Skutery obsiadły wszystkie stacje benzynowe przy szosie i stały w równych szeregach przed każdą kawiarnią i restauracją. Roje tych maszyn z głośnym bzyczeniem wspinały się po serpentynach drogi na szczyty kolejnych wzniesień, a potem zjeżdżały na dół. Dwusuwy najechały wyspę i objęły ją we władanie. Było ich tyle, że miało się wrażenie, jakby wokół rozgrywały się sceny jakiegoś skuterowego horroru. Z tą różnicą, że powietrza nie wypełniały jęki i stękania umierających zombie, lecz ze wszystkich stron rozbrzmiewało piskliwe zawodzenie katowanych na wysokich obrotach dwusuwowych silników.

W Morcone całą trójką poszliśmy do namiotu, w którym należało się zarejestrować. Stał na schludnej łączce obok plaży, a obok niego, pod znacznie większym zadaszeniem, jakiś lekko roztrągniony DJ puszczał płyty, wybierając utwory na zabawę, która miała mieć miejsce następnego dnia wieczorem. Ochotnicy z klubu skuterowego Green Onions w zamian za nowiutki banknot o nominale dwudziestu euro zapisali nasze nazwiska i wręczyli każdemu z nas reklamówkę, w której znajdował się program zlotu, mapa wyspy, wejściówki na trzy całonocne imprezy, voucher do bufetu i pamiątkowa naszywka na parkę, ulubiony strój modsów, którą oczywiście – zdaniem organizatorów – na pewno posiadaliśmy.

Placyk przed markizą, na którym zazwyczaj plażowicze parkowali samochody, stał się zaimprowizowanym salonem, gdzie swoje wdzięki prezentowały vespy i lambretty każdego dostępnego modelu i koloru. Stały w równych rzędach między pasami żywopłotu dzielącymi teren. Do koła skuterów chodzili faceci w parkach albo ubrani jak modsi i przyglądali się maszynom – i sobie nawzajem. Z dumą zauważyłem, że Marcello częściej niż inne skutery był omiotany pełnymi podziwu spojrzzeniami mijających go osób.

Lucilla przyglądała się właścicielom skuterów z uśmiechem na twarzy.

– Są dwa rodzaje mężczyzn, którzy przyjeżdżają na zloty – powiedziała. – Niscy, z brzuchami grubymi od piwa oraz wysocy i chudzi, którzy kopcą papierochy, przypominając kominy.

Spytałem, do którego rodzaju zalicza mnie, a ponieważ nie palę, bałem się, że odpowiedź będzie oczywista.

– No, zawsze są wyjątki – odparła Lucilla dyplomatycznie.

W czasie rejestracji dostaliśmy także zalaminowane identyfikatory, które trzeba było cały czas mieć przy sobie. To dzięki nim mieliśmy zapewniony dostęp do wina i bufetu, no i przede wszystkim do rzeki piwa. Szybko odszukałem bar i wziąłem trzy półlitrowe szklanki, a tymczasem Marco i Lucilla znaleźli wolny stolik pod jedną z palm daktylowych rosnących wzdłuż plaży.

Miejsce było bardzo ładne. Plaża miała co najwyżej pięćset metrów długości i z obu stron zamykały ją wychodzące w morze skalne cyple, pokryte głożyną i makią, to jest sucholubnymi zaroślami. To typowa śródziemnomorska roślinność, która porasta prawie całą wyspę.



Marco i Lucilla wynajęli sobie już wcześniej kwaterę w Capoliveri, bardzo starym miasteczku na szczycie wzgórza. Było tam miejsce i dla mnie, ale wolałem przespać się na polu kempingowym obok plaży z resztą *vespisti*. Gdyby miało dojść do jakiejś rozróby, chciałem być w centrum wydarzeń.

Znalazłem miejsce na namiot obok kępy pinii, w głębi pola. Moimi sąsiadami była hałaśliwa grupa Szkotów reprezentująca Edinburgh Blues Scooter Club. Przyjechali dopiero tego ranka, po pięciu dniach morderczej drogi ze Szkocji i przeprawie przez Alpy, ale urządzili się już jak w domu: między dwoma palikami rozciągnęli ogromną flagę z krzyżem Świętego Andrzeja. Teraz wlewali w siebie zawartość kolejnych butelek whisky, które razem z nimi odbyły tę długą i najeżoną niebezpieczeństwami podróż.

Na czele Szkotów stał zwalisty gość ogolony na zero, którego przezywali Sumo. Na obu ramionach miał tatuaże i przyjechał na czerwonym Rally 200 z bocznym wózkiem. Ponieważ był to ten sam model, co mój Marcello, ciekaw byłem ogromnie, jak poradził sobie z przebyciem tysiąca pięciuset kilometrów.

– Silnik pracował równiutko przez całą drogę – zapewnił mnie Sumo.

Daisy, jego dziewczyna, jechała w bocznym wózku. Było tam ciasno i niewygodnie, a nieszczęsna pasażerka prawie całą drogę ze Szkocji trzymała się kurczowo wózka, umierając ze strachu. Ponieważ skuter był zarejestrowany w Wielkiej Brytanii, wózek znajdował się po jego lewej stronie. W Szkocji, gdzie obowiązuje ruch lewostronny, jest to bezpieczne i można sobie beztrudno podziwiać mijane krajobrazy. Ale w Europie, gdzie samochody jeżdżą po prawej stronie, wszystkie pojazdy zbliżające się z przeciwka waliły prosto na biedną Daisy. Na ciasnych i krętych alpejskich drogach, gdzie auta często mijają się, niemal ocierając się o siebie, na pewno nie było to przyjemne.

– Setki razy myślałam, że mu tam wykorkuję – opowiadała z kwaśną miną.

Sumo natomiast żartował, że przynajmniej pogrzeb wyjdzie ją tanio. Bo okazało się, że Sumo to balsamista zwłok.

Ponieważ nigdy dotąd nie spotkałem balsamisty, skorzystałem z okazji i zacząłem zadawać mu mnóstwo bezpośrednich, a nawet dość impertynenckich pytań dotyczących jego profesji. Na pewno słyszał je już z milion razy, ale odpowiadał mi bez irytacji i z poczuciem humoru. Okazało się, że wbrew temu, co sądziłem, najgorszą częścią pracy takiej osoby nie jest wkładanie rąk w otwory anatomiczne nieboszczyka, ale to, że człowiek wraca do domu i nie może zmyć z siebie zapachu środków konserwujących zwłoki, którymi przesiąkł w pracy.

Pięćdziesiąt lat wcześniej Sumo z pewnością znalazłby się na okładce „Vespa Club d’Italia”, bo w każdym numerze tego czasopisma przedstawiano członka klubu wykonującego jakiś interesujący zawód, a wydelegowani dziennikarze śledzili wydarzenia w miasteczku złotowym, szukając odpowiednich tematów. W jednym z numerów opisano piekarza Francesca Polgę – brał udział we wszystkich zlotach w kraju, ale zawsze opuszczał towarzystwo na tyle wcześnie, żeby o trzeciej w nocy rozpocząć pracę w swojej piekarni. W innym numerze czytelnicy mogli poznać Alda Ambrosettiego, weterana wojennego bez ręki, który pracował jako inżynier dla koncernu Edison.

Kiedy nie można było znaleźć właściciela vespy reprezentującego jakąś ciekawą profesję, dziennikarz „Vespa Club d’Italia” pisał po prostu o kimś, kogo spotkał w czasie podróży po kraju. Mnie najbardziej podobała się historia Giuseppe Palmy z Mediolanu – znalazł się w czasopiśmie, ponieważ pojawił się na zlocie w Turynie, przyciskając do piersi uszy zająca, którego przyjechał po drodze. Niestety, nie zamieszczono zdjęcia Giuseppe (ani zająca).

Wieczorem odwiedziłem Marca i Lucillę w Capoliveri i zjedliśmy kolację w pizzerii przy jednej z brukowanych uliczek rozchodzących się promieniście od rynku. Syci i zadowoleni wsko-

czyliśmy na skutery i pognaliśmy do Mandel Disco, klubu znajdującego się w odległości mniej więcej trzech czwartych drogi w dół wzgórza w stronę Morcone.

W tym właśnie klubie organizatorzy zlotu przygotowali całonocną imprezę przy muzyce Northern Soul. Zabawa rzeczywiście trwała aż do rana i wszyscy mieli okazję popisać się swoimi tanecznymi zdolnościami.

Budynek Mandel Disco stał na uboczu, niczym się nie wyróżniając, otoczony polami ciągnącymi się na ogołoconych z drzew zboczach wzgórz. Wcześniej przejeżdżałem tędy dwa razy i nie zwróciłem na niego uwagi. Ale tamtej nocy klubu nie sposób było nie zauważyć, bo po obu stronach drogi stały w długich szeregach vespy i lambretty.

Razem z Markiem i Lucillą machnęliśmy naszymi laminowanymi identyfikatorami przed oczyma stojących przy drzwiach bramkarzy i weszliśmy do środka. Panował tam półmrok, ale kiedy oczy przyzwyczyły się do słabego światła płynącego ze sceny, zdałem sobie sprawę, że zebraли się tutaj chyba wszyscy wielbiciele stylu modsów z całych Włoch. Mieli na sobie koszulki marki Fred Perry i kurtki Harrington, a parki oddawali szatniarzowi. Na parkiecie rządziło kilku gości stylizujących się na Paula Wellera, a ich dziewczyny – kopie Mary Quant – stały przy barze, sącząc koktajle i przyglądając się zabawie. Miałem wrażenie, że cofnąłem się w czasie i jestem w brytyjskim studiu telewizyjnym w mniej więcej w 1964 roku, w czasie nagrywania programu „Ready, Steady, Go! ”.

Mods i vespy byli ze sobą związani niemal od początku swego istnienia. Zarówna ta młodzieżowa subkultura, jak i skutery powstały po II wojnie światowej z fascynacji tym, co nowe. Firma Piaggio wykorzystywała nowe technologie i pomysły, bazując na wiedzy konstruktorów pracujących dla lotnictwa, żeby stworzyć tani środek transportu, bardzo potrzebny w kraju z trudem podnoszącym się z powojennej biedy. Mods – ta nazwa to skrót od *modernists*, nowocześni – pragnęli wszystkiego, co nowe i ekscytujące. I z drobną pomocą wchodzącej na rynek formy sprzedaży, jaką była sprzedaż ratalna, chcieli mieć to od razu.

Vespy doskonale wpisywały się w etos modsów. Były nowoczesne, zgrabne, i na dodatek jeżdżąc na nich, nie trzeba się było martwić, że pobrudzimy sobie ubranie jak na motocyklu. A ponieważ mods prawie całe zarobione pieniądze wydawali na ciuchy, było to dla nich dość istotne. Grudki błota były ostatnią rzeczą, którą człowiek chciał mieć na swoim ubraniu od Johna Stephena.

Włosi bawiący się na imprezie tamtej nocy doskonale kopiowali styl brytyjskich modsów z lat sześćdziesiątych i mam tu na myśli także skutery, na których przyjechali. Gdy zbliżyliśmy się do klubu, Marco zwrócił moją uwagę na to, że większość zaparkowanych tam vesp stanowiły skutery model GS 160. Były to jedyne vespy, na które wsiadał szanujący się mods, i zostały wymienione z nazwy przez zespół The Who na płycie *Quadrophenia*. „I ride a GS scooter with my hair cut neat” („Z elegancką fryzurą jadę na skuterze GS”), śpiewał Roger Daltry. Daltry chodził też w parce, która chroniła go przed wiatrem i deszczem.

The Who byli, obok Small Faces, najpopularniejszym wśród modsów zespołem w latach sześćdziesiątych. Ale gdyby pojawili się na scenie tamtej nocy w Morcone, nikt by na nich nie spojrział. Ludzie mieli bawić się przy muzyce Northern Soul i dlatego angielski DJ trzymał się popularnej czarnej amerykańskiej klasyki, lubianej także przez modsów i puszczał takie kawałki, jak *Moonlight, Music and You* Laury Greene, (*I'm a Roadrunner* grupy Jr Walker & The All Stars, *The „In” Crowd* Dobiego Graya, *The Champion* Williego Mitchella czy *Stop Sign* w wykonaniu Mela Wynna i zespołu The Rhythm Aces. Wszystkie te piosenki były znacznie bardziej cenione w Wielkiej Brytanii niż w Australii.

DJ nie najlepiej się spisywał. Wołał do publiki bez przekonania i robił przerwy między kolejnymi puszczanymi kawałkami, ale miał zmierzwioną czuprynę i był Anglikiem, więc dla

włoskich modsów był świetny. Zapełniali parkiet, pokazując tym samym, że podoba im się prowadzona przez niego impreza.

Jak na osoby, którym tak bardzo zależy na tym, by zawsze wyglądać schludnie i elegancko, zebrani w klubie wydawali się być gotowi w tańcu dać z siebie wszystko, nawet z pewną szkodą dla wizerunku. Jakiś facet z koszulce tenisowej marki Fred Perry i kapeluszu *pork pie* tak poważnie podchodził do sprawy, że zanim zaczął wygibas, przez dobry kwadrans intensywnie się rozgrzewał. Najpierw rozluźniał każdą kończynę i wyginał szyję na prawo i lewo, aż mu strzelało w kościach. Potem objął rękoma jedną z kolumn i zaczął robić intensywne ćwiczenia rozciągające. Zaczynała się pierwsza z dwóch całonocnych imprez tanecznych i miał przed sobą jeszcze długie godziny. Ewidentnie nie chciał naderwać sobie ścięgien.

Jak zawsze wśród modsów, także i tu, w Mandel Disco, można było zauważyć *faces*, twarze, czyli osoby, które potrafiły narzucić styl zabawy. Gość, który się rozgrzewał, na pewno nie był jedną z nich. W czasach modsów prawdziwy *face* roztaczał wokół siebie specyficzną aurę luzu i wyznaczał trendy w modzie i uczesaniu, które potem naśladowali inni. *Face* na pewno nie zainicjowałby mody, której częścią byłaby kalistenika z wykorzystaniem kolumny.

Tamtej nocy „twarzą” okazał się wysoki chudy gość w nienagannie skrojonym garniturze. Wyglądał jak młody Rod Stewart, a kiedy zmierzał na parkiet, tłumek rozstępował się, robiąc mu przejście. Jego partnerka, obcięta na boba śliczna brunetka w prostej spódnicy przed kolana, podążała za nim, a potem zajęła miejsce obok niego i obserwując jego taniec, kołysała rytmicznie biodrami. Była dlań dodatkiem równie istotnym jak fular w orientalne wzory.

„Twarz” wykonał serię skomplikowanych ruchów, które – jak się później dowiedziałem ze starych numerów „New Musical Express” – składały się na taniec o nazwie The Block. Było w tym dużo wygibasów i potrząsania ciałem, a wszystko kończyło się gestem, od którego taniec wziął swoją nazwę: ręce podnosiło się na wysokość ramion i dłońmi zwróconymi ku sobie (lewa do wewnątrz, prawa na zewnątrz) wykonywało się głośne klaśnięcie. Gdy ktoś ruszał się kiepsko i niezgrabnie, taniec ten przypominał podrygi onieśmiałego gościa po pięćdziesiątce w czasie bożonarodzeniowego przyjęcia w firmie. The Block wykonywany dobrze – tak jak to robił ten facet – wyglądał naprawdę świetnie.

Zazdrościłem ludziom, którzy potrafili dobrze tańczyć. Sam zawsze obawiam się, że wszyscy na mnie patrzą, i w efekcie jestem tak spięty, że ruszam się ospale, jakbym był po końskiej dawce leków uspokajających. Albo wypijam za dużo i potem tańcząc, cały trzęsę się i dygocę jak podłączony do prądu. Ani jeden, ani drugi sposób radzenia sobie na parkiecie nie należy do stylu modsów. Wszedłem z imprezy krótko po północy, bolejąc nad tym, że nie miałem ani fryzury, ani figury, ani – trzeba to głośno powiedzieć – koordynacji ruchowej, które czyniłyby mnie godnym miana modsa.

Następnego dnia zaraz po lunchu wszyscy zaczęli gromadzić się przed baldachimem w Morcone, by wyruszyć na uroczysty przejazd skuterami wcześniej ustaloną trasą. Taki przejazd to najważniejsza część każdego zlotu i wydarzenie, w którym biorą udział bez wyjątku wszyscy jego uczestnicy. To także sposobność, żeby poczuć się częścią grupy, być razem niezależnie od fryzury, opanowanych technik tanecznych czy posiadanego modelu skutera i wskrzesić „radosnie świętujący rój”, który świat poznał w Mediolanie w 1949 roku.

Trasa miała nas poprowadzić na szczyt wzgórza do Capoliveri, następnie w dół do Porto Azzurro, a potem wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża wyspy do Cavo, staromodnego kurortu z drewnianym molo. Dokładnie punkt druga członek klubu skuterowego Green Onions podjechał na czoło uformowanej kawalkady i ruszył pod górę, przez kłęby niebieskiego dymu dając znak, żeby jechać za nim.

Skutery wspiwały się na wzgórze z głośnym bzyczeniem, tak jakbyśmy byli chmarą sza-

rańczy, którą dopiero co wygoniono z gniazda. Jadące z naprzeciwka samochody rozsądnie zjeżdżały na bok, nie chcąc ryzykować ozdobienia szyby rozplaszczoną na niej vespą. Gdy takim rojem sunęliśmy przez Capoliveri, a potem przez Porto Azzurro, turyści przystawali i przyglądali się nam, a dzieci śmiały się i machały do nas.

Jest coś takiego w vespach, że widząc je, ludzie czują się szczęśliwi. Gdyby ulicą przejechała taka sama liczba motocykli, wszyscy cofaliby się lub kulili ze strachu. Ale na widok skuterów uśmiechają się. No dobrze, możliwe, że śmiali się z nas, a nie do nas. Tak czy owak, skutery dostarczyły im trochę radości.

Za Porto Azzurro droga odbijała od wybrzeża i prowadziła przez niewysokie góry, w których kiedyś wydobywano rudę żelaza. Rychło pojawiły się lasy i wjechaliśmy w najbardziej odludne i dzikie części wyspy. Na wysokości Rio nell'Elba droga znów zbliżyła się do morza i biegła teraz wzdłuż urwistej linii brzegowej, przez okolicę opuszczoną przez ludzi po tym, jak w XVI wieku piraci zniszczyli istniejące tutaj wioski.

W Cavo organizatorzy zlotu skierowali nas prosto na drewniane moło, gdzie zaparkowaliśmy skutery. Myślę, że chodziło o to, żebyśmy przez chwilę poczuli się jak w Brighton, w scenie z filmu *Kwadrofonia*, ale nie za bardzo się to udało. Plaża była piaszczysta, a nie kamienista jak w Anglii. Woda błękitna. A przy ulicy za nami rosły palmy daktylowe i nigdzie nie widziałem wiktoriańskich domów w charakterystycznej szeregowej zabudowie.

Kiedy skończyliśmy spacerować po moło i oglądać skutery innych, impreza przeniosła się do Hemingway Irish Bar, pogrążonego w półmroku, dość obskurnego pubu w jednej z bocznych uliczek Cavo. Tam zauważyłem mężczyznę, który był „twarzą” poprzedniej nocy. Dzisiaj założył brązowy garnitur i fular już nie we wzory, lecz w zdecydowanym pomarańczowym kolorze, bardzo podobnym do koloru Marcella. Pierwszy raz zauważyłem, że miał wyjątkowo spiczaste buty, i zastanawiałem się, czy potrafi w nich korzystać z tylnego hamulca swojego skutera.

Jego dziewczyna wciąż miała na sobie tę samą spódnicę w biało-czarną kratkę, a jej fryzura na boba była nienagannie ułożona – wydawało się, że każdy włos jest na swoim miejscu. Jednak sama dziewczyna wyglądała mizerniej niż w nocy.

– Światło dzienne jej nie służy – zauważyła Lucilla.

Byłem pod takim wrażeniem tańca tego mężczyzny, że postanowiłem do niego podejść i się przedstawić. Dowiedziałem się, że ma na imię Federico i pochodzi z Rimini. Powiedział, że w Rimini jest dużo osób, które przyjęły styl modsów. Każdego roku w czasie Wielkanocy zbierają się na imprezę, którą nazywają The Italian Job<sup>1</sup>). Organizuje ją klub skuterowy Smart Drivers, skupiający osoby, które na wybrzeżu Morza Adriatyckiego naśladowują sposób ubierania i styl życia modsów. Ta impreza to jedno z najważniejszych wydarzeń w międzynarodowym świecie tej subkultury. Federico prowadził tam klub właścicieli lambrett i wymienił mi nazwiska kilku miejscowych „twarzy”, pytając, czy ich znam. Potrząsnąłem przecząco głową. Uśmiechnął się niewyraźnie i wrócił do swojego drinka.

1) Włoska robota, nawiązanie do brytyjsko-włoskiej komedii sensacyjnej z 1969 roku (przyp. tłum.).

To, co się stało chwilę później, powinno być dowodem na to, że kiedy jeszcze raz będę próbował mówić w obcym języku, należy mnie podpiąć do akumulatora. Chociaż Federico mówił doskonale po angielsku, tamtego popołudnia, w pogrążonym w półmroku ustronnym zakątku baru Hemingway, postanowiłem powiedzieć mu po włosku, że jest świetnym tancerzem.

– *Balli benissimo*, bardzo dobrze tańczysz – oznajmiłem bardzo powoli i wyraźnie, w taki sposób, w jaki, jak mi się wydawało, powiedziałaby to Włoch.

– Co proszę? – zapytał Federico po angielsku, a ja powtórzyłem jeszcze raz moje zdanie

po włosku.

Federico poprawił się niespokojnie na krześle i widać było, że nie wie, gdzie ma uciec wzrokiem ani co powiedzieć. Jego dziewczyna usłyszawszy moje słowa, przerwała natychmiast rozmowę z jakąś kopia Mary Quant i odciągnęła Federica ode mnie. Marco i Lucilla wybuchnęli śmiechem.

– Skąd ty wzięłeś to zdanie? – spytała Lucilla. – Z twoich rozmówek?

Skinąłem głową i wskazałem dokładnie te słowa w rozmówkach wydanych przez Lonely Planet. Znajdowały się w rozdziale *Frase per rimorchiare* zawierającym zwroty używane, gdy chce się kogoś poderwać, ale wydawały mi się na tyle niewinne, że uznałem, że można ich użyć, nie wiążąc z nimi żadnych podtekstów. Najwidoczniej byłem w błędzie.

– Biedak myślał, że się do niego zalecasz! – wyjąkała Lucilla, śmiejąc się tak, że z oczu płynęły jej łzy.

Tego samego dnia wieczorem jeszcze raz zobaczyłem Federica i jego dziewczynę na całonocnej imprezie. Pomachałem do nich, żeby zwrócić na siebie uwagę i być może wyjaśnić całe nieporozumienie, ale zanim udało mi się podejść, Federico złapał swoją dziewczynę za rękę i uciekł, znikając w ciemnościach nocy. Lucilla znowu zaczęła się śmiać, mówiąc, że zepsułem mu cały wieczór. To była ostatnia zabawa na zlocie i ostatnia szansa, by mógł popisać się swoim tańcem. A tu nagle jakiś gość z Australii pałający sympatią do modsów z bujnymi czuprynami psuje mu całą imprezę.

Złot zakończył się nazajutrz ceremonią wręczenia nagród i przedpołudniową finałową już zabawą. Ten dzień był świętem państwowym, ale większość *vespisti* zbierała się do domu, by powrócić do swojego zwykłego życia pracowników banków czy sprzedawców; do życia, w którym przymiotnik „całonocny”, kojarzy się jedynie z remanentem lub rocznym sprawozdaniem.

Na pożegnanie przygotowano szwedzki stół z różnymi rodzajami szynki i salami oraz z chlebem, a także wielką beczkę czerwonego wina, co było – jak mi się zdawało – miłym włoskim akcentem. Przy bufecie zobaczyłem miłośników vespy z Edynburga wsuwających lokalne specjały. Sumo powtarzał między jednym a drugim kęsem, że ten zlot jest zupełnie inny od tych, które organizują u siebie.

– My zawsze spotykamy się na końcu w barze z rybą i frytkami i jemy marsy smażone w oleju – skwitował ze śmiechem.

Angielski DJ, który miał na imię Elvis, wręczał uczestnikom zlotu różne nagrody. Trofeum za najdłuższy dystans pokonany w drodze na zlot przypadło Szkotom.

– Chłopaki, jesteście świetni! – powiedział Elvis, wręczając im nagrodę.

Kiedy uhonorowano wszystkich, których miano uhonorować, Elvis puścił muzykę i już po chwili morze damskich bobów i męskich głów ogolonych na łyso falowało w namiocie w rytm piosenek grupy Madness. I ja się trochę powyginałem, zanim Marco przywołał mnie gestem, mówiąc, że pora się zbierać.

Nadszedł czas, bym rozpoczął swą wielką przygodę.



## *Santa Teresa Gallura*

*Patron: święty Franciszek z Asyżu*

Kadłub promu „Moby Drea”, którym płynąłem do portu Olbia na Sardynii, zdobiło wysokie na trzy piętra malowidło przedstawiające gigantyczne postaci z kreskówek *Zwariowane melodie*. Królik Bugs, ptaszek Tweety i Kojot szaleli na ogromnych deskach surfingowych, a diabeł tasmański Taz zwisał z górnego pokładu niczym gibbon. Z kolei dumnie wyprostowany kot Sylwester w upiornych szortach tkwił na kominie. Nie był to typowy sposób ozdabiania statków pasażerskich – większość z nich jest po prostu biała – ale kolorowe postaci na kadłubie określały charakter mojej wyprawy: będzie radosna, barwna i sprawi mi ogromną frajdę. Miałem jednak nadzieję, że obędzie się bez spadania ze szczytu urwiska i rozplaszczania się u jego stóp wzorem Kojota.

Radosny nastrój, który wprowadziły postaci wymalowane na kadłubie, był wyczuwalny także na pokładzie. Marcello został przypięty do poręczy biegnącej wzdłuż poziomu dla samochodów przez członka załogi w pomarańczowym drelichu, ciut jaśniejszym niż mój skuter. Z rąk kierowniczkii rejsu, kobiety równie rezolutnej co Julie McCoy z serialu *Statek miłości*, odebrałem klucz do mojej kabiny. Na każdym pokładzie pełno było beztroskich turystów w modnych kreacjach z lnu. Spacerowali korytarzami, szukając swoich kabin i podnieconymi głosami opowiadali sobie, jakie to wspaniałe czekają ich wakacje. Wszystko wokół tętniło życiem i radością i ta atmosfera świetnie korespondowała z moim stanem ducha. Wreszcie byłem w drodze na Sardynię. I wkrótce miała się zacząć moja wielka podróż po słonecznym południu Włoch. Przez chwilę podejrzewałem, że nigdy nie wydostanę się z Livorno. Kiedy D.H. Lawrence wybierał się w 1921 roku na tygodniową podróż po Sardynii, pisał: „Nachodzi wreszcie człowieka absolutna potrzeba, by ruszyć w drogę”. Dobrze wiedziałem, co miał na myśli. Jeśli chodzi o mnie, choć nie poślubiłem żony mojego dawnego profesora i nie oskarżyłem jej później o to, że jest niemieckim szpiegiem, to dwa tygodnie po przyjeździe do Włoch w celu rozpoczęcia szalonej dwusuwowej wyprawy wciąż siedziałem w Livorno. Moja „potrzeba ruszenia w drogę” nie była może tak oczywista – od wspaniałego włoskiego jedzenia przybyło mi w pasie tylko kilka centymetrów – ale odczuwałem ją jako równie nagłą.

Miło i przyjemnie żyło się w Livorno. Jadałem dobrze i tanio. Miałem znajomych, którzy zabierali mnie do nieznanym turystom barów i uroczych zakątków, w których można było popływać. Całe dni spędzałem na vespie, jeżdżąc górskimi drogami wijącymi się wzdłuż skalistego wybrzeża, a mój skuter bezustannie przyciągał spojrzenia mijanych osób. Najpoważniejsza decyzja, jaką musiałem podjąć każdego ranka, sprowadzała się do odpowiedzi na pytanie: „Co dzisiaj wziąć do mojego *macchiato*? *Biscotti*, ciasteczka, czy *bombolone*, pączka? ”. Dzięki Markowi i Filippowi już w Livorno korzystałem z uroków *dolce vita*, słodkiego życia, w poszukiwaniu którego wyjechałem z Londynu. Słodkie życie trwało aż do chwili, gdy wsiadłem na pokład promu. Marco i Filippo wyprawili dla mnie pożegnalną kolację w centrum Livorno, w restauracji

Don Giovanni z widokiem na stary rynek. Był to odznaczający się swobodną atmosferą lokal. Restauracja specjalizowała się w świeżo przygotowanych *panini*, kanapkach, z różnymi specjałami, które wybierało się, wskazując na nie palcem, z zasobów wielkiej lady chłodniczej.

Marco nalegał, żebyśmy zamówili na koniec *ponce*, czyli melanz kawy z rumem, wymyślony przez mieszkańców Livorno, by łatwiej było pić ostry dla podniebienia rum, który przywozili do tego włoskiego portu angielscy kupcy. W czasie mojego ostatniego pobytu w Livorno każdy wspólny wieczór z Markiem i Filippem kończyliśmy kolejką *ponce* w barze Civili, niewielkim, zatłoczonym lokalu z proporczykami drużyn piłkarskich zwisającymi z niskiego sklepienia. Bar Civili sam siebie nazywa „najlepszym na świecie barem serwującym *ponce*” i być może dlatego w czasie pobytu we Włoszech rzeczywiście zasmakowałem w tym specjale. Gdy wyjeżdżałem, w prezencie od Marca i Filippa dostałem wszystko, czego potrzeba do przyrządzania prawdziwego *ponce*. Była to butelka rumu, dwie szklanki do *ponce* oraz szczegółowe instrukcje, jak przygotować napój.

Lucilla powiedziała mi wcześniej, że Marco pijał *ponce*, tylko gdy był ze mną, więc uznałem, że chce wypić na zapas kilka kolejek, zanim zniknę na parę miesięcy. Unieśliśmy w górę szklanki i gdy tak spoglądałem na promieniejące radością twarze moich przyjaciół i ich nowych dziewczyn, przypomniały mi się słowa, które Al Pacino wypowiada w trzeciej części *Ojca chrzestnego*: „Gdy już sądziłem, że udało mi się z tego wyrwać, znowu mnie w to wciągnęli”. Moim zadaniem nie było powstrzymanie rozpadu mafijnej rodziny, ale to nie znaczy, że nie stało przede mną równie trudne wyzwanie. Musiałem bowiem zostawić przyjaciół i bujne życie towarzyskie, wsiąść na siodło Marcella i ruszać do terminalu promowego, dzięki Bogu oddalonego od restauracji tylko o kilka minut jazdy skuterem.

Ojciec Lucilli był właścicielem jednego z najdłuższych działających w Livorno biur podróży i wykorzystał swoje kontakty, żeby załatwić mi jednoosobową kabinę na górnym pokładzie promu w cenie leżaka. Powiedział, że gdybym wybrał się w tę samą trasę w zimie, mógłby mi załatwić apartament z ogromnym łóżkiem, kolorowym telewizorem, radiem, telefonem, pełnym barkiem i do tego śniadaniem ze świeżymi owocami i rogalikami. Kiedy znalazłem się w mojej kabine, przypominałem sobie tamte słowa i uznałem, że to byłaby już przesada. Ta kabina z łazienką miała o niebo lepszy standard niż większość pokoi hotelowych, w których zatrzymywałem się podczas wcześniejszych podróży.

„Moby Drea” odbił od nabrzeża dokładnie o dziesiątej wieczorem i wziął kurs na południowy zachód, w stronę Sardynii. Stałem na pokładzie i przyglądałem się, jak Livorno oddala się ode mnie. Stare forty i inne zabytki trwały nieruchomo, podświetlone reflektorami, a brzydkie części miasta skrywał mrok. Można nawet powiedzieć, że Livorno wyglądało uroczo.

Przez pierwszą część podróży miałem wrażenie, że jestem w kasynie w Las Vegas, oglądając w sali przeznaczonej na występy estradowe popisy dwóch dziewczyn w lśniących strojach, śpiewających przeboje włoskiego popu. Jak na jednostkę pływającą jedynie między Livorno a Olbią, „Moby Drea” był zaskakująco dobrze wyposażony. Prócz sali estradowej z kasynem na statku była też restauracja oferująca dania z karty, bar samoobsługowy, pizzeria, lodziarnia, pub, basen, solarium, bar przy basenie, skąd kelnerzy przynosili drinki pływającym, i kącik zabaw dla dzieci z grami wideo. Wszystko było tak przygotowane, jakbym miał spędzić dwadzieścia dwa dni na Pacyfiku, a nie dwanaście godzin, nocą, w drodze na Sardinie.

O północy dziewczyny zostały zastąpione przez zespół długowłosych muzyków w skórach, którzy zaczęli grać covery ballad rockowych. Chociaż takich ballad jest całe mnóstwo, aż dwa razy musieli wykonać *Wind of Change* Scorpionsów, żeby zapełnić czas swojego pobytu na scenie. Dla większości pasażerów była to wskazówka, że pora się zbierać i wypić jeszcze na dobranoc ostatnie espresso w wyposażonej we wszystko, co trzeba, kawiarni w prawdziwie



włoskim stylu.

W kąciku zabaw dla dzieci panowała żywsza atmosfera. Z kartki umieszczonej przy wejściu wynikało, że miała się tam odbyć projekcja filmu *Gdzie jest Nemo?*, ale władzę nad ekranami przejęli ojcowie małych pasażerów, którzy rozsiedli się na huśtawkach i sprzęcie do zabawy i oglądali mecz Portugalia–Rosja, gestykulując w stronę sędziego w taki sposób, że nie ulegało wątpliwości, że prowadzi dzisiaj wyjątkowo kiepskie spotkanie. Gdy jakaś matka zaczęła głośno protestować, mówiąc, że jej syn płacze wystraszony głośnym zachowaniem kibicujących mężczyzn, jeden z nich odpowiedział, że jest późno i dziecko już dawno powinno być w łóżku. Przed pójściem spać wybrałem się na krótki spacer po pokładzie. Od morza wiał porywisty, chłodny wiatr i jedynymi osobami, które nie schowały się w kabinach, byli młodzi ludzie z plecakami, wtuleni w śpiwory i podający sobie butelkę wódki.

Podczas pożegnalnej kolacji Filippo wspominał, jak jako nastolatek pływał na Sardynię z kolegami. Też spali na pokładzie, też krążyła między nimi butelka z whisky i od czasu do czasu joint, wszystko po to, żeby przetrwać noc.

Spojrzałem na tych chłopaków i poczułem w sercu ukłucie zawodu i zazdrości. Nie, nie z powodu alkoholu i narkotyków. Szło raczej o przygodę, jaką jest spanie pod gołym niebem na pokładzie statku, kiedy człowiek budzi się o świcie lekko otumaniony i zziębnięty i widzi nagle najpiękniejszy wschód słońca w swoim życiu. Wróciłem do kabiny i gdy zasypiałem, przez głowę zdążyła mi jeszcze przebiec myśl, czy na pewno takich rzeczy powinien zazdrościć ktoś, kto wkrótce ma zostać ojcem.

Następnego dnia rano obudził mnie komunikat w czterech językach, że za godzinę będziemy w porcie. Wziąłem prysznic, spakowałem się i pośpiesznie dołączyłem do kolejki osób czekających na poranne espresso z rogalikiem. Gdy już miałem otrzymać jedno i drugie, z głośników rozległ się kolejny komunikat:

– Z przyczyn od nas niezależnych – mówił jakiś beznamiętny głos – statek ma lekkie opóźnienie.

Obecni na pokładzie Włosi nie byli zadowoleni z tego, co usłyszeli. Mężczyzna stojący obok mnie walnął ręką w kontuar, a jego żona westchnęła z irytacją, a potem zaczęła rugać stewarda przygotowującego nam kawę, jakby opóźnienie było jego winą. Inny steward, który nieroztropnie postanowił zrobić sobie w tej właśnie chwili przerwę, został natychmiast otoczony przez korpulentne włoskie babcie, które zaczęły dźgać go palcami i natarczywie wypytywać, o której dokładnie przybijamy do brzegu. Steward odwrócił się i dał drapaka, zanim sytuacja stała się dlań jeszcze bardziej nieprzyjemna, a ja zastanawiałem się, jak zareagowaliby pasażerowie, gdyby okazało się, że opóźnienie nastąpiło z przyczyn zależnych od załogi statku.

Zostawiłem moich towarzyszy podróży, którzy zbici w grupki zaczęli szturmować mostek, i wybrałem się na pokład, żeby po raz pierwszy zobaczyć Sardynię. Wyspa wyłaniała się powoli z porannej mgły, a jej skaliste brzegi zdawały się być dzikie i opuszczone. W każdym innym miejscu Włoch nad brzegiem morza zawsze pełno jest hoteli, domów z pokojami do wynajęcia, plaż, lodziarni i pizzerii. Tu, na północno-wschodnim brzegu drugiej co do wielkości wyspy Morza Śródziemnego, nie było widać ani śladu ludzkiej obecności.

Sardynia zawsze była inna. D.H. Lawrence opisywał ją jako „zagubioną między Europą i Afryką i nienależącą do żadnego miejsca”. Fenicjanie, Kartagińczycy, Rzymianie, obywatele Pizy i Genui, Hiszpanie i Austriacy – wszyscy planowali zbudować tu sobie przyczółek, a ostatecznie porzucali wyspę, zostawiając ją we władaniu malarii i strzegących swojej niezależności autochtonów zamieszkujących jej górzasty interior. Od 1861 roku Sardynia jest częścią zjednoczonych Włoch, a Giuseppe Garibaldi wykorzystywał ją nawet jako bazę podczas swoich kampanii wojskowych. Mimo tego wyspiarze zachowali własny dialekt, stroje, kuchnię i zwyczaj,

by od czasu do czasu spory kończyć wendetą.

Miasto Olbia rozłożyło się u podnóża niewysokich skalistych wzgórz, na końcu wcinającej się w ład wąskiej odnogi zatoki Olbia. Na jej wodach unosiło się pełno pomarańczowych i niebieskich kul z plastiku powiązanych linami w regularne rzędy. Były to pływaki wskazujące bagienne płycizny, a jedyny wolny od nich pas tworzył tor wodny o szerokości statku, prowadzący wprost do portu. Do dziś pamiętam, co wtedy pomyślałem: że tak wyraźne wyznaczenie toru wodnego to dowód wielkiej przezorności władz portu. Po nocy spędzonej z uwieszonymi u ramion dwiema dziewczynami, które śpiewały i zabawiały wcześniej gości, kapitanowi przyda się każda możliwa pomoc.

We wnętrzu promu, na pokładzie dla samochodów, włoscy pasażerowie dawali upust kipiącej w nich niecierpliwości, wyladowując złość na obsłudze przygotowującej statek do cumowania. I chociaż „Moby Drea” wciąż wykonywał manewr przybijania do brzegu, to cofając się, to płynąc do przodu, wrzeszczeli na załogę, domagając się opuszczenia furty po to, żeby mogli wyjechać z promu, gdy tylko statek zacumuje na dobre. Kiedy wreszcie furta została opuszczona, ruszyli na brzeg z takim impetem, jak gdyby nagle ktoś im powiedział, że mają pod podwoziem bombę. Włosi najpewniej wkładają w wakacje tyle samo szalonej energii, co we wszystkie inne aspekty życia.

To szaleństwo miało swój ciąg dalszy na wąskich brukowanych uliczkach Olbii. Na drodze prowadzącej z portu na północ, do trasy szybkiego ruchu, rozgorzało coś na kształt bijatyki między samochodami. Słychać było tarcie blach i dziwne chrzesty, auta przepychały się i ocierały o siebie i o górujące nad nimi budynki. Gdy obywatele Republiki Pizy niemal od podstaw odbudowali to miasto w 1198 roku, nie mogli przewidzieć, że osiemset lat później codziennie około dziesiątej rano jego ulice zamieniać się będą w tor wyścigowy dla kilkuset samochodów, gdzie – jak na autorodeo – jeździ się po to, by przeciwnika zmieść z drogi i zgnieść.

Bojąc się, że zaraz mogę stracić jakąś kończynę, zjechałem Marcellem na chodnik i czekałem, aż reszta zmotoryzowanych pasażerów mnie wyminie. Ale okazało się, że nie czekałem dość długo, bo nagle obok przemknął, głośno trąbiąc klaksonem, jakiś fiat kombi – w oddalającym się samochodzie dostrzegłem kierowcę, który jednocześnie klócił się z żoną, karciał dzieci i bił rekord szybkości na lądzie.

Uświadomiłem sobie, że zniecierpliwioną twarz tego mężczyzny widziałem już wcześniej. Gdy opuszczano furkę, wysyłał jeszcze szybko jednego ze swoich synów do toalety. Kiedy chłopak nie wrócił po jakichś trzydziestu sekundach, poszedł, żeby go przynaglić. Myślę, że zademonstrował mu wówczas popisowe zniecierpliwienie, bo wyszli dopiero po pięciu minutach. Jego starania, by nadrobić stracony czas, okazały się równie bezowocne. Minąłem go na północnych przedmieściach Olbii, gdy stał na poboczu z karabinierami, którzy najpewniej wlepili mu mandat za to, że nie zatrzymał się przy znaku „stop”.

Ja tymczasem kierowałem się w stronę Porto Cervo, miasta na wysuniętym daleko na północ krańcu Costa Smeralda, czyli Szmaragdowego Wybrzeża, ciągnącego się przez dziesięć kilometrów i zachowanego w nieskazitelnym stanie. Było to jedno z najbardziej ekskluzywnych miejsc w basenie Morza Śródziemnego. Cały ten obszar, dawniej oznaczony jako najniższej klasy grunty rolne, w 1962 roku zakupiło konsorcjum, na którego czele stał Aga Chan IV. Miejscowi rolnicy byli zadowoleni, że udało im się sprzedać ziemię, z której ledwo mogli się utrzymać za cenę niemal katorżniczej pracy. Dzisiaj Szmaragdowe Wybrzeże pokrywają jedne z najdroższych posiadłości we Włoszech, a w barach w głębi wyspy siwowłosi, zgorzkniali pasterze opierają się o kontuar i skarżą się, że pozwolili się wykiwać i przepędzić z własnej ziemi.

Miejscowe władze nie dały się tak łatwo zbałamucić błyskotliwym planom konsorcjum. Narzuciły bardzo surowe warunki realizacji inwestycji, obejmujące między innymi budowę kana-

lizacji ściekowej i oczyszczalni ścieków. Poza tym określono maksymalną wysokość budynków i narzucono używanie miejscowych materiałów. Zabroniono budowy wielopiętrowych hoteli, barów szybkiej obsługi i stawiania billboardów. W latach sześćdziesiątych takie ograniczenia były rzeczą niesłychaną, zwłaszcza we Włoszech. Ale właśnie dlatego tutejsze posiadłości cieszą się takim wzięciem.

Wśród osób wypoczywających na Szmaragdowym Wybrzeżu jest między innymi Silvio Berlusconi, były premier Włoch i najbogatszy obywatel tego kraju, właściciel dwudziestosiemio-pokojowej rezydencji blisko Porto Rotondo. Gdy przejeżdżałem obok niej, właśnie przygotowywał swoją pięćdziesięciohektarową posiadłość na przyjazd ówczesnego brytyjskiego premiera Tony'ego Blaira i jego żony Cherie. Brytyjska para miała zatrzymać się tam tylko na parę dni, ale Berlusconi specjalnie na tę okazję wybudował amfiteatr na czterysta miejsc – w dniu jego otwarcia miała się tam odbyć recytacja tekstów Szekspira. Ponadto Silvio kazał swoim ogrodnikom posadzić wokół kilkanaście stuletnich drzew oliwnych, by przypominały Blairom o toskańskich początkach ich związku. Każde takie drzewo kosztowało piętnaście tysięcy dolarów.

Droga do Porto Cervo biegła wzdłuż wybrzeża, wijąc się wśród skał, a w okolicznym krajobrazie dominowała makia, czyli oliwkowozielone zarośla i krzewy rosnące obficie w tej części regionu śródziemnomorskiego. Marcello pokonywał kolejne wzniesienia, spadki terenu i zakręty bez wysiłku, jakby był do tego stworzony, wspinając się lekko na wzgórze, które Sophia, moja pierwsza vespa, musiałaby mozolnie zdobywać, dysząc z wysiłku. Czułem na skórze przyjemne ciepło przedpołudniowego słońca, a w nozdrzach zapach oleandrów i mimozy. A dzięki przewidywanej polityce miejscowych władz, kiedy wyjeżdżałem z zakrętu, miałem przed sobą falujące wzgórze porośnięte mirtem i połyskującą taflę morza w dali, a nie ogromny billboard zachęcający do odwiedzenia jakiegoś sieciowego baru szybkiej obsługi. Jedynymi oznakami skolonizowania tego terenu przez ludzi, jakie widziałem po drodze, były zaparkowane przy punktach widokowych białe furgonetki, z których sprzedawano lokalne specjały. Można było w nich kupić przede wszystkim ser i salami, pokrojone i leżące na stole w cieniu ogromnego parasola. Kierowcy, którzy płynęli ze mną na „Moby Drea”, już dawno tędy przejechali, więc sprzedawcy, korzystając z chwilowego uśpienia interesu, sami ucinali sobie drzemkę w tyle furgonetki. Kiedy słyszeli, że się zbliżam, podnosili się leniwie i widząc Marcelła, kiwali z uznaniem głowami.

Porto Cervo to „stolica” Szmaragdowego Wybrzeża i miejsce, gdzie robią zakupy wszyscy bogacze wypoczywający na wakacjach w tej okolicy. Nie było tu widać plastikowych chińskich kłapek, tubek z tanim kremem do opalania czy badziewnych termometrów wykonanych z muszli i barwionych wyciorów do fajki z giętkiego drutu. Wszystko miało metki słynnych projektantów. Mężczyźni ubrani byli nonszalancko i z fantazją w spodnie i koszulki z akcentem żeglarskim, a kobiety w zwiewne szyfony. Asortyment i rodzaje sklepów uwzględniały każdą zachciankę bardzo, bardzo bogatych klientów. Był kawior, był szampan, były i trufle. A ja byłem pewien, że gdybym się dobrze rozejrzał, to znalazłbym tutaj także sklep z drzewami oliwnymi w cenie piętnaście tysięcy dolarów za sztukę.

W normalnych okolicznościach w takim otoczeniu czułbym się bardzo spięty i górę wzięłyby moja nieśmiałość. Na ubraniach zawsze mam metki, które można śmiało odciąć, bo nic nie znaczą. Nie zmieniam co sezon okularów przeciwsłonecznych, tylko czekam, aż się rozpadną. Ale Marcello dawał mi pewność siebie. Jego żywy pomarańczowy kolor, trochę jarmarczne białe paski i lśniąca chromem wykończenia były tak niezwykle, że każdy musiał przyznać, że prezentuje się niezwykle szykownie. A ponieważ byłem kierowcą tego skutera, więc także świetnie wyglądałem. Nie powiedziałbym, rzecz jasna, że doskonale wpisywałem się w otoczenie w moim krzykliwym stroju i trochę odpustowych, za dużych okularach przeciwsłonecznych. Powiedzmy po prostu, że się zbytnio nie wyróżniałem, a w Porto Cervo to już było coś.

Marina w Porto Cervo uważana jest za najlepszą na Sardynii i może przyjąć sześćset pięćdziesiąt jachtów. Mój przewodnik obiecywał, że będzie tam mnóstwo lśniących zabawek super-bogaczy, więc mijając klub tenisowy i nowo zbudowaną część kurortu, w której motywem przewodnim był świat hobbitów, ruszyłem w stronę przystani, żeby zobaczyć, jak żyje lepsza część ludzkości.

Do lata został jeszcze cały miesiąc i w marinie cumował tylko jeden jacht. Wyglądał jak młodsza i ładniejsza siostra promu „Moby Drea”, tyle że bez kalkomanii z bohaterami *Zwariowanych melodii*. Sądząc po wyglądzie jachtu, można było przypuszczać, że zdołałby pomieścić wszystkich tysiąc osmiuset pasażerów, które zabierał na pokład „Moby Drea”.

Strażnik przy szlabanie zamykającym wjazd na teren mariny powiedział mi, że jacht należy do pewnego amerykańskiego przedsiębiorcy. Spytałem, czy mogę zrobić zdjęcie Marcella na tle jachtu, i strażnik podniósł szlaban. Zgodnie z prawem, wstęp do mariny mieli tylko właściciele jachtów i ich goście. Ale strażnikowi spodobał się Marcello, więc mnie wpuścił.

Właściciel jachtu stał właśnie na pokładzie, sącząc szkocką i przyglądając się z ogromnym zainteresowaniem, jak ustawiam Marcella do fotografii. Jego żona, starsza kobieta o pomarańczowej skórze, mniej więcej w takim samym kolorze jak Marcello, opalała się na leżaku i Amerykanin zawołał do niej, żeby przyszła mnie obejrzyć. Kobieta podniosła wzrok, skinęła obojętnie głową i powróciła do lektury.

– Fajny skuter! – krzyknął do mnie właściciel jachtu. – Ile pan za niego chce?

Roześmiałem się i powiedziałem mu, że dopiero co zacząłem podróż. Czekala mnie reszta Sardynii, Sycylia i wybrzeże Amalfi. Marcello nie był na sprzedaż.

– Szkoda – odparł z uśmiechem. – Świetnie by się nim jeździło po mojej łodzi.

Jego jacht był tak ogromny, że nie wiedziałem, czy żartuje, czy mówi poważnie.

\* \* \*

Nie zatrzymałem się na noc w Porto Cervo. Najtańszy pokój w mieście – apartament w Cervo Hotel, eleganckim kompleksie wypoczynkowym należącym do sieci Sheraton – kosztował sto osiemdziesiąt euro za noc. Recepcjonistka zapewniała mnie, że w szczycie sezonu ten sam pokój kosztował osiemset euro, ale jakoś nie mogłem się zmusić do wzięcia go. Po pierwsze, nigdy nie lubiłem niepotrzebnej ekstrawagancji, a po drugie, świadomy tego, że lada dzień urodzi się moja córka, miałem wrażenie, że każde wydane ponad potrzebę euro to jak odbieranie jej jedzenia od ust. Pojechałem więc dalej, do Santa Teresa Gallura, mniejszego kurortu położonego na wysuniętym najbardziej na północ czubku wyspy, pięćdziesiąt kilometrów od Porto Cervo. W znacznie skromniejszym hotelu Scano znalazłem jedynekę za rozsądną cenę trzydziestu euro, a zaraz za rogiem kafejkę, gdzie można było kupić *panini* za dwa euro. Jediną wadą tego miejsca był owczarek niemiecki na sąsiedniej ulicy, który biegł za skuterem i próbował kąsać Marcella w tylną oponę.

Teren Santa Teresa Gallura był zasiedlony już od czasów rzymskich, ale miejscowość uzyskała prawa miejskie dopiero dzięki rozporządzeniu króla Wiktora Emanuela z roku 1808, który nazwał miasto na cześć swojej austriackiej żony, Marii Teresy. Z początku XIX wieku pochodzi także wieża strażnicza, zresztą jedyna pozostałość z tamtych czasów. Reszta budynków w miejscowości to reprezentanci architektury boomu lat pięćdziesiątych. Nie znaczy to jednak, że w mieście nie ma malowniczych zakątków.

Życie w Santa Teresa Gallura koncentruje się na Piazza Vittorio Emanuele. To właśnie tu, na głównym placu miasta, ulokowała się większość kawiarni, barów i restauracji oraz sklepów z wszelakiego rodzaju pamiątkami wykonanymi z muszelek i koralu czy z wyciorami do czyszczenia fajek. Miejscowi sklepikarze i restauratorzy przygotowywali się na nadchodzące lato.

Sklepy odmalowywano. Przed restauracjami i barami stawiano drewniane pergole mające chronić gości przed palącym słońcem. Pewne zmiany wprowadzono także na samym placu, między innymi stawiając podest dla zespołów muzycznych, które miały zapewnić rozrywkę turystom. Znalazłem stolik przed kawiarnią, która mi się najbardziej spodobała – barem Conti – i zamówiłem swoje pierwsze na Sardynii *macchiato*.

Santa Teresa Gallura stała się na parę dni moją bazą wypadową, a każdy dzień rozpoczynałem od wizyty w barze Conti. Wszystko zawsze przebiegało w ten sam sposób. Stawiałem Marcella na placu przed kawiarnią i zamawiałem przy kontuarze *macchiato*. Czekałem, aż barista zaparzy mi kawę, a potem zabierałem filiżankę i wychodziłem z nią do stolika na zewnątrz. We Włoszech płatność za obsługę może podwoić, a nawet potroić cenę filiżanki kawy. Drugiego dnia młody barista, będący równocześnie kelnerem w tej kafejce, powiedział, żebym sobie usiadł na zewnątrz, a on przyniesie mi kawę do stolika. Już raz dałem się złapać na coś takiego. Podczas mojej pierwszej wyprawy do Włoch kelner w Pontremoli też kazał mi usiąść przy stoliku, ale tylko po to, żeby zdrzeć ze mnie więcej za kawę. W Santa Teresa Gallura kelner i barista w jednej osobie uśmiechnął się, widząc moje ociąganie.

– Proszę się nie obawiać. Policzę panu za kawę bez obsługi – powiedział.

Od razu wziął ode mnie pieniądze, żebym miał pewność, że mnie nie oszuka. Kilka minut później przyniósł mi kawę do stolika. Przedstawił się, mówiąc, że ma na imię Gianni, i spytał, czy mógłby się przysiąść. Był dopiero początek czerwca, więc nie miał wielu klientów.

– W sierpniu będzie tu szaleństwo – wyjaśnił z uśmiechem. – Korzystam teraz z chwili luzu.

Gianni studiował socjologię na uniwersytecie w Pizie. Urodził się w Santa Teresa Gallura i w każde letnie wakacje przyjeżdżał odwiedzić rodzinę i popracować w barze Conti. Wskazał na Marcella i powiedział, że to najbardziej odlotowa vespa, jaką kiedykolwiek widział.

W pewnej chwili podeszła do nas śliczna młoda kobieta i uściskała się z Giannim. Była to jego dziewczyna i miała na imię Cristina. Spojrzała na Marcella i spytała, do kogo należy ta świetna vespa. Gianni wskazał na mnie głową, a ona powiedziała:

– *Bella moto!* Piękny skuter!

Gianni wyjaśnił Cristinie, że jestem z Australii, a ona spojrzała na mnie kompletnie zaskoczona. Widziała, że Marcello miał tablice rejestracyjne z Livorno, i zakładała, że przyjechałem właśnie stamtąd. Spytała, czy byłem już na wyspie La Maddalena. Pokręciłem przecząco głową, co przyjęła z jeszcze większym zaskoczeniem.

– Musisz tam koniecznie pojechać! – powiedziała. – Wielu Włochów jeździ na Karaiby, ale La Maddalena jest piękniejsza!

Cristina wzięła serwetkę i narysowała mi naprędce mapę. Zrobiła też listę wszystkich miejsc, które powinienem odwiedzić – były na niej: Madonnetta, Cala Lunga i Caprera – a przy tych szczególnie przez nią lubianych umieściła nie jeden, lecz dwa wykrzykniki. W pewnej chwili odezwała się moja komórka, sygnalizując nadejście SMS-a. Cristina zamilkła na chwilę i spojrzała na mnie pytająco.

– To od żony – wyjaśniłem. – Jest w ciąży i właśnie pisze, że czuje, jak mała ją kopie.

Gianni spytał, kiedy ma się urodzić moja córka, a ja powiedziałem, że pod koniec września. Cristina klasnęła w dłonie, rozradowana.

– Będzie dziewczicą! – zawołała. – Tak jak ja!

Teraz ja spojrzałem na nią zaskoczony. Z doświadczenia wiedziałem, że: a) wszystkie dziewczynki rodzą się dziewczycami i b) atrakcyjne młode dziewczyny, które widzimy pierwszy raz w życiu, najczęściej nie komunikują nam od razu i bez ogródek tego, czy są, czy nie są dziewczycami. Moje zdumienie wzrosło, gdy Cristina oświadczyła z dumą, że dziewczice są wspaniałe. Gianni

widząc, że niczego nie rozumiem, wyjaśnił:

– *Astrologica*, zodiakalna, *virgo*.

Ach! Nie *virgin*, dziewica, jak powiedziała po angielsku Cristina, tylko *virgo*, czyli zodiakalna Panna! Moja córka będzie Panną! Poczuję się znacznie lepiej.

Nie zdecydowałem jeszcze, co będę robił tego dnia. Wahałem się między odwiedzeniem starożytnego nuragu, kamiennej wieży kryjącej ołtarz w Arzachene, a łapaniem słońca na Spiaggia Rena Bianca, pięknej plaży zaraz na północ od miasta. Ale ponieważ Cristina tak zachwalała La Maddalenę, oświadczyłem, że pojedę właśnie tam. Moja szybka decyzja zrobiła na niej duże wrażenie.

– To typowe dla ludzi na takich vespach – orzekła. – Jesteście tacy – jak to mówicie? – beztroscy.

Na La Maddalenę, główną wyspę w archipelagu Maddalena, płynie się z Palau, niewielkiego portu oddalonego o dwadzieścia pięć kilometrów na wschód od Santa Teresa Gallura. Promy należące do firmy żeglugowej Enermar odpływały co godzinę, sam rejs trwał dwadzieścia minut, a bilet dla turystów był dwa razy droższy niż dla okolicznych mieszkańców. Jak napisali autorzy mojego przewodnika, w szczycie sezonu turystycznego, kiedy na promach było trudno o miejsce, pierwszeństwo mieli mieszkańcy Sardynii i wysp archipelagu Maddalena.

Idąc do kasy po bilet, zobaczyłem mężczyznę sprzedającego słomkowe kapelusze, takie same jak ten, który nosił Simone, przyjaciel Marca z Bolgheri. Leżały ułożone w stosy, posortowane według rozmiaru. Gdy po kilku przymiarkach znalazłem kapelusz, który leżał mi na głowie jak ulał, z radością wręczyłem sprzedawcy pięć euro. Uważałem, że towar takiej jakości za taką cenę to świetna okazja, a ucieszyłem się jeszcze bardziej, kiedy w tym kapeluszu na głowie wkroczyłem do pomieszczenia z kasami i pracownik firmy Enermar sprzedał mi bilet do La Maddaleny, jedyne portu i miasteczka na wyspie o tej samej nazwie, w cenie dla mieszkańców Sardynii i pobliskich wysp.

Nie zatrzymałem się na długo w miasteczku La Maddalena. Okazało się zwykłą nadmorską miejscowością wypoczynkową, pełną barów, restauracji i sklepów sprzedających widokówki i filmy do aparatów po zawyżonej cenie. Owszem, było tam kilka wspaniałych budynków i nadmorski bulwar wysadzany palmami daktylowymi, ale o uroku wyspy stanowiły małe, skaliste zatoczki, którymi usiana była linia brzegowa. W każdej kryła się plaża ze śnieżnobiałym piaskiem schodząca do wody o tak wyraziście turkusowym kolorze, jakby ktoś poprawiał go w photoshopie.

Większość plaż była pusta. Ani jednego leżaka, ani jednego parasola. Czasem tylko widziałem samochód zaparkowany w zaroślach i kilka opalających się osób. Włoska Rada Turystyki opisywała te plaże jako „skarby, które trzeba zobaczyć na własne oczy”.

Spędziłem na wyspie cały dzień, zwiedzając ją bez pośpiechu, odhaczając kolejne plaże i miejsca, którym Cristina przyznała dwa wykrzykniki, i odkrywając inne, które moim zdaniem w równym stopniu zasługiwały na uznanie. Od czasu do czasu szedłem sobie popływać w jakiejś skrytej przed ludźmi zatoczce albo zatrzymywałem skuter na poboczu, żeby podziwiać malownicze widoki. Ponieważ drogi były puste, zawiesiłem kask na haczyku pod siedzeniem i zamiast niego włożyłem mój słomkowy kapelusz.

Gdy słońce zaczęło chylić się ku morzu na zachodzie, wsiadłem na prom płynący na Sardinie, a gdy przybiliśmy do niej, natychmiast włożyłem kask i pojechałem z powrotem do Santa Teresa Gallura, zadowolony, że poszedłem za radą Cristiny. La Maddalena była jednym z najpiękniejszych miejsc, jakie kiedykolwiek odwiedziłem, i zwiedzałem ją w najprzyjemniejszy możliwy sposób, to jest na Marcellu, i w najbardziej dogodnym czasie, gdyż w czerwcu wyspa nie przeżywała jeszcze letniego najazdu turystów.

I tak mijały mi dni. Zwiedziłem ruiny w Arzachene, gdzie podziwiałem *tombe dei giganti*, grobowce olbrzymów, wzniesione w epoce brązu jako miejsca grupowych pochówków oraz miejsca kultu. Wysokie na cztery metry granitowe stele stały dumnie na opustoszałej równinie, wspaniale i opuszczone, w otoczeniu polnych kwiatów.

Na plaży Rena Bianca pracowałem nad swoją opalenizną, starając się zbrązowieć wzorem otaczających mnie Włochów, ale zamiast tego robiłem się niebezpiecznie czerwony. Na lunch jadłem *panini*, a w porze kolacji kilka razy szarpnąłem się na przepyszne owoce morza, takie jak sardynki czy tuńczyk ze świeżego, rannego połowu. Wieńczyłem dzień krótką przejażdżką dookoła miasta na Marcellu, kończąc ją zawsze na Via Liguria, gdzie zasadzał się na mnie mój nowy kumpel, owczarek niemiecki.

W ostatni wieczór pojechałem na Capo Testa, skalisty cypel otoczony turkusową wodą, trzy kilometry na zachód od Santa Teresa Gallura. Zaparkowałem Marcella na skałach i zrobiłem mu zdjęcie na tle zachodzącego słońca. Gdy wreszcie czerwona kula schowała się za horyzontem, wróciłem do Santa Teresa wijącą się nadmorską drogą, czując na twarzy orzeźwiająco chłodną bryzę, a w nozdrzach zapach anyżu i morza.

Na ostatnią kolację w Santa Teresa Gallura wybrałem się do baru Conti. Gianniego nie było i zamiast niego gości obsługiwał jakiś smutno wyglądający człowiek, którego nigdy wcześniej tam nie widziałem. Gdy zjadłem zamówione danie (lekko grillowane sardynki w sosie cytrynowym), spytał, czy życzę sobie kawę albo deser, a ja doszedłem do wniosku, że miałbym ochotę na ptysia. Simone, znajomy Marca, powiedział mi, że ptysie na Sardynii są wyjątkowo pyszne i że jeśli poproszę o nie, nazywając je tak, jak to robią miejscowi, czyli *palle di ciuo*, ośle jaja, dostanę wyjątkowo duże ciastko.

Pomimo nieprzyjemnej przygody z Federikiem na Elbie postanowiłem poprosić o ptysie po włosku. W moich rozmówkach wydanych przez Lonely Planet nie było całego zwrotu, którego potrzebowałem, więc skleciłem go sam i zapytałem kelnera po włosku, czy ma ośle jaja.

Jego reakcja była inna, niż się spodziewałem. Wyobrażałem sobie, że powie: „Ależ oczywiście!”, a potem postawi przede mną olbrzymie ptysie. Może nawet dołoży mi jednego za darmo za to, że zamówiłem je po włosku i to korzystając z miejscowej, soczystej nazwy tego ciastka. Ale na twarzy kelnera najpierw pojawiło się zaskoczenie, potem wściekłość, a potem dolna warga zaczęła mu dygotać tak, jakby sugerowała, że istotnie ma ośle jaja, ale sądził, że nikt prócz niego o tym nie wie.

Po chwili obok mojego stolika zjawił się szef, żeby zorientować się, co się stało, i kelner powiedział mu, o co poprosiłem. Szef poinformował mnie, że bar Conti to porządny lokal, nie rzeźnia, i że jeśli chcę zamówić coś takiego, to mam sobie pójść i poszukać gdzie indziej. Byłem kompletnie zaskoczony tym, że tak emocjonalnie to przyjął, i wskazałem ostrożnie na talerz z ptysiami stojący w chłodni.

– Aa! Ptysie! – zawołał szef, kierując ku mnie pytające spojrzenie w rodzaju: „Dlaczego pan tego od razu nie powiedział?”. „Bo jakiś głupol w Bolgheri pomyślał, że zabawne będzie wkręcić jakiegoś biednego Australijczyka” – pomyślałem.

To był mój ostatni wieczór w Santa Teresa, więc poszedłem na spacer po *strada pedonale panoramica*, widokowym deptaku, i mijając wieżę obserwacyjną, dotarłem aż do punktu widokowego, przy którym znajduje się biała, impresjonistyczna figura Matki Bożej. Obok niej stało małżeństwo w średnim wieku, z nastoletnim synem, i wszyscy spoglądali na morze, w stronę Korsyki. Byli z Australii, podobnie jak ja zatrzymali się w hotelu Scano (bo był tani) i kilka razy słyszałem, jak rozmawiają po angielsku w hotelowej sali restauracyjnej, gdzie podawano nam śniadania, oraz w korytarzu. Powiedziałem „dobry wieczór”, a kobieta wskazując na moją torbę z logo Qantas – australijskich linii lotniczych – spytała, czy byłem kiedyś w Australii. Odpowiedzia-

łem jej, że jestem z Australii.

– Ach, więc pan jest Australijczykiem! – powiedziała zaskoczona. – Kiedy widzieliśmy pana na tej pomarańczowej vespie, myśleliśmy, że jest pan Włochem.

Nigdy w życiu nie czułem się bardziej dumny niż w tamtej chwili.





## *Bosa*

### *Patron: święty Gawin*

Swój ostatni poranek w Santa Teresa Gallura rozpocząłem jak zawsze w barze Conti. Tamtego dnia trafiłem na zmianę Gianniego, który spytał, czy aby nie chcę do kawy oślich jaj. Odpowiedziałem, że jest trochę za wcześnie na coś tak konkretnego, a on się roześmiał. Wieść o moich dziwacznych żądaniach z poprzedniego wieczoru szybko rozniosła się po mieście i Gianni powiedział, że zyskałem pewien rozgłos. Stałem się znany jako koleś na pomarańczowej vespie i nie było miejsca, w którym mógłbym się schować.

Było mi smutno, że muszę opuścić Santa Teresa Gallura. Przybyłem tutaj we właściwym czasie. Pogoda była wspaniała, a hordy turystów zalewające miasto latem miały się zjawić dopiero za miesiąc. Zaprzyjaźniłem się z Giannim i Cristiną. Wiedziałem, że będę tęsknić nawet za wilczurem, który kasał Marcella. Wyjeżdżając z miasta, pojechałem naokoło, Via Liguria, żeby mógł mnie tam ostatni raz pogonić. Kierowałem się na zachód, wzdłuż skalistego wybrzeża do Badesi Mare i tamtejszej pięknej plaży, którą polecił mi Gianni. Było to miejsce dość dobrze zagospodarowane turystycznie jak na Sardinie. Wzdłuż plaży ciągnęły się trzy rzędy betonowych stopni. Usiadłem na jednym z nich i patrzyłem na połyskujące, falujące morze, sącząc przy tym sok z niewielkiej niebieskiej butelki.

Podczas moich podróży dość szybko przekonałem się, że najważniejsze we włoskim soku owocowym było to, aby pięknie wyglądał. Sprzedawany jest w buteleczkach po sto pięćdziesiąt mililitrów, takich, że łatwo je ustawić w elegancki sposób na półkach czy ladzie, ale trochę za małych, aby ich zawartością można było ugasić pragnienie. Składniki do soku dobierano w taki sposób, aby ładnie się razem prezentowały na etykietce (nie widzę innego powodu, aby łączyć marchewkę z pasternakiem). W rezultacie otrzymuje się opakowanie rzadkiej urody. Jednak po godzinie jazdy w upalnym czerwcowym słońcu, mógłbym wypić bez trudu dwie takie butelki.

Parasole na plaży w Badesi Mare stały karnie w równych szeregach i miały taki sam pomarańczowy kolor jak Marcello. Tak jak mój skuter miały też białe pasy i uznałem to za znak, że tu, w tej nadmorskiej części Włoch, Marcello będzie czuł się jak w domu. Był przecież w świecie skuterów kimś takim, jak idący właśnie plażą mężczyzna z owłosioną klatką piersiową, w skąpych kąpielówkach i z wąsem, jaki noszą aktorzy w filmach porno.

Ta plaża nie byłaby natomiast miejscem odpowiednim dla Sophii. Vespa z mojej pierwszej podróży po Włoszech miała kolor kawy z mlekiem doskonale harmonizujący ze złotymi polami Toskanii. Jej przytłumiona barwa współgrała z kamiennymi miasteczkami, które rozsiadły się na szczytach tamtejszych wzgórz. Tu wyglądałaby trochę jak wieśniaczka – blada i o zbyt bujnych kształtach. Nie po raz pierwszy uznałem za *destino*, zrządzenie losu, to, że była teraz w warsztacie Marca, a ja przemierzałem wybrzeże Sardynii na metalowym wcieleniu Colina Farrelli.

Kolory lakieru vesp zawsze były wybierane tak, aby wyrazić klimat swoich czasów. Jeden z pierwszych modeli, MP6, miał kolor szary, popularny w przemyśle lotniczym, z którym firma

Piaggio rozstała się po wojnie. Przytłumione błękity oraz odcienie kawy późnych lat pięćdziesiątych odzwierciedlały ostrożne odrodzenie ekonomiczne Włoch. Żywe czerwienie, zółcie i metaliczne odcienie niebieskiego na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych były malowaną sprejem manifestacją Ery Wodnika. Kolor, na jaki Piaggio decydowało się pomalować vespy w danym roku, był równie trafnym barometrem sytuacji ekonomicznej i politycznej Włoch, co najnowszy numer „La Finanzia”.

Fillipo powiedział mi, że model Rally 200, taki jak Marcello, był jednym z ostatnich malowanych na tak jaskrawe kolory. Od 1973 roku gospodarka Włoch zaczęła coraz bardziej kuleć, lir nie miał praktycznie żadnej wartości, a organizacje terrorystyczne, takie jak Czerwone Brygady, dopuszczały się zbrodni, które odcisnęły swoje piętno na życiu każdego Włocha.

– Nazywaliśmy ten okres *anni di piombo*, lata ołowiu – powiedział Fillipo. Włochy zagrożone były w depresji i dlatego vespy malowano na kolory równie posępne i mroczne jak nastroje mieszkańców kraju.

Byłem w podróży dopiero od dwóch tygodni, ale Marcello już pokazał, że świetnie się nadaje do wyznaczonego mu zadania. Trasa mojej pierwszej wyprawy wiodła przez wiejskie trattorie i rozłożone na wzgórzach miasta z domami z kamienia. Teraz miałem pod stopami biały piasek, który parzył stopy, gdy szło się do budki kupić lody. Było goręcej i słoneczniej i wieczorem każdego dnia skóra swędziała mnie od oparzeń słonecznych, kremu i morskiej soli. Potwierdzeniem tego, jak bardzo ta podróż różniła się od poprzedniej, była reakcja pewnego Afrykańczyka sprzedającego podróbki torebek Louisa Vuittona, który ujrawszy Marcella, rozpromienił się i powiedział:

– *Bella vespa!* Piękna vespa!

Sophii z pewnością nie poświęciłby uwagi.

\* \* \*

Planowałem jechać wzdłuż wybrzeża od Badesi Mare do Porto Torres, a potem ruszyć na południe do Alghero, starego hiszpańskiego portu rybackiego znajdującego się na północno-zachodnim wybrzeżu wyspy. Ale gdy minąłem Castelsardo, zjechałem z właściwej szosy wprowadzony w błąd przez drogowskazy i w ten sposób zgubiłem się w północnej części interioru Sardynii.

Zawsze miałem problem z włoskimi drogowskazami. W Toskanii wyzwaniem było zorientowanie się, którą stronę wskazują. Niewielka różnica kąta ich nachylenia skutkowałą wskazywaniem zupełnie innego kierunku. Tutaj, na północy Sardynii, problemem było nawet ich odnalezienie. Pojawiały się znikąd i równie szybko znikwały.

Wydawało się, że nie ma żadnej racjonalnej reguły ich rozmieszczenia. Początkowo myślałem, że stawiano je tylko wtedy, gdy trzeba było zjechać z głównej drogi, a jeśli ich nie ma, to należy jechać prosto. Ale moja teoria wzięła w łeb, gdy dotarłem do zakładu produkującego wapno, kilka kilometrów za miejscem, w którym powinienem był skręcić. W końcu poddałem się i postanowiłem zaufać instynktowi, znaki zaś zacząłem traktować jak premię za to, że jadę właściwą drogą.

I w taki oto sposób znalazłem się wysoko na wzgórzach nad zatoką Asinara. Jechałem przez pola, na których niedawno zebrano plony, i lasy dębów korkowych, szukając stacji benzynowej, aby napełnić wysychający już bak Marcella. W końcu znalazłem stację w małej wiosce – Bulzi. Zegarek wskazywał parę minut po pół do trzeciej, więc wszyscy pracownicy stacji znikli gdzieś na czas sjeisty.

Podczas mojej pierwszej podróży vespą przez Włochy z zazdrością obserwowałem, jak przyjemne życie wiodli tutejsi pracownicy stacji benzynowych. Rozważałem nawet możliwość

przekwalifikowania się i zostania jednym z nich, ponieważ potrzebne do tego były tylko dwie umiejętności: spania i jedzenia. Ale teraz, na pozbawionej obsługi stacji, musiałem skupić się na tym, jak zatankować paliwo, korzystając z automatycznego dystrybutora przyjmującego płatność w banknotach i wydającego stosowną ilość benzyny. Problem w tym, że tego dnia w Bulzi nie miałem niestety banknotu o nominale pięciu euro.

Małe wiejskie *alimentari*, sklepy, były akurat otwarte, więc tam postanowiłem rozmienić moje dwadzieścia euro. Dziewczyna za ladą wyglądała jak młoda, znudzona Gina Lollobrigida, a gdy wszedłem do sklepu, przestała na chwilę żuć gumę i ożywiła się, aby powiedzieć mi, że mam *bella moto*, śliczny skuter. Chodziłem po sklepie, szukając pomidorów, szynki i chleba, aby zrobić sobie piknik gdzieś na poboczu, a dziewczyna znowu zaczęła żuć gumę. Przyglądała się stojącemu za drzwiami Marcellowi rozmarzonym wzrokiem, który mówił, że chciałaby zamiast mnie wyjechać na nim z wioski. Pewnie nie wiedziałaby, dokąd jechać, ale gdy ma się pomarańczowy skuter z białymi pasami, nie ma to znaczenia. Wszędzie byłoby lepiej niż tutaj. Metalowy szyld sklepu na markizie, kołysany wiatrem, był najżywszą częścią tego miejsca.

Oczywiście wcale nie musiała tak myśleć. Mogła wspominać cudowny seks, który uprawiała poprzedniej nocy ze swoim chłopakiem. Niemniej jednak nagle poczułem się jak wielki pozorant. Kupowałem coś do jedzenia, a przecież osoba podróżująca tak groźnie wyglądającą vespą nie mogła po prostu kupować czegoś do jedzenia! Odłożyłem chleb i pomidory i zrezygnowałem z sześciu *fette*, plastrów, szynki parmeńskiej. Wziąłem za to paczkę mentosów. Dziewczyna spojrziała na mnie z pogardą i natychmiast zrozumiałem, że powinienem był kupić paczkę papierosów.

Ponieważ już i tak byłem nikiem w jej oczach, wyjąłem ze schowka Marcella mapę i poprosiłem, aby pokazała mi, gdzie jestem. Rzeczywiście byłem w Bulzi. Jeśli pojadę dalej na południe w kierunku Torralby, będę mógł zatrzymać się na krótko przy kościele Santissima Trinità di Saccargia, odwiedzić ruiny starożytnego nuragu Santu Antine i jeszcze przed zmrokiem dotrzeć do Alghero.

Nie byłem pewien, czy dziewczyna z Bulzi zgodziłaby się ze mną, ale moim zdaniem zapowiadała się szalona podróż.

\* \* \*

Santissima Trinità di Saccargia to zachwycający kościół w stylu pizańskim, stojący samotnie w ślicznej dolinie piętnaście kilometrów na południowy wschód od miasta Sassari. Został zbudowany w 1116 roku, a jego fasada w biało-czarne pasy i dzwonnica pojawiające się nagle w tak odludnej okolicy budzą dziś zdumienie podróżnych. Pasażerowie pociągu relacji Sassari-Chilivani widzą go przelotnie i w oddali na tle wzgórza. Osoby podróżujące drogą SS597 do Olbii mogą go zauważyć, jeśli wiedzą, gdzie patrzeć. Ale w zasadzie nie ma tu niczego, co pozwoliłoby przypuszczać, że w okolicy znajduje się tak wspaniała budowla.

Kiedy przyjechałem, w kościele nie było nikogo poza parą nowożeńców i ich fotografem. Nie brali tu ślubu. Jak większość włoskich par zawarli związek cywilny w swoim lokalnym urzędzie, jednak kościół Santissima Trinità di Saccargia był znacznie piękniejszym tłem dla ślubnych fotografii niż urząd, w którym płacili rachunki za wodę.

Panna młoda miała bardzo szczególne życzenia dotyczące tego, jak powinna wyglądać na fotografii, i kiedy przygotowywała się do kolejnego zdjęcia, fotograf spytał, skąd przyjechałem. Odpowiedziałem, że jestem z Australii, a on odrzekł, że jego brat mieszka w Melbourne.

Spytałem, czy robił dużo zdjęć w Santissima Trinità di Saccargia. Odparł, że większość jego klientów chce tu przyjechać, bo tu czuje się oddech historii – pierwszą sylabę słowa „historia” wymówił z charakterystycznym włoskim akcentem. Rzeczywiście, w 1116 roku Constantino

I, *giudice*, sędzia, z miejscowości Torres, rozkazał zbudować kościół w miejscu, w którym, jak potem mówił, odwiedził go anioł, obwieszczając, że żona urodzi mu dziecko. (Constantino z żoną pielgrzymowali właśnie do sanktuarium świętego Gawina w Porto Torres, by prosić o potomka).

– Wizyta tutaj przynosi szczęście nowożeńcom – wyjaśniał fotograf – zwłaszcza jeśli chcą mieć dziecko.

Po zrobieniu kilkunastu zdjęć, z których każde było bardziej wyszukane od poprzedniego, panna młoda skinęła głową w stronę Marcella i powiedziała coś do fotografa. Zdjęcia z panem młodym spoglądającym na nią rozanielonym wzrokiem widocznie już jej nie wystarczały. Chciała wiedzieć, czy mogłaby sobie zrobić zdjęcia na Marcellu. Rzecz jasna, nie miałem nic przeciwko temu.

Sophia także pojawiała się na ślubnych fotografiach. Jej pierwszy właściciel, Giorgio, kupił ją, by zdobyć względy swojej dziewczyny, Valentiny. Wyposażył Sophię we wszelkie dostępne wówczas dla niej akcesoria, by na ojcu Valentiny zrobić wrażenie majątnego. A ponieważ zdobywanie względów dziewczyny trwa bardzo długo, zamontował także dodatkowe siodełko, żeby Valentina, kiedy ją w końcu zapytał: „Czy wyjdiesz za mnie? ”, zechciała odpowiedzieć: „Tak”. Sophia, przybrana w białe wstążki, zawiozła ich do ślubu.

Wydawało się rzeczą ze wszech miar właściwą, by Marcello kontynuował tę chlubną tradycję.

Przypuszczałem, że i pan młody znajdzie się na fotografii, w pozie błagalno-modlitewnej, ale gdy ruszył w stronę Marcella, jego połówica odgoniła go niecierpliwym gestem. Na tym zdjęciu chciała być sama. Zdecydowanym ruchem zajęła miejsce na skuterze, a biały muślin jej ślubnej sukni spłynął obfitą strugą po obu stronach siodełka. Fotograf powiedział jej, żeby się nachyliła do przodu, tak jakby jechała i rozciągnął jej welon, żeby sprawić wrażenie pędu. Wyglądało to tak, jakby panna młoda dawała nogę, a mój Marcello, niczym Lotario, rozpustny uwodziciel z *Don Kichota*, starający się udowodnić młodzikom, że jeszcze może, dzielnie jej w tym pomagał.

Dobrze wiem, że nie należy doszukiwać się zbyt wielu znaczeń w ślubnych zdjęciach. Fotografia z naszego ślubu przedstawia Sally i mnie, jak sadzimy orzech kokosowy na jednej z Wysp Cooka. (Według miejscowej tradycji osiem listków wyrastających z orzecha oznaczało, że będziemy mieć ósemkę dzieci!). Jednak zdjęcie panny młodej na Marcellu zawierało tyle treści, że aż mi się zrobiło żal pana młodego. Postanowiłem i ja uwiecznić pannę młodą na skuterze – mimo wszystkich tych podtekstów, był to jednak świetny materiał na zdjęcie – ale pan młody zmierzył mnie takim spojrzeniem, że doszedłem do wniosku, że to nie jest najlepszy pomysł. Był mężem dopiero od godziny, a jego żona najwyraźniej zapomniła już o złożonej przysiędze, by zapomnieć dla niego o wszystkich innych mężczyznach.

Zostawiłem świeżo upieczonych (i skłóconych) małżonków samym sobie i ruszyłem na południe drogą S131, w kierunku Torralby i nuragu Santu Antine. Jechałem teraz przez Valle dei Nuraghi, żyzną dolinę pełną winnic i pól pszenicy, gdzie zachowało się wyjątkowo wiele ruin z okresu cywilizacji nuorskiej. Jej przedstawiciele wznosili budowle i wytapiali metal, byli pastorzami, rolnikami i rybakami, a ich kultura rozwijała się na Sardynii od 1800 roku przed naszą erą aż do roku 900, również przed naszą erą, gdy na wyspie zaczęli węszyć Fenicjanie i Kartagińczycy.

Osady przedstawicieli tej kultury zawsze powstawały wokół nuragu, charakterystycznej okrągłej budowli wznoszonej z kwadratowych bazaltowych bloków, od której bierze nazwę cała kultura. Nurag w Santu Antine uważany jest za technicznie najdoskonalszy ze wszystkich na Sardynii i ma kształt trójkątnego bastionu z niewielkimi wieżami w każdym rogu trójkąta. Wyniki

badan archeologicznych wskazują, że mógł to być pałac królewski. Dzisiaj stoi samotnie, ale w czasach świetności otaczały go setki domów, stajni i warsztatów składających się na tętniącą życiem wioskę.

Parking samochodowy przy nuragu Santu Antine znajdował się na otwartej przestrzeni, gdzie nic nie chroniło przed palącym słońcem, więc zaparkowałem Marcella obok kilku rowerów pod ogromnym jesionem o rozłożystej koronie, naprzeciw kasy biletowej. Ale tu spotkała mnie niespodzianka. Kobieta w kasie nie chciała mi sprzedać biletu, dopóki nie przeparkuję Marcella.

– *Privato!* – powiedziała i gniewnie wskazała palcem na tabliczkę przytwierdzoną do linki odgradzającej teren wokół jesionu od parkingu.

Pokazałem na rowery i powiedziałem, że skoro one mogą tam stać, to i mój skuter także. Bileterka pokiwała palcem i odrzekła krótko:

– Nie!

Była grubo po pięćdziesiątce, a zmarszczki i zacięty wyraz twarzy mówiły, że miała ciężkie życie. Mimo to zdziwiła mnie jej postawa. W każdym innym miejscu we Włoszech wszyscy traktowali mnie ulgowo dzięki Marcellowi. Niecałe pół godziny wcześniej w kawiarni w Torralbie moja vespa zrobiła takie wrażenie na właścicielu, że dał mi za darmo piwo i dorzucił talerz salami. A ta kobieta rzucała mi kłody pod nogi.

Próbowałem wziąć ją na gładkie słówka. Vespa zajęłaby niewiele więcej miejsca niż rower. Na bagażniku miałem cenne i ważne dla mnie rzeczy, czułbym się bezpiecznie, gdybym wiedział, że na nie patrzy. Nic nie pomagało. Moje słodzenie było niczym wobec jej uporu.

Doszedłem do wniosku, że nie lubi mężczyzn w moim typie, a w zasadzie typu mężczyzn, do którego, jej zdaniem, należałem. Widziała Marcella – agresywnego, rzucającego się w oczy, bezczelnie pewnego siebie, i myślała pewnie, że jestem taki sam. Zacząłem jej tłumaczyć, że chociaż Marcello wygląda tak, jakby każda dziewczyna, która go poznała, zaraz zachodziła w ciążę, wcale z tego nie wynika, że i ja mam podobne usposobienie. Ale kobieta była głucha na moje słowa.

Zdesperowany, oświadczyłem jej, że gniecie mi jaja. (Powiedziałem chyba: *Che rottura di palle!*). Jak zapewniali mnie Marco i Filippo, tak się często mówi na Sardynii i te słowa przynoszą efekt, jeśli towarzyszą im znaczące i sugestywne gesty. Chciałem powiedzieć: *Che rottura di palle di ciuco!* Gniesz moje ośle jaja!, ale byłem tak rozgorączkowany, że uciekło mi to z głowy. To zresztą i tak nie miało znaczenia. Cały czas upierała się, że mam przestawić Marcella, i dopiero gdy to zrobiłem, sprzedała mi bilet za trzy euro. Moja gniewna reakcja tylko potwierdziła jej opinię o mnie.

Przestawiłem Marcella na parking dla samochodów, wystawiając go na palące słońce. Powiedziałem kobiecie w kasie, że jeśli coś zginie z bagażnika, gdy będę zwiedzał, będzie za to osobiście odpowiedzialna. Spojrzała na mnie tak, że od razu wiedziałem, że mało ją to obchodzi.

Kiedy dotarłem do budowli, okazało się, że jest gorzej niż myślałem. Nurag miał siedemnaście metrów wysokości i piętnaście metrów średnicy, jego rozmiary naprawdę robiły wrażenie. Ale co z tego, skoro był odgradzony od zwiedzających czerwoną taśmą, a stojący obok ogromny niebieski dźwig właśnie go rozbierał? Jeszcze przed przyjazdem tutaj postanowiłem sobie, że wejdę na najwyższy poziom nuragu, skąd – jak zapewniał mój przewodnik – będę miał widok na wszystkie inne znajdujące się w dolinie. Teraz okazało się, że nic z tego nie wyjdzie. Nie miałem także możliwości, żeby zwiedzić labirynt przejść i tuneli i przekonać się osobiście, że Santu Antino to jeden z niewielu nuragów korytarzowych będący równocześnie nuragiem typu *tholos*. Budowle korytarzowe spoczywają na ogromnych głazach będących równocześnie częścią budowli; typu *tholos* mają kształt stożkowej wieży z okrągłymi pomieszczeniami w środku.

Oczywiście wszystkiemu winna była ta stara purchase w kasie. Mogła mnie ostrzec, że zabytek jest (re) konstruowany i dać przynajmniej jakąś zniżkę. A ona, gdy stamtąd wychodziłem, jeszcze małpowała moje wcześniejsze gesty, dając mi do zrozumienia, że to ja gniołem jej jaja. Rzeczywiście, ani przez chwilę nie wątpiłem, że ta kobieta miała jaja.

\* \* \*

Gdy dojeżdżałem do Alghero od wschodu, od strony wzgórz, zapadał już zmierzch. Nie ma chyba lepszej pory, by po raz pierwszy ujrzeć to miasto. Niebo na zachodzie przecinały pomarańczowe i różowe smugi, a grube mury otaczające starą część miejscowości zaśniły złotem od obudzonych właśnie reflektorów, które podświetlały je od dołu. Powietrze było rześkie i czyste i znowu czułem zapach morza. Jedynym minusem okazały się owady, których o tej porze dnia było więcej w powietrzu i które uderzały teraz we mnie z większym impetem niż wtedy, kiedy podróżowałem na Sophii.

Gdy Hiszpanie w 1353 roku zdobyli Alghero, przesiedlili miejscową ludność do Villanovy, a na jej miejsce sprowadzili osadników z Katalonii. Mury miejskie wzmocniono sztańcami i wieżami. Wzdłuż alei posadzono palmy daktylowe. A nowi mieszkańcy utrzymywali bezpośrednie kontakty handlowe z Katalonią, a nie z resztą wyspy. Alghero zhispanizowało się do tego stopnia, że od tamtej pory nazywane było Barcelonetta – Małą Barceloną. Do dzisiaj zresztą zachowało wiele ze swego katalońskiego charakteru.

Miałem nadzieję, że uda mi się zatrzymać na noc w San Francesco, dawnym klasztorze i jedynym miejscu noclegowym w obrębie murów starego miasta. Ale w San Francesco był komplet i musiałem wziąć pokój w wielopiętrowym hotelu kilka przecznic dalej, za murami. Wyglądał tak, jakby go wzniesli towarzysze radzieccy, a mężczyzna w recepcji demonstrował istic sowieckie podejście do klienta. Obsługiwał tłumy gości, którzy przylecieli przed chwilą samolotem linii Ryanair, z taką pogardą i nudą malującymi się na twarzy, że moim zdaniem mógł śmiało zastąpić na stanowisku bileterkę przy nuragu Santu Antine. Kiedy powiedziałem, że chcę jedynek na jedną noc, rzucił mi przez kontuar klucz do pokoju na siódmym piętrze i oznajmił beznamiętnym głosem:

– Winda nie działa. Trzeba iść schodami.

Spytałem, czy mogę gdzieś tutaj zaparkować, na co on powiedział, że zaraz za rogiem jest garaż w cenie piętnastu euro za dobę. Spytał, gdzie mój samochód, a ja wskazałem stojącego na chodniku Marcella.

– O rany! Ale vespa! – zawołał z entuzjazmem, o jaki go nie podejrzewałem. Potem zaczął mi serdecznie ścisnąć dłoń i powiedział, że ma na imię Cliff.

– Wiem, wiem, dziwne imię jak na Włocha – dodał prędko, widząc moje uniesione w zdziwieniu brwi. – Ale mama była wielką fanką Cliffa Richarda.

Teraz rozumiałem już przynajmniej, skąd się brała jego gburowatość.

Cliff zamknął recepcję, przy której zostawił grupkę Brytoli – ci nadciągnęli później niż pozostali, bo Ryanair zgubił ich bagaże, i osobiście zaprowadził mnie do garażu. Zdecydowanie bardziej niż praca interesowało go w tej chwili, ile wyciąga mój Marcello i jak dużo za niego dałem.

Potem porozmawiał chwilę z pracownikiem garażu i powiedział, że mogę tu zostawić Marcella za darmo. Wyjaśnił mi, że jako pracownikowi przysługuje mu w garażu miejsce, z którego i tak nie korzysta, więc mogę tam sobie stanąć. Powiedziałem, że zapłacę mu przynajmniej część kwoty za parkowanie, ale nie chciał niczego przyjąć.

– Vespy takie jak twoja, wymagają szczególnego traktowania – powtarzał.

Najwyraźniej i właściciele takich vesp zasługują na szczególne względy, bo kiedy wróci-

liśmy do recepcji, Cliff przeniósł mnie do dwójki – powiedział, że kierownikowi hotelu wytłumaczy się, że w jedyńce były problemy z umywalką i zawołał boya, żeby wziął ode mnie bagaże i zaniósł je do pokoju.

I tak zostałem w Alghero nie jeden, a trzy dni. Urzekło mnie szczególnie stare miasto z płataniną brukowanych uliczek i kamiennymi budynkami krytymi czerwoną dachówką. Zachodziłem do kawiarni rozsianych przy Via Carlo Alberto, między sklepami dla turystów, na kawę i rogalika. Albo skręcałem w pierwszą z brzegu uliczkę i idąc, dokąd mnie nogi poniosły, natrafiałem na jakiś ukryty w zakamarkach miasta kościółek, plac lub psa zwiniętego w kłębek i śpiącego na kocich łbach chodnika. Wszędzie widać było hiszpańskie wpływy. Place nie nazywały się *piazza*, lecz *plaza*, kościoły *iglesia*, nie *chiesa*, a na większości tabliczek z nazwami ulic zamiast *via* napisane było *carrer*. Któregoś dnia natknąłem się na dwóch Katalończyków z laskami i w kaszkietach, siedzących na stopniach domu i pogrążonych w rozmowie. Gdy ich mijalem, przyglądali mi się z ciekawością.

Codziennie wieczorem robiłem sobie spacer po starym mieście, idąc alejką prowadzącą od murów aż nad morze. Lokalny samorząd zadbał o infrastrukturę, ustawiając w regularnych odstępach ławki i ozdobne gazowe latarnie. Było to popularne miejsce przechadzek mieszkańców Alghero i tu właśnie udawali się na cowieczorną *passaggiata*, spacer, tym bardziej, że widać stąd było chowające się na zachodzie, wprost przed spacerowiczami, słońce. Potem zachodziłem do jednego z barów z widokiem na portowe nabrzeże i sącząc zimne jak lód piwo, przyglądałem się kolorowym łodziom unoszącym się na wodzie, które zderzały się burtami.

Alghero okazało się doskonałą bazą wypadową do penetracji pobliskich okolic. Zwiedziłem imponująco usytuowane na wzgórzu miasto Monteleone Rocca Doria, Lago di Baratz – jedyne naturalne jezioro na Sardynii, i jeszcze jeden nurag, tym razem w miejscowości Palmaverra. Zajrzałem nawet do Fertili, powstałego na osuszonych bagnach przedsięwzięcia urbanistycznego Mussoliniego z lat trzydziestych. Mussolini nadał mu nazwę pochodzącą od włoskiego słowa *fertilità*, płodność, w nadziei, że osuszone bagna okażą się żyzną ziemią rolną, ale Fertilia zamiast się rozwijać, szybko popadła w stagnację. Dzisiaj jedynie kilka budynków w stylu art déco przypomina o śmiałych zamysłach architektonicznych twórców tego miasta.

Gdy rankiem na recepcji był Cliff, to radził mi, dokąd jechać i co zobaczyć. Kiedy powiedziałem mu, że chciałbym popłynąć statkiem do Grotte di Nettuno, czyli ciągu nadmorskich grot w urwistym brzegu Capo Caccia, stwierdził, że lepiej będzie, jeśli pojedę tam na Marcellu.

– Na statku będzie pełno turystów z hoteli – wyjaśnił. – A kapitan będzie szybko płynąć od jednej groty do drugiej, i tyle. Na vespie możesz je sobie wszystkie pooglądać bez pośpiechu. Zatoka w Porto Conte to jedno z najpiękniejszych miejsc na Sardynii. Ale ze statku niewiele zobaczysz.

Spytałem go o najlepszą plażę w okolicy, a on powiedział, że jest takie miejsce, o którym mało kto wie, niedaleko Cappel Marargiu; wystarczy zboczyć z malowniczej drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża na południe, w stronę Bosy.

– To teren rezerwatu sępa płowego – dodał Cliff – i nie wolno tam nikomu przebywać, ale jeśli pojedziesz ścieżką, o której wspomniałem, nikt cię nie zobaczy.

Z tego, co mówił, wynikało, że ze ścieżki korzystała dawniej organizacja Gladio – tajna, ultrapravicowa organizacja paramilitarna, wykorzystująca w latach osiemdziesiątych półwysep jako teren do ćwiczeń.

Alghero słynie z ryb i owoców morza, a dzięki wpływom katalońskim w mieście zrodziła się *cucina algherese* – ktoś chętny na mus z jeżowca? Niestety, napływ turystów sprawił, że w mieście jest zatrzęsienie dość zwyczajnych restauracji, których menu nie oferuje niczego nadzwyczajnego, a lista win jest niewyszukana. Na szczęście podpowiedzi Cliffa, gdzie pójść na ko-



lację, były równie trafne i inspirujące, co sugerowane przezeń miejsca wypadów za miasto.

– W żadnym razie restauracje na starym mieście – powiedział mi któregoś wieczoru. – Są dla turystów. Ceny mają wysokie, a jedzenie takie sobie.

Zamiast tego Cliff zaproponował mi lokal bez szumnej nazwy, zaledwie przecnicę od hotelu, gdzie pewna starsza kobieta w czarnej chustce na głowie ugotowała dla mnie najlepszą *paellę* z owocami morza, jaką jadłem.

Ostatni wieczór w Alghero spędziłem, jedząc kolację w niewielkiej knajpce zaraz za murami miasta. Nie polecił mi jej Cliff, ba, odznaczała się wszystkimi cechami, jakich jego zdaniem miałem unikać. Moje *fritto misto* smakowało bardziej jak odsmażana ryba niż panierowane owoce morza, a piwo kosztowało trzy razy więcej niż w restauracji koło hotelu. Ale za to miałem stół z przepięknym widokiem na morze i zachodzące wprost przed moimi oczyma słońce.

Wracając do hotelu, minąłem sklep z odzieżą dla niemowląt jakiejś modnej marki. W pierwszej chwili chciałem wejść i kupić śliczny rozpinany sweterek z wyszywaną stokrotką, jaki zobaczyłem w oknie wystawowym, ale zamiast tego zdecydowałem się zadzwonić do Sally. Spytała, jak przebiega moja wyprawa, a ja odparłem, że wszystko jest OK. Sądziłem, że lepiej nie mówić jej całej prawdy. Bo w rzeczywistości było przecież zarąbiście.

Następnego ranka wyjechałem z Alghero szeroką drogą wysadzaną palmami daktylowymi. Prowadziła na południe, w kierunku Bosy, następnego punktu na trasie mojej podróży. Na rondzie na przedmieściach okazało się, że mogę dotrzeć do Bosy dwiema różnymi drogami. Mogłem skręcić w prawo i jechać wzdłuż wybrzeża. Albo skręcić w lewo i jechać przez góry. Ponieważ poznałem już trzy czwarte drogi wzdłuż wybrzeża, jadąc na plażę w rezerwacie sępów, skręciłem w lewo i skierowałem się w stronę gór.

Droga biegła przez sady cytrynowe, a potem wspinała się zakosami. U stóp góry zebrali się motocykliści w skórach i po kolei wjeżdżali na szczyt z rykiem silników. Wchodzili ciasno w zakręty maksymalnie wychyleni, trąc nakolannikami o asfalt i wyciskając z maszyn maksymalną moc.

Kiedy kolejny motocyklista, który miał ruszyć pod górę, zobaczył, że się zbliżam, gestem pokazał mi, żebym jechał pierwszy. Przekręciłem do oporu manetkę gazu i wyrwałem w górę, również ciasno wchodząc w zakręty i pochylając skuter na tyle, na ile pozwalała na to ciężka torba na tylnym bagażniku. Jak na *vespę*, Marcello uzyskał bardzo dobry czas, ale i tak nie minęło parę chwil, a motocyklista, który czekał, aż wjadę, znalazł się obok mnie na szczycie. Pocieszało mnie jedynie to, że gdybym jechał *Sophią*, wciąż jeszcze tkwiłbym na dole.

Gdy wszyscy motocykliści znaleźli się na górze, zaczęli zabawę od nowa: teraz zjeżdżali na wyścigi na dół. Cała droga, biegnąca górskim płaskowyżem, należała teraz do mnie.

Była do tego stopnia pusta i nieuczęszczana, że zdobiące ją tu i ówdzie krowie placki leżały nienaruszone, bez śladów opon. Na polach rosły obficie polne kwiaty, których odurzający zapach unosił się w powietrzu. Wokół siebie miałem wszystkie barwy tęczy, na plecach czułem ciepło słońca i byłem tak szczęśliwy i rad, jak jeszcze nigdy w życiu.

Jechałem już dobre czterdzieści minut, gdy nagle usłyszałem dziwny metaliczny stukot. Nie znam się na mechanice, ale od razu zacząłem podejrzewać, że coś złego dzieje się z Marcellem. Zjechałem na pobocze przekonany, że rozwalił się tłok albo łożysko w kole, ale kiedy zatrzymałem się i wyłączyłem silnik, dźwięk nie umilkł, a nawet, rzecz dziwna, zrobił się wyraźniejszy. Zacząłem się rozglądać, drapiąc się niepewnie w głowę i pewnie wyglądałem jak bohaterowie czarno-białych slapstickowych komedii, nim wreszcie spostrzegłem na łące krowę z zawieszonym u szyi dzwonkiem...

Nie od razu ruszyłem w drogę. Zamiast tego usiadłem na kamiennym murku i zacząłem chłonąć spokój okolicy. Za plecami wyrastały mi góry ze szczytami schowanymi we mgle.

Przede mną lśniło morze. Wiał lekki wietrzyk, przynosząc z sobą zapachy polnych kwiatów, a wokół rozbrzmiewało brzęczenie pszczół i świergot ptaków. Od czasu do czasu zawieszony u szyi krowy dzwonek dodawał synkopowanego uroku całej tej muzyce. Było przecudownie.

Na ostatnim odcinku drogi, która wijąc się prowadziła w dół, do Bosa, miałem zbudowane przed wiekami kamienne chaty pasterzy, którzy przyprawiali tu swoje stada owiec na wypas. Chaty były nadal w użyciu i co jakiś czas widziałem siedzącego w ich cieniu chłopca, który doglądał pasącego się nieopodal stada. Kiedy miałem tych chłopców na mojej pomarańczowej vespie, wszyscy robili taką samą minę. Był to wyraz twarzy, jaki pojawi się u każdego z nas, kiedy wreszcie zjawia się Marsjanie.

Bosa leży w odległości trzech kilometrów od wybrzeża, nad Temo, jedyną rzeką na Sardynii żeglowną na całej długości. Miejscowość jest otoczona górami, a jej wąskie uliczki opierają się o wzgórze zwieńczone ruinami zamku rodu Malaspina. Na sznurach rozciągniętych między domami suszy się pranie, w sklepach zaś można kupić przydatne rzeczy, takie jak żarówki i śrubokręty, a nie turystyczne badziewie. Metalowe balustrady balkonów, latarnie, takie jakie dawniej montowano przy powozach, i czcionka w stylu art déco na podświetlanych szyldach nadawały miastu atmosferę z lat dwudziestych. Od razu zapalałem do niego sympatią.

Znalazłem pokój w gospodarstwie agroturystycznym przy polnej drodze niedaleko San Pietro, starej katedry wzniesionej w miejscu wczesnochrześcijańskiej nekropolii. Gospodarstwo specjalizowało się w uprawie organicznej, a niski ceglany dom miał ściany w takim samym odcieniu pomarańczowego jak lakier Marcella.

Siedziałem w zalanym słońcem pokoju jadalnym z widokiem na góry, podczas gdy właścicielka, starsza kobieta w chuście na głowie, dopełniała formalności związanych z zameldowaniem mnie. Na ścianach jadalni wisiały certyfikaty potwierdzające ekologiczny charakter uprawianych w gospodarstwie produktów, herb gminy Bosa z datami 1589–1982 i arras przedstawiający spotkanie przedstawicieli szlachty na zamku rodu Malaspina w 1848 roku. Wszyscy szlachetnie urodzeni mieli bokobrody, a ci najszlachetniejsi jeszcze dodatkowo wąsy.

Starsza kobieta przepisywała dane z mojego paszportu do księgi tak starej i podniszczonej, że całkiem możliwe, że pamiętała czasy spotkania uwiecznionego na arrasie. Gdy dotarła do ostatniej rubryki, podniosła wzrok i spytała, czy jestem sam.

– *Solo?* Sam? – powtórzyła z niedowierzaniem. Spojrzała na skuter, a potem na mnie, jak gdyby starając się dociec, jak to możliwe, że ktoś na takim ładnym skuterze może być sam.

Mój pokój miał werandę z widokiem na pola pełne pędów uprawianych organicznie pomidorów, a za polami wznosiły się góry. Siedziałem na werandzie całe popołudnie, chłonąc ten widok i pijąc zimną wodę, której kolejne porcje donosiła mi co jakiś czas właścicielka. Krótko po czwartej po południu do gospodarstwa przyjechało golfem jakieś niemieckie małżeństwo i spytali mnie, czy mogą tu dostać pokój. Zobaczyli skuter, a obok mnie kask i myśleli, że jestem właścicielem, bo i Marcello, i budynek gospodarstwa były w tym samym kolorze. Odparłem, że to dość przerażające przypuszczenie.

– Byłoby przerażające, gdyby pan też był pomarańczowy – zaśmiał się mężczyzna, wąsacz.

I kto mi powie, że Niemcy nie mają poczucia humoru?

Wieczorem postanowiłem, że zostawię Marcella w gospodarstwie i przejdę się dwa kilometry do miasta. Był ciepły wieczór i budynki oraz palmy rosnące wzdłuż rzeki prezentowały się szczególnie uroczo. Wraz ze zmierzchem w mieście ucichł gwar dnia i słychać było jedynie, jak rybacy czyszczą swoje łodzie po połowie.

Znalazłem małą restaurację w uliczce prowadzącej w stronę zamku – Borgo Sant’Ignazio. Miała w środku żółte ściany i żółte obrusy na stolikach, a zdobiły ją czarno-białe fotografie Bosa.

Byłem jedynym gościem, ale kuchnia potrzebowała całej godziny, żeby podać mi posiłek. Umilałem sobie czas, pstrykając zdjęcia samego siebie cyfrówką i próbując zgadnąć, co dokładnie mogą mieć wspólnego z moim posiłkiem głośne pobrzękiwania i szcęk dochodzące z kuchni. Dzięki Bogu, duszone prosię okazało się daniem, na które warto było czekać.

Na koniec posiłku zamówiłem typowy dla sardyńskiej kuchni deser, czyli *seadas*. Jest to rodzaj pierogów nadziewanych serem i oblanych miodem. Kiedy ugryzłem pierwszego, moje kubki smakowe wysłały do mózgu alarmujący sygnał, że w serowym nadzieniu schowała się starta skórka cytrynowa. Ich reakcją było: „coś tu chyba jest nie tak”, ale potem do podniebienia przebił się smak miodu i trzeba przyznać, że całość jakoś się obroniła.

Wracałem spacerkiem do mojej kwatery syty i zadowolony. Zatrzymałem się przy kamiennym murku biegnącym wzdłuż rzeki i wsłuchiwałem się w pobrzękiwanie dzwonek owiec. Była w tym jakaś magia spotęgowana zapachami docierającymi do mnie z mroku.

Szczególnie mocno przebiegał się zapach anyżu. Przypomniało mi się dzieciństwo na przedmieściach Sydney. Ilekroć jechaliśmy do dzielnicy Liverpool, widywaliśmy na poboczu starsze kobiety w czarnych chustach na głowach i mężczyzn w kaszkietach zrywających coś, co wyglądało na zwykłe chwasty. Tata powiedział nam wówczas, że ci ludzie zbierali owoce anyżu, które służyły im jako przyprawa i surowiec do sporządzania nalewek. Dopiero w tej chwili, przy murku, olśniło mnie, że byli to najpewniej imigranci z Sardynii.

Gdy oczy przywykły mi do mroku, dostrzegłem idącą w moją stronę starszą parę. Kiedy spacerowicze zrównali się ze mną, uśmiechnęli się i życzyli mi *buonanotte*, dobrej nocy, a potem skinieniem głowy wskazali jakiegoś mężczyznę dwieście metrów dalej, który – jak się wydawało – toczył zawzięty spór z kamiennym murkiem.

Doszedłem do wniosku, że mężczyzna był albo chory umysłowo, albo pijany. Trudno bowiem znaleźć inną przyczynę tego, by klócić się z martwym przedmiotem. Gdy znalazłem się bliżej niego, obojętność murku doprowadziła go już do szewskiej pasji. Wrzeszczał. Pluł na murek. Przeklinał go. Wreszcie, zapewne w akcie desperacji, rozpiął spodnie i zaczął sikać po kamieniach. Gdy i to nie dało pożądanego efektu, osunął się po murku na ziemię, a z jego piersi wydobyło się nieomal zwierzęce wycie znamionujące poczucie klęski.

To wycie wywołało reakcję psa po drugiej stronie drogi, który zaczął głośno ujadać. Jego ujadanie podjął inny pies, a potem kolejny i jeszcze jeden. I po chwili po całej dolinie niosło się szczekanie psów, któremu towarzyszyło wycie pijaka-szaleńca.

Doszedłem wtedy do wniosku, że powinienem częściej zsiadać z vespy i uważnie rozglądać się dokoła. Włosi ze wszystkiego potrafią zrobić widowisko.



## *Monte Ortobene*

### *Patron: Cristo Redentore*

Zanim wyruszyłem z Bosa w górzyste, dzikie ostępy wnętrza wyspy, musiałem dorobić kluczyk. Był to kluczyk, który otwierał schowek i unieruchamiał kierownicę skutera. Wygiąłem go, próbując otworzyć na siłę schowek, nieświadom, że zamek został zablokowany przez jeden z pamiątkowych magnesów na lodówkę, który przymocowałem od wewnątrz do metalowej kłapy. W rezultacie część klucza, którą wkłada się do zamka, wygięła się i na dodatek klucz nadłamał się do połowy, a rysa ciągle się powiększała. Nie miałem zapasowego i bałem się, że ten lada chwila dożyje swych dni.

Vespy otrzymały schowek pod kierownicą dopiero w 1963 roku. Było to jedno z najbardziej przydatnych udoskonaleń, jakie miał Marcello, zwłaszcza w porównaniu ze starszą od niego Sophią. Stwierdziłem, że jeśli dobrze wszystko zapakuję, mogę w schowku zmieścić litrową butelkę oleju potrzebnego do mieszanki paliwowej, specjalny kubek do odmierzenia jego właściwej ilości, niewielki zestaw narzędzi, w skład którego wchodził klucz płaski i do świec, szmatkę do wytarcia oleju, plastikowe etui, w którym przechowywałem wszystkie dokumenty Marcella, mapę, przewodnik i butelkę z wodą o pojemności siedmiuset pięćdziesięciu mililitrów. I aż do teraz na kłapie schowka, od wewnątrz, było jeszcze miejsce na kilka magnesów na lodówkę z różnymi świętymi, które kupowałem po drodze. Madonna del Mare, którą tam umieściłem po zwiedzeniu rokokowej katedry w Bosie, okazała się być tą postacią, na którą nie było już miejsca.

Właścicielka gospodarstwa agroturystycznego powiedziała mi, że kluczyk mogę dorobić w niedużym składzie przemysłowo-budowlanym w centrum miasta. Skład mieścił się na rogu ulicy prowadzącej na peryferie miasta, gdzie przycupnęły stłoczone bloki mieszkalne, za którymi wznosiły się góry. Było dopiero wpół do ósmej rano, ale na chodniku przed składem stały już miski i wanienki, a obok nich taczka załadowana po brzegi workami z cementem. Podobnych składów na całym świecie są tysiące, ten jednak różnił się od innych tym, że zamiast białych furgonek lub dostawczaków, stało przed nim kilka bezładnie zaparkowanych trójkołowych pojazdów zwanych *ape*.

*Ape* to trójkołowy samochodzik użytkowy przypominający skuter z kabiną i niewielką przestrzenią ładunkową. Te pojazdy są małe i bardzo zwrotne, niewiele palą i mają wspaniałe możliwości załadunkowe. (Najnowszy model może przewieźć dziewięćset kilogramów ładunku). Jak lubią powtarzać przedstawiciele firmy Piaggio: „*Ape* ma się do vespy tak jak wół do konia”.

Rozmiar tych samochodzików oraz ich zwrotność sprawiają, że *ape* doskonale radzą sobie na wąskich, brukowanych uliczkach włoskich miast. Potrafią wjechać w zaułki zbyt ciasne dla normalnych samochodów i precyzyjnie się tam, dokąd zazwyczaj dotrzeć można tylko na piechotę. *Ape*, to po włosku pszczoła i w każdym włoskim mieście codziennie zobaczyć można dziesiątki takich przemieszczających się z bzykiem pracowitych „pszczoł”.

Pierwsza „pszczoła” powstała w 1947 roku. Jak pisał Corradino D’Ascanio, projektant

vespy, a potem także *ape*, pojazd ten miał być „użytkowym środkiem lokomocji na czas powojenny”. Okazał się strzałem w dziesiątkę, pokochali go przedsiębiorcy prowadzący różnego rodzaju firmy, poczynawszy od tych jednoosobowych po wielkie korporacje. Każda firma wymalowała sprejem swoją nazwę na tyle swoich samochodzików, dzięki czemu pełniły one rolę także ruchomych tablic reklamowych.

Obserwatorzy życia społecznego tamtych czasów pisali, że *ape* zapewniło włoskiemu przemysłowi „godność” i ułatwiło „rozkwit drobnej przedsiębiorczości w miastach i na wsi”. Także lokalne władze świadome były korzyści, jakie dawały te trójkołowce. W muzeum vespy w Pontederze jeden z najciekawszych eksponatów to jaskrawoczerwone *ape* przerobione na niewielki pojazd strażacki z (dość krótką) drabiną.

Klienci składu, reprezentujący różne zawody, zaopatrzyli się już w potrzebny im tego dnia towar i stali teraz obok zdezelowanego ekspresu do kawy w głębi sklepu. Żartowali, wymieniali nowiny i pili czarną, mocną kawę ze starych, poszczerbionych filiżanek do espresso. Spytałem, który z nich to kierownik składu, więc wskazali mi jedynego mężczyznę, który nie miał na sobie drelichu ubrudzonego farbą lub smarem.

Cały poprzedni wieczór układałem starannie skomplikowane zdanie po włosku, w którym chciałem przekazać, po pierwsze, co się stało, a po drugie, że nie było w tym żadnej mojej winy. Ale kiedy nadeszła chwila, żeby je wyrecytować, po prostu wyciągnąłem w stronę kierownika składu rękę z uszkodzonym, wygiętym kluczykiem. Mężczyźni zebrani wokół ekspresu nagle umilkli i wydali z siebie równocześnie westchnienie, tak jakbym przyniósł im jakąś relikwię.

Ale nabożna cisza trwała tylko krótką chwilę, bo zaraz potem jeden przez drugiego zaczęli mi dawać rady, jak należy naprawić wygięty kluczyk, żeby móc później dorobić drugi. Hydraulicy twierdzili, że należy go najpierw rozgrzać palnikiem acetylenowym, żeby zmiękł. Cieśle preferowali bardziej radykalne rozwiązania i proponowali, żeby potraktować go zdrowo młotkiem. Wszyscy perorowali jeden przez drugiego, wszyscy perswadowali równie głośno (czyli bardzo głośno!), gestykulując przy tym i dając wyraźnie do zrozumienia, że jeśli klucza nie naprawi się dokładnie tak, jak to zalecają, wówczas życie na ziemi, w znanej nam dotychczas postaci, niechybnie ulegnie zagładzie.

Kierownik wziął stronę cieśli i zabrał się za prostowanie klucza za pomocą drewnianego młotka. Gdy cieśle wciąż jeszcze przybijali sobie nawzajem piątki, kierownik włożył kluczek do frezarki do dorabiania kluczy i wtedy okazało się, że ich radość była przedwczesna. Pierwszy dorobiony kluczek okazał się felerny. Podobnie było z drugim. Kiedy i trzeci nie otworzył zamka schowka, dyskusja na temat tego, co należy zrobić w takiej sytuacji, wybuchła z nową siłą.

Teraz dopiero zrobiło się gorąco. Hydraulicy zaczęli podawać w wątpliwość pochodzenie dzieci cieśli. A cieśle zaczęli drwić z prac wykonanych przez hydraulików, które okazały się fuzerką. Wówczas jeden z cieśli powiedział, że to nie sam pomysł był zły, ale jego wykonanie, na co kierownik sklepu zasapał ze złości i cisnął moimi kluczykami o ziemię. Ruszył szybkim krokiem w stronę swojego kantorka, rzucając mężczyznom na odchodnym, że wszyscy są *figli di puttana*, sukinsynami, i jeśli wydaje im się, że potrafią sobie z tym lepiej poradzić, to proszę, niech spróbują! Byłem jedyną osobą, która nie odezwała się ani słowem, chociaż to o moje kluczyki chodziło.

Jeden z hydraulików, starszy mężczyzna z siwiejącą na skroniach czarną czupryną, wziął mój uszkodzony kluczyk i kiwnął ręką, dając znak, żebym poszedł za nim. Podgrzał kluczek palnikiem acetylenowym, który miał z tyłu swojej „pszczoły”, a potem starał się przywrócić mu właściwy kształt, uderzając w niego młotkiem delikatnie od góry, a nie z boku, jak robił to kierownik. Potem wrócił do sklepu, włączył frezarkę i zamontował w niej mój kluczyk, tak jakby całe życie nie robił nic innego.

Gdy skończył, wyjął dorobiony klucz z maszyny, spiłował pilnikiem i wręczył mi, mrugając przy tym łobuzersko. Wyszedłem przed skład do Marcella w asyście wszystkich mężczyzn, którzy mieli być świadkami tego, co się stanie. Włożyłem kluczyk do zamka w schowku. Otworzył go za pierwszym razem. Wszyscy zaczęli mnie klepać po plecach, nazwali szczęśliwym *figlio di puttana* i zaciągnęli z powrotem do środka, żeby zakończoną powodzeniem operację uczcić filiżanką espresso.

\* \* \*

Droga prowadząca na wschód, do Nuoro, zaraz za Bosą pięła się ostro w górę. Wkrótce jechałem położonym wysoko płaskowyżem wśród przetykanych fioletowymi i różowymi kwiatami złotych pól, które ciągnęły się aż ku niskim, ciemnym wzgórzom rysującym się w oddali.

Nawet jak na Sardynię okolica wydawała się odludna i pozbawiona życia. Jedyłą jego pozostałością była murszejąca kamienna willa z oknami zabitymi deskami, opuszczona przez mieszkańców i ich owce o długim runie.

Zatrzymałem się w Macomer, jakimś miasteczku jakieś trzydzieści kilometrów na wschód od Bosy, żeby zatankować benzynę. Chciałem jechać zaraz dalej do Nuoro, ale gdy wlewałem paliwo do zbiornika, na elektrycznym rowerze Ciao podjechał do mnie młody mężczyzna w różowej koszulce i kamizelce w maskujących kolorach, od którego biła zawadiackość i pewność siebie. Powiedział, że nazywa się Marcello i że moja vespa to najwspanialszy skuter, jaki widział w życiu. Kiedy powiedziałem mu, że skuter też nazywa się Marcello, oczy mu się zaświeciły.

– Nie! – powiedział z niedowierzaniem. – Musimy to oblać!

Gdy zapłaciłem za benzynę, wskoczył na rower i wyrwał do przodu, dając mi ręką znak, żebym jechał za nim.

Była dopiero dziesiąta rano, więc przypuszczałem, że zmierzamy do kawiarni na espresso. Ale Marcello miał inny pomysł. Zatrzymał rower na ścieżce dla pieszych przed dość podejrzanym wyglądającym barem i kazał mi zrobić to samo.

– Postawimy je sobie niedaleko, żebyśmy dali radę dojść, jak już stąd wyjdziemy – powiedział.

Gdy weszliśmy do baru, spytałem, czy sprzedają tu kawę, a Marcello obrzucił mnie wzgardliwym spojrzeniem.

– Żadnej kawy – odparł, uśmiechając się szeroko. – *Birra!* Piwo!

Bar był obskurny, panował w nim półmrok i od razu zorientowałem się, że jest to jedno z tych miejsc, gdzie broń Boże nie wolno nikomu patrzeć w oczy. Stoliki były popisane i pokaleczone nożem, filc na stole bilardowym wytarty, a szafa grająca miała tabliczkę z napisem „zepsute”, pewnie po tym, jak ktoś kopnął ją o jeden raz za dużo. Na szczęście większość osób leżała już na stolikach, więc nietrudno było uniknąć ich wzroku.

Marcello (nowo poznany znajomy – nie skuter) był dobrym kompanem do kieliszka. W przerwach między kolejnymi piwami, które obalał w rekordowym czasie, opowiedział mi, że jest ogrodnikiem w miejscowym parku dla dzieci, że ma trzy włoskie „żony” (jedną we Florencji, jedną w Rimini i jedną w bliżej nieokreślonym miejscu na Sardynii) i że każdą zimę spędza, „pracując” w Egipcie. W Egipcie – jak mówił – też miał żonę, ale trudno było zachować wobec niej wierność, bo bez przerwy podsuwała mu swoje kuzynki. Zacząłem dochodzić do wniosku, że słowo „żona” znaczy dla Marcella coś innego niż dla mnie.

Barman starał się śledzić przebieg rozmowy, którą toczyliśmy po angielsku, aż w pewnym momencie spytał Marcella po włosku, kim jestem i co robię w Macomer. Usłyszałem, jak Marcello mówi: „*Australiano*” i „*bella vespa*”, i pokazuje na mój stojący na zewnątrz skuter. Bar-

man, między jednym a drugim podanym piwem, spojrział na vespę i z uznaniem skinął głową.

– Za Marcella! – zawołał Marcelllo, uśmiechając się szeroko.

– Za Marcella! – powtórzyłem, nie będąc do końca pewien, czyje zdrowie piję, skutera czy nowego znajomego.

Muszę tu dodać, że zazwyczaj nie pijam piwa o dziesiątej rano. I najpewniej nie jest to coś, co powinien robić ktoś, ma do przejechania jeszcze pięćdziesiąt kilometrów zdradliwymi górskimi drogami. Ale Marcelllo był tak sympatycznym kompanem, że odmówić mu wydawało się bardzo niegrzeczne. Powiedział mi jeszcze, że w rzeczywistości dużo nie pije i że gdyby tego dnia nie pracował, zrobiłby przerwę po drugiej. Nie wiedziałem, czy ma na myśli drugą kolejkę, czy drugą godzinę.

Marcelllo miał o jedenastej spotkanie z jakąś dziewczyną, więc udało mi się wyjść z baru jako tako trzeźwym. Zanim poszedł, uparł się, żeby pokazać mi dojazd do widokowej trasy do Nuoro, która poprowadzi mnie obok bizantyjskiej kaplicy pod wezwaniem Świętej Sabiny i znajdującego się przy niej niewielkiego nuragu. Kiedy dotarliśmy do skrzyżowania, gdzie mieliśmy się rozstać, zatrzymał się, wyjął z kieszeni dwa kamyki i spytał, czy chciałbym kupić autentyczny fragment nuragu.

– Całkowity autentyk – powiedział. – Żadna imitacja.

Nie wiedziałem, jaka jest oficjalna polityka władz Sardynii, gdy szło o sprzedaż przedmiotów o dużej wartości historycznej, byłem jednak pewien, że nie ma w przepisach zgody na to, by niechlujnie wyglądający ogrodnicy sprzedawali coś, co należy do dziedzictwa wyspy, równie niechlujnie wyglądającym Australijczykowi jeżdżącemu na vespach. Odmówiłem, a Marcelllo tylko wzruszył ramionami, jak gdyby chciał dać mi do zrozumienia, że to moja strata. Potem radośnie odpalił silnik w swoim Ciao i pognął w stronę Macomer.

– *Ciao*, Marcelllo! – zawołał jeszcze przez ramię. – Jesteś piękny!

Udało mu się jakimś cudem jechać prosto zamiast zygzakiem i to po prawej stronie drogi. Aczkolwiek trzeba dodać, że sekundę wcześniej w ostatniej chwili uniknął zderzenia z nadjeżdżającą z naprzeciwka „pszczołą”.

Do Nuoro dotarłem akurat w porze lunchu. Było to niewielkie, prowincjonalne miasto ze schludnymi budynkami, którego mieszkańcy – jak na Sardyńczyków przystało – powoli i bez pośpiechu zajmowali się swoimi sprawami. Stare centrum było ładnie utrzymane i posiadało zwartą zabudowę. Tu i ówdzie widać było gmachy wzniesione za rządów faszystów, które jednak nie przytłaczały starszych budowli. Nowsza część miasta była czysta i funkcjonalnie zaprojektowana, a budynki ani nie wyróżniały się urodą, ani nie obrażały poczucia smaku. Wzdłuż ulic ciągnęły się szpalery drzew i drzemały senne kafejki. Jedynym, co odróżniało Nuoro od innych włoskich miast podobnych doń wielkością, było jego położenie. Zaraz za miejscowością, od północno-wschodniej strony, znajduje się Monte Ortobene, a zaraz za tą górą wznosi się masyw Sopramonte: porażająca ogromem granitowa ściana sprawiająca absolutnie niezwykłe wrażenie.

O odwiedzinach Nuoro marzyłem od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłem zdjęcia z Sagra del Redentore. Jest to odbywająca się co roku w sierpniu procesja, w czasie której mieszkańcy całego regionu ubierają się odświętnie i pielgrzymują do ogromnej, wykonanej z brązu statuy Chrystusa Odkupiciela (Cristo Redentore), stojącej na szczycie Monte Ortobene. Choć formalnie jest to święto religijne, w rzeczywistości przesycone jest wszelkiego rodzaju pogańskimi rytuałami sięgającymi nawet czasów Dionizosa.

Mnie szczególnie urzekły fotografie złowrogo wyglądających postaci ubranych we włochoate owcze skóry i noszących na twarzach maski w kształcie głowy barana z długimi spiczastymi rogami. Taka postać nazywa się tu *boe*, a maski pochodziły z długo niepoddającego się cywilizacyjnym regułom, dzikiego regionu Barbagia, leżącego na południe od Nuoro, zaś ich bezdusz-



ny, tępy wygląd robił wrażenie, jakby noszący je ludzie wyruszyli na celtycką ceremonię palenia Wickermana, czyli drewnianej kukły, czemu towarzyszyło składanie ofiar z ludzi. Nie miałem szans obejrzeć samej procesji – był dopiero czerwiec – ale pomyślałem, że miasto będące miejscem takiego wydarzenia samo w sobie musi być interesujące.

Inni ludzie pióra nie podzielali mojego entuzjazmu. Kiedy D.H. Lawrence przyjechał do Nuoro, napisał, że ma wrażenie, jakby dotarł na kraniec świata. Miejscowy pisarz Salvatore Satta zanotował, że „Nuoro to tylko żerdź dla wron”. Jediną osobą, która znalazła dobre słowo dla tego miejsca, była urodzona tutaj włoska noblistka Grazia Deledda. Pisała o codziennym życiu prostych ludzi w Nuoro i w 1926 roku otrzymała upragnioną przez wszystkich pisarzy nagrodę.

W małym *alimentari*, sklepie, niedaleko dworca kolejowego kupiłem chleb, szynkę i pomidory i tak zaopatrzony wyruszyłem na podbój Monte Ortobene. Góra wyrastała zaraz za północno-wschodnim krańcem miasta, a ja postanowiłem, że zjem piknik pod figurą Cristo Redentore. Pędziłem ku niej stromą drogą, która serpentynami pięła się w górę wśród mirtów i pinii, i po dwudziestu minutach byłem na miejscu. Gdybym jechał na Sophii, pewnie dotarłbym na szczyt najwcześniej o zachodzie słońca.

Siedmiometrowa figura z brązu autorstwa Vincenza Jeracego została wzniesiona w 1901 roku, by pełnić rolę punktu docelowego procesji Sagra del Redentore. Stoi niedaleko szczytu Monte Ortobene, na wysokości dziewięciuset dziewięćdziesięciu pięciu metrów, i podziwia zapierający dech w piersiach widok na lasy i skalne wzniesienia ciągnące się aż ku dachówkom domów leżącego poniżej Nuoro.

Ludzie pielgrzymują do figury Chrystusa Odkupiciela nie tylko podczas Sagra del Redentore, ale przez cały rok. Gdy byłem na szczycie, pewna starsza kobieta w czarnej chuście na głowie położyła u stóp rzeźby jakieś świecidełko, a potem potarła duży palec lewej stopy Chrystusa. Nie była pierwszą osobą, która odprawiała tego rodzaju rytuały. U stóp figury leżały fotografie, paciorki różańca i kwiaty, a paluch Chrystusa lśnił złotym połyskiem.

Opis figury w moim przewodniku zatracił o poezję. Przeczytałem w nim, że „stoi ona jakby zastygła w ruchu ponad rozległą pustką”. Gdy stanąłem pod nią, zrozumiałem mniej więcej, co miał na myśli autor tych słów. Rzeczywiście miało się wrażenie, że wiatr właśnie wyduł metaliczną szatę Chrystusa. Ale ktoś mniej przychylnie usposobiony powiedziałby, że Chrystus wyciąga rękę nie w geście ogarniającego wszystkich bez wyjątku przebaczenia, lecz raczej po to, by rozpaczliwie powstrzymać własne, raczej odarte z godności lądowanie na którymś z pobliskich budynków Nuoro.

Zjeżdżając z Monte Ortobene, zastanawiałem się nad teologicznymi konsekwencjami ewentualnego upadku posągu bóstwa.

Jeszcze jadąc w górę, spostrzegłem przy drodze tabliczkę wskazującą drogę do pensjonatu, który teraz chciałem odszukać. Pensjonat nazywał się Casa Solotti i był schowany między kępami drzew, nad doliną Marreri. Zaskoczył mnie widok domu na szczycie góry – sądziłem, że tereny te należą do parku narodowego – ale równocześnie poczułem nieodparte pragnienie, żeby zatrzymać się właśnie tutaj, w tej dzikiej i odludnej okolicy.

Właścicielem pensjonatu Casa Solotti był Mario Zizi. Miał wygląd gwiazdy filmowej i fryzurę dandysa i gdy podjechałem pod pensjonat, zaczął mnie serdecznie witać. Ujęła go uroda Marcella i obszedł skuter kilka razy.

– *Bella vespa* – powiedział, uśmiechając się do mnie. – Widziałem, jak przejeżdżałeś wcześniej, i miałem nadzieję, że się u mnie zatrzymasz.

Nim zdążyłem zapytać Maria, czy ma jakieś wolne pokoje i w jakiej cenie, on ruszył wąską ścieżką obsadzoną kwitnącym żywopłotem i skinął na mnie, żebym poszedł za nim. Doszli-

śmy tak do części domu znajdującej się poniżej poziomu gruntu i przez chwilę myślałem z lękiem, że tu właśnie będę nocować. Ale gdy oczy przyzwyczyły mi się do mdłego światła, zauważyłem wystającą spod brezentu vespę, model GS z 1964 roku. Mario naprawiał ją w wolnych chwilach, przywracając jej dawną świetność. Sądząc po tym, co widziałem, pozostało mu już niewiele pracy.

– Przewodniczący Vespa Club d'Italia, który zatrzymał się u mnie, powiedział, że będzie warta jakieś cztery tysiące euro – oświadczył Mario z dumą. – Przysłał mi listę oryginalnych części, których powinienem użyć.

Zupełnie przypadkiem natknąłem się na kolejnego miłośnika vesp. Mario spytał, czy ktoś mi powiedział, że skutery są jego pasją. Może przewodniczący Vespa Club d'Italia, którego, jak sądził Mario, znałem osobiście, wspominał mi o nim? Potrząsnąłem przecząco głową i powiedziałem, że nic z tych rzeczy i że pierwotnie planowałem zatrzymać się w hotelu w mieście, na dole. Mario był przekonany, że w takim razie to, że go odnalazłem, to *destino*, przeznaczenie, i widział w tym wyraźnie działanie jakiejś siły wyższej.

Mario wierzył, że i vespy w pewien sposób odczuwają emocje.

– Jak pada, moja vespa nigdy nie zapali – oświadczył, by dać dowód prawdziwości swoich słów. – Ale jak jest słońce, odpala za pierwszym razem.

I mi coś takiego przychodziło czasami do głowy, zarówno w przypadku Sophii, jak i Marcella. Pamiętam wiele poranków w czasie mojej pierwszej wyprawy do Włoch, kiedy Sophia nie chciała zapalić, ponieważ było za zimno. A sposób, w jaki Marcello z pasją atakował górskie drogi, przypominał mi starzejącego się rozpustnika, który za wszelką cenę stara się udowodnić, że jeszcze może. Ale trzymałem te wszystkie myśli dla siebie z obawy, że gdybym wyraził je na głos, mogliby mnie zamknąć w domu bez klamek.

Jako miłośnikowi vespy przypadł mi najlepszy pokój w całym domu, ogromna sypialnia na drugim piętrze, z łazienką i balkonem, skąd roztaczał się wspaniały widok na dolinę aż po wyżynę Sa Serra i dalej ku masywowi Monti di Alà. W pokoju była kamienna posadzka i meble w stylu rustykalnym. Na ścianach wisiały stare litografie przedstawiające ludzi w strojach ludowych, a w rogu stał zdezelowany bujany fotel. Rzuciłem się na ogromne, miękkie łóżko i pomyślałem, że mężczyźni w sklepie w Bosie mieli rację. Był ze mnie rzeczywiście fartowny *figlio di puttana*.

Gdy się odświeżyłem, Mario zaprosił mnie do salonu na lampkę wina. Usiadłem na niskiej drewnianej sofie, a gospodarz wyjął wino, żeby uczcić szczęśliwe zrządzenie losu, które sprowadziło mnie do jego domu. Wino, Nuraghe Sella e Mosca, było – jak powiedział – typowe dla tego regionu i jak się okazało – całkiem dobre.

Salon miał dość eklektyczny wystrój. Poduszki na sofie miały pokrowce z batiku pochodzącego z Indonezji. Na stoliku z mozaikowym blatem z Maroka dostrzegłem jakieś popiersie z Etiopii. Na terakotowej posadzce, charakterystycznej dla Włoch, leżał dywan z Turcji. Całości dopełniał prosty, czarno-czerwony obraz zawieszony nad kominkiem. Była to impresjonistyczna interpretacja *boe*, jednej z postaci procesji Sagra del Redentore, namalowana przez żonę Maria.

Mario posiadał także bogatą kolekcję masek. Pochodziły z Japonii, Afryki i Sardynii. Niektóre z masek, którym przypisywałem afrykańskie pochodzenie, okazały się być właśnie z Sardynii, co przypomniało mi, że wyspa leży równie blisko Afryki, co Półwyspu Apenińskiego.

– Maski są bardzo ważne dla mieszkańców Sardynii – wyjaśniał mi Mario. – Pozwalają zwykłemu wieśniakowi aspirować do czegoś bardziej tajemniczego i niezwykłego niż codzienne, szare życie.

Nie ulegało wątpliwości, że mój gospodarz był erudytą obdarzonym wyrafinowanym gustem. Jego biblioteczka ugięła się od książek poświęconych historii nuragów, zwyczajom

na Sardynii i korupcji za rządów Berlusconi. W czasie wystarczającym, by wypić tylko jedną lampkę wina, opowiedział mi w skrócie, jaką rolę pełnią maski na Sardynii i poinformował, że Nuoro znane jest jako sardyńskie Ateny, ponieważ w tym właśnie mieście żyli wszyscy ważni pisarze i artyści, między innymi Grazia Deledda i Salvatore Satta, rzeźbiarz Francesco Ciusa i malarze Antonio Ballero i Giovanni Nonnis.

Przebywając w towarzystwie tak wykształconego i elokwentnego gospodarza, powinienem był wykorzystać ten czas i wypytać go o wszystkie sprawy, o których myślałem po drodze. Nie o dylematy teologiczne dotyczące tego, czy bogowie mogą się przewrócić i co z tego wynika, ale o sprawy ściślej związane z Sardynią. Na przykład o to, co dokładnie oznacza termin *nuraghe*? I dlaczego odnosi się on równocześnie do budowli, ludzi oraz ich cywilizacji?

Ale zamiast tego mój wzrok powędrował w stronę fotografii stojącej na kominku. Przedstawiała ona bardzo młodego Maria w stroju piłkarskim stojącego obok innego młodzieńckiego piłkarza, który był bardzo podobny do Gianfranca Zoli, byłego zawodnika narodowej drużyny Włoch i byłego gracza Chelsea F.C. Mario dostrzegł moje pytające spojrzenie i potwierdził, że to Zola.

– Zawsze był niski – dodał z uśmiechem.

Zola urodził się w miasteczku Oliena leżącym u stóp Monte Corrasi, dwanaście kilometrów na południowy wschód od Nuoro. Oliena słynie z barwnego świętowania Wielkanocy i z wina, które jest ciemne na początku, lecz z czasem staje się coraz jaśniejsze i coraz mocniejsze. Mario i Zola, jako nastoletni chłopcy grali razem w jednej drużynie w Nuoro. Zola z czasem doszedł do sławy i fortuny. Teraz kończył swą karierę w Cagliari, zgodnie z obietnicą, którą złożył w ostatnim roku swojej gry dla Chelsea. Nawet miliony Romana Abramowicza nie były w stanie zmienić jego decyzji, co pokazuje, jakiego rodzaju człowiekiem jest Zola.

Spytałem Maria, czy i on był dobrym piłkarzem, ale tylko wzruszył ramionami.

– W wieku czternastu lat byłem obiecującym zawodnikiem – odparł wymijająco.

Spytałem, co w takim razie poszło nie tak. Jakaś kontuzja, która przerwała jego karierę? A może wino, kobiety i śpiew? Znowu wzruszył ramionami, tym razem jednak ze smutkiem. Myślałem, że musiałem dotknąć jakiejś czulej struny w jego sercu, bo odłożył kieliszek i zszedł pogrzebać trochę przy swojej vespie. I ja też udałem się do mojego pokoju, by odpocząć. Cały ten dzień spędziłem na picciu: najpierw kawa z mężczyznami w sklepie w Bosie, potem piwo z Marcellem, a teraz wino z Mariem. Potrzebowałem odpoczynku.

Wieczorem tego dnia jadłem kolację w restauracji Ciusa u stóp Monte Ortobene, nazwanej tak na cześć wywodzącego się stąd rzeźbiarza Francesca Ciusy. Mario zarezerwował stolik specjalnie dla mnie. Powiedział, że to najlepsza restauracja w Nuoro i że jej właściciel na pewno doceni taką *bella vespa*.

Podjeżdżam, że gdy wyjechałem na kolację, Mario musiał zadzwonić do restauracji, bo przy wejściu powitał mnie komitet honorowy: kierownik, *maitre d'hôtel* i szef kuchni. Zaprowadzono mnie do najlepszego stolika w lokalu: dla dwóch osób, niedaleko drzwi, z olśniewającym widokiem na wzniesiony z granitu kościół (w którym spoczywały doczesne szczątki Grazii Deleddy) i złowrogo wyglądającą Monte Ortobene. Na stoliku znalazły się darmowa lampka wina Oliena i talerz z *antipasti*, przystawkami, a ja miałem zdecydować, co zjem tego wieczoru.

Mario dał mi już wcześniej dokładne instrukcje, co zamówić. Razem z żoną byli częstymi gośćmi w tej restauracji i próbowali tam prawie wszystkiego. Opisywał z pamięci każde danie z karty i wreszcie stanęło na owocach morza w postaci *delizie di mare troffuette acca Ciusa* na pierwsze danie i *filetto al Cannonau* na drugie.

– Jak to zamówisz, zjesz niezapomniany posiłek – powiedział.

Wyczułem nutkę zazdrości w jego głosie i zapytałem, czy nie poszedłby ze mną. Przez

chwilę myślałem, że się zgodzi, ale ostatecznie zrezygnował. Jego żona była u rodziny w Cagliari i czekał na telefon od niej. Byłoby jej przykro, gdyby poszedł do ich ulubionej restauracji bez niej.

Kiedy do stolika podszedł kelner, pokazałem mu nazwy dań, które zapisał mi Mario. Kelner skinął głową i powiedział, że dokonałem bardzo mądrego wyboru.

– *Filetto al Cannonau* – oświadczył – jest wyśmienite.

*Filetto al Cannonau* nie figurowało w menu. Była to specjalność restauracji, o której wiedzieli jej stali bywalcy, ciesząc się względami szefa kuchni. Zasadniczo był to filet z wołowiny duszony w sosie z wina Cannonau i jestem gotów przysiąc, że gdy Mario mi o nim opowiadał, ciekła mu ślinka. Nigdy wcześniej nie zamawiałem niczego, czego nie byłoby w karcie. Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że coś takiego jest możliwe. Poczułem się w tamtej chwili jak światowiec.

Po kolacji siedziałem i spoglądałem przed siebie na Monte Ortobene, sącząc espresso i czując się tak zadowolony z życia, jak nigdy dotąd. Wysłałem SMS do Sally, opisując jej pokrótce, jak minął mi dzień – o przygodzie z kluczykiem, o spotkaniu Marcella, o pensjonacie, którego właściciel okazał się miłośnikiem vespy, o wspaniałym posiłku, który właśnie zjadłem – i sam byłem zaskoczony, ile rzeczy mi się dzisiaj przydarzyło. Sally odpisała, że mała kopie, że od samego myślenia o jedzeniu robi jej się niedobrze i że ogólnie CBZ (czuje się bardzo źle).

Na taras restauracji wyszło dwóch młodych chłopaków pomagających w kuchni pod pretekstem zapalenia papierosa, ale w rzeczywistości po to, żeby obejrzyć Marcella. Chodzili dokoła niego i przyglądali się bocznym osłonom silnika i osłonie na nogi i próbowali dociec, jaki to model. Plakietka „Rally 200” znajdująca się nad tylnym reflektorem była zakryta zamontowanym tam przeze mnie dodatkowym bagażnikiem i dlatego stali, drapiąc się po głowie. Powiedziałem im, że to Rally Duecento („dwieście”), a oni pokiwali głowami i powiedzieli: „No jasne! ”. Wdzieli paski i sądzili, że to Rally. Ale ich kumpel nakleił kiedyś takie same paski na modelu 125 TS i nie byli pewni.

Było już ciemno, kiedy wracałem na górę pustą drogą, czując na twarzy orzeźwiająco chłodne powietrze wieczoru. Gdy Marcello pokonywał kolejne zakręty, jego reflektor wyławiał z mroku co chwila co innego: kępę drzew, strumyk bulgoczący na kamieniach, przestraszonego zająca czmychającego w zarośla. Czasami światło odbijało się od szyb samochodów stojących w niewielkich zatoczkach na poboczu i oślepiało mnie na chwilę. Wszystkie szyby samochodów były zaparowane.

Przez kolejne trzy dni robiłem sobie wycieczki w miejsca, które sugerował mi Mario, a jego pensjonat stał się moją bazą wypadową. Pierwszego dnia zdecydowałem się na krótki wyjazd do Olieny. Potem na trochę dłuższy – do Bitti, żeby zwiedzić muzeum poświęcone miejscowemu rolnictwu i kulturze ludowej. (Dla tych, którzy chcieliby tam zajrzeć, podaję nazwę: Museo della Civiltà Contadina e Pastorale). Obejrzałem sobie także gaje dębów korkowych rosnące wokół urokliwej wioski, w której domy zbudowane są z granitu – Alà Dei Sardi.

Mario był zachwycony tym, że wszystkie eskapady odbywam na vespie.

– To najlepszy sposób, żeby zwiedzać okolicę – powiedział, rozkładając ręce i robiąc głęboki oddech. – Żeby chłonąć powietrze, zapachy, atmosferę – dodawał.

Nie mogłem się z nim nie zgodzić.

Każdy dzień spędzony w Casa Solotti zaczynał się tak samo. Razem z Mariem stawałem na balkonie na tyłach domu i przyglądaliśmy się rozciągającym się przed nami górcom. Mario wskazywał bliżej nieokreślony punkt gdzieś w oddali, proponując tym samym jakieś miejsce, i przedstawiał mi jego krótką historię. Jeśli nie był pewien jakiegoś szczegółu, wracał pośpiesznie do pokoju i sięgał do jednej z licznych książek historycznych, szukając tam informacji.

Mario poprzedzał wszystkie swoje sugestie zwrotem: „moim zdaniem”, i szybko przekonałem się, że jego zdanie należy cenić bardzo wysoko. Każda taka wycieczka zapadała mi w pamięć, a szczególnie historyczne przydawały życia i konkretnemu temu, co w innym wypadku mogło być jedynie zwiedzaniem kolejnej nudnej kupy kamieni. W Su Romanzesu, kompleksie nuragów niedaleko Bitti, potrafiłem wyobrazić sobie chaty garncarzy stojące zaraz obok nich i na obrzeżach całego kompleksu rozpoznać miejsca, gdzie były stajnie. To Mario sprawił, że nieomal wczuwałem dym z prehistorycznych ognisk, które tu kiedyś płonęły.

Najbardziej podziałała na moją wyobraźnię wycieczka do Su Tempiesu, świętej studni ukrytej w górach za miejscowością Orune, pamiętającej czasy prehistoryczne. Studnia skryła się w zakamarkach zalesionej doliny. Zbudowana była z prostych kamiennych bloków ułożonych nad miejscem, gdzie tryskało źródło, którego woda – jak wierzono – miała właściwości lecznicze i pozwalała przewidywać przyszłość. Studnię odkryto dopiero w 1953 roku, kiedy potknął się o nią pewien rolnik. Wystarczył rzut oka na odciętą od świata i ludzi dolinę, by zrozumieć, dlaczego na tyle wieków o niej zapomniano.

Su Tempiesu było idyllicznym miejscem, ale najbardziej zapadła mi w pamięć podróż powrotna. Gdy jechałem wąską górską drogą, podskakując na wybojach i czując na plecach ciepło słońca, a w nozdrzach zapach polnych kwiatów, drogę zagrodziło mi stado owiec, które prowadził starszy mężczyzna w kaszkiecie na głowie i z sękatym kosturem w rękę. Zatrzymałem się, żeby je przepuścić i na długą chwilę załała mnie fala wełny i beczenia, a powietrze wypełnił ciężki zapach lanoliny i owczych odchodów. Przez ułamek sekundy czułem się, jakbym był nieomal częścią tego stada. Była to magiczna chwila, możliwa tylko dzięki temu, że jechałem vespą.

Niezawodne rady Maria dotyczyły nie tylko miejsc, które warto obejrzeć lub w których warto coś zjeść. Jeszcze w Livorno obiecałem Filippowi, że kupię mu na Sardynii nóż pasterski. Planowałem, że zrobię to w Pattadzie; tamtejsze noże pasterskie są słynne w całych Włoszech. Ale Mario powiedział, że tamtejsi wytwórcy noży strasznie się rozleniwili. Jakość ich wyrobów spadła, a ceny poszybowały w górę. Zamiast tego skierował mnie do Moleddy Coltellięgo, który miał niewielki warsztat przy Via San Nicolò w starej części Nuoro i którego noże były szczególnie poszukiwane przez tych, co znają się na rzeczy. Dzięki temu nie tylko mogłem zobaczyć mistrza Moledde przy pracy – na co już od dawna nie pozwalają producenci noży w Pattadzie – ale i zdobyłem dla Filippa piękny nóż z rękojeścią z rogu barana za ułamek ceny, którą zapłaciłbym za gorszej jakości produkt w Pattadzie.

W mój ostatni wieczór w Casa Solotti Mario zaprosił mnie na wspólne oglądanie meczu piłki nożnej. Włochy grały z Bułgarią w rozgrywkach mistrzostw Europy i wszyscy mieszkający w okolicy mężczyźni zebraли się w niewielkim barze niedaleko figury Cristo Redentore, żeby razem oglądać zmagania piłkarzy. Bar zazwyczaj zamykano o zachodzie słońca, ale tego dnia właściciel nie tylko tego nie zrobił, ale na dodatek wywlókł z wnętrza lokalu telewizor i postawił go na ławce, mogliśmy więc siedzieć przy stolikach na zewnątrz i korzystać z uroków ciepłego wieczoru.

Pizze dostarczyła Fratelli Sacchi, restauracja hotelu znajdującego się na szczycie góry. Właściciel restauracji zadzwonił do właściciela baru, kiedy pizze były gotowe, i pojechaliśmy z Mariem na Marcellu, żeby je odebrać. Gdy dotarliśmy na miejsce, podbiegł do nas gruby chłopak, który zaczął domagać się, żebym dał mu się przejechać skuterem. Miał na imię Giuseppe i Mario powiedział, że to syn właściciela restauracji. Szczerze mówiąc, domyśliłem się tego od razu. Wystarczyło spojrzeć, jaki to grubas. We Włoszech prawo jazdy na skuter można otrzymać w wieku czternastu lat i tyle właśnie kończył tego lata Giuseppe, więc zgodnie z przepisami mógł jeździć skuterem o pojemności silnika do dziewięćdziesięciu centymetrów sześciennych. Marcello miał silnik o ponaddwukrotnie większej pojemności i mocy, ale Giuseppe uparł się, że

sobie z nim poradzi. Był tak napalony, że nie miałem serca mu odmówić. Powiedziałem, że może się przejechać, ale pod warunkiem, że będę siedział z tyłu, trzymając ręce na kierownicy.

Powiem wprost: nie chciałem znaleźć się na drodze, którą będzie jechał Giuseppe, gdy dostanie już prawo jazdy. Najbardziej podobało mu się, jak Marcello przyśpieszał i zrywał się, bo wtedy głowa leciała mu do tyłu, więc bezustannie, z dzikim zapamiętaniem kręcił do oporu manetką gazu. Cały czas musiałem zmniejszać obroty i trzymać nogę na tylnym hamulcu. Było to jedyne, co mogłem zrobić, by skuter się nie rozpędził i żebyśmy nie wylecieli z drogi.

Tymczasem ojciec Giuseppe wyszedł z kuchni, niosąc nasze pizze i przyglądał się, jak jeździmy po parkingu. Myślałem, że zmartwi go nieodpowiedzialna jazda syna, ale przeciwnie – kraśniał z dumy.

– Dobrze kieruje, co? – powiedział, uśmiechając się szeroko. A na mojej twarzy pojawił się ten niewyraźny uśmiech, jaki ma człowiek, który zajrzał w oczy śmierci i ledwie uszedł z życiem.

Reszta wieczoru nie była już tak stresująca. Siedziałem pod rozgwieżdżonym niebem z ludźmi z gór, piłem piwo, jadłem pizzę i świętowałem zwycięstwo Włochów nad Bułgarią dwa do jednego. Remis Szwecji i Danii oznaczał, że Włochy nie przejdą dalej, ale i tak wszyscy schodzili do domów szczęśliwi, ciesząc się i ze zwycięstwa, i z tego, że spędzili wspólnie wieczór z kumplami.

Wracaliśmy z Mariem do pensjonatu bez kasków na głowie, rozkoszując się chłodnym wieczornym powietrzem rozwiewającym nam włosy. O tak późnej porze nie musieliśmy się obawiać czającej się gdzieś policji. Nigdzie się też nie śpieszyliśmy. Jechaliśmy spokojnie w dół krętą drogą, rozkoszując się zapachami i dźwiękami. Mario poprosił, żebym zatrzymał się przy jednym z punktów widokowych, z którego rozciągała się panorama całej doliny aż do masywu Sopramonte. Było ciemno i ledwie dostrzegałem zarys zboczy. Tylko tu i ówdzie błyskało niczym gwiazda jakieś światełko wskazujące obecność ludzi. Mario wciągnął w płuca powietrze i westchnął:

– Ta góra jest dla mnie jak matka – powiedział. Kiwnąłem głową, nic nie mówiąc. Przez trzy ostatnie dni – a zwłaszcza w tamtą noc – czułem się, jakbym i ja znalazł się w łonie tej górskiej rodziny.

Gdyby nie Marcello i możliwość przemieszczania się, którą mi gwarantował, cały ten czas spędziłbym w bezpłatnym hotelu na dole, w Nuoro. Zostałbym pewnie w tym mieście na jeden dzień, nie dłużej, i opuszczając je, miałbym o nim opinię niewiele lepszą od tej, którą wystawił mu D.H. Lawrence jakieś osiemdziesiąt lat wcześniej.

Miast tego *destino* przywiodło mnie do Casa Solotti. I podobnie jak Mario czułem, że będzie mi bardzo trudno opuścić to miejsce.



## *Cagliari*

### *Patron: święty Efiżjusz*

Z Nuoro skierowałem się na południe przez dzikie, górskie ostępy Barbagii. Nie była to najkrótsza droga do Cagliari. Prowadziła przez najbardziej odludne części wyspy, a decydując się na nią, wydłużałem podróż o kilka dni. Ale ponieważ mój nocny prom z Cagliari na Sycylię odpływał dopiero za tydzień, doszedłem do wniosku, że nie mogę opuścić Sardynii, nie ujrzawszy jej legendarnego „mrocznego wnętrza”.

Kiedy wyjeżdżałem z Casa Solotti, Mario ostrzegał mnie, że góry, w stronę których zmierzalem, są naprawdę odcięte od świata. Wyrażając się w swój charakterystyczny poetycki sposób, powiedział, że to „wyspa na wyspie”. Stanowiły jedyną część Sardynii, której nigdy nie podbili najeźdźcy. Zażarcie broniący swej niezależności mieszkańcy tych terenów do dziś nie stracili chętki na drobne akty bandytyzmu i od czasu do czasu wendetę. Ba, tego samego wieczora, gdy oglądaliśmy mecz w kawiarni na Monte Ortobene, Mario powiedział mi, że jeden z jego wujów był takim właśnie bandytą i zginął zastrzelony przez policję.

– Nie wszyscy bandyci byli źli – wyjaśnił enigmatycznie. – Niektórzy wyznawali jakąś filozofię.

Opowiedział mi historię włoskiego wydawcy Giangiacoma Feltrinello, który był przekonany, że bandyci z Sardynii to po prostu nieświadomi proletariusze i bojownicy o wolność. Feltrinelli najpierw pojechał na Kubę, gdzie zagwarantował sobie prawa do publikacji pamiętników Fidela Castro, a potem wrócił na Sycylię z gorącym pragnieniem przeobrażenia wyspy w socjalistyczny raj na Morzu Śródziemnym. Zmienił imię na Osvaldo i spotkał się z przywódcami band w Orgosolo.

– Zapytał o struktury ich organizacji, a ci mu odpowiedzieli, że są bandytami, a nie żadnymi rewolucjonistami – opowiadał ze śmiechem Mario. – A w pewnej chwili jeden z nich powiedział, że skoro zebranie już się skończyło, to proponuje wspólny wypad w jedno miejsce, gdzie można ukraść kilka owiec.

W Orgosolo sam natknąłem się na „bandytów” – dwóch chłopaków, których przyłapałem na tym, jak wsiedli na Marcella. Zatrzymałem się tam, żeby przyjrzeć się lewicowym muralom, z których słynie miasto. Chłopcy stwierdzili, że pilnowali mi skutera, i bezczelnie zażądali za swoją usługę pięciu euro. Gdy starszy wyciągał rękę po pieniądze, młodszy wciąż majstrował przy kierownicy, sprawdzając, czy da się zdjąć blokadę.

Dalej były już tylko dzikie góry Barbagii, Marcello i ja. Świadomie wybrałem hardcorową wersję trasy. Gdy dotarłem do skrzyżowania, skręciłem w drogę, która wydawała mi się rzadziej uczęszczana. W nagrodę mogłem jechać górkami serpentynami między dąbrowami i zagajnikami dębu korkowego, pośród których dziwnym trafem pojawiała się czasami jakaś winnica. No i jeszcze nagie granitowe szczyty, z których biła wrogość i które wyglądały jak nie do zdobycia. Ogólnie rzecz biorąc: zupełne bezludzie. Jediną oznaką życia były przebiegające mi sporadycznie przed kołami dziki, spłoszone dwusuwowym warkotem Marcella.



Od czasu do czasu droga biegła przez wioskę, składającą się często z zaledwie kilkunastu skromnych domów i kościółka. Pisarz Salvatore Satta porównał te zagubione w górach, odcięte od świata osady do „odległych gwiazd”. Na dźwięk silnika Marcella ludzie stawali w drzwiach domów i przyglądali mi się w milczeniu, gdy przejeżdżałem. Mężczyźni nosili robocze spodnie i kaszkiety. Kobiety miały grube czarne chusty i długie wyszywane spódnice. Wyraz twarzy jednych i drugich dowodził, że w tej części Sardynii jaskrawopomarańczowa vespa uważana była bez wątpienia za jakiś diabelski wynalazek. Zastanawiałem się, co by powiedzieli na dziewczyny w bikini leżące na plaży, które mijałem zaledwie godzinę wcześniej.

Na południe od Sorgono, w samym sercu Sardynii, górskie drogi były puste, więc zdjąłem kask i zamiast niego włożyłem słomkowy kapelusz, który kupiłem w drodze na Isola Maddalena. Wyobrażałem sobie, że dodawał mi łotrowskiego uroku, równocześnie skutecznie chroniąc przed gorącym sardyńskim słońcem.

Gdy zdjąłem kask, moja podróż wzbogaciła się o nowe doznania. Słyszałem chrzęst żwiru pod kołami i delikatne szemranie górskich strumyków. Dźwięki, które dotąd tłumiał kask, zmieniając je w jednolity szum, teraz stały się wyraziste i doskonale słyszalne. Jechałem, wciągając w płuca czyste górskie powietrze i śmiejąc się, gdy co jakiś czas słyszałem nad głową krzyk krogulca. Postanowiłem, że tak długo, jak się da, będę jechał do Cagliari bez kasku.

Ale dotarłem zaledwie do Meana Sardo, niewielkiej wioski czternaście kilometrów na południe od Sargono. Dwaj miejscowi *carabinieri*, karabinierzy, zasadzili się tam na kierowców przy drodze wychodzącej z wioski i stali, leniwie oparci o samochód zaparkowany pod drzewem. Wyższy wyglądał jak – wypisz wymaluj – Carlos z serialu *Gotowe na wszystko*. Drugi, chudszy, miał w sobie coś z Eda Nortona.

W pierwszej chwili chciałem zawrócić i uciec którąś ze ścieżek prowadzących w górę. Myślałem, że może znajdę tam jakąś starą chałupę, a w niej rodzinę, która z dziada pradziada trudni się rozbojem i która przyjmie mnie jako zbiega i swojego. Ale zamiast tego przejechałem jeszcze trzysta metrów, zatrzymałem się, zdjąłem boczną osłonę skutera i zacząłem udawać, że grzebię w silniku.

Odgrywałem swoje przedstawienie z namaszczeniem. Wykręciłem i przeczyściłem świecę. Odkręciłem pokrywę gaźnika, a potem przykręciłem ją z powrotem. Dziesięć minut później starannie poskładałem narzędzia i umieściłem je z powrotem w schowku wystudiowanym, zdecydowanym ruchem. Potem uruchomiłem silnik Marcella, włożyłem na głowę rzecz jasna kask, nie kapelusz, i ruszyłem w stronę karabinierów, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Wszystko na nic. Gdy dojechałem do drzewa, ten podobny do Carlosa dmuchnął w gwizdek i machnął na mnie ręką, żebym się zatrzymał. W jego oczach widać było znudzenie i pogardę. Ostatni raz widziałem taką minę u policjanta jako początkujący kierowca na przedmieściach Sydney.

Ponieważ cała udawana naprawa skutera nic nie dała, postanowiłem uciec się do planu B. Był on zwoźniczo prosty: miałem odegrać rolę tępego turysty nierozumiejącego ni słowa z tego, co mówi do niego policjant. Plan ten nie był pozbawiony ryzyka. Obaj karabinierzy mieli kamizelki kuloodporne z kevlaru i karabiny półautomatyczne przewieszane przez ramię. (Czyżby kierowcy na Sardynii żywili patologiczną niechęć do zatrzymywania się na żądanie policji z powodu wykroczeń w ruchu drogowym?). Dotychczasowe kontakty z włoskimi urzędnikami nauczyły mnie, że wolą oni spojrzeć na coś przez palce, niż zadać sobie jakiś dodatkowy trud. Podczas mojej pierwszej wycieczki do Włoch, kiedy wjechałem w Rzymie w ulicę zamkniętą dla ruchu kołowego, policjantka jedynie zagwizdała, ale gonić mnie już się jej nie chciało. Spytałem Carlosa po angielsku, czy mówi w tym języku – żeby uwiarygodnić to, że ze mnie cudzoziemiec, który ani me, ani be po włosku, a Carlos potrząsnął przecząco głową.

Wręczyłem mu dokumenty Marcella, mój paszport i prawo jazdy i miałem nadzieję, że mi się upieczą.

Paszport zupełnie zaskoczył Carlosa. Jak większość spotkanych po drodze Włochów wnioskował z tablic rejestracyjnych Marcella, że jestem z Livorno.

– *Australiano?* – spytał. Przytaknąłem, a on pokręcił głową ze zdumienia. Jak się okazało, miał wujka w Griffith.

Carlos przekazał moje dokumenty sobowtórówi Eda Nortona, który poszedł z nimi do samochodu i zaczął je spisywać. Carlos tymczasem otoczył mnie ramieniem i poprowadził z powrotem do skutera. Miał dla mnie przyjacielską radę. Udzielił mi jej po włosku, ale już na tyle otrząsałem się z tym językiem, że mniej więcej rozumiałem, co mówi. (Mam kłopoty z włoskim, jeśli muszę coś powiedzieć).

– Nie wiem, jak to powiedzieć po angielsku – zaczął Carlos – ale jechał pan bez kasku, a to wykroczenie.

Potem dodał coś o *questura*, komisariacie, o *multa*, mandacie, i o tym, że moje *moto*, skuter, zostanie *confiscato*, skonfiskowany, jeśli im nie zapłacę. Wtedy wrócił Ed z moimi dokumentami i przekazał je Carlosowi.

– Dobrze, że dokumenty ma pan w porządku – powiedział Carlos.

To oznaczało, że nie było konieczności, żeby musieli coś ze mną zrobić. A więc nie wlepią mi mandatu. Zamiast tego Carlos oddał mi dokumenty i życzył *buon viaggio*, udanej podróży.

Byłem tak podekscytowany tym, że mi się upiekło, że spytałem Carlosa i Eda, czy zgodziliby się pozować mi do zdjęcia z Marcellem. Chciałem mieć pamiątkę spotkania z budzącymi lęk *carabinieri* z centralnej Sardynii, a oni się zgodzili. Carlos, tak jak go prosiłem, wskazywał palcem na kask, pokazując, że mnie upomina, ale niestety uśmiech na jego twarzy znacznie osłabił wymowę tego gestu.

\* \* \*

I tak dotarłem w końcu do Cagliari. Po podróży przez górzyste tereny Sardynii czułem się, jakbym nagle znalazł się w zupełnie obcym świecie. Gapiłem się na sygnalizację uliczną i na strzeliste budynki. Wlepiałem wzrok w ludzi z tatuażami i w Afrykańczyków sprzedających podróbki torebek Louisa Vuittona z koców rozłożonych na chodniku. A kiedy w bocznej uliczce odchodzącej od Via Roma zobaczyłem karoserię spalonego samochodu, byłem przekonany, że taki los lada chwila spotka Marcella. Miałem ochotę zawrócić i uciec z powrotem w górskie ustronia.

Mój umysł zdawał się wciąż jeszcze przebywać wśród cichych i spokojnych górzystych okolic, z których właśnie wyjechałem, i moje lęki były efektem tego zderzenia światów, a nie jakiegoś rzeczywistego zagrożenia, jakie miałyby czyhać na mnie w Cagliari. Najbardziej uderzyły mnie odsłonięte brzuchy pięknych dziewcząt spacerujących ulicami. Gdy człowiek przyzwyczaił się do widoku góralek ubranych w tradycyjne, szczelnie zakrywające ciało stroje, zobaczenie kobiecego pępka było prawdziwym szokiem.

Co by nie powiedzieć, Cagliari to w rzeczywistości całkiem ładne miasto. Raczej nie „nowa Jerozolima”, jak ochrzcił je D.H. Lawrence, ale tak czy owak ładne. Rozłożyło się nad rozległą zatoką, za sobą ma góry, a z boku laguny pełne flamingów migrujących tu z Afryki. No i prócz tego ma jeszcze olśniewające urodą wybrzeże, a na nim niektóre z najpiękniejszych plaż na Sardynii.

Cagliari nie jest przesadnie duże. Liczy około ćwierć miliona mieszkańców, stłoczonych przede wszystkim w czterech niewielkich dzielnicach – Castello, Marina, Stampace i Villanova – położonych na wzgórzu wyrastającym stromo z morza. Każda z dzielnic kryje dziedzictwo róż-

nych kultur, które tworzyły jego liczącą dwa tysiące lat historię. Już wcześniej zarezerwowałem pokój z widokiem na port w A&R Bundes Jack, tanim hotelu w jednym z tych uroczych, pomalowanych na pastelowe kolory budynków przy Via Roma. Pokój miał wysokie okna z okiennicami i można było z niego oglądać bulwar z palmami, rząd zacumowanych jachtów i lśniące morze.

Hotel mieścił się w samym sercu dzielnicy Marina, którą mój przewodnik opisywał jako „tętniącą życiem”. Po tygodniu spędzonym w górach „tętniąca życiem” oznaczało dla mnie okolicę, gdzie restauracje były otwarte po ósmej wieczorem. Autorzy mojego przewodnika nie pochodzili jednak z zapadłej wsi i dla nich określenie „okolica tętniąca życiem” oznaczało, że płatanina uliczek w tej części Cagliari roiła się od barów, z których chwiejnym krokiem wychodzili pijani marynarze, wspierając się na ramionach zbyt mocno wymalowanych i zbyt skąpo odzianych dziewcząt.

Wejście do hotelu znajdowało się na końcu ocienionego arkadami zaułka i zanim do niego dotarłem, musiałem przedrzeć się przez zatłoczone tarasy kawiarni, omijając slalomem żebraków i sprzedawców podrabianych torebek. Przy wejściu do hotelu jakiś mężczyzna postawił skrzynkę z kotem i trzema myszami. Przystanąłem i gapiałem się, jak kot z beztróską miną pozwala myszom harcować tuż przed swoim nosem. Tak jak niedawno mieszkańcy górskich wiosek, którzy widzieli mnie przejeżdżającego przed ich oczyma na Marcellu, podobnie i ja teraz zastanawiałem się: „Ki diabeł?”

Na szczęście hotel A&R Bundes Jack, chociaż znajdował się w „tętniącej życiem” dzielnicy, był oazą spokoju. Mieścił się na trzecim piętrze starego budynku, a jego wystrój utrzymano w uspokajającym, białym kolorze. Mój pokój umeblowany był po spartańsku i przypominał celę mnicha, ale po dość brutalnym powrocie do wielkomięskiej rzeczywistości, było to dokładnie to, czego potrzebowałem. Niechętnie poszedłem do bankomatu w holu dworca kolejowego znajdującego się w pobliżu hotelu, żeby wybrać trochę gotówki, i zobaczyłem siedzącą na ławkach i posiadającą się rodzinę przybyłą do Cagliari najpewniej z prowincji. Skinęli głowami w moją stronę, natychmiast rozpoznając kogoś podobnego do nich, zagubionego w wielkim mieście.

Gdy zapadła noc, pojawił się kolejny problem. Panienci obsługujące teren przy barach w pobliżu hotelu opierały się co chwila o Marcella, czekając na potencjalnych klientów. W myślach słyszałem, jak mówią ponętym głosem do przechodzących obok facetów: „Wydaje ci się, że ta vespa jest seksi. To w takim razie, kotku, nie znasz jeszcze mnie!”. Odgoniłem kilka z nich, gdy jadłem pizzę pośpiesznie kupioną w jednej z restauracji znajdujących się w zaułku, ale po chwili zaczęły wracać niby koty zbierające się wokół zamkniętego w klatce skowronka.

Właścicielka hotelu poradziła mi, żebym zostawił Marcella w garażu. Była to starsza kobieta w typie „babuni” i orzekła, że moja vespa przyciąga uwagę.

– Najlepiej ją schować, żeby nie było jej widać – powiedziała, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że jeśli zostawię Marcella zaparkowanego na ulicy, rano już go tam nie będzie.

To właśnie był jeden z problemów, jaki wiązał się z podróżowaniem na jaskrawopomarańczowej vespie. Sophia też była piękna, ale jej uroda była bardziej dyskretna. Zlewała się z otoczeniem i ginęła w cieniu. Marcello natomiast był jak kamizelka odbłaskowa.

Garaż, który wskazała mi właścicielka hotelu, nie rozwiązał bynajmniej moich obaw. Mieścił się na końcu obskurnej uliczki odchodzącej w bok od Corso Vittorio Emanuele, wjazd do niego nie był w żaden sposób zabezpieczony, połowa oświetlających go jarzeniówek okazała się rozbita, a druga połowa świeciła tylko przez krótką chwilę. Jeździłem między zaparkowanymi tam samochodami przez dobre pięć minut, aż wreszcie natknąłem się na jakąś żywą duszę, to jest ciemnoskórego mężczyznę z Afryki Zachodniej sortującego na rozłożonej na betonowej posadzce tekturze podróbki torebek Louisa Vuittona.

Okazało się, że to właśnie on pilnuje tego garażu „po godzinach”. Pokazał mi, gdzie mam

zaparkować Marcella, i powiedział, żebym wychodząc, zawiesił kluczyki na dużej tablicy, obok kluczyków innych pojazdów. Zapłacić mogłem przy wyjeździe.

Nigdy nie miałem okazji rozmawiać ze sprzedawcą podróbek, więc gdy zaparkowałem już skuter, przykucnąłem przy Afrykańczyku i zapytałem, jak działa cały ten biznes. Był zaskoczony moją bezpośredniością, ale przyjrzawszy się uważnie najpierw mi, a potem Marcellowi, uznał, że jestem godny zaufania.

– Nazywam się Ibrahima i jestem z Senegalu – powiedział, wyciągając do mnie rękę i śmiejąc się charakterystycznym afrykańskim śmiechem.

Powiedziałem mu, że mam na imię Peter i jestem z Australii.

Z tego, co mówił Ibrahima, wynikało, że torby przywozi z Chin jakiś tajemniczy „inwestor” i dzieli się je na partie po trzydzieści lub czterdzieści sztuk. Wtedy poszczególni sprzedawcy kupują taką partię po ustalonej cenie i cały zysk, z jakim uda się im je sprzedać, należą do nich.

Ibrahima powiedział mi także, że większość sprzedawców podrabianych torebek pochodzi z Senegalu. Spytałem go, czy z jakiegoś szczególnego powodu przyjeżdżają właśnie do Włoch, a on odparł, że nie. Po prostu wiedzą, że ktoś z Senegalu jest już we Włoszech i tyle.

Ibrahima od czasu swojego przyjazdu przesunął się w górę w łańcuchu pośredników. Zopatrywał w torby tych swoich ziomków, którzy dopiero co przybyli do Włoch i nie mieli kapitału, żeby je kupić. W zamian za to, oprócz normalnej ceny sprzedaży, brał od nich ustaloną opłatę.

– Z początku brałem procent od ich zysków – mówił. – Ale niektórzy z chłopaków oszukiwali mnie co do ceny, za którą sprzedali torebki.

Spytałem go, co by się stało, gdyby torebki skonfiskowała policja. Roześmiał się.

– To się nigdy nie zdarzy!

Policjanci rozganiali ich, żeby zadowolić przełożonych. A jeśli rzeczywiście odbierali torebki, to Ibrahima odkupywał je od nich za „bardzo dobrą cenę”.

Gdy wychodziłem z garażu zaoferował mi torebkę z serii Monogram Multicolore. Przyłożył ją do Marcella, żeby pokazać, że świetnie się z nim komponuje. Powiedział, że torebka nazywa się Priscilla – „kobieca torebka do miasta”, jak opisywała ją oficjalna strona LV – i że pochodzi z jednej z nowych linii, które właśnie dostał.

– Dobra cena – zachwalał – bez pośredników.

Podziękowałem mu za tę ofertę, lecz odmówiłem zakupu. Marcello był macho do tego stopnia, że mógłby obnosić się z taką torebką, ale ja chyba nie mogłem sobie na to pozwolić.

\* \* \*

Następnego dnia wybrałem się na spacer po Cagliari. Na początek zamówiłem sobie *caffè macchiato* i *bombolone*, pączka, w kawiarni na Piazza Yenne i zapłaciłem tym razem z ochotą za miejsce przy stoliku na zewnątrz, przy którym sączyłem sobie kawę i grzałem się w słońcu. Moje obawy przed obcymi stopniały do tego stopnia, że nie zwracałem praktycznie uwagi na grupę punków, którzy zebrali się pod pomnikiem króla Karola Feliksa i podawali sobie porannego jointa.

Król Karol Feliks był tytułarną głową dynastii sabaudzkiej i królem Sardynii w latach 1821–1831. Tamtego ranka władca miał na sobie pelerynę w barwach klubu piłkarskiego Cagliari – czerwono-niebieską, z wyhaftowanym nazwiskiem „Zola” i numerem 10. Bo trzeba wiedzieć, że Cagliari właśnie awansowało do Serie A, czyli najwyższej ligi piłkarskiej we Włoszech. Wyciągnięte ramię króla wskazywało na cokół zwieńczony piłką, tak jakby władca zbierał wojska na bitwę przeciwko AC Milanowi, Juventusowi i innym potęgom włoskiej ekstraklasy.

Zwiedzanie miasta zacząłem od kościoła Sant’Eufisio, czyli pod wezwaniem świętego Efi-

zjusza. Ten nieoficjalny patron Cagliari był rzymskim żołnierzem pochodzącym z Azji Mniejszej, który nie chciał wyrzec się wiary chrześcijańskiej, za co został ścięty. W ciągu kolejnych wieków jego wstawiennictwu przypisywano liczne cuda. W 1652 roku ocalał miasto od zarazy, a w roku 1792 nie dopuścił do tego, by zdobyli je Francuzi. Wspomina się go co roku w maju, w czasie największego święta religijnego na Sardynii: Festa di Sant’Efigio, czyli procesji, która idzie wzdłuż wybrzeża przez czterdzieści kilometrów, od kościoła do miejscowości Nora, gdzie miała miejsce egzekucja Efigjusza.

Przecinając dzielnicę Stampace, dotarłem do ruin wykutego w skalnym zboczu rzymskiego amfiteatru na dziesięć tysięcy miejsc. Po drodze zajrzałem do garażu, żeby sprawdzić, czy nadal jestem właścicielem pomarańczowej vespy. Z zadowoleniem stwierdziłem, że Marcello stoi tam, gdzie go zostawiłem. Ibrahimi nie było, zamiast niego garażu pilnował pryszczaty chłopak, mniej więcej siedemnastoletni. Jeszcze bardziej zadowolony byłem, gdy zapytał, dlaczego tak się gapię na Marcella. Zwiedzanie zakończyłem, zamawiając sobie zestaw *turistico*, turystyczny, po ustalonej cenie w kawiarence z widokiem na Piazza Costituzione i na wspaniałe marmurowe schody prowadzące do Bastione di Saint Remy.

Czując jeszcze smak wspaniałego *risotto alla pescatora*, risotto z owocami morza, a w głowie słysząc lekki szum po wypiciu karafki wina wliczonej w cenę obiadu, rozpocząłem powolną wspinaczkę majestatycznymi schodami. Z ich szczytu Bastione di Saint Remy wyglądała jak weranda zawieszona wysoko nad miastem. I to weranda wielkości boiska piłkarskiego, przetykana palmami, z której rozciągały się niczym nieprzesłonięte widoki, ciągnące się po lśniącej w oddali, zachwycająco błękitne morze. Spoglądając na południe, w kierunku morza, czułem się, jakbym stał na skraju jednego z tych basenów, gdzie dzięki sztuczkom z perspektywą ma się wrażenie, że woda sięga aż po horyzont.

Z zachwytu wyrwały mnie hałasy dobiegające od wschodniej części wysokiego muru bastionu. Jakaś kobieta siedziała na jego krawędzi, dyndając nogami i zapowiadając, że zaraz skoczy na dół. Dwójka karabinierów próbowała odwieść ją od tego zamiaru – jeden młody, w mundurze jakby prosto od krawca, i drugi starszy, który zaciągał się papierosem dokładnie tak, jak robił to w filmach Marcello Mastroianni. Na balkonach i w oknach domów wychodzących na plac zebrali się gapię. Ponieważ byli to Włochy, każdy z przyglądających się tej scenie miał własną opinię na temat tego, co należy zrobić, i bez wahania komunikował ją światu. Połowa gapiów należała do karabinierów, żeby coś wreszcie zrobili. Druga połowa wrzeszczała do kobiety, żeby wreszcie się zdecydowała i skakała.

Mogła mieć około trzydziestki. Wyglądała na pijaną, a ciasna sukienka bezlitośnie uwydatniała jej pulchną figurę. Włosy miała upięte w wysoki kok, co upodabniało ją do tancerek ze *Słodkiego życia*, a w mojej głowie, jak zwykle, zaczęły pojawiać się różne scenariusze wyjaśniające, dlaczego znalazła się w tym miejscu. Może w jakiejś pikantnej rewii zastąpiła ją teraz młodsza dziewczyna? Może wykorzystał ją jakiś drań – niewykluczone, że jakiś macho na pomarańczowej vespie? A teraz wyrzucili ją z mieszkania, bo nie ma z czego zapłacić czynszu? Usłyszałem niewyraźnie, jak kobieta miota obelgi przeciwko Banco di Sardegna, więc całkiem możliwe, że miałem rację z tym czynszem.

Widać było, że młodszy z karabinierów nie wie, co robić, bo ganiał od radiowozu do muru i z powrotem, aż wreszcie z oczami rozszerzonymi ze strachu powiadomił przez radio dowództwo, co się dzieje. Natomiast drugi karabinier zachowywał się tak, jakby nieraz widział już takie rzeczy. Usiadł na murze kilka metrów od kobiety i zapalił papierosa. Zaciągnął się nim bezczelnie kilka razy, a potem podsunął go kobiecie. Gdy ta wyciągnęła rękę po papierosa, natychmiast chwycił ją i pociągnął ku sobie, znad krawędzi muru w stronę tarasu.

Wszystko to trwało nie dłużej niż sekundę, w czasie której sukienka kobiety podniosła

się, odsłaniając majtki, takie same, jakie nosiła Bridget Jones. (Podobnie jak wiele osób przyglądających się całej scenie, bałem się przez chwilę, że może mieć na sobie jednak coś bardziej kusego). Kobieta wyrwała się, podniosła chwiejnie na nogi i zamachnęła na karabiniera, który osłonił się ramieniem. Nie była zła, że powstrzymał ją od skoku. Wydaje mi się, że i tak nie chciała skoczyć. Rozzłościło ją, że zrobił to tak bezceremonialnie, odzierając ją z godności.

Radiowóz odjechał i gapie wrócili do swoich spraw. Ja poszedłem dalej płataniną brukowanych uliczek do dzielnicy Castello i do Cittadella dei Musei, ze słynną ekspozycją woskowych modeli anatomicznych Mostra di Cere Anatomiche. Gdy podziwiałem perfekcyjnie wykonane modele narządów wewnętrznych i różne przekroje anatomiczne – wszystkie z wielką pieczołowitością stworzone przez Clemente Susiniego w XVIII wieku – nie mogłem oprzeć się myśli, że gdyby nie szybkie działanie starszego z karabinierów, mieszkańcy Cagliari mogliby tego dnia oglądać na chodniku pod murem szczegóły anatomiczne człowieka niewykonane bynajmniej z wosku.

Niebawem nadszedł ostatni dzień mojego pobytu w Cagliari. W nocy miałem przeprowadzić się promem do Palermo, a zatem był to także mój ostatni dzień na Sardynii. Czekala mnie Sycylia, czyli zupełnie inne oblicze Włoch – pachnące cytryną i cuchnące mafijną intrygą.

Wiedziałem, że będę tęsknił za Sardynią. Wyspa była odludna i nieskażona najnowszymi zdobyczami cywilizacji, z czymś takim nie zetknąłem się dotąd we Włoszech. Kontrast między wybrzeżem z jego kosmopolityczną atmosferą, a odciętymi od świata osadami w górzystym wnętrzu wyspy sprawiał, że Sardynia zyskiwała w moich oczach intrygującą, rozdwojoną osobowość. Było w tej wyspie coś, co mnie uderzyło – i nie mam tu na myśli chmar owadów, które rozkwasały się o mnie, gdy jechałem po rozległych płaskowyżach skąpanych w morzu polnych kwiatów – i utkwilo gdzieś głęboko w duszy.

Prom na Sycylię odpływał dopiero o siódmej wieczorem. Z hotelu A&R Bundes Jack musiałem wymeldować się do jedenastej rano. Miałem dobrych kilka godzin luzu, zadzwoniłem więc do przewodniczącego klubu vespy na Sardynii.

Nie mam w zwyczaju dzwonić do ludzi z kierownictwa klubów vespy tak z głupia frant. Ale Filippo (bo tak miał na imię przewodniczący) czytał moją pierwszą książkę o podróży na wespie po Włoszech: *Z widokiem na Italię*, i tak mu się spodobała, że wysłał do mnie maila, pisząc, że gdy zjawię się w Cagliari, mam do niego zadzwonić. Największe wrażenie wywarła na mnie absolutna pewność Filippa, że nie tylko wrócę do Włoch jeszcze raz, ale że zawitam również do Cagliari. Oczywiście miał rację, ale ja tego wówczas nie wiedziałem.

Filippo mieszkał w Poggio dei Pini na przedmieściach Cagliari, na południe od lagun. Na miejsce spotkania wybraliśmy miejscowy cmentarz – bo łatwo go zauważyć, jak powiedział Filippo – i kiedy jechałem wąskim pasem lądu między wybrzeżem a płytkimi lagunami, ujrzałem dwie rzeczy, o których nie sądziłem, że je kiedykolwiek zobaczę. Pierwszą był martwy flaming na środku drogi. (Flamingi zawsze wydawały mi się zbyt egzotyczne na to, by kończyć pod kołami samochodu jak pierwsza lepsza kura). Drugim był drogowskaz prowadzący do domu spokojnej starości, reklamującego się tym, że jego pensjonariusze podlegają specjalnemu wstawiennictwu Ojca Pio. Od jego kanonizacji ojca minęło zaledwie kilka lat, a już widać było, że wszystkie jego wstawiennicze moce zostały wyprzedane.

Filippo czekał przy cmentarzu. Siedział na mocno wyeksploatowanej vespie PX, której używał do codziennej jazdy, i gdy się zbliżyłem, pomachał do mnie.

– Żona dzwoniła do mnie, że już jedziesz – powiedział. – Jechała do pracy i zobaczyła cię na drodze Sulcitana (czyli drodze krajowej przebiegającej przez Cagliari).

Jak wiele osób, których żony lub mężowie posiadają jakieś hobby, żona Filippa także nauczyła się kilku rzeczy, których nauczyć się ani nie chciała, ani nie musiała. Umiała odróżnić mo-

del GS od TS i model GT od ET i jeśli trzeba było, w każdym z nich mogłaby wymienić styki przerywacza. A teraz, jadąc do szpitala w Cagliari, w którym pracowała jako pielęgniarka, dostrzegła kątem oka model Rally 200 i zaraz chwyciła za telefon i zadzwoniła do męża.

Ze mną i Sally jest tak, że kiedy zaczynam na ulicy zwracać jej uwagę na vespy, mówi, że znowu odzywa się mój *vesbzik*. Sama wymyśliła to słowo i jest z niego niesamowicie dumna, co nie zmienia faktu, że kiedy słyszy charakterystyczny dźwięk dwusuwowego silnika też podnosi głowę i się rozgląda.

Filippo miał dwie córki, jedenastoletnią Elisabet i dziewięcioletnią Marię. Pracował w domu i opiekował się obiema dziewczynkami, gdy żona szła do pracy. Oznaczało to przede wszystkim wyprawianie ich do szkoły i odbieranie po lekcjach. Ale ponieważ we Włoszech właśnie trwała przerwa wakacyjna, zamiast tego musiał znaleźć im jakieś zajęcie na cały dzień. Dlatego dziewczynki przywiłały nas podekscytowane przed domem Filippa i potem cała trójka zaprosiła mnie do zwiedzenia Museo di Vespa mieszczącego się w podziemiach domu.

Dziewczynki były równie dumne z kolekcji taty jak on sam. Pokazały mi przywróconą do świetności vespę 125 z 1948 roku i żółtą Rally 180, zdobiącą stronę internetową Sardyńskiego Klubu Vespy. Potem wskazywały na stopy części leżące w różnych zakamarkach i informowały, z jakiego dokładnie modelu pochodzą.

Biuro Filippa mieściło się w głębi pomieszczenia pełniącego funkcję muzeum i tu także pełno było pamiątkowych akcesoriów związanych z vespą. Półka ugięła się od podręczników obsługi różnych modeli vesp i mnóstwa innych książek poświęconych tej marce, napisanych po włosku, angielsku i niemiecku. Ściany były udekorowane seriami znaczków w ramach poświęconych vespie i kartami kolekcjonerskimi umieszczanymi dawniej w paczkach papierosów. W rogu stał ogromny srebrny puchar, który klub zdobył za pokonanie najdłuższej trasy w drodze na zlot w Mediolanie. Dziewczynki nalegały, żebym zrobił zdjęcie ich tacie z pucharem w ręku.

Zaplanowaliśmy, że zjemy lunch w domu Filippa, a potem pojedziemy wzdłuż wybrzeża aż do Santa Margherita di Pula, plaży położonej zaraz za Norą, miastem, w którym ścięto głowę świętemu Efizjuszowi. Nora została opuszczona przez mieszkańców w V wieku, po tym jak spłodowali ją Wandale, a większa część ruin znajduje się dzisiaj pod wodą, zalana przez morze. Jak jednak zapewnił Filippo, sama plaża należy do najpiękniejszych na wyspie.

Potem przeszliśmy do części mieszkalnej domu, gdzie dziewczynki pokazały mi albumy ze zdjęciami wszystkich członków rodziny, no i oczywiście vesp, a potem Filippo szybko upichcił lunch. Poszperał w lodówce i wyjął stamtąd trochę krojonej wędliny, oliwę z oliwek i dziwny chleb tostowy, który we Włoszech kupuje się w paczkach. Na deser było kilka batoników Kinder Buenos. Żona Filippa przekupywała batonikami córki, żeby zachęcić je do pomocy w domu. Filippo dorzucił je do lunchu, gdyż tak jego zdaniem powinien być wyglądać zbilansowany prawidłowo posiłek. Przyznał bez ogródek, że kiepski z niego kucharz. Tak jak większość włoskich mężczyzn, tak i jego zawsze karmiła mama. Kiedy się w końcu usamodzielniał i ożenił, rolę matki przejęła żona.

Nie było to najbardziej wyrafinowane kulinarne doświadczenie z mojego pobytu we Włoszech, ale na pewno towarzyszyło mu wiele uciechy. Filippo kochał córki, a one kochały swego tatę. Było mnóstwo zamieszania i rozgardiaszu i gdy podawał kolejny talerz, zawsze towarzyszyły temu żarty i śmiech. Po akcji błagalno-naciskowej przeprowadzonej przez dziewczynki przy moim współudziale, dostaliśmy wszyscy na koniec posiłku po jeszcze jednym Kinder Bueno (ale wcześniej one musiały obiecać, że nie powiedzą o tym mamie). Przebywając z Filippem i jego latoroślami, pomyślałem sobie, że bardzo chciałbym mieć kiedyś taką więź z córką.

Na koniec Filippo poklepał się po brzuchu i obwieścił, że czas udać się na plażę. On razem z dziewczynkami pojedzie samochodem kombi z 1968 roku – bo trzeba wiedzieć, że Filippo

był także przewodniczącym klubu właścicieli samochodów kombi na Sardynii – a ja miałem jechać za nimi na Marcellu.

Nie sposób opisać piękna drogi wiodącej wzdłuż wybrzeża ku Santa Margherita di Pula. Szosa biegła obok skał tworzących linię brzegową, porośniętych od góry oliwkowo zielonym kolcolistem, a z drugiej strony było morze o niewiarygodnie turkusowym odcieniu. Każdy kolejny zakręt odsłaniał przede mną skaliste zatoczki lub plaże pokryte białym piaskiem, jedną piękniejszą od drugiej. Byliśmy zaledwie trzydzieści kilometrów od Cagliari, największego miasta na Sardynii, a miałem wrażenie, jakbym znalazł się w miejscu znajdującym się z dala od wszelkich śladów ludzkiej cywilizacji.

Nie dojechalśmy do Santa Margherita di Pula, bo Filippo powiedział, że miejscowość się zbyt skomercjalizowała. Zamiast tego zatrzymaliśmy się kilka kilometrów wcześniej, na plaży otoczonej polami, z których dopiero co zebrano siano. Jediną oznaką cywilizacji była niewielka budka, w której Filippo kupił każdemu z nas lody. Dziewczynki były przeszczęśliwe: dwa batoniki Kinder Bueno i lody tego samego dnia! Elisabet oświadczyła, że to jak dotąd najlepszy dzień jej wakacji.

Przez resztę popołudnia pływałem sobie w krystalicznie czystym morzu, przyglądając się, jak Filippo bawi się z córkami. Pomyślałem o moich dziewczynach w Londynie: Sally i mojej nienarodzonej jeszcze córeczce. Natychmiast po powrocie do Cagliari poszedłem do kafejki internetowej i jeszcze nim odpłynąłem na Sycylię, wysłałem do nich maila.

Przesłałem w załączniku zdjęcie karabinierów, Carlosa i Eda, wskazujących na kask, a Sally odpisała wcale nie pół żartem, że liczyła na większą roztropność kogoś, kto ma zostać ojcem dziecka noszonego przez nią pod sercem. A mówiąc wprost, pisała, że jeśli jeszcze raz wywinę taki numer i gdzieś się rozwalę, to osobiście odłączy mnie w szpitalu od aparatów podtrzymujących przy życiu. A Carlos tylko pogroził, że ukarze mnie mandatem...

W skrzynce czekał także inny mail, od mojego przyjaciela Roba z Sydney. Gdy jeszcze byłem w Nuoro, napisał do mnie z pytaniem, jak się czuję z myślą, że wkrótce zostanę ojcem. Odpisałem mu, że cała ta ciąża to dla mnie coś surrealistycznego.

Teraz przyszła jego odpowiedź. „No jasne, że to wszystko dla ciebie jest surrealistyczne! – pisał. – Lada dzień po raz pierwszy w życiu zostaniesz ojcem, a tymczasem jeździsz sobie po Sardynii na pomarańczowej vespie! ”.

Czytałem tego maila w kafejce internetowej w Cagliari i milcząco potakiwałem.  
Rob miał rację.





## Palermo

### Patronka: święta Rozalia

Nocny prom z Sardynii na Sycylię nazywał się „Emilia” i okazał się pływającą wersją sy-  
piącej się kamienicy czynszowej na Bronksie. Niższe pokłady były obskurne i ciemne, kabiny  
ciasne i stare, a na korytarzach słychać było stłumione odgłosy okładających się pięściami męż-  
czyzn, płaczących niemowląt, szczekających psów i uprawiających seks par. Spodziewałem się,  
że lada chwila jakiś Jimmy Ragatoni zastuka do drzwi kabiny i poprosi o *pizzo*, czyli drobną ła-  
pówkę za to, żeby nic mi się nie stało w czasie rejsu.

Na górnych pokładach było równie ponuro. Wykładzina na podłodze przecierała się,  
a ze ścian oblażyła farba. Ekran samotnego telewizora w części rekreacyjno-rozrywkowej śnieżył,  
nawet automaty do gier hazardowych nie działały. Jedyne miejsce, w którym można było kupić  
kawę – brudne stanowisko z ekspresem w głębi sali – zostało zamknięte pół godziny po odbiciu  
od brzegu.

Na „Emilii” panowała taka nuda, że pozostało mi tylko gapić się przez większą część no-  
cy na czarno-białe fotografie wiszące wzdłuż korytarza prowadzącego do stanowiska głównego  
stewarda i przedstawiające poszczególne etapy budowy statku. Uśmiechnąłem się, widząc, że  
uwiecznieni na nich robotnicy ubrani byli jak statyści, którzy dopiero co zeszli z planu *Gangów  
Nowego Jorku* Martina Scorsese.

Większość pasażerów promu stała na pokładzie z komórkami w dłoniach, gorączkowo  
esemesując do swoich bliskich lub rozmawiając z nimi. W pierwszej chwili myślałem, że nie do-  
słyszałem jakiegoś komunikatu, że mamy natychmiast opuścić statek. Desperacja, z jaką ludzie  
wokół mnie próbowali skomunikować się z osobami na lądzie, nasuwała mi na myśl podejrzenie,  
że na pewno przydarzyła się nam jakaś katastrofa – pożar w maszynowni albo zdradziecka góra  
lodowa na samym środku Morza Śródziemnego.

Ale było jeszcze gorzej. Po prostu zanikał sygnał i statek miał się znaleźć w zasięgu jakie-  
goś masztu z przekaźnikiem, dopiero gdy zbliżymy się do Palermo. Włosi cały czas chodzili  
po pokładzie, szukając miejsca, gdzie jeszcze można było nawiązać połączenie, aż wreszcie  
wszyscy znaleźli się na rufie, wpatrując się w swoje milczące telefony.

\* \* \*

Rejs do Palermo na Sycylii zgodnie z planem miał trwać ponad trzynaście godzin. Chcia-  
łem przespać większą część podróży, ale nie udawało mi się zasnąć, bo ktoś w sąsiedniej kabine  
cały czas walił w ścianę i wrzeszczał po włosku: „Zamknij się, do jasnej cholery! ”. W zaśnięciu  
nie pomagało także ciągle splukiwanie muszli w ubikacji, którą miałem zaraz po drugiej stronie  
kabiny, na wysokości głowy. Spluczka wydawała głośny, zasysający dźwięk, taki sam, jaki sły-  
chać w toaletach w samolotach. Poza tym trzeba dodać, że była to jedyna toaleta w tej części stat-  
ku. Chociaż dobijaliśmy do brzegu dopiero o wpół do dziewiątej rano, pasażerowie zaczęli swoje  
poranne ablucje na długo przed świtem.

I to wyjaśnia, dlaczego od dawna byłem już na pokładzie, kiedy zbliżyliśmy się do Palermo.

Widok był piękny. Morze wyglądało jak wypolerowane i lśniło platynowym połyskiem, jego tafla nie marszczył żaden powiew wiatru. Monte Pellegrino wznosiło się władczo nad miastem przybrane w koronę z porannej mgły, a w oddali ciągnęło się pasmo gór, których zbocza żarzyły się w blasku wschodzącego słońca. W porcie pełno było niebieskich drewnianych łodzi wiosłowych, a na brzegu siedziało kilku mężczyzn, leniwie moczając wędki. Jedynym, co przypominało o burzliwej historii miasta – Palermo to podobno najczęściej najeżdżane miasto w Europie – był stłumiony odgłos wystrzału armatniego z fortu na zachód od portu.

Wciągnąłem w płuca przesycone zapachami morskie powietrze i poczułem się jak nowo narodzony. To taka chwila podróży, która zostaje w nas na zawsze, ulotny moment, gdy widoki, dźwięki i zapachy w czarodziejski sposób łączą się w jedno. Ale równocześnie ogarnęła mnie tęsknota, bo wiedziałem, że tę chwilę powinienem być dzielić z Sally.

Wkrótce pokład zaczął zapełniać się pasażerami. Wyciągali w różne strony ręce z telefonami, próbując zorientować się, gdzie jest najsilniejszy sygnał. Już od jedenastu godzin nie mieli zasięgu i potrzebowali SMS-a lub rozmowy jak narkoman działki. Gdy mijaliśmy *diga foranea*, falochron, znaczący wejście do głównego portu, telefony obudziły się, piszcząc jak szalone, pełne wiadomości od ludzi, którzy zastanawiali się, gdzie też u diaska podziali się ich znajomi i przyjaciele. Ulga, jaką poczuli pasażerowie, była wręcz namacalna. Śmiali się bądź uśmiechali promiennie, jakby lekarz powiedział im, że na szczęście operacja została odwołana i nie trzeba amputować nogi.

Na moją komórkę też dotarł SMS od Sally, która pisała, że poszła spać wcześniej i miała spokojną noc.

Przed wyjazdem z Cagliari zarezerwowałem sobie pokój w małym hotelu w Palermo, który nazywał się Cortese. Był wciśnięty między inne budynki za Chiesa del Gesù, kościołem Najświętszego Imienia Jezus, w południowej części miasta. Kilka godzin bezsennej nocy na promie płynącym przez Morze Tyrreńskie z Sardynii na Sycylię spędziłem z mapą w ręku, starając się wytyczyć najlepszą trasę dojazdu do hotelu.

Wydawało się, że najszybciej dotrę na miejsce, jadąc najpierw Via Francesco Crispi na Piazza Marina, rynek w starej części miasta, gdzie w średniowieczu występy dawały trupy teatralne i gdzie odbywały się turnieje i publiczne egzekucje. Potem powinienem jechać na południe Via Vittorio Emanuele, następnie przy Fontana Pretoria skręcić w lewo, w Via Maqueda, a w końcu pognać prosto Via dell'Università. Wszystko to wydawało się podejrzanie łatwe i od razu wiedziałem, że musi się skończyć jakąś katastrofą.

Okazało się, że plan Palermo w moim przewodniku nie uwzględniał tego, że większość ulic w mieście jest jednokierunkowa. Skutkiem tego na wybranej trasie musiałbym zawsze jechać pod prąd. Przewodnik nie informował także, że w soboty (a była właśnie sobota) ulice wokół mojego hotelu są zamknięte dla ruchu, bo odbywa się tam cotygodniowy targ Balerò i wszędzie stoją stragany. Kiedy wreszcie prawie dotarłem na miejsce – znajdowałem się zaledwie o przecznicy od hotelu – drogę zagroziły mi setki straganów stojących ciasno jeden obok drugiego pod mierzem sfatygowanych płóciennych parasoli, spod których sprzedawano plastikowe durszlaki, majtki w rozmiarach XXL i od czasu do czasu świeżo złowionego tuńczyka.

Ulice, którymi planowałem pierwotnie jechać, zmieniły się teraz w wąskie przejścia, tak ciasne, że ludzie ocierali się o siebie przy wymijaniu. Od czasu do czasu zawartość straganu wysypywała się na ulicę i wtedy przechodzący musieli przeskakiwać stos karczochów lub melonów. Ponieważ do hotelu było stąd zaledwie kilkaset metrów, postanowiłem przypiąć Marcella łańcuchem do latarni, przenieść bagaż przez ten ostatni odcinek drogi i wrócić po skuter wieczorem,

gdy nie będzie już straganów.

W pewnej chwili kątem oka dostrzegłem, że kierowca jakiegoś skutera wjechał między stragany i zaczął się powoli przeciskać między nimi, torując sobie drogę wśród tłumu. Spodziewałem się, że wszyscy zaczną go rugać, a może nawet rzucą się na niego, ale przeciwnie, ludzie rozstępowali się, umożliwiając mu przejazd. Właściciele straganów, których zawartość wysypała się na ziemię, natychmiast sprząтали swój towar, robiąc mu miejsce. Pomyślałem, że to jakiś jednostkowy przypadek i że człowiek na skuterze to pewnie ktoś, kto pobiera opłatę za handel na tym targowisku. Ale w ciągu kilku następnych minut spostrzegłem jeszcze parę innych skuterów, które zanurzyły się w tłum. Spróbowałem pójść w ich ślady.

I na tym właśnie polega cały urok vespy. Nie jest szersza od człowieka i jest od niego niższa. Wszędzie tam, gdzie może dotrzeć człowiek, teoretycznie może dotrzeć i vespa.

Takie zresztą było założenie zlecenia projektowego, które otrzymał Corradino D'Ascanio, inżynier lotnictwa, twórca vespy. Zaraz po wojnie większość Włochów mieszkała w miasteczkach i wioskach pociętych płataniną ciasnych uliczek i zaułków. Zaprojektowanie taniego i funkcjonalnego środka transportu, który jednak nie byłby w stanie dowieźć nas pod drzwi domu, miało się z celem. A te hipotetyczne drzwi mogły przecież znajdować się na końcu wąskiego przejścia między budynkami postawionymi jeszcze w średniowieczu. Albo też, jak w moim wypadku, po drugiej stronie sobotniego targowiska.

Przegazowałem kilka razy Marcella, wziąłem głęboki oddech i ruszyłem przed siebie. Nie szło mi tak dobrze jak miejscowym kierowcom, ale jakoś dawałem sobie radę. Jadąc, potrąciłem kierownicą jeden z melonów leżących na straganie, ale na szczęście właścicielka straganu wykazała się refleksem i złapała go, zanim spadł na ziemię. W jednym miejscu musiałem się zatrzymać, bo kierowca innego skutera wyładowywał z niego lód przywieziony do stoiska, gdzie sprzedawano tuńczyka. (Chór kasłających znacząco osób dał mi do zrozumienia, że czekając na wyładunek lodu, powinienem wyłączyć silnik). Ale po chwili już manewrowałem między plastikowymi durszlakami i radioodbiornikami z kiepskiej jakości plastiku, tak jakbym się urodził w Palermo i co sobotę przeciskał się przez targowiska.

Do jedynego spięcia doszło, kiedy przejechałem po tureckim dywanie. Właściciel stoiska z dywanami nie chciał go odsunąć, za moimi plecami utworzyła się kolejka i ludzie dość brutalnie naciskali na mnie, żebym jechał. Natychmiast uświadomiłem sobie, że przynaglają mnie, żebym przejechał po dywanie dla własnej rozrywki. I rzeczywiście, kiedy to zrobiłem, właściciel straganu zerwał się i zaczął mnie gonić, wymachując pięścią, co wszyscy przyglądający się tej scenie przyjęli ze śmiechem.

Dziesięć minut później wyjechałem po drugiej stronie targowiska napompowany adrenaliną jak rzadko kiedy. Były to jedne z najbardziej ekscytujących minut mojej podróży po Włoszech. Miałem ochotę zawrócić i przejechać przez targowisko jeszcze raz, dla samych towarzyszących temu emocji.

Odnalazłem hotel na rogu cichej uliczki zaraz po drugiej stronie targowiska. Wdrapałem się po marmurowych stopniach z sercem jeszcze bijącym po slalomie między straganami i z radosnym *grazie molto*, dziękuję bardzo, odebrałem od kierownika hotelu klucz do *camera cento dodici*, czyli pokoju sto dwadzieścia.

Pokój dopiero co wysprzątało i sprzątaczką zostawiła nawet otwarte drzwi, widząc, że nadchodzę. Był zaskakująco duży jak na jedynekę i natychmiast rzuciłem się na ogromne łóżko, rozkoszując się tym, że tak mi się poszczęściło. Wziąłem szybki prysznic, a potem zapuściłem się w płataninę uliczek Palermo, kierując się w przeciwną stronę niż ta, z której nadjechałem, ku Chiesa del Gesù i wąskim zaułkom w południowej części miasta.

Złoty wiek Palermo rozpoczął się w 831 roku, kiedy miasto dostało się w ręce Arabów.

Przez następne dwieście lat i później, gdy rządili tu Normanowie, uważane było za jedną z najważniejszych europejskich metropolii. Gdy chodzi o piękno, rywalizowało o palmę pierwszeństwa z Kairem i Kordobą, a tutejsze ośrodki zdobywania i przekazywania wiedzy uważane były w tamtym czasie za najznakomitsze. Arabskie wpływy widoczne są po dziś dzień w architekturze kościołów; ich świadectwem są także palmy zdobiące parki i ulice.

Miasto rozkwitło ponownie w XVII i XVIII wieku, w okresie baroku. Wpływ tego stylu widać w bogatych zdobieniach budynków i świeckich, i sakralnych, takich jak kościoły Santa Ci-ta i San Domenico.

Strategiczne położenie Palermo – na środku Morza Śródziemnego – sprawiło, że w czasie II wojny światowej miasto stało się celem intensywnych nalotów. Z dawnej chwały pozostało niewiele, a to, co zniszczyły bomby, odbudowano pośpiesznie i byle jak. Fundusze przeznaczone na restaurację zostały wyprowadzone z kasy miasta przez mafię. Dzisiaj, sześćdziesiąt lat po wojnie, ludzie wciąż żyją w domach skleconych naprędce obok lejów po bombach zrzuconych przez aliantów przed ponad sześćdziesięcioma laty.

Pomimo tego – a może właśnie z tego powodu – natychmiast poczułem sympatię do tego miasta. Miało energię, miało *brio*, ikrę, jego mieszkańcy żyli terażniejszością, nie przygotowując się z namaszczeniem do jakiejś wspaniałej przyszłości, która może, aczkolwiek wcale nie musi, nadejść. Przejeżdżałem obok mężczyzn sprzedających buty wprost z bagażników samochodów, obok straganów z jedzeniem ustawionych w sypiących się ruinach budynków i obok kobiet wychylających się z okien domów i oferujących haftowane obrusy (następnie taki ładnie zapakowany obrus podawały między czarnymi i różowymi proporczykami lokalnej drużyny piłkarskiej zwisającymi ze sznurów rozciągniętych między budynkami).

Większość osób przyjeżdżających do Palermo rozpoczyna zwiedzanie miasta od Teatro Massimo ze wspaniałymi kamiennymi schodami, gdzie Francis Ford Coppola kręcił pełne dramatyizmu, końcowe sceny trzeciej części *Ojca chrzestnego*. Inni idą prosto do Palazzo dei Normanni, by podziwiać zdobiące go arabskie ornamenty oraz zachwycać się mozaikami i freskami w Cappella Palatina, kaplicy uważanej przez wielu za perłę w koronie Palermo.

A ja? Ja ruszyłem do katakumb kapucynów przy Via Cappuccini. Chciałem sobie obejrzeć zmumifikowane za sprawą suchego powietrza ciała ośmiu tysięcy dawnych mieszkańców Palermo.

Zakon kapucynów chyba szczególnie upodobał sobie urządzenie wystaw z ludzkich szczątków. W kościele Santa Maria della Concezione dei Cappuccini w Rzymie można obejrzeć różne przedmioty wykonane przez mnichów z kości zmarłych współbraci. Tu kompletnie ubrane zwłoki zakonnicy zawiesili w niszach w długich podziemnych halach, co stanowiło dość makabryczną, ludzką wersję tapety z motywem latających kaczek.

Zwyczaj ten zapoczątkowano w 1599 roku. Przez mniej więcej pierwsze sto lat takiego zaszczytu dostąpić mogły tylko zwłoki zmarłych członków zakonu. Wkrótce jednak wieść o niecodziennych pochówkach rozeszła się i od dobroczyńców klasztoru zaczęły nadchodzić prośby, aby i ich ciała zostały dołączone do tej niezwyklej galerii. Pierwszą świecką osobą tak pochowaną był Don Carlo Formatura, arystokrata z Palermo. Wkrótce po jego pogrzebie katakumby, które stały się znane jako „wielki cmentarz kapucynów”, udostępniono także zwykłym ludziom. Zainteresowanie było tak ogromne, że trzeba było cały teren podzielić na sekcje: osobno mnisi, mężczyźni, kobiety, przedstawiciele poszczególnych zawodów, księża.

Każdego zmarłego przygotowywano do wiecznego spoczynku w tym miejscu w ten sam sposób. Ciała umieszczano w celach usytuowanych wzdłuż przejść zwanych *sitami*. Panujące tam warunki sprawiały, że zwłoki wysychały. Osiem miesięcy później ciała wynoszono z cel i zanurzano w occie. Potem zakładano im ubrania, które zmarli przygotowali sobie wcześniej na tę oka-

zję, i umieszczano w niszach w pobielanych ścianach, w części katakumb odpowiedniej dla płci i stanu nieboszczyków. Mężczyźni mieli krawaty i garnitury. Kobiety ubrane były w swoje najlepsze sukienki, odpowiednio wypchane sianem, by wyglądało, że ciągle mają piersi.

Zakonnicy odpowiedzialni za ekspozycję ciał ustawiali je dla zabawy w taki sposób, jakby zmarli angażowali się w jakąś czynność. Zwłoki dwóch mężczyzn umieszczono naprzeciw siebie tak, żeby sprawić wrażenie, że są oni zajęci rozmową. Inne zwłoki miały ręce oparte na biodrach, tak jakby dana osoba śmiała się do rozpuku. Jeszcze innym zwłokom rozszerzono na siłę usta, przez co wyglądały, jakby krzyczały, bo właśnie przytrzasnęły sobie nogę drzwiami. Kapitanowie statków mieli nakrycia głowy upodabniające ich do Johnny'ego Deppa w *Piratach z Karaibów*. Dla dzieci przeznaczono osobną część katakumb, ich zwłoki ubrane w różnorodne stroje wyglądały jak kolekcja makabrycznych lalek.

Zwłaszcza widok zmarłych dzieci bardzo mnie poruszył. Nie byłem jeszcze ojcem, ale myśl o tym, że mógłbym stracić kilkuletnią córeczkę, która dopiero miała się narodzić, wywołała we mnie bolesny skurecz. Przyglądając się szczątkom matki i córki ubranym w podobne sukienki, białą i niebieską, zastanawiałem się, jak straszne musi to być doświadczenie.

Kiedy tak stałem pogrążony w myślach, jakiś zakonnik zapytał mnie o coś po włosku. Nie słyszałem, jak podchodził, i aż podskoczyłem ze strachu. Przeprosił, że mnie tak przestraszył, i powtórzył pytanie, tym razem po angielsku:

– Czy ona do ciebie przemawia?

W pierwszej chwili myślałem, że należy to rozumieć metaforycznie i odparłem, że tak, widok tych ciał uświadomił mi jeszcze bardziej własną śmiertelność i wielką odpowiedzialność, która czekała mnie jako ojca. Zakonnik pokręcił przecząco głową i wskazał na usta kobiety.

– Nie o to chodzi – powiedział z naciskiem, a potem dodał: – Czy ona coś ci powiedziała?

Widząc, że nic nie rozumiem, mnich poinformował mnie, że nazywa się brat Benedetto, pochodzi z Trápani i odpowiada za odurzanie zwłok. Najwidoczniej kobieta, przed którą się zatrzymałem, była „gadającą mumią”.

„Gadającymi mumiami” ludzie nazywali takie zwłoki, które w ich przekonaniu potrafiły komunikować się z żywymi. Ta gadająca mumia po raz pierwszy rozmawiała z młodym buntownikiem o imieniu Carlos, w czasach gdy w Palermo rządzą Hiszpanie.

– Carlos uciekał przed Hiszpanami i schronił się w katakumbach – wyjaśniał mi Benedetto. – Tu został schwytany i stąd żołnierze powlekli go na Piazza Marina, gdzie go powieszono.

Carlos wiedział, jaki los go czeka, i pytał, czym dla zmarłych jest modlitwa.

– Powiedziała mu, że jest jak ciepłe marcowe słońce – mówił dalej. – Jak ładny, słoneczny dzień, który przychodzi po deszczowej zimie.

Okazało się, że wśród zwłok było całkiem sporo takich „gadających mumii”. Większość po prostu ucinała sobie pogawędki ze zwiedzającymi, ot tak, dla zabicia wieczności. Inne, takie jak ojciec Urban z Monreale, przez całe swoje pośmiertne życie utyskiwały, że nie zostały świętymi.

– Mówi, że to dlatego, że bractwo nigdy nie odprawiło za niego mszy, którą było mu winne.

Spytałem brata Benedetto, czy wierzy w to, że te zwłoki coś mówią, ale ten wzruszył ramionami.

– Najczęściej ludzie to sobie wyobrażają – powiedział. – Czasami sznury, którymi mumie są przewiązane w pasie i które są przymocowane do ściany, przesuwają się, co sprawia, że zwłoki się poruszają. A niektórzy myślą, że zmarli nachylają się do nich, żeby powiedzieć im coś do ucha.

„Gadające mumie” to nie jedyne nadprzyrodzone zjawisko, z którego słyną katakumby.

W 1646 roku w Palermo zapanowała potworna susza. Mieszkańcy miasta wyruszyli we wspólnej procesji, by sprowadzić deszcz. Gdy mijali klasztor kapucynów, dołączyło do nich czterdziestu czterech zakapturzonych zakonników. Kiedy spadł deszcz, delegacja z ratusza wybrała się do klasztoru, żeby podziękować braciom za udział w procesji. Ci jednak nie wiedzieli, o czym mówią ludzie z miasta.

Zostawiłem brata Benedetta z szufelką i zmiotką i skierowałem się do podziemnej kaplicy, w której spoczywały szczątki zmarłej w wieku dwóch lat Rosalii Lombardo.

Ostatnią pochowaną tu osobą, której ciało zakonserwowano przy użyciu dawnych, tradycyjnych metod, był brat Riccardo z Palermo. Jego szczątki złożono do katakumb w roku 1871. Ale ciało zmarłej w 1920 roku Rosalii zabalsamowano przy użyciu nowych technik opracowanych przez doktora Salafię. Za ich sprawą Rosalia leżała teraz w otwartej trumnie niczym doskonale zachowany woskowy model, wyglądając dokładnie tak jak w chwili śmierci.

Sądzi się, że w ciało zmarłej dziewczynki wstrzyknięto różne substancje chemiczne, nikt jednak nie wie dokładnie jakie, bo doktor Salafia zabrał tę tajemnicę do grobu. Jeśli brać pod uwagę to, że cera Rosalii ma niepokojąco pomarańczowe zabarwienie, może to i dobrze.

Resztę pierwszego dnia pobytu w Palermo spędziłem na zwiedzaniu mniej niesamowitych miejsc. Zatrzymałem się przy pałacu królewskim zbudowanym przez Normanów, żeby zobaczyć zdobiące go mozaiki, a zwłaszcza tę w głównej apsydzie, przedstawiającą Chrystusa Pantokratora. (Podziwiając ją, przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powinienem był jednak zostać księdzem). Potem obejrzałem Fontana Pretoria z jej nagimi posągami, ze względu na które nazywano ją też Fontanną Wstydu.

Potem chciałem zobaczyć świeżo odrestaurowane wnętrza Teatro Massimo, ale pojawił się problem. Dziewczyna sprzedająca bilety poinformowała mnie, że zwiedzanie z przewodnikiem mówiącym po angielsku będzie możliwe, jeśli pojawi się więcej osób mówiących w tym języku. Poproszono mnie, żebym usiadł sobie we foyer i poczekał, aż zjawi się dziewięć takich osób, ale ja zamiast czekać postanowiłem spenetrować Palermo na Marcellu.

Wkrótce przekonałem się, że jazda jaskrawopomarańczową vespą Rally 200 traktowana jest tu przez miejscowych kierowców skuterów jako zaproszenie do wyścigu. Młodzi Sycylijczycy dojeżdżali do mnie, gdy stałem na światłach, przegazowywali swoje skutery i ruszali z piskiem opon, gdy robiło się zielone. Był to miejscowy odpowiednik zachowania, jakie wiele razy obserwowałem w Australii, kiedy to chłopaki w podrasowanych fordach rzucali wyzwanie kierowcom porsche.

Wiedziałem, że mój skuter ma dość mocy, by ich prześcignąć. Większość tych, którzy ustawiali się obok mnie, siedziała na modelu PX, trochę kanciastej, ale solidnej vespie produkowanej od 1977 roku. Marcello był modelem Rally 200, uważanym przez znawców za hot roda wśród vesp. Modele PX były w stanie osiągnąć sto kilometrów na godzinę. Marcello sto szesnaście. Ale jako przyszły ojciec wybrałem bardziej odpowiedzialne zachowanie i godnie przyjmowałem porażkę i drwiące uśmiechki tych, co zostawiali mnie za sobą, dobrze wiedząc, że gdybym chciał, Marcello pokonałby ich bez trudu.

Kiedy wróciłem do hotelu Cortese, okazało się, że nie mogę wejść do swojego pokoju. Klucz wchodził do zamka, ale nie chciał się przekręcić. Spojrzałem na zawieszkę przy kluczu. Widniał tam numer „112”. Wróciłem do recepcji i uśmiechając się z pobłażliwością do kierownika hotelu z powodu jego pomyłki, wręczyłem mu klucz. Kierownik spojrzał na mnie jak na wariata.

– *Si, cento dodici*, sto i dwanaście – powiedział. – To pański pokój.

O cholera. Kiedy się meldowałem, byłem pewien, że powiedział sto dwadzieścia. Po trzech tygodniach podróży do tego stopnia podciągnąłem się we włoskim, że nie trzeba mi już

było wszystkiego powtarzać, żebym zrozumiał. Byłem tak dumny z moich umiejętności, że nie zadałem sobie trudu, żeby porównać, to, co moim zdaniem powiedział kierownik, kiedy wręczał mi rano klucz, z numerem na kluczu.

Angielski kierownika był mniej więcej na poziomie mojego włoskiego, ale z pomocą moich rozmówek i jego słownika włosko-angielskiego, który miał na recepcji, wyjaśniłem mu, co zrobiłem. Sytuacja była tak niedorzeczna, że musiała upłynąć długa chwila, nim zorientował się, co starałem się mu powiedzieć. Pokój sto dwadzieścia to była dwójka. Każdy baran by to zauważył. Kiedy wreszcie uświadomił sobie rozmiar mojej głupoty, zasapał z niedowierzaniem.

Powiedziałem mu, że dopłacę za dwójkę, ale to nie wchodziło w grę. Pokój zarezerwowano jakieś małżeństwo z Rzymu i mogli zjawić się w hotelu w każdej chwili. Kierownik poszedł razem ze mną do pokoju sto dwadzieścia i cmokając z niezadowolenia, pilnował, żebym jak najszybciej pozbierał swoje rzeczy i się wyniósł. Potem wrzasnął na klatkę schodową na sprzątaczkę, żeby migiem posprzątała pokój. Ona spojrzała na mnie jeszcze bardziej złowieszczo niż kierownik i wymruczała pod nosem coś po włosku. Wydaje mi się, że było to coś w rodzaju „co za durny cudzoziemiec”, ale ponieważ zupełnie przestałem wierzyć w to, czy cokolwiek rozumiem po włosku, nie jestem pewien.

Następnego dnia była niedziela. Korzystając z ładnej pogody, postanowiłem iść śladem chyba wszystkich mieszkańców Palermo i pojechać do Mondello, nadmorskiej miejscowości wciśniętej między Monte Pellegrino a Monte Gallo, dziesięć kilometrów na północ od miasta.

Mondello stało się celem letnich wypadów mieszkańców Palermo już w XIX wieku, kiedy to bogacze zaczęli tam budować swoje wspaniałe zdobione wille w stylu art nouveau. Było to swego rodzaju miasto-ogród, miejsce, do którego ludzie uciekali przed letnim skwarem. Także dziś mieszkańcy Palermo chętnie udają się tu na swoją *passeggiata*, przechadzkę.

Pojechałem piękną trasą widokową przez Monte Pellegrino. Od Acquasanta droga pięła się ostro w górę zakosami i rozciągały się z niej wspaniałe widoki na miasto. Po raz kolejny z ogromnym zadowoleniem przyjąłem to, że Marcello ma taki mocny silnik. Skuter rwał pod górę jak rozbrykany psiak i kiedy dotarliśmy do Santuario di Santa Rosalia na samym szczycie, miał jeszcze mnóstwo energii.

Święta Rozalia to patronka Palermo. Była oddaną Bogu siostrzenicą Wilhelma II Dobrego i w 1159 roku uciekła w góry, wyrzekając się świata. Sanktuarium świętej to niewielka kaplica w grocie, w której pięć wieków później odkryto jej zwłoki. To odkrycie zbiegło się z końcem zarazy, która pustoszyła Palermo, co niektórzy odczytali jako cud i od tej pory pamiątkę tego wydarzenia obchodzi się dwa razy w roku, organizując z tej okazji wspaniałą paradę.

Podobnie jak w wypadku większości sanktuariów we Włoszech, także i tutaj przed wejściem stały stoiska z dewocjonaliami, gdzie mogłem kupić sobie kolejny magnes na lodówkę do przymocowania po wewnętrznej stronie pokrywy schowka Marcella. Chciałem zobaczyć figurę świętej Rozalii, którą sam Goethe opisał jako „bardzo naturalną i przyjemną dla oka”, albo zanurzyć dłonie w cudownym źródle bijącym we wnętrzu groty. Ale i przy figurze, i przy źródleku był ogromny tłok, a poza tym przy ołtarzu piętrzył się stos banknotów, więc wiedziałem, że nie obeszloby się bez sowitej ofiary.

W tej sytuacji ścieżką biegnącą za grota i kaplicą udałem się na szczyt Monte Pellegrino. Tam też stała figura świętej Rozalii. Usiadłem przy niej i spojrzałem w kierunku Mondello. Było tu cicho i spokojnie, nie tak hałaśliwie jak niżej, w kaplicy, a w powietrzu unosił się zapach lawendy. Zrozumiałem, dlaczego Rozalia tak lubiła tu przesiadywać.

Natomiast na słowo „Mondello” Rozalia pewnie przewraca się w grobie. Włosi w każdym wieku, duzi i mali, grubi i chudzi, a wszyscy w pewnym stopniu roznegliżowani, przechadzali się ulicami tej miejscowości, z głośnym mlaskaniem jedząc lody. Na niewielkiej piaszczystej plaży



łoczyły się ustawione w półkola (dla lepszego wykorzystania miejsca) kosze plażowe, a pośród nich leżeli na piasku mieszkańcy Palermo: babcie, dziadkowie, całe rodziny, małżeństwa, dzieci, nastolatki. Wszyscy mieli ten sam orzechowo brązowy kolor skóry.

Na ulicy biegnącej wzdłuż plaży stały jedna za drugą budki z lodami i skutery przybyłych tu plażowiczów. W pewnej chwili zobaczyłem chłopców biegnących obok skuterów, którzy uruchamiali alarmy, ruszając kierownicami. Potem ze śmiechem obserwowali, jak na plaży zrywał się ten czy ów i w kąpielówkach, z piaskiem na brzuchu biegł w stronę skutera. Kiedy dotarł do mojego Marcella, przystanęli i przyglądali mu się z podziwem, a kiedy zobaczyli, że ich obserwuję, obiecali mi, że nie będą dotykać takiej *bella moto*.

Ja też kupiłem sobie lody i ruszyłem spacerkiem w stronę portu w południowej części Mondello. W tym miejscu łatwiej było wyobrazić sobie, jak wyglądała ta miejscowość, zanim zaczęły ją zalewać masy przybyszów z Palermo – była małą rybacką wioską skupioną wokół sypiącej się XV-wiecznej wieży. Pomalowane na jaskrawe kolory łodzie rybackie spokojnie unosiły się na wodzie, a nad wszystkim górowało majestatyczne Monte Pellegrino. Skończyłem jeść lody zadowolony, że znalazłem takie nadmorskie Włochy, jakie chciałem zobaczyć.

Następnie wybrałem najkrótszą drogę powrotną do Palermo. Przy trasie wyjazdowej z Mondello stali karabinierzy i polowali na osoby jadące bez kasku. Włochy, jako członek Unii Europejskiej, były zobowiązane egzekwować przepisy, na które dotąd przymykano oko. Kilkunastoletni chłopcy na skuterach nie przejmowali się zbytnio Brukselą, bo co i rusz któryś z nich przejeżdżał bezczelnie na pełnym gazie obok karabinierów – bez kasku! – śmiejąc się głośno, gdy ci, dmuchając w gwizdki, nakazywali mu się zatrzymać.

Mnie zatrzymali, chociaż miałem kask. Wydaje mi się, że wyglądający na udręczonego policjant wyciągnął rękę w moją stronę, bo doszedł do wniosku, że skoro mam kask, to będę posłuszny stróżom prawa. Przejrzał szybko moje papiery, a potem, wzdychając ze zrezygnowaniem, wręczył mi je z powrotem i kazał jechać dalej. Przyszło mi do głowy, że zatrzymując mnie i kontrolując moje dokumenty, miał poczucie, że nie zmarnował niedzieli, ale nie jestem tego pewien.

Wieczorem spotkałem się z Sergiem, przyjacielem Marca. Sergio był malarzem i Marco uważał, że świetnie spisze się w roli przewodnika po Palermo.

– Sergio pokaże ci to miasto tak, jak widzi je artysta – powiedział Marco.

Malarz okazał się być moim rówieśnikiem: opalonym, muskularnym i ogolonym na łyso. Na czole miał stylowe okulary przeciwsłoneczne, chociaż już dawno zapadł zmrok. Nie zdjął ich do końca wieczoru.

Spotkaliśmy się na stopniach prowadzących do Teatro Massimo. Sergio powiedział, że jakoś tak się składa, że cudzoziemcy lubią się umawiać właśnie w tym miejscu. Zaparkowałem Marcella przed bramą prowadzącą na dziedziniec teatru i Sergio uparł się, żeby koniecznie go zobaczyć.

– Ach, więc to jest ta słynna vespa! – wykrzyknął, przyglądając się z podziwem skuterowi.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wyglądałby na Marcellu sto razy atrakcyjniej ode mnie.

Potem ruszyliśmy do jakiegoś lokalu przy Via Candelai, gdzie mieści się wiele tanich barów i restauracji. To popularne miejsce spotkań mieszkańców Palermo, w sam raz na aperitif. Ulica była oddalona o zaledwie kilka przecznic od Via Maqueda. Sergio zajął tylne siedzenie Marcella (bez kasku!) i powiedział, że mnie pokieruje. Zawahałem się, nie wiedząc, czy mogę jechać pod prąd ruchliwą jednokierunkową ulicą, ale malarz orzekł, że mam się nie przejmować.

– Na pewno zauważą taką vespę – powiedział ze śmiechem.

Kilka przyprawiających mnie o groźę chwil później dotarliśmy do baru, który wybrał Ser-

gio. Usiedliśmy przy jednym ze stolików na zewnątrz, pod parasolem. Mój nowy przyjaciel zamówił dwa piwa i spytał, czy mówię po włosku. Po mojej przykłej przygodzie w hotelu wyznałem, że nie mówię.

– To bardzo dobrze – powiedział z uśmiechem. – Mam już dość tych, co chcą poćwiczyć na mnie swój kiepski włoski. Dzisiaj będę ćwiczył na tobie mój kiepski angielski!

Na Via Candelai pełno było młodych ludzi, którzy zjawili się tu, by się pośmiać, poflirtować, dobrze zabawić i pobyc z rówieśnikami. Chłopcy i młodzi mężczyźni opierali się z udawanym luzem o swoje skutery, chcąc w ten sposób zaimponować dziewczynom.

Zaparkowałem Marcella pośród nich. Gdy tamtego wieczoru spoglądałem na niego kątem oka, musiałem przyznać, że byłby doskonały do tego, by oprzeć się na nim w wystudiowanej pozie. Marcello się wyróżniał. Marcello był *cool*. A gdyby zaczęło się obłapianie i całowanie, był na tyle masywny, że na pewno by się nie przewrócił.

W telewizorze wiszącym w barze leciały wieczorne wiadomości, w których podawano informację o jakimś korku ulicznym w Bolonii. Szara, posępna rzeczywistość pokazywana na ekranie zdawała się być odległa o miliony kilometrów od tego gwarne i ciepłego wieczoru w Palermo. Sceny w telewizorze wyglądały jak z innego świata i pewnie Sycylijczycy odbierali informację o zakorkowanych ulicach w Bolonii tak samo, jak odbieraliby informację o zakorkowanych ulicach w Sydney. Sycylijczycy oglądali tę samą telewizję co reszta Włoch. Mieli te same sklepy co reszta Włoch. A jednak miało się wrażenie, że jest tu inaczej.

– Tutejsi ludzie uważają się przede wszystkim za Sycylijczyków – wyjaśnił mi Sergio. – Jesteśmy także bardzo nieufni wobec obcych.

Powiedziałem, że tego nie zauważyłem, a on odparł, że to z powodu Marcella.

– Ta twoja vespa nas rozbraja! – skwitował ze śmiechem.

Potem Sergio spytał, kiedy ma się urodzić moja córka, a kiedy odpowiedziałem, wyznał mi, że także ma córkę. Dziewczynka ma dziewięć lat, ale od trzech lat jej nie widział. Rozstał się z jej matką. Presja związana z ojcostwem i niepewna egzystencja malarza i artysty to było dla niego zbyt wiele. Rozstanie przebiegło burzliwie i matka dziecka nie wyraziła zgody na to, by widywał córkę. Powiedział, że zastanawia się, czy nie zadzwonić do swojej byłej i nie spróbować poprosić ją o zgodę na widzenie dziewczynki, a ja odparłem, że tak właśnie powinien zrobić. Sergio smutno pokiwał głową.

Gdy dokończyliśmy nasze piwa, wskoczyliśmy z powrotem na Marcella i pojechaliśmy na północ Via Vittorio Emanuele, tym razem już zgodnie z kierunkiem ruchu. Jechaliśmy ulicą po to, by ludzie nas widzieli. Także po to wybraliśmy się do baru i piliśmy piwo. Naszym następnym przystankiem była restauracja zwabiająca co bardziej niespokojne duchy Palermo. Sergio tłumaczył mi, że wieczór na mieście zawsze przebiegał zgodnie z określonym rytuałem. Pod tym względem Palermo istotnie było takie samo jak każde inne miasto we Włoszech.

Skręciliśmy w mały zaułek za Fontanną Wstydu, potem jechaliśmy płataniną brukowanych uliczek, gdzie skuter tak podskakiwał, że aż trzęsły mi się wnętrzności, i wreszcie dotarliśmy na plac z widokiem na Chiesa San Francesco d'Assisi, kościół zbudowany w XIII wieku, który zachował swój średniowieczny charakter. Po drugiej stronie placu mieściła się elegancka restauracja ze stolikami na świeżym powietrzu, gdzie eleganccy mieszkańcy Palermo wybierali świeże owoce morza umieszczone w specjalnej ladzie i pili drogie wina, spoglądając na pięknie podświetloną świątynię. Spytałem zdumiony, czy to właśnie tu zjemy kolację, a Sergio tylko prychnął w odpowiedzi.

– My jedziemy do Stelli – zakomunikował.

Trattoria Stella znajdowała się dalej, w głębi dzielnicy Kalsa powstałej jeszcze za panowania Arabów, w pierwszej połowie X wieku. Tutaj na ulicach było mroczno i brudno, słychać

było walczące ze sobą i miauczące koty. Z mieszkań dobiegały podniesione głosy, a echo niesło dźwięki tłuczonych o mury butelek. Miałem wrażenie, że znów znalazłem się w kabinie na pokładzie „Emilii”.

Ręcznie malowany szyld na parkanie otaczającym jakąś ruderę informował, że właśnie dotarliśmy do lokalu o nazwie Stella. Znak na szyldzie wskazywał w dół, na stary kamienny tunel, gdzie wzdłuż ścian leżały ogromne metalowe beczki, worki z cementem i stosy opon. Tunel wyprowadził nas na brukowane podwórko, za którym stał rozsypujący się budynek porośnięty dzikim winem.

Wszystko to wyglądało jak plan filmowy. W różnych zakamarkach poupychano zapalone świece w rozmaitych kształtach i kolorach, a ich migotliwy blask ożywiał cienie wykonujące szalony taniec na ścianach. Stoliki i krzesła, każde z innej parafii, rozstawiono pod dwoma ogromnymi oleandrami, a kwiaty spadały z drzew prosto na gości restauracji. Kuchnia też znajdowała się na zewnątrz, pod wiatą z blachy pokrytą zielonym pnączem.

Powiedziałem mojemu towarzyszowi, że ten widok przypominał mi, jak kiedyś czytałem, że Palermo to miasto piękna i lamentów. Oto jedliśmy kolację wśród zrujnowanych budynków, nad naszymi głowami nie było nic prócz nieba i... było pięknie.

Jedzenie, jak można sobie wyobrazić, okazało się niewyszukane. Makaron. Mięso z grilla. Sałatka. Ale tamtej nocy w takim otoczeniu miałem wrażenie, jakbym był na wielkiej uczcie.

Na deser był ananas moczony w grappie, lokalnej odmianie wody ognistej. Jakaś grupa młodych ludzi – jeden z nich trzymał w ręku owinięty w aluminiową folię garnek, pozostali przyciskali do piersi butelki wina – przeszła przez podwórko restauracji, znikając w na poły zrujnowanym domu, gdzie najpewniej urządzili sobie przyjęcie. Był to dowód na to, że w tych ruinach ciągle mieszkają ludzie.

Na sam koniec wychylił się kolejkę grappy. Potem jeszcze jedną. Alkohol wprowadził Sergia w zadumę. Przyglądał mi się przez chwilę, a potem spojrzał mi głęboko w oczy, jak gdyby miał coś ważnego do zakomunikowania.

– Przed tobą jeden z najbardziej ekscytujących, najpiękniejszych i najbardziej przerażających etapów twojego życia – powiedział, starannie artykułując słowa – nie uroń z niego ani chwili.

Odparłem, że właśnie dlatego wybrałem się na tę wycieczkę teraz; po to, żeby móc spędzić więcej czasu z moją córką, kiedy już się narodzi.

– Bardzo mądre – odrzekł.

Po kolacji pojechaliśmy do mojego hotelu. Sergio mieszkał niedaleko i zapewnił, że może wrócić do domu piechotą. Podziękowałem mu za ten wieczór. Uścisnął mi rękę i powiedział: *buonanotte*, dobranoc. Potem ruszył przed siebie w mrok ciemną, brukowaną uliczką.

Gdy był już jakieś sto metrów ode mnie, zobaczyłem jeszcze, jak rozświetlił się ekran jego komórki. Miałem nadzieję, że może zadzwoni do żony, pytając, czy mógłby znowu zobaczyć się z córką.



## *Poggioreale*

*Patron: święty Antoni Padewski*

Mój doradca podatkowy to Sycylijczyk. Nazywa się John Stillone i ma biuro na południowych przedmieściach Sydney. Ilekroć mówię znajomym, skąd pochodzi John, zaraz zaczynają nieudolnie naśladować Marlona Brando i sypią się żarty o końskich głowach w pościeli. O ile mi wiadomo, John jeszcze nigdy nie wysłał w moim imieniu do urzędu skarbowego żadnej końskiej części. Aczkolwiek muszę dodać, że zawsze dostaję zwrot podatku...

John urodził się w Poggioreale, niewielkim miasteczku w sercu rolniczej, północno-zachodniej części wnętrza wyspy. Poggioreale leży na południowych zboczach góry Castellazzo, skąd rozciąga się widok na dolinę rzeki Belice. Niektórzy są przekonani, że miasteczko powstało na miejscu starożytnej osady założonej przez mieszkańców Troi, którzy schronili się tu, gdy Ateńczycy zniszczyli ich miasto, jednak wykopaliska archeologiczne prowadzone w dolinie nie potwierdzają tego.

John i jego rodzina wyemigrowali do Australii w 1953 roku. Piętnaście lat później Poggioreale zostało zniszczone przez trzęsienie ziemi. Kataklyzm miał miejsce wczesnym rankiem 14 stycznia 1968 roku i obrócił w gruzy także jedenaście innych miejscowości w dolinie. Zginęło wówczas trzysta siedemdziesiąt osób, tysiące zostało rannych, a siedemdziesiąt tysięcy straciło dach nad głową.

Mieszkańcy Poggioreale, którzy przeżyli trzęsienie ziemi, mieszkali przez jakiś czas w namiotach i prowizorycznych domach zwanych *baracca*, dopóki kilka kilometrów dalej na południowy wschód, w Mandria di Mezzo, nie wybudowano dla nich nowego miasta. Ruiny Poggioreale pozostawiono samym sobie; były ono często wykorzystywane jako scenografia wymarłego miasta przez reżyserów kręcących filmy o II wojnie światowej. Gdy John dowiedział się, że wybieram się na Sycylię, nalegał, żebym koniecznie odwiedził jego rodzinne strony. Dał mi szczegółowe wskazówki, jak tam dojechać, i skontaktował się z Gioacchinem Cokiem, architektem *comune*, miejscowych władz samorządowych, prosząc go, by oprowadził mnie po okolicy. Ponieważ John zadał sobie dla mnie tyle trudu, niegrzecznie byłoby nie pojechać. Poza tym musiałem pamiętać i o tym, że w jego rękach leżała moja przyszłość finansowa.

Nie pojechałem do Poggioreale z Palermo najkrótszą możliwą drogą. Zamiast tego wybrałem trasę prowadzącą przez suchą, górzystą okolicę na południe od Palermo i przez Corleone.

Zanim Mario Puzo napisał *Ojca chrzestnego* i dał głównemu bohaterowi swojej książki nazwisko Corleone, niewiele osób poza Sycylią słyszało o tym miasteczku. Była to jeszcze jedna rolnicza miejscowość w suchym wnętrzu wyspy, które zaczęło się wyludniać po II wojnie światowej. Ale po sukcesie książki – dwadzieścia milionów sprzedanych egzemplarzy i liczba ta wciąż rośnie – i po jeszcze większym sukcesie filmów nakręconych na podstawie książki – dziewięć Oscarów i dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów ze sprzedaży biletów w samych Stanach Zjednoczonych – niewielu jest ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o Corleone.

Wybór tej nazwy przez Maria Puza nie był przypadkowy. Corleone od ponad pięćdziesiąt

ciu lat jest twierdzą mafii. W pierwszych czterech latach po II wojnie światowej miasto miało jeden z najwyższych odsetków morderstw na świecie: sto pięćdziesiąt trzy na osiemnaście tysięcy mieszkańców. Do dzisiaj tutejsza policja znajduje zwłoki w skalnych rozpadlinach wokół miasta.

Z tej okolicy pochodzi wielu mafijnych *capo di tutti capi*, szefów wszystkich szefów. Stąd właśnie kierował swoim „biznesem” Salvatore Riina, swego czasu najbardziej poszukiwany przestępca Włoch (aresztowano go w końcu w Palermo, gdy wyspał go jego własny kierowca). Także Bernardo Provenzano, nazywany „prawdziwym ojcem chrzestnym” lub „Traktorem” ze względu na brutalność, z jaką rozprawiał się ze swoimi wrogami, przez czterdzieści trzy lata kierował przestępczym imperium z pasterskiej chaty na jednym ze wzgórz w okolicach miasta.

„Traktor” był uważany za jednego z ostatnich *corleonesi*, szefów „wiejskiej” mafii, obecnie postrzeganej jako odrobinę staroświecka. Provenzano dokonywał wymuszeń, handlował narkotykami, przechwytywał kontrakty z publicznych pieniędzy i zajmował się kontrabandą, ale wszystko to robione było „po staremu”, a lojalność i Biblia liczyły się bardziej niż szpanowanie w superbryce. Złapano go w końcu w 2006 roku, kiedy policja dotarła do jego chaty w górach, śledząc, dokąd dostarczano czystą bieliznę. Chata była wyposażona w proste sprzęty, a na piecu gotowała się cykoria świeżo zerwana na okolicznych łąkach. Provenzano sprawiał wrażenie najzwyczajszego pasterza. Specjaliści od mafii, tacy jak Attilio Bolzoni, twierdzą, że było to świadome postępowanie – przykład dbałości o tradycję w obliczu „amerykanizacji” rodziny.

Dla kogoś, kto przejechał właśnie przez żyzną równinę Conca d’Oro (co po włosku znaczy „złota muszla”), Corleone wyglądało jak celowo schowane w górskich rozpadlinach. Większość domów wybudowana była tylko do połowy, zamiast górnej kondygnacji mając wystające pręty zbrojeń – zapowiedź dodatkowego piętra, które miało nigdy nie powstać. Sergio wyjaśnił mi, że na Sycylii właściciel nie musi płacić wyższego podatku od nieruchomości, dopóki dom nie zostanie ukończony. Pomiędzy budynkami rozciągnięte były przewody energetyczne, a wśród rumowisk i śmieci rosły opuncje i głożyna. Nic nie wskazywało na to, że Corleone jest sercem przestępczego imperium o wartości sześciu miliardów euro. Miasteczko wyglądało na zmęczone, niechlujne i rozmemłane – trochę tak jak „Traktor”, kiedy wreszcie zjawili się u niego *carabinieri*, karabinierzy.

W Corleone wyróżniała się jedynie wyrastająca w dolinie ogromna granitowa skała, na szczycie której znajdowało się kilka starych budynków i cyprysy. Otwierająca się z każdej strony stumetrowa przepaść doskonale nadawała się do tego, by pozbywać się na zawsze tych, którzy złamali *omertę* – nakaz milczenia, chroniący mafię przez tak długi czas.

Mój wjazd do miasta był bacznie obserwowany przez starszych mężczyzn siedzących przed Associazione San Giuseppe, klubem, do którego należą wszyscy mężczyźni w Corleone, którzy ukończyli sześćdziesiąt lat. Każdy z nich miał ciemne okulary i gdy przejeżdżałem, odprawiali mnie wzrokiem, odwracając głowy, jeden za drugim. Ostatni w szeregu wyjął komórkę i wysłał do kogoś SMS, informując w nim, że zatrzymałem się w *pasticcerii*, cukierni, Słodkie Pokusy i upačkałem się, jedząc tort *cassata* z ricotty z dodatkiem pistacji, likieru i kandyzowanych owoców.

Cukiernia Słodkie Pokusy to jedyne miejsce w Corleone, które przyznaje się do *Ojca chrzestnego*, ale nawet oni robią to dyskretnie. Na ścianie w głębi lokalu dostrzegłem kilka czarno-białych fotosów z filmu, a za ladą wisiało zdjęcie Ala Pacina z autografem. Miałem nadzieję, że i ciastka będą tu miały stosowne nazwy, na przykład *cannoli* Don Corleone – ale spotkało mnie rozczarowanie. Odniosłem wrażenie, że ojcowie miasta postanowili zaoferować śmigającym przez nie turystom coś, co zachęci ich do odwiedzenia miejscowości, jednak nie wzbudzi w nich chęci do zatrzymania się tu na dłużej.

Tamtego popołudnia nie tylko ja byłem atrakcją dla mieszkańców Corleone, ponieważ

na niewielkim placu budowano właśnie scenę, na której wieczorem miał się odbyć koncert rockowy, a zespół robił właśnie próbę dźwiękową.

Nazywali się The Phom i tak nerwowo sprawdzali mikrofony i głośniki, że miałem wrażenie, że albo jeszcze nigdy nie dawali koncertu, albo od jakości występu zależy życie bliskiego krewnego któregoś z członków kapeli. Główny wokalista zastukał niespokojnie w mikrofon i wymruczał po włosku: „raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, próba mikrofonu”. A potem chłopaki zagrali kilka kawałków ze swojego repertuaru.

Ale mężczyźni z Associazione San Giuseppe nie zwracali uwagi na zespół, dalej interesując się moją osobą. Gdy gitarzysta zbliżył się za bardzo do głośnika i z kolumny wydobył się przeźrząliwy pisk, nawet nie drgnęli. Całkiem możliwe, że mieli wyłączone aparaty słuchowe, ale podejrzewam, że w Corleone facet na głośniejszej vespie w jaskrawym kolorze zawsze będzie cieszył się większym zainteresowaniem niż kapela wykonująca kiepski cover *Walk of Life* Dire Straits.

Zatrzymałem się w Belvedere, jedynym hotelu w miasteczku. Zbudowano go wysoko, na południowych peryferiach Corleone, skąd roztacza się widok na wzgórza ciągnące się ku zachodowi. Hotel lśnił nowością i doszedłem do wniosku, że na pewno jest przykrywką do prania brudnych pieniędzy.

Utwardziłem się w tym mniemaniu, gdy zobaczyłem kartkę, przyklejoną do drzwi taśmą samoprzylepną, z informacją, że hotel jest zamknięty, i z numerem telefonu, pod który należało zadzwonić, gdyby mimo wszystko ktoś chciał się w nim zatrzymać. Kartka była pożółkła i wyblakła, co wskazywało, że Belvedere rzadko otwierano. Zadzwoniłem pod podany numer i po dwudziestu minutach pojawiła się jakaś kobieta z pieskiem w ramionach. Wpuściła mnie, zapaliła wszystkie światła, wręczyła klucz do pokoju na trzecim piętrze, a potem obróciła się na pięcie, zmierzając do wyjścia. Spytałem, czy nocleg obejmuje też śniadanie, a ona pokazała mi niewielki składzik z butelkami z wodą mineralną i herbatnikami. Najwidoczniej miałem sam się obsłużyć.

Wierzcie mi, mieć cały hotel dla siebie to dość niesamowite uczucie. Chodziłem po pustych korytarzach, zaglądałem do różnych pomieszczeń i zachodziłem w głowę, co też może kryć się za drzwiami zamkniętymi na klucz i dlaczego nie dostałem pokoju na pierwszym lub drugim piętrze. Doszedłem do wniosku, że niższe kondygnacje wykorzystywane są do bardziej bezcelnych celów: jako laboratoria do produkcji amfetaminy, a może noclegownie dla nielegalnych imigrantów z Afryki przedostających się z pomocą mafii do Włoch. Najpewniej jednak chodziło o to, że ponieważ hotel miał mało gości, kierownictwo uznało, że lepiej dać mi nowy pokój niż zatrudnić sprzątaczkę do sprzątnięcia tych, z których ktoś już skorzystał.

Wziąłem prysznic, chwilę odpocząłem i ruszyłem z powrotem do centrum na koncert zespołu The Phom. Starsi mężczyźni zeszli ze stanowiska obserwacyjnego przed Associazione San Giuseppe i przenieśli się na ławki na placu, gdzie miał się odbyć koncert. Pozostali słuchacze siedzieli w samochodach ustawionych przodem do placu.

Mieszkańcy Corleone nie wysiedli z samochodów, ba, nie spuścili nawet szyb. Po prostu siedzieli w autach i oglądali koncert przez przednią szybę. Przyszedł mi do głowy szalony pomysł, że to dlatego, żeby mogli szybciej zwać z placu, gdyby okazało się, że koncert to podstęp przygotowany przez karabinierów, by wywabić z kryjówek miejscowych szefów mafii.

W głębi placu stała brązowa figura Ojca Pio. Po południu uznałem, że wyciąga ramiona, chcąc przygarnąć do siebie chorych i potrzebujących. Ale teraz, późnym wieczorem, wyglądało to tak, jakby dobry Ojciec Pio wyciągał ręce do zespołu, jak robią to piersiaste dziewczyny siedzące na ramionach atletycznie zbudowanych mężczyzn w teledyskach Beach Boysów. Refleksy światła znad sceny przesuwające się po twarzy Ojca Pio także sprawiały wrażenie, jakby Padre zapalał nagle ogromną miłością do grupy The Phom.

Poszedłem za przykładem mieszkańców Corleone i postanowiłem oglądać występ, siedząc na Marcellu. Zanim usiadłem, spuściłem klapę schowka i – tak jak w samolocie – miałem teraz przed sobą niewielki stolik, na którym położyłem kurczaka z różną frytki, wszystko kupione przed chwilą w sklepie po drugiej stronie placu. Nie było to typowo włoskie jedzenie, ani nawet kuchnia, z której słynie Corleone. (Wysoko ceniony jest zwłaszcza tutejszy makaron *cannelloni* z ricottą). Ale tamtego wieczoru, gdy czułem na plecach ciepły wiatr, w rękę trzymałem butelkę świetnego piwa – Birra Moretti, a w uszach dźwięczał mi szlagier *Eye of the Tiger*, kurczak i frytki były jak znalazł. Okazało się, że nie jestem jedyną osobą, która tak myślała. Starszy mężczyzna siedzący w zaparkowanym obok mnie zdezelowanym fiacie odkręcił szybę i spytał, gdzie kupiłem te specjalny.

Następnego ranka wybrałem się na poszukiwanie śniadania, a potem zostawiłem klucz do pokoju w pustej recepcji, wziąłem butelkę wody mineralnej na podróż i ruszyłem na zachód, do Poggioreale. Nie ma drogi łączącej bezpośrednio Corleone i Poggioreale, więc korzystałem z ciągu bocznych szos omijających samotne wzgórza wznoszące się pomiędzy tymi miastami. Na całej tej trasie nie spotkałem ani żadnego samochodu, ani żadnej żywej duszy. Przemierzałem po prostu pustkowiu rozleglejsze niż cokolwiek, co dotąd widziałem we Włoszech.

Nowe Poggioreale leży pośród pól uprawnych i łąk przy drodze biegnącej do Palermo, znajdującego się sześćdziesiąt jeden kilometrów dalej na północ. Położone na wysokości trzystu dziewięćdziesięciu trzech metrów nad poziomem morza znajduje się znacznie niżej niż stare Poggioreale odległe zaledwie o kilka kilometrów i widoczne z nowego miasta.

Budowę nowego Poggioreale zakończono ostatecznie dwadzieścia lat po trzęsieniu ziemi. Powstało ono wokół trzech okrągłych placów otoczonych pierścieniami domów. Jak to często bywa z miastami budowanymi od zera, śmiałe pomysły architektoniczne wzięły górę nad względami praktycznymi i zabudowa Poggioreale reprezentowała różne style, tworząc dość kakofoniczną całość. Akcent neoklasycyści sąsiadował z wieżą stylizowaną na średniowieczną, w pobliżu stała rzeźba wyglądająca na afrykańską, zaś dwa ciągi schodów, zbiegając się u góry, tworzyły iluzję optyczną podobną do tych z grafik Eschera. Jak powiedziałby mój ojciec: Poggioreale nie wiedziało, czy jest psem, czy wydrą.

Do nowego miasta przybyłem krótko przed porą obiadową. Przez dobre dziesięć minut jeździłem po pustych, poprowadzonych kółkami ulicach, nim udało mi się spotkać kogoś, kogo mogłem zapytać, gdzie znajdzie Gioacchina Coca. Starszy mężczyzna – oczywiście w ciemnych okularach – wzruszył ramionami i powiedział, że pierwszy raz słyszy takie nazwisko. Następny napotkany człowiek powiedział to samo. Podobną odpowiedź usłyszałem od kobiety w średnim wieku, która taszczyła do domu siatkę z zakupami.

Być może źle wymawiałem imię „Gioacchino”. Mój australijski akcent i przedziwna zdolność do tego, by akcentować zawsze nie tę sylabę, co trzeba, utrudniały zrozumienie tego, co mówiłem, nawet najbardziej cierpliwemu słuchaczowi. Podejrzywałem jednak, że w rzeczywistości mieszkańcy Poggioreale zmówili się, żeby chronić przede mną swojego architekta. Nie byli pewni, co przeszkobał Gioacchino, ale skoro wypytywał o niego jakiś cudzoziemiec ze śmiesznym akcentem, to na pewno nie były to przelewki. O nie, oni go nie wydadzą!

Wreszcie trafiłem na małe *tabacchi*, sklepik z tytoniem, biletami i mnóstwem innych przydatnych drobiazgów, i wyjaśniłem właścicielowi, skąd jestem, kogo szukam i kto mnie tu przysłał. Włoch zawołał chłopca, który wałęsał się na zewnątrz, dał mu gumę do żucia i kazał pokazać mi drogę.

Chłopak wyglądał, jakby zszedł z planu filmu *Cinema Paradiso*. Miał brudną, podartą koszulkę i krótkie spodenki, a ze sklepu wystrzelił jak chart. Pognał przez miasto, przeciął Piazza Elimo, biegnąc po chodnikach, w których szparach rosły chwasty. Ja natomiast musiałem jechać



koliście biegnącą ulicą, która na pewno prezentowała się pięknie na desce kreślarskiej architekta, ale gdy trzeba było dokądsz szybko dotrzeć, była mało przydatna. Ścinałem więc kolejne zakręty, starając się nie stracić z oczu chłopaka, a równocześnie obserwując, czy ktoś nie wyjeżdża z naprzeciwka albo czy nie pakuję się w ślepią uliczkę. Mój Marcello musiał się bardzo starać, żeby dotrzymać chłopcu tempa.

Nowe Poggioreale miało zaledwie tysiąc siedemset jedenastu mieszkańców, jednak tutejszy ratusz wyglądał tak, jakby była to tętniąca życiem metropolia. Prowadził do niego ciąg szklanych drzwi umieszczonych między kolumnami wysokimi na trzy piętra. Za nimi ciągnął się korytarz, który zdawał się nie mieć końca, a wzdłuż niego znajdowały się pokoje urzędników (wydawało się, że każdy z nich miał własny gabinet). Pokój Gioacchina był oczywiście na samym końcu.

W urzędzie miasta w Poggioreale nie przejmowano się zbyt strojami ani ochroną. Gdy szliśmy korytarzem, mężczyźni w koszulach z krótkimi rękawami i w dżinsach tarrosili przyjaźnie włosy chłopca, a kobiety, też w dżinsach i w T-shirtach, szczypały go w policzki. Nikt nie spytał, kim jestem i czego tutaj szukam. Gioacchino także nie wydawał się szczególnie zaskoczony moją wizytą. Dał chłopcu parę euro, powiedział do niego coś po włosku, a potem wskazał mi krzesło.

– Spodziewałem się pana – oznajmił z uśmiechem.

Okazało się, że odebrał już kilka telefonów od ludzi informujących, że szuka go jakiś gość na pomarańczowej vespie na numerach z Livorno.

Sekretarka architekta zrobiła nam espresso, a Gioacchino spytał, czy przyjechałem z Palermo. Odparłem, że z Corleone, na co on uniósł w zdziwieniu brwi.

– To kawał drogi na vespie – powiedział. Widać było, że jest pod wrażeniem. A jeszcze bardziej zaimponowałem mu, mówiąc, że do Corleone dotarłem przez Sycylię.

Gdy sekretarka zbierała puste filiżanki, Gioacchino podniósł się z krzesła, zdjął z wieszaka kurtkę i gestem pokazał, że mam iść za nim. Na odchodnym rzucił sekretarce, że idzie popracować „w terenie”.

„Praca w terenie” to dla architekta w Poggioreale zjedzenie przygotowanego przez żonę skromnego lunchu, na który składają się pomidory, mozzarella i kilka liści sałaty, oraz wypicie kilku kieliszków mocnego czerwonego wina z karafki. Po takim doładowaniu organizmu paliwem wyruszyliśmy w krótką podróż do ruin Poggioreale Vecchio, zniszczonego przez trzęsienie ziemi. Gioacchino jechał swoim samochodem, a ja podążałem za nim na Marcellu.

Ruiny miasta znajdują się na południowym zboczu góry Castellazzo, są otoczone polami i roztacza się z nich widok na niżej położone nowe Poggioreale. Dzisiaj prowadzone się tu oficjalne prace archeologiczne, miejsce jest więc ogrodzone płotem z bramą zamykaną na noc. Gioacchino zaparkował samochód przed bramą i wskoczył na tylne siedzenie Marcella.

– Na skuterze łatwiej będzie nam objechać cały teren – wyjaśnił.

Ruszyliśmy Via Umberto I, mijając stojące po obu stronach drogi w połowie zrujnowane domy. Miałem wrażenie, jakbym znalazł się w środku kroniki filmowej z czasów II wojny światowej. Po 1960 roku wzniesiono tu jedynie bibliotekę miejską prezentującą się jeszcze gorzej niż pozostałe budynki. Te wyglądały jak po bombardowaniu aliantów.

Pochodzący z Sycylii Giuseppe Tornatore wykorzystał klimat miasta i nakręcił w nim swój wojenny fresk *Sprzedawca marzeń*. Zniszczone Poggioreale pojawia się także w kilku scenach *Maleny*, filmu który przyniósł światową sławę Monice Bellucci. Nie dalej jak kilka tygodni przed moim przyjazdem Amerykanie kręcili tutaj jakiś film w stylu *Kompanii braci*. Gdy jechaliśmy przez miasto, Gioacchino pokazał mi mur zburzony przez filmowców w czasie zdjęć. Bardzo to rozzłościło mieszkańców nowego Poggioreale, ale gdyby Gioacchino nie pokazał mi tego

mur, wcale bym tego nie zauważył.

Po krótkiej chwili dotarliśmy do Piazza Elime i zniszczonych schodów prowadzących do kościoła La Matrice (czyli „kościół matki” dla innych świątyń) i jego charakterystycznej kampanili. Wszystkie ulice, place i budynki publiczne nowego Poggioreale odziedziczyły nazwy po swoich poprzednikach ze starego miasta, które właśnie zwiedzałem, ale niestety nie miały ani odrobiny ich uroku. Dzwonnica przy kościele była symbolem dawnego Poggioreale. To, że wciąż stoi, to niemal cud. Gioacchino pokazał mi widoczne w kilku miejscach pęknięcia i powiedział, że kampanili grozi zawalenie.

Dawni mieszkańcy Poggioreale i ich potomkowie, którzy teraz mieszkają w Australii i Stanach Zjednoczonych, gromadzą pieniądze, żeby uchronić ją przed zniszczeniem. Nie jestem ekspertem od budownictwa, ale podejrzewam, że mają niewiele czasu.

Gioacchino pokazał mi też stertę kamieni, która kiedyś była domem jego rodziny. Gdy nastąpiło trzęsienie ziemi, miał zaledwie pięć lat, ale dobrze pamięta wszystko, co wydarzyło się tamtego wieczoru. Najpierw nastąpiła seria niewielkich drgań i miejscowy podoficer karabinierów, Antonio Rubuano, powiedział ludziom, że powinni wyjść z domów. Wszyscy zaczęli więc uciekać na okoliczne pola i stali tam zbici w gromadki mimo przerażającego zimna.

– Potem domy zaczęły się kołysać – mówił dalej Gioacchino – a jakaś kobieta krzyczała: „Święty Antoni! Święty Antoni!”.

Święty Antoni Padewski to patron Poggioreale. Spytałem Gioacchina, czy po trzęsieniu ziemi ludzie przestali wierzyć w świętego Antoniego. Spojrzał na mnie zdumiony.

– Ależ skąd! To właśnie święty Antoni nas ocalił!

Z trzystu siedemdziesięciu ofiar trzęsienia ziemi, które nawiedziło tamtego dnia okolicę, tylko dwie mieszkały w Poggioreale.

– Jedna kobieta była taka gruba, że zaklinowała się w drzwiach, gdy wychodziła. A za nią stał jej mąż. Dom zawalił się na nich.

Działania władz i służb ratunkowych przyniosły niemal tyle samo szkód co sam kataklizm. Ofiarami nikt się należycie nie zajął. Tysiące ludzi pozostało bez dachu nad głową. Gdy urzędnicy debatowali co robić, zwłoki ofiar były zjadane przez świnie. Widać było jak na dłoni ogromną niekompetencję władz lokalnych i państwowych. Poggioreale i cała dolina Belice stały się synonimem korupcji panoszącej się w następstwie klęsk żywiołowych. W słowniku włoskich polityków pojawił się nowy zwrot: „Nie pozwolę, żeby to się zmieniło w jeszcze jedno Poggioreale”.

Przez pierwsze sześć miesięcy po trzęsieniu ziemi ci, co przeżyli, mieszkali w namiotach rozstawionych na okolicznych wzgórzach. Tamtego roku zima była wyjątkowo wietrzna i deszczowa. Gwałtowne wiatry i deszcze zamieniły obozy w błotne grzęzawiska.

Pieniądze przysłane przez rząd w Rzymie i darczyńców z całego świata przechwycała mafia i skorumpowani politycy. Miejsce na budowę nowego Poggioreale wybrano nie ze względu na korzystne położenie, ale dlatego, że była to ziemia należąca do przyjaciela miejscowego mafiosa.

Sami mieszkańcy Poggioreale także dopuszczali się szwindli. Każdej osobie obiecano, że otrzyma w nowym mieście dokładnie taki sam dom, jaki miała w starym. Jeśli stary dom miał cztery pokoje, nowy miał mieć tyle samo. Gioacchino opowiadał mi, że mieszkańcy zakradali się nocami do starego miasta i w swoich zrujnowanych domach domurowywali ściany działowe, żeby wyglądało na to, że było w nich więcej pomieszczeń.

Potem, jeszcze zanim wybudowano nowe miasto, mieszkańców Poggioreale przeniesiono do kontenerów zwanych *baracca*. Lokalne władze postawiły je pół roku po kataklizmie z przeznaczeniem na tymczasowe miejsce zamieszkania (nie było w nich ubikacji ani łazienek), jednak

większość mieszkańców Poggioreale spędziła w *baracca* kolejnych osiemnaście lat. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, wyjechali do Australii lub Stanów Zjednoczonych.

Większość kontenerów później usunięto, ale jeden został. Stał na wzgórzu za dawnym miastem, obok schodów prowadzących donikąd, otoczony palmami, które zdążyły już zamienić się z sadzonek w dorodne drzewa. Mieszkała tam stara kobieta, która nie chciała się przeprowadzić. Spędziła w kontenerze już tyle lat, że w nim chciała umrzeć. Gioacchino pokazał mi jeszcze kamienną fontannę niedaleko wschodniej bramy starego Poggioreale. Jako dziecko jeździł do niej na osle, którego trzymała jego rodzina, żeby go tam napoić.

– Moi koledzy też przyjeżdżali tutaj na osłach – mówił. – Zawsze urządzaliśmy sobie wyścigi.

Gioacchino aż roześmiał się na to wspomnienie. Powiedział, że jeszcze słyszy stukot kopyt zwierząt idących po bruku. Zauważyłem, że nie mogę sobie czegoś takiego wyobrazić na ulicach nowego Poggioreale. Chociażby z tego powodu, że żadna z jego ulic nie była prosta. Zostałem Marcella obok fontanny i razem z Gioacchinem poszliśmy ścieżką wśród ruin i porastających je gęstych krzaków jeżyn do brukowanej Via Pavone biegnącej po łagodnym stoku wzgórza. Na tej właśnie ulicy dorastał John Stillone, mój doradca podatkowy. Gioacchino zatrzymał się przed ciągiem identycznie wyglądających domów tonących w chaszczach.

– To *casa*, dom, Stillone – oznajmił z szacunkiem w głosie.

Uczciłem to miejsce chwilą milczenia, zrobiłem kilka fotografii i poszliśmy dalej. Było to dość surrealistyczne, jeśli wziąć pod uwagę, że przecież nikt w tym domu nie zginął.

Wycieczkę po mieście skończyliśmy przy dawnym ratuszu na Via Umberto I. Wzniesiony z kamienia o czerwonym odcieniu, ze wspianymi kolumnami i majestatycznymi schodami, skąrzył mi się z tak zwanym Skarbem Faraona, najsłynniejszym zabytkiem w Petrze w Jordanii. Budowle Nabatejczyków w Petrze powstały jeszcze przed narodzinami Chrystusa, zaś Poggioreale zostało opuszczone przez mieszkańców zaledwie przed czterdziestoma laty, ale – co ciekawe – jego ruiny wyglądały, jakby też miały tysiące lat.

Nie tylko Poggioreale zostało zniszczone podczas trzęsienia ziemi w 1968 roku. Żywiół zmasakrował wówczas dwanaście miejscowości. Jedną z nich była Gibellina leżąca siedem kilometrów na zachód od Poggioreale. Podczas gdy ruiny Poggioreale pozostawiono samym sobie, pozostałości Gibelliny miejscowy artysta pokrył betonem. Gioacchino postanowił mi to pokazać. Wspomnianym artystą był Alberto Burri, który w Gibellinie posłużył się techniką zwaną *cretti*. Wcześniej Burri wykonywał różne monochromatyczne formy z wysychającej masy, a pojawiające się w miarę schnięcia szczeliny i spękania stanowiły wyraz ekspresji artystycznej. Gdy ludzie opuścili Gibellinę, Burri przykrył betonem teren całego miasta. Spękania powstające w miejscach ulic stały się szczelinami w betonowej masie. Pokryte betonem ruiny przypominały o okresie, kiedy miasto było zamieszkane, a zespolenie gruzów z betonem o skutkach trzęsienia ziemi.

Tak przynajmniej wyjaśniono zamiar twórczy artysty na tablicy informacyjnej, z której dowiedziałem się także, że Alberto Burri w 1994 roku otrzymał Order Zasługi Republiki Włoskiej. Tamtego popołudnia, gdy stałem z Gioacchinem przy zabetonowanym mieście, miałem wrażenie, że ktoś pokrył całe wzgórze ogromną warstwą lukru, a potem zaczął kroić teren ogromnym nożem do tortów. Podobało mi się jednak to, że nieregularne spękania w miejscach ulic były częściowo odbiciem chaotycznej siatki drózek między winnicami pokrywającej wzgórze wznoszące się za miastem.

Z Gibelliny jechałem za Gioacchinem drogą wśród gór, mijając pola dzikiego kopru włoskiego. (Mieszkańcy Poggioreale słyną z upodobania do kopru i dlatego Włosi nazywają ich *finocchiar*, zjadaczami kopru).

Naszym celem było gospodarstwo usytuowane pośród wzgórz, na żyznej równinie, w któ-

rym wytwarzano sery. Jechaliśmy tam bynajmniej nie z uwagi na wyjątkowość sycylijskich serów. Są to zwyczajne sery z owczego mleka powszechnego w tym regionie. Jechaliśmy do gospodarstwa, ponieważ jego właściciel, Gianni, chodził do jednej klasy z Johnem, moim doradcą podatkowym. Gianni stał przed domem, na końcu długiej drogi prowadzącej do gospodarstwa, i czekał na nas. Machnął od niechcienia ręką, pokazując szopę, gdzie wytwarzano sery, a potem poprowadził nas do stołu pod drzewem, na którym stały już butelka wina i szklanki.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam go – powiedział Gianni, nalewając nam wina.

Kiedy później pokazałem Johnowi fotografię Gianniego, on także nie potrafił sobie przypomnieć dawnego szkolnego kolegi. Ale tamtego popołudnia nie miało to żadnego znaczenia. Siedzieliśmy pod drzewem, gdzieś wśród pól i winnic Sycylii, i piliśmy smaczne, mocne wino. Pod tym względem Sycylijczycy nie różnili się od reszty Włochów. Każda wymówka była dobra, żeby usiąść i napić się wina.

Sączyliśmy wino, słuchając w milczeniu, jak lekki wietrzyk porusza liśćmi, a latające wokół szopy jaskółki popiskują, nurkując za owadami. Piliśmy już po drugiej szklance wina (ja właściwie trzecią, jeśli liczyć tę, którą pochłonąłem do lunchu), kiedy długą drogą wiodącą do gospodarstwa przyszedł jakiś człowiek w roboczych spodniach i słomkowym kapeluszu na głowie. Miał na imię Francesco i był miejscowym obłąkańcem, który zarabiał na życie, zbierając dzikie oregano i sprzedając je po pięć euro za pęczek.

Francesco natychmiast zapałał ogromną miłością do Marcella. Podekscytowany tańczył dokoła skutera, a potem odłożył na bok przyniesione pęczki oregano i uniósł w górę oba kciuki, kiwając znacząco głową. Gdy dowiedział się, że Marcello należy do mnie, powiedział Gioacchinowi, że chce mi pokazać sekretne miejsce, gdzie zbiera swoje zioła.

– Darzy cię szczególnymi względami! – orzekł ze śmiechem Gioacchino. – Nikt poza nim nie wie, gdzie to jest.

Po paru minutach Gioacchino oświadczył, że jego „praca w terenie” dobiegła już końca, i wrócił do biura, zostawiając mnie pod opieką Francesca, który najpierw miał mi pokazać sekretne miejsce, gdzie rosło oregano, a potem odprowadzić do pensjonatu, który zarezerwował dla mnie Gioacchino.

Po chwili Francesco i ja pędziliśmy na Marcellu pośród łysych wzgórz, podskakując na wybojach i czując na plecach ciepło zachodzącego słońca. Mój pasażer wymachiwał gwałtownie rękoma, wskazując kierunek i każąc objeżdżać stado owiec, które tarasowało nam drogę, dopóki pasterz, gderając, nie pognał go dalej. Francesco śmiał się jak dziecko, podekscytowany tym, że jedzie na tylnym siedzeniu mojej vespy. Gdy droga się skończyła, zatrzymaliśmy się i wspinając się po skałach, dotarliśmy do tajnego miejsca, w którym rosły zioła. Francesco zerwał jedną z roślin i wręczył mi ją. Teraz, ilekroć powącham oregano, przypominam sobie tamto popołudnie.

W drodze powrotnej Francesco, udając, że przekręca wymyśloną manetkę gazu, komunikował mi, że wolałby jechać szybciej. Przyśpieszyłem więc, a on zaśmiał się radośnie. Gdy pojawił się zakręt, pochyliłem skuter i wszedłem w niego jak Valentino Rossi. Tak samo zrobiłem na następnym zakręcie. Tyle że zaraz za zakrętem droga była pokryta warstwą owczych bobków.

Jestem pewien, że gdyby spytać Włocha, na pewno przyznałby, że jest jakiś specjalny sposób wchodzenia w zakręt, gdy na drodze jest pełno owczych bobków. Jakby go bardziej przycisnąć, powiedziałby jeszcze, jak to robić, patrząc równocześnie w boczne lusterko i poprawiając na nosie okulary od Diora. Jednak tamtego popołudnia na pustej wiejskiej drodze w górach środkowej Sycylii jedyną osobą, którą mogłem o to spytać, był siedzący z tyłu Francesco, a ten trzymał się mnie kurczowo, ściskając w dłoni kilka pęczków oregano i ze wszystkich sił starając się nie spaść ze skutera. Ja także instynktownie wykorzystałem technikę „trzymać się kierownicy

za wszelką cenę”. Chociaż metoda jest nieefektywna, okazała się efektywna, także chwilę po tym, jak wyrosło przed nami stado owiec odpowiedzialne za całą sytuację.

Wysadziłem Francesca na polnej drodze wśród wzgórz nad nowym Poggioreale i wróciłem do pensjonatu. Zjadłem kolację z gospodarzami i wyczerpany padłem do łóżka.

Następnego dnia spotkałem się z Gioacchinem w miejscowym oddziale Associazione San Giuseppe. Byłem na Sycylii niecały tydzień i cały czas intrygowało mnie to towarzystwo. Associazione San Giuseppe rzucało się tu w oczy bardziej niż w innych częściach Włoch i przypominało rodzaj tajnego bractwa, do którego nikt nigdy nie chciał mnie przyjąć. Co się w nim robiło? Dlaczego wszyscy należący do niego mężczyźni nosili ciemne okulary? Zacząłem wypytywać o to Gioacchina, a on zaczął się śmiać.

– Oni tylko plotkują i grają w karty, to wszystko – powiedział. – Nic ciekawego się tam nie dzieje.

Jednak ponieważ Associazione Giuseppe w Poggioreale serwowało najlepszą kawę w mieście, postanowił spełnić moje życzenie i zapoznać mnie bliżej z tą organizacją.

Associazione San Giuseppe w Poggioreale niczym nie różniło się od innych stowarzyszeń w miastach, które widziałem dotąd na Sycylii. Przed wejściem do jego siedziby na plastikowych krzesłach siedziała gromada starszych facetów w ciemnych okularach, wielu z laskami. Gdy wszedłem do środka, przywitała mnie ściana dymu i gwar rozmów. Ale ponieważ tym razem byłem w towarzystwie kogoś miejscowego, mogłem wejść do środka.

Co więc znalazłem w siedzibie Associazione San Giuseppe na Sycylii? Jeszcze więcej facetów w ciemnych okularach. Większość – tak jak powiedział Gioacchino – grała w karty. Gdy wszedłem, na krótką chwilę zapanowała cisza, ale gdy zebrani uświadomili sobie, że jestem facetem od pomarańczowej vespy, wrócili do gry.

– Już ich nie interesujesz – zaśmiał się Gioacchino.

Okazało się, że miejscowy fryzjer przyjechał tamtego ranka z Palermo nowym samochodem i wszystkich w Associazione zajmowało to, jak udało mu się kupić nowy wóz za ich marne napiwki.

Wszystkie inne rzeczy i zachowania, które interpretowałem spiskowo-melodramatycznie, okazały się równie niewinne. Ciemne okulary? Oczywiście po to, by chronić zmęczone oczy starszych panów przed ostrym sycylijskim słońcem. Laski po to, by dać wsparcie nogom zmęczonym od chodzenia i doglądania położonych wśród skał pól uprawnych. Nawet to, że każdy mój ruch był obserwowany, miało swoje wytłumaczenie.

– Oni się po prostu śmiertelnie nudzą – wyjaśnił Gioacchino.

Potem przedstawił mnie dwóm starszkom siedzącym w głębi sali i zapytał, czy możemy się do nich dosiąść. Jeden z nich, grubas z laską i w ciemnych okularach, palił cygaro. Drugi miał na sobie robocze spodnie, jak gdyby przed chwilą wrócił z pola. Gdy Gioacchino poszedł zamówić dla nas espresso, grubas wyjął cygaro z ust i zagadał do mnie.

– Z jakiej części Sydney jesteś, kolego?

Słyszając pytanie oraz akcent, z jakim je wypowiedział, zupełnie zbaraniałem. Był to typowy włosko-australijski angielski, dokładnie taki, jaki można usłyszeć na Norton Street w Sydney czy na Lygon Street w Melbourne. Odparłem, że wychowałem się w Rossmore na południowo-zachodnich peryferiach Sydney, a wtedy twarz grubasa rozjaśnił uśmiech.

– Mój brat miał fermę drobiu w Leppington – powiedział.

Franco, bo tak miał na imię rzekomy „mafioso”, przełożył rękę nad swoim brzuszyskiem i uściśnął mi dłoń. Okazało się, że przez czterdzieści lat mieszkał w Sydney i wrócił do Poggioreale po przejściu na emeryturę. To akurat nie powinno mnie dziwić. W Sydney mieszka więcej osób, które się urodziły w Poggioreale, niż w samym Poggioreale.

– Tu życie jest tańsze – wyjaśnił.

To fakt, zwłaszcza jeśli uwzględnić niezłą sumkę, jaką dostał za dom w Five Dock, który sprzedał w szczycie boomu mieszkaniowego w Sydney. Poza tym miał jeszcze australijską emeryturę. Franco spytał, czy znam rodzinę Campesich z Australii, a może rodzinę Labruzzich z Kemps Creek. Potrząsnąłem przecząco głową. Dawno temu, gdy miałem jedenaście lat, kochałem się w dziewczynce, która nazywała się Vivian Rizzo, ale ona była chyba z Neapolu. Wspominałem mu także o rodzinie Cinich, która miała tuczarnię w Rossmore Crescent.

– Kalabryjczycy! – prychnął pogardliwie Franco i zamówił dla nas jeszcze jedno espresso.

Wkrótce trzeba się było pożegnać i ruszyć na zachód, do portu Trapani i na Egady – wyspy „zakotwiczone” zaraz przy brzegu Sycylii. Nie żałowałem ani chwili spędzonej w Poggioreale. Jazda wśród pól kopru i zwiedzanie starego Poggioreale były jak dotąd najciekawszymi częściami podróży. Ale Marcello już się niecierpliwił. Ja zresztą też. Tęskniliśmy za zapachem morza.

Jeszcze przed wyjazdem z Poggioreale Gioacchino zorganizował mi spotkanie z Johnem Maniscalkiem, który był burmistrzem miasta podczas trzęsienia ziemi i budowy nowego miasta. Zwyczajowo każda osoba przybywająca z zagranicy do Poggioreale spotykała się z Johnem Maniscalkiem i chociaż oczywiście nie miałem tu żadnych krewnych, niespotkanie się z nim zostały odebrane jako afront.

Dawny burmistrz mieszkał razem z żoną na drugim piętrze w centrum miasta. Choć z zewnątrz budynek wyglądał skromnie, mieszkanie było urządzone z przepychem, dominowały w nim meble w specyficznym nowobogackim stylu, jakie reklamują prezenterzy w telezakupach. Gioacchino przedstawił mnie burmistrzowi, a potem się pożegnał, tłumacząc, że musi wracać do pracy. Może mi się wydawało, ale miałem wrażenie, jakby na odchodnym jeszcze mu się uklonił.

Usiedliśmy z burmistrzem Poggioreale na złożonych krzesłach przy zdobionym stole jadalnym i milczeliśmy. Zegar z kukułką głośno tykał, a z kuchni dochodziło szcęknięcie garnków i inne podobne odgłosy. Potem wyszła z niej jakaś starsza kobieta, niosąc srebrną tacę, na której stały dwie filiżanki o złożonych brzegach mieszczące espresso. Gdy wróciła do kuchni, burmistrz spytał, czy jestem dziennikarzem. Powiedziałem, że piszę książki podróżnicze, na co on odetchnął z wyraźną ulgą, podniósł się od stołu i gestem poprosił, żebym do niego podszedł.

Otworzył sekretarzyk i pokazał mi różne pamiątki z czasów swojego urzędowania. Zdjęcie z papieżem, gdy razem oglądają ruiny. List pochwalny od władz państwowych za służbę lokalnej społeczności. Medal, jaki otrzymał w czasie obchodów uroczystości świętego Antoniego w Sydney organizowanych przez tamtejszą wspólnotę byłych mieszkańców Poggioreale. Zdaje się, że ten medal cenił najbardziej ze wszystkich pamiątek.

Powiedział, że kilka razy brał udział w takich obchodach i że w przyszłym roku znowu wybiera się do Sydney. Pokazał mi też zdjęcie z uroczystości – widać było, że cieszy się dużym szacunkiem wśród swych ziomków, musiał więc być tutaj znaczną figurą. Nie potrafiłem tylko ocenić, jak znaczną. Trzeba jednak pamiętać, że w tej części Sycylii, żeby zostać burmistrzem, trzeba znać właściwych ludzi.

W Australii burmistrzowi podobało się to, że dawni mieszkańcy Poggioreale utrzymywali z sobą liczne kontakty biznesowe, a za sprawą wspólnego dziedzictwa i korzeni utworzyli sieć powiązań łączącą ludzi różnych profesji. Powiedział mi, że bardzo by chciał, żeby podobne więzi istniały między tymi, którzy zostali na Sycylii.

– A tymczasem ludzie wyjeżdżają do Palermo lub na stały ląd i zrywają wszelkie kontakty z miastem.

Potem burmistrz przeszedł na drugi koniec pokoju i otworzył najbardziej ozdobny sekretarzyk w mieszkaniu. W środku znajdowały się dwa *squartucciati*, niezwykle ciasta, które zdobią ołtarz w czasie obchodów uroczystości świętego Józefa w marcu.

Kunszt twórców *squartucciati* i one same są naprawdę niesamowite. Ciasto się rozwałkuje, wycina i formuje w skomplikowane kształty ptaków, kwiatów i innych pięknych elementów przyrody. Każdy placek powinien stanowić jedną całość i należy go zrobić bez rozrywania ciasta, ponieważ symbolizuje on komunię Chrystusa i Kościoła. Wykonywanie *squartucciati* to tradycja Poggioreale, a umiejętność ta przekazywana jest z pokolenia na pokolenie tylko garstce wybranych kobiet. Jedną z korzyści bycia burmistrzem było to, że któraś z nich pokazała Johnowi, jak się robi te placki.

Mówi się, że do zrobienia tego ciasta potrzeba czasu, entuzjazmu, zdolności artystycznych i prawdziwej wiary. Nie są to przymioty, o które podejrzewałbym pragmatycznego szefa lokalnego samorządu. A tymczasem były burmistrz Poggioreale John Maniscalco był równie dumny ze swego łąbędzia i kwiatu jaśminu, sporządzonych z ciasta, jak ze zdjęcia z papieżem. Kazał mi zrobić fotografie i kiedy pokazałem mu je na ekranie cyfrowki, wyglądał na zachwyconego.

– *Bellissima!* Piękne! – powiedział. – Musi mi je pan koniecznie przysłać!

Widać było, że pokazywanie pamiątek bardzo go wyczerpało. Poczłapał z powrotem do stołu i usiadł przygarbiony. Pomyślałem, że kiedyś ten rosły mężczyzna musiał budzić nie tylko respekt, ale i strach. Ale teraz, zdziecinniały na starość, najbardziej cieszy się z ozdobnych *squartucciati*. Ten kruchy starzec okazał się jednak bardzo stanowczy i nie ustąpił, dopóki nie zapisałem w notesie jego adresu i nie podkreśliłem trzy razy „wysłać zdjęcia”.

Nie miałem zamiaru mu się sprzeciwić. Moja córka nie miałaby ze mnie żadnego pożytku, gdybym skończył na dnie skalnej rozpadliny w skarpetach z betonu.





## *Marsala*

### *Patron: święty Amand*

W czerwcowe niedziele z Trapani na wyspę Favignana kursuje tylko jeden prom samochodowy dziennie. Wypływa o drugiej trzydzieści po południu i przybija na miejsce pół godziny z minutami później. Turyści niezmotoryzowani mogą dotrzeć na wyspę częściej kursującym hydrolotem, ale ja podróżowałem z Marcellem, więc zostawał mi tylko ten jeden prom. Na który się spóźniłem, bo jadłem kuskus z owocami morza.

Na swoją obronę mogę powiedzieć, że był to najlepszy kuskus z owocami morza, jaki kiedykolwiek jadłem. Ta potrawa, podobnie jak architektura mauretańska i szerokie ulice wysadzone palmami, stanowią dowód arabskiego dziedzictwa portu. Sos do niej robi się z pomidorów, pietruszki, czosnku i sekretnej mieszanki ziół i przypraw, znanej tylko szefom kuchni z Trapani. Nie szkodzi kuskusowi także i to, że owoce morza, które lądują na talerzu, zostały złowione zaledwie kilka godzin wcześniej.

Gdy wybierałem to danie w dość obskurnie wyglądającej portowej restauracji, nie liczyłem na niezwykle doznania smakowe. Zamówienie przyjął szef kuchni, który wytarł ręce w fartuch, wyjął z tylnej kieszeni spodni notatnik, a zza ucha ołówki i zapisał, czego sobie życzę. Potem przyniósł mi kuskus, naładował go na talerz i polał sosem. Trochę sosu wylało się przy tym na stół, ale zupełnie to zignorował i nie zadał sobie trudu, żeby go wytrzeć.

Wybrałem restaurację w porcie, bo znajdowała się blisko nabrzeża, z którego odpływał prom na Favignanę. Widziałem go, siedząc przy stoliku i widziałem też samochody zjeżdżające i wjeżdżające na prom. Widziałem nawet członka załogi w niebieskim drelichu, który popędzał ostatniego pasażera. Wszystko to widziałem, ale nie ruszyłem się z miejsca, tylko jadłem, jadłem i jadłem. Kuskus zapanował nade mną całkowicie, siedziałem na krześle jak przylutowany.

Oczywiście mogłem wytrzeć usta, wcisnąć właścicielowi do ręki dwadzieścia euro, wskoczyć na Marcella, dodać gazu i zdążyć na prom. Gdyby to był film Jackiego Chana, mógłbym wjechać na którąś z platform z sieciami rybackimi jak na rampę, wybić się z niej, przelecieć kilka metrów nad wodą i wylądować bezpiecznie na pokładzie promu. Ale szef kuchni, słysząc moje rozanielone westchnienia nad talerzem, przyniósł z kuchni duży garnek kuskusu i zaoferował mi dokładkę. A ja skorzystałem z tej propozycji. To był ostatni prom tego dnia. Już wcześniej kupiłem na niego bilet. To, że w tamtej chwili nic a nic mnie to nie obchodziło, było największym komplementem dla umiejętności kulinarnych szefa kuchni.

Zamiast płynąć na wyspę, wróciłem więc do Erice, miasta znanego w starożytności jako Eryks, którego murowane budowle wzniesiono na szczycie góry San Guliano, dominującej nad Trapani i zatoką. W czasach greckich znajdowała się w nim świątynia Afrodyty, przez Rzymian przechrzczona na świątynię Wenus. Według niektórych było to miejsce prostytucji sakralnej. Co ciekawe, wszyscy kolejni najeźdźcy zostawiali miasto w spokoju. Za panowania Rzymu stacjonowało w nim dwustu rzymskich żołnierzy, którzy mieli je chronić.

Droga do Erice wspięła się zygzakami pod górę, niczym ściśnięta sprężyna, ale wreszcie

doprowadziła mnie na szczyt. Marcello forsował ją z dziką przyjemnością, błyskawicznie pokonując zakręty i wyprzedzając mozolnie wspinające się pod górę kampery. Te, podobnie zresztą jak wszystkie inne samochody, musiały parkować pod miastem. Natomiast Marcello mógł przejechać przez bramę Trapani, jedną z trzech w grubych murach miasta, i uliczkami o lśniących kocich łbach pomykać na Piazza Umberto I w centrum.

Przy bramie przywitał mnie przedstawiciel organizowanego co roku w Erice festiwalu slow food. Odbywał się on właśnie w ten weekend, a długi cień rzucany przez XIV-wieczną kampanilę wskazywał, że impreza dobiegała już końca. Wręczył mi czarną torbę z festiwalowymi gadżetami i kuponami do różnych stoisk ozdobioną rysunkiem ślimaka – symbolu ruchu slow food. Była w niej także szklanka pozwalająca degustować różne gatunki wina prezentowane na festiwalu. Powiedział, że taka torba kosztuje dwadzieścia euro, ale ponieważ festiwal kończy się za parę godzin i ponieważ jestem właścicielem tak wspaniałej vespy, mogę ją dostać za darmo.

Wąskie uliczki Erice pełne były elegancko ubranych ludzi smakujących różne wina wystawione na stolikach przed restauracjami, barami i domami. Także właściciele stoisk z jedzeniem pakowali towary dla klientów, kosztując przy tym różnych gatunków wina. Festiwal powoli przemieniał się w jedną wielką popijawę.

Znalazłem pokój w małym pensjonacie Santa Lucia na skraju miasta. Z okien gustownie urządzonego pokoju rozciągał się piękny widok na doliny na wschodzie i na linię wybrzeża na północy. W normalnych okolicznościach cena pokoju wykraczałaby daleko poza moje możliwości finansowe, ale właścicielce pensjonatu tak wpadł w oko Marcello, że zaproponowała mi zniżkę, o ile zostaną u niej na dwie noce. Żeby mnie zachęcić, powiedziała, że mogę postawić Marcella w starej oborze jeszcze w obrębie murów miasta, którą przerobiła na składzik.

Kiedy już załatwiłem sobie nocleg i schowałem Marcella w składziku obok stosów prześcieradeł i grubych ręczników kąpielowych, wziąłem torbę, którą dostałem przy bramie, i ruszyłem z powrotem do centrum wykorzystać darmowe kupony, nim festiwal dobiegnie końca.

Najpierw przyłączyłem się do grupki osób zebranych w niewielkiej sali, gdzie swoje wina reklamowała wytwórnia Fazio. Kobieta podobna do Moniki Bellucci zobaczyła, że mam w rękę szklankę z logo festiwalu i naląła mi wyróżnionego kilkoma nagrodami Moscato Passito. Upiłem nieśmiało kilka łyków, wydając przy tym dźwięki podobne do tych, które było słyhać, gdy jadłem kuskus – no, może odrobinę bardziej powściągliwe – a kobieta spytała, co sądzę o winie. Odpowiedziałem, że mój włoski jest zbyt ubogi, żebym mógł opisać jego walory. Rzecz dziwna, ale nie napełniła mi szklanki po raz drugi.

Chociaż w mieście było tłoczno, ogromnie łatwo było się w nim zgubić. Ledwie wyszedłem z kolejnej degustacji i przeszedłem kilkanaście metrów, a wylądowałem w jakiejś pustej uliczce, nie wiedząc, jak się tam znalazłem ani gdzie powinienem teraz iść. Próbowałem wracać tą samą drogą, którą – jak sądziłem – przyszedłem, ale zamiast tego dotarłem do Castello di Venere, zamku zbudowanego w XII wieku w miejscu dawnej świątyni Wenus, skąd rozciągał się widok przez dolinę w stronę morza. Potem doszedłem, także przypadkowo, do *duomo*, katedry, skąd ponad wzniesieniami porośniętymi piniami wzrok biegł ku malowniczym solnym panwiom koło Trapani, a potem dalej, ku cieśninie i Egadom. W moim przewodniku napisano, że wyspy te wyglądają jak wieloryby, ale o zmierzchu, gdy mgielka nad morzem rozmywała i wygładzała ich kontury, przypominały mi stadko potworów z Loch Ness.

W końcu udało mi się dotrzeć z powrotem na Corso Vittorio Emanuele, gdzie znajdowała się kolorowa *pasticceria*. Ostatni uczestnicy festiwalu siedzieli przy drewnianych stolikach ustawionych wzdłuż brukowanej ulicy i wcinali ciastka bez wątpienia zwiększające ryzyko choroby wieńcowej. Największym wzięciem cieszyły się niewielkie bułeczki nadziewane kremem czekoladowym. Taką bułeczką opychała się nawet kobieta, która wcześniej nalewała mi wino.

*Pasticceria* sprzedawała także *dolci di badia*, ciasteczka w kształcie owoców nadziewane masą migdałową, z których słynie Erice. Pięknie ułożono je w witrynie cukierni, a ich różnorodność kojarzyła mi się z obrazami Botticellego. Gdy byłem dzieckiem, jadałem takie ciasteczka na urodzinach kolegów z rodzin włoskich imigrantów i jako nieświadomiony Australijczyk myślałem wówczas, że każde takie ciastko smakuje jak owoc, który przypomina. Było to trochę jak opychanie się lukrem z tortu. Ale gdy zobaczyłem takie ciasteczko, nigdy nie mogłem oprzeć się pokusie.

Słońce bardzo szybko chowało się za Wyspami Egadzki i ostatni goście festiwalu znikali w mroku jeden po drugim. Wybrałem się na kolację do restauracji przy Via Chiaramonte, którą poleciła mi właścicielka pensjonatu, bo – jak mówiła – „mieli tam najlepszą pizzę z karczochami w całych Włoszech”. Wyszedłem z restauracji po dziewiątej wieczorem, syty i zadowolony, i zupełnie wyludnionymi już teraz uliczkami szedłem spacerem do pensjonatu. Po drodze natknąłem się jedynie na mężczyznę z tabliczką na szyi, na której napisano: „Jestem pijakiem i rozwodnikiem”. Następnego dnia rano zobaczyłem go znowu. Tym razem do pleców miał przypięte skrzydła z gąbki, a na tabliczce informację, że jest archaniołem Gabrielem. W tej nowej roli zaczął listonosza, dopytując się natarczywie, czy ten nie ma dla niego listów. Najwidoczniej czekał na jakąś wiadomość od Boga.

Po kilku dniach spędzonych w Erice stwierdziłem, że miasteczko bardzo przypadło mi do gustu. Było tam cicho i spokojnie, a na dodatek człowiek miał dziwne wrażenie, że znajduje się na dachu świata. Bardzo mi się to podobało. Poza tym miałem świetny pokój w pensjonacie. Jedzenie też było super. Zaprzyjaźniłem się nawet z archaniołem Gabrielem i mijając się na ulicy, kłanialiśmy się sobie nawzajem. Któregoś dnia zobaczył mnie na Marcellu i zawołał za mną, że w niebie ma taki sam skuter.

Mój nieplanowany pobyt w Erice stał się okazją do odwiedzenia miejsc, które przegapiłem, spiesząc się z Poggioreale do Trapani, żeby zdążyć na prom. Przede wszystkim chciałem zobaczyć Segestę i tamtejszą dorycką świątynię uważaną przez wielu za najwspanialszą na Sycylii.

Droga do Segesty prowadziła wśród pól, tych samych, które widziałem z okien mojego pokoju w pensjonacie w Erice. Sposób uprawy ziemi nie zmienił się tutaj od wieków: kamienne murki rozgraniczały poletka, gdzie pracowali mężczyźni o pobrużdżonych twarzach i ciągle głodne muły. Na drodze, którą jechałem, mijałem tylko miejscowych. Jeden z rolników nawet wyprostował się i podniósł wzrok, słysząc silnik skutera, a potem uchylił w moją stronę kapelusza.

Świątynię w Segeście Elimowie zaczęli wznosić w 430 roku przed naszą erą i trzeba powiedzieć, że doskonale wybrali miejsce na budowę. Krajobrazy są tu podobne do krajobrazów wokół Erice – także wybudowanego przez Elimów. Świątynia stoi na skraju głębokiego wąwozu, a za nią wyrasta przetykane granitowymi skałami zbocze Monte Barbaro. Wokół ciągną się pola z rzędami winorośli lub kobiercami jaskrawożółtych kwiatów.

Sama świątynia nigdy nie została ukończona. Elimowie pokłócili się z Sykulami, plemieniem żyjącym po sąsiedzku, i poprosili o pomoc Kartagińczyków, skutkiem czego musieli zmniejszyć wydatki na inwestycje. Trzydzieści sześć wyraźnie nadgryzionych zębem czasu potężnych kolumn, na których wspiera się równie potężne belkowanie i fronton, wciąż czeka na przykrycie stropem. Można tu zobaczyć również kamienne występy na stylobacie, najwyższym rzędzie stopni świątyni, które po zakończeniu budowy zawsze usuwano. Tam, gdzie powinny być kanelury, czyli pionowe żłobienia kolumn, widać dziś gniazda jaskółek. To wszystko jednak nie tylko nie psuło wyglądu świątyni, ale wręcz przydawało jej majestatu.

Nie bez znaczenia było także i to, że całe to miejsce miałem tylko dla siebie. W każdym innym zakątku Włoch te wspaniałe ruiny byłyby oblężone przez turystów. Jednak w ten upalny

poranek byłem tu sam. Między kolumnami słychać było jękliwe poświsty wiatru. Jaskółki śmigają w powietrzu, ścigając owady, które zmierzają do kwiatów na polach rozciągających się zaraz za wzgórzem świątynnym. A ja usiadłem sobie w cieniu dwóch akacji i rozkoszowałem się roztańczającym się stamtąd pięknym widokiem.

Rzecz jasna ten stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie. Pod świątynię zajechał mikrobus, z którego wysypali się turyści, by już po chwili gramolić się ścieżką pod górę, wachlując się trzymanymi w rękach przewodnikami. Tak czy owak, przez pół godziny byłem tylko ja, jaskółki i jaszczurki przemykające po kamieniach. Potem wskoczyłem na Marcella, dodałem gazu i pognąłem w stronę wyżej leżącego Erice, gdzie było chłodniej, ale przedtem nasmarowałem ramiona i nogi kremem przeciwsłonecznym, żeby zmniejszyć w ten sposób prawdopodobieństwo, że upodobnię się kolorem skóry do mojego skutera.

I tym sposobem w środę, trzy dni po pierwszej próbie dostania się na prom płynący na wyspę Favignana, byłem z powrotem w Trapani, ponownie przygotowując się do rozpoczęcia kolejnego etapu podróży.

Wyjechałem z Erice odpowiednio wcześniej, tłumacząc sobie, że robię to po, by na pewno zdążyć na prom, ale tak naprawdę chciałem mieć czas na zjedzenie kuskusu. Szef kuchni bez trudu mnie rozpoznał, bo znowu mlaskałem z zachwytu, i tak jak poprzednio przyniósł mi drugą porcję. Na prom wjechałem w ostatniej chwili i niewiele brakowało, a musiałbym skakać przez wodę na skuterze jak Jackie Chan. Ustawiłem Marcella na pokładzie dla samochodów, przeszedłem do pasażerskiej części promu i zaraz zasnąłem.

Obudziłem się w scenerii żywcem wyjętej z powieści Roberta Louisa Stevensona. Przedemną wyrastało nagie, wysokie zbocze, górujące nad niewielkim miasteczkiem po drugiej stronie zatoki. Na samym szczycie stała kamienna budowla, wyglądająca dość złowieszczo – może to było więzienie? – a u stóp wzniesienia hangary o wysokich sklepieniach, w XIX wieku mieszczące przetwórnice tuńczyka, a dzisiaj opuszczone i przypominające lichy sznur pereł, które już dawno straciły swój blask. Miałem wrażenie, że znalazłem się na końcu świata, a nie na wyspie oddalonej o zaledwie piętnaście kilometrów na zachód od wybrzeży Sycylii. Od razu mi się tu spodobało.

Favignana słynie przede wszystkim z *mattanzy*, czyli corocznego połowu tuńczyka błękitnopłetwego. Jest to wielka, organizowana od ponad dwóch tysięcy lat rytualna rzeź tuńczyków, które przyplływają tutaj na przelomie maja i czerwca na tarło. Rozciągniętszy wcześniej zręcznie skonstruowane sieci, zachęceni przez mistrzów ceremonii znanych tu jako *capo rais*, rybacy ustawiają łodzie w taki sposób, że ryby wpływają do *camera della morte*, komory śmierci. Kiedy dostatecznie dużo tuńczyków wpadnie już w pułapkę, rybacy, po sześciu lub siedmiu na każdego tuńczyka, zaczynają w dzikim zapamiętaniu wbijać w ryby drągi zakończone hakami i wciągać je na łodzie.

Nie dziwi zatem, że co roku tuńczyków jest coraz mniej i są coraz mniejsze. Takie są skutki zakłócania rytmu życia jakiegoś gatunku rytualną rzezią, właśnie wtedy, gdy rybki zbierają się, żeby sobie trochę poużywać. Chociaż tuńczyków ubywa, *mattanza* to wciąż główna atrakcja turystyczna wyspy, a osoby o bardziej sadystycznych skłonnościach płacą ciężkie pieniądze za miejsce w łodzi, żeby z bliska oglądać całą operację. W tym okresie można spotkać tutaj wielu szefów kuchni renomowanych restauracji z Japonii, ponieważ dziewięćdziesiąt procent złowionych tuńczyków natychmiast transportuje się do Tokio.

Przyjechałem na wyspę tydzień po *mattanzie*. Wcześniej zastanawiałem się, czy nie wyjechać z Palermo wcześniej, żeby zobaczyć to wszystko na własne oczy, ale przypomniały mi się okropne sceny dokumentujące ten rytuał z filmu *Stromboli* Roberta Rosselliniego i zrezygnowałem z realizacji tego pomysłu.

*Mattanza* się skończyła i na wyspie panował teraz spokój. Zaszlachtowane tuńczyki pływały w chłodniach do Japonii, a rzesze turystów ściągających na wyspę w samym środku lata miały zjawić się dopiero za miesiąc. Ale już teraz było ciepło i pogodnie i rybacy naprawiali sieci lub odmalowywali domy, które wynajmą za niebotyczne ceny letnikom przybywającym tu ze stałego lądu.

Miałem jednak problem, bo wszystkie pensjonaty i hotele rekomendowane w moim przewodniku były zamknięte. Na tablicy przy *albergo*, hotelu, prowadzonym przez siostry zakonne, gdzie według przewodnika serwowano najlepsze jedzenie na całej Sycylii, umieszczono w trzech językach informację, że siostry zapraszają gości dopiero w sierpniu. Objeżdżałem miasto, a potem zachodnią część wyspy coraz bardziej zrozpaczony, ale równocześnie wdzięczny losowi za to, że siedzę sobie na Marcellu i nie muszę drałować piechotę.

Wróciłem do portu i spytałem jednego z rybaków naprawiających sieci, czy nie zna jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym zatrzymać się na noc. Wskazał na Marina Residence, niczym niewyróżniający się budynek zaraz przy porcie, w którego wyglądzie było coś oficjalnego i dlatego sądziłem, że to schronisko dla bezdomnych żeglarzy. Ale rybak zapewnił mnie, że wynajmują też pokoje turystom i pokazał drzwi, które – jak mówił – prowadzą do recepcji.

W recepcji oczywiście nikogo nie było. Kilka razy nacisnąłem dzwonek i po paru minutach w drzwiach pojawił się gruby mężczyzna w średnim wieku, w słomkowym kapeluszu i ciemnych okularach. Był ewidentnie niezadowolony, że zawracam mu głowę i kiedy spytałem, czy mają wolne pokoje, kręcąc przecząco głową, odparł, że wszystkie jedyńki są zajęte aż do lata. Były tylko dwójki i apartamenty.

Potem odwrócił się, żeby wrócić, skąd przyszedł, pewien, że właśnie się mnie pozbył i ma spokój. Kiedy więc zapytałem, ile w takim razie kosztuje dwójka, zaklął cicho pod nosem. – Trzydzieści euro – odburknął.

Było to tylko pięć euro więcej niż za jedynekę. Powiedziałem, że biorę dwójkę na dwie noce.

Zameldowanie mnie było procesem długim i bolesnym. Gdy już od dwudziestu minut robił kserokopię mojego paszportu, zacząłem podejrzewać, że liczy na to, że jednak się poddam i sobie pójdę. Moim przybyciem złamałem niepisaną regułę, że Marina Residence, chociaż wygląda na czynną, jest w rzeczywistości nieczynna. A ponieważ nadal tego nie dostrzegałem, z każdą kolejną minutą jego przekleństwa stawały się coraz głośniejsze i bardziej siarczyste.

Gdy spytałem, czy mogę zapłacić kartą kredytową, myślałem, że zaraz pęknie z wściekłości. Moje pytanie było jak najbardziej na miejscu. Na drzwiach hotelu naklejone było logo Visy, a na kontuarze leżał sprawny czytnik kart, na którym paliło się zielone światelko. Ale mimo to portier powiedział, że w grę wchodzi tylko gotówka. Kiedy podałem mu dwa banknoty pięćdziesięcioeuroowe, żeby zapłacić sześćdziesiąt euro za dwie doby w dwójce, zakipiał ze złości i powiedział, że mam iść i je rozmiąć.

Teraz przyszła pora na mnie, żeby trochę się powściekać. Powiedziałem, że dałem mu gotówkę, tak jak chciał, a jak nie może mi wydać, to niech spuści cenę do pięćdziesięciu euro i będzie po sprawie. Warknął: „*ladrone*, złodziej”, a potem wyjął z kieszeni gruby plik banknotów, odliczył resztę i rzucił mi ją na kontuar razem z paszportem i kluczami do pokoju. Potem znikł za drzwiami, nie zadawszy sobie trudu, by pokazać, gdzie jest mój pokój.

Zrobił to zamiast niego pewien stary pijaczyna, jeden z „długoterminowych” mieszkańców Marina Residence, który stanął obok mnie, gdy otwierałem drzwi do pokoju, żeby chociaż na chwilę zajrzeć do środka. Dostałem jeden z apartamentów, dość ekscentryczne dwupoziomowe lokum z metalowymi schodami, telewizją, klimatyzacją i aneksem kuchennym wyposażonym w lodówkę i kuchenkę mikrofalową.

Pijaczyna powiedział, że goście, którzy mieszkali w hoteliku, marzą o tym właśnie apartamencie, i że dostałem go tylko dlatego, że wszystkie inne pokoje są nieposprzątane od dnia *mat-tanzy*, a sprzątaczką jest akurat w Trapani.

Favignana, miejscowość o takiej samej nazwie jak wyspa, to małe miasteczko. Marina Residence było długim budynkiem o nader prostej bryle i zależnie od tego, które drzwi się wybrało, miało się tylko parę kroków do najważniejszych miejsc w mieście: portu lub rynku. Do portu szło się przez drzwi frontowe. Na rynek można było dostać się przez tylne wejście.

Zdecydowałem się na port i spędziłem popołudnie, siedząc na nabrzeżu i przyglądając się rybakom naprawiającym sieci i malującym łodzi. Na końcu betonowego falochronu stał jakiś chłopiec łowiący ryby i słuchał wskazówek taty instruującego go, ilekroć zarzucił wędkę. Zmierzchało, gdy zaczęły wracać z połowu łodzi, a ich ładunek przeładowywano do czekających już samochodzików *ape*. Kiedy nadszedł wieczór, wziąłem prysznic i przez tylne drzwi hotelu wyszedłem na miasto. Zachód słońca rozsunął na niebie pomarańczowe smugi, a lampy przebudziły się do życia. Było parno. Siedziałem przy stoliku na tarasie jednej z restauracji, pijąc piwo z butelki pokrytej kropelkami wody. Gdzieś na rynku grało utwór z nowego albumu Kings of Convenience. Nie da się opisać tego, co czułem w tamtej chwili. Nie tylko dlatego, że grali piosenkę tego zespołu i to piosenkę z ich najnowszego albumu, który dopiero co się ukazał, ale i dlatego, że jej leniwy rytm doskonale korespondował z nastrojem tego wieczoru. Nawet dzisiaj, kiedy ją słyszę, wracam myślami do tamtej chwili.

W restauracji było wielu miejscowych, więc uznałem, że warto tu zjeść także kolację. W karcie dominował tuńczyk. *Spaghetti alla Favignanese* okazało się być spaghetti z tuńczykiem. *Linguine alla zia domenica* to makaron *linguine* z tuńczykiem, zaś pod nazwą *tonna ammuttunatu* kryła się zapiekanka – zjadliście – z tuńczykiem. W ostateczności zdecydowałem się na *tonno all'araba*, zakładając, że orzechy pistacjowe, smażone migdały, kapary i papryczki chili nadadzą tuńczykowi odpowiedni, charakterystyczny dla kuchni Bliskiego Wschodu smak i aromat. Tak rzeczywiście było. Po kolacji wybrałem się na spacer wąskimi uliczkami miasta, jedząc lody kupione w lodziarni po drugiej stronie rynku. Było cicho i spokojnie, gwarna okazała się tylko jedna ulica, przy której znajdowały się sklepy rybne. Nadal były otwarte i miejscowe kobiety zaopatrywały się w ryby ze świeżego połowu dostarczane prosto z łodzi. Przed sklepami siedziały koty, czekając na resztki.

Następnego dnia tunelem pod Monte San Caterina przedostałem się na zachodnią część wyspy. Nie była tak dobrze zagospodarowana jak część wschodnia, ale to tam kryło się doskonałe miejsce do pływania, o którym powiedział mi poprzedniego dnia kelner w restauracji. Znajdowało się na skalistym cyplu, zaraz na południe od Punta Ferro, jak tłumaczył mi kelner, obok gospodarstwa, gdzie hodowano owce, otoczonego niewysokim kamiennym murkiem. Gdyby nie dokładne wskazówki wylądowałbym w kamieniołomie, w którym pozyskiwano tuf, ale jechałem dalej i szczęśliwie dotarłem do skalistej zatoczki, gdzie morze miało olśniewająco błękitną barwę.

Oczywiście nie było tu piasku. Gdyby był, byłyby też leżaki i parasole i wstęp płatny pięć euro. Wdrapałem się na skalny występ i skoczyłem do wody, ale nie wypływałem zbyt daleko, żeby fala nie porwała mnie i nie rzuciła na przybrzeżne skały.

Woda była ciepła, o dużym stopniu zasolenia, dzięki czemu leżałem sobie unoszony przez fale. Marcello stał zaparkowany na brzegu i kiedy na niego spoglądałem, uświadomiłem sobie, że wszystko to wygląda mniej więcej jak w reklamach vespy z lat siedemdziesiątych. Wtedy już Piaggio otwarcie kierował swój produkt do ludzi młodych i w każdej reklamie była jakaś kolorowa vespa i dziewczyna w bikini. Czasami na kamienistej plaży, takiej jak ta tutaj. A czasami plaża była piaszczysta, a dziewczyna miała na sobie bluzkę z etaminy.

Przekaz był zawsze ten sam: vespa to żywioł. Kiedy jedziesz na vespie, jesteś jednym z powietrzem, słońcem i piaskiem. Jedna z reklam przedstawiająca skuter w elektryzująco niebieskim kolorze miała podpis: *Oggi son il mare*, dzisiaj jestem morzem. Tamtego dnia, kołyszając się na falach w krystalicznie czystej wodzie w zatoczce wyspy Favignana, pojąłem, co to znaczy.

A przecież nie byłem morzem. Byłem mężem i lada dzień miałem stać się ojcem. Przypomniałem sobie o tym, wracając do miasta i mijając wykonany z brązu pomnik kobiety trzymającej na rękach dziecko. Stał na pustym nieomal polu, tuż przed wjazdem do tunelu prowadzącego na drugą stronę Monte San Caterina. Przed pomnikiem znajdował się rząd kamiennych ławek. Był to rodzaj kaplicy na wolnym powietrzu, miejsce jakiegoś cudu, a może wizji, i odczułem potrzebę, by się tam zatrzymać. Usiadłem na jednej z ławek i zacząłem rozmyślać o odpowiedzialności i obowiązkach czekających na mnie, gdy wrócę do domu. Zadzwoiłem do Sally i dowiedziałem się, że mała kopie jak Bruce Lee. Po długiej chwili, gdy słońce chowało się już za horyzontem, wsiadłem na skuter i ruszyłem w stronę miasta.

\* \* \*

Podczas wypraw do innych krajów często miałem jakiś cel, szukałem czegoś konkretnego. W czasie pierwszej podróży do Włoch chciałem trafić na jajko niespodziankę z małą zieloną vespą w środku, reklamowaną na pudełku z jajkami niespodziankami. Ale to nie znaczy, że wyruszając w kolejną podróż, mam już z góry ustalony cel. Nie, on sam się pojawia. Wydawnictwo Lonely Planet opublikowało kiedyś książkę propagującą osiągnięcie jakiegoś celu podczas wyprawy, by przez to podróżowanie stawało się bardziej atrakcyjne, ale to wydaje mi się trochę naciągane. Sprawia bowiem, że podróż, której przyświeca jakiś cel, zaczyna się nagle uwznioślać i przestaje być postrzegana jako to, czym jest w rzeczywistości – potrzebą niespokojnego umysłu.

Jeśli chodzi o mój cel, to chciałem w Favignanie odnaleźć Benita Ventronego. Podobizna Benita znajdowała się na każdej puszcze tuńczyka produkowanej przez firmę Il Tonno z Favignany. Benito miał gęstą, siwą brodę, bluzę w biało-czarne paski i bandanę, zakrywającą – jak sądziłem – lśniące czoło, a na szyi więcej złotych łańcuchów niż Mr T. Właściciel stoiska na targu w Palermo powiedział mi, że Benito był królem tuńczyka i mieszkał w Favignanie.

To, że ktoś był królem całego gatunku ryb, robiło oczywiście wrażenie, ale nie z tego powodu chciałem odnaleźć Benita, lecz dlatego, że był podobny do Kenny'ego Rogersa. Chodzi o to, że jedna z moich ulubionych stron internetowych to [MenWhoLookLikeKennyRogers.com](http://MenWhoLookLikeKennyRogers.com). Jej autor wyznaje teorię, że wszyscy mężczyźni po przekroczeniu pewnego wieku zaczynają się upodabniać do gwiazdy muzyki country Kenny'ego Rogersa i zachęca, by przysyłać mu zdjęcia takich osób. Chciałem zatem zrobić zdjęcie Benita Ventronego, by dowieść, że ta teoria sprawdza się także na Sycylii i w okolicach.

Mój kontakt powiedział mi, że gdy już będę w Favignanie, to znajdę Benita w Casa del Tonno, Domu Tuńczyka. Był to sklep zaraz przy rynku, oferujący wszystkie możliwe wyroby z tuńczyka, łącznie z *lattume di tonno*, mleczem z tuńczyka, który, jak informuje towarzysząca produktowi ulotka, „najlepiej gotować z solą i zjadać w plasterkach, razem z oliwą z oliwek”.

Kiedy wszedłem do sklepu i spytałem o Benita, twarz sprzedawczyni posmutniała.  
– Zmarł w zeszłym roku – powiedziała.

Złożyłem jej kondolencje, a potem zrobiłem szybko kilka fotek starannie ustawionym puszkom tuńczyka z jego podobizną. Miałem nadzieję, że te zdjęcia zrobią wrażenie na osobach prowadzących stronę [MenWhoLookLikeKennyRogers.com](http://MenWhoLookLikeKennyRogers.com) i zostaną umieszczone w Internecie.

Następnego dnia nad Favignaną zaległa ciężka mgła, która przysła od morza, i prom mający zabrać mnie z powrotem do Trapani wypłynął z godzinnym opóźnieniem. Odbiliśmy

od brzegu, ale mgła nie ustępowała i gdy odpływaliśmy coraz dalej, wyobraziłem sobie, że w taki właśnie poranek odbywa się *mattanza*. Łodzie czekają już w pogotowiu i słychać stuk wiosel. Nieświadome niczego tuńczyki wpływają w sieci. A potem w komorę śmierci. Pierwszy cios, potem następne i zaczyna się szal zabijania. Te właśnie myśli i świadomość, że mam w pamięci mojej cyfrówki zdjęcie martwego człowieka, który wyglądał jak Kenny Rogers, przekonały mnie, że nigdy nie powinienem mieszkać na małej, odizolowanej od świata wyspie.

Oparłem się pokusie, by wstąpić do portowej restauracji w Trapani na jeszcze jedną porcję kuskusu z owocami morza i mijając panwie solne i wiatraki, skierowałem się prosto na południe: do Marsali. Panwie solne na płyciznach między Trapani a Marsalą istnieją od czasów fenickich, a metody pozyskiwania z nich soli niewiele zmieniły się od starożytności. Rozebrani do pasa mężczyźni dalej przenoszą szuflami sól, która piętury się w kopcach wzdłuż brzegów basenów. A wiatraki wciąż napędzają śruby Archimedesza pompujące wodę z jednego basenu do drugiego.

Miejsce, w którym byłem, odznaczało się wyrazistymi kolorami. Niebo lśniło jasnym błękitem, jeszcze intensywniejszym na tle czystej bieli soli. Znowu uderzyło mnie to, jak doskonale Marcello pasuje do tych miejsc. Sophia wyglądałaby tu blado i nijako, natomiast Marcello prezentował się jeszcze lepiej niż zwykle, a pomarańczowy kolor jego lakieru wydawał się głębszy i bardziej soczysty. Cała ta sceneria wcale go nie przytłaczała – przeciwnie, był dla niej równorzędnym partnerem.

Za panwiami solnymi droga biegła wzdłuż wybrzeża i rozległych błotnych rozlewisk pozostałych po niedawnym odpływie. Dno morskie jest w tym miejscu pełne resztek wraków statków zatopionych podczas bitwy, która rozegrała się tu w 241 roku przed naszą erą i która zakończyła pierwszą wojnę punicką. Przeszła do historii jako bitwa koło Wysp Egadzkich i – jak twierdzą historycy – pomogła Rzymianom ostatecznie odebrać Kartaginie kontrolę nad Sycylią i zachodnią częścią Morza Śródziemnego.

O tej bitwie uczyłem się na lekcjach historii w szkole średniej. Na dno poszło wtedy ponad pięćdziesiąt okrętów i pamiętam, jak nasz historyk, pan Purves, ekscytował się tym, że jeden z nich udało się wydobyć z morza i można go oglądać w Museo Archeologico w Marsali. Archeolodzy ustalili, że na posiłki załogi składały się między innymi sarnina, kozina, konina, wołowina, baranina i wieprzowina. A także oliwki, orzechy i owoce – to akurat nie dziwi. Pamiętam także, że archeolodzy znaleźli również ślady marihuany. Kartagińczycy używali jej jako środka stymulującego przed bitwą. To niesamowite jak siedemnastolatek zapamiętuje takie rzeczy.

Zawsze wyobrazałem sobie, że tak ważna bitwa musiała rozegrać się w jakiejś dramatycznej scenerii, miejscu zdradliwym, pełnym skał, które tchnie grozą jak San Vito Lo Capo na północ od Trapani. Tymczasem, gdy zbliżałem się do Marsali, zauważyłem, że brzeg morza jest tu mulisty, a nad całą okolicą unosi się charakterystyczny zapach rozkładających się wodorostów naniesionych przyplływem. Nie przeszkadzało to jednak miejscowym w rozkładaniu leżaków na brzegu i korzystaniu ze słońca.

Marsala to największy region winiarski Sycylii. Słynie on ze słodkiego wina deserowego, które wzięło swą nazwę od nazwy miasta Marsala. Co interesujące, komercyjne możliwości marsali po raz pierwszy uświadomił sobie pewien Anglik: John Woodhouse. Odwiedził miasto w 1770 roku i zobaczył, że podobnie jak dobre porto wino z Marsali nie psuje się podczas dalekich podróży.

W pewnym sensie znalazłem się tu właśnie z powodu Johna Woodhouse'a. Pamiętałem z dzieciństwa, że mój tata uwielbiał marsalę i dlatego przyjechałem tu, by kupić ją dla niego w miejscu, gdzie powstaje.

Mój tato usłyszał o marsali od sycylijskich rzemieślników, z którymi pracował, kiedy terminował jako hydraulik. (Dzięki nim poznał także oliwki, mortadelę i wiele innych smakołyków,



których wtedy nie jadano w Australii). Napisał mamie na kartce nazwę wina, a ona kupiła je podczas najbliższych zakupów we włoskich delikatesach w dzielnicy Liverpool.

Tata pił marsalę tak, jak pije się porto, mama natomiast używała jej w kuchni. Czasami dostawaliśmy rzadki smakołyk w postaci marsali z lemoniadą. Była słodka aż do mdłości i przepyszna. Butelka wystarczała nam zwykle na rok i kiedy się kończyła, mama zastępowała ją nową, zawsze tą samą: Ambra Semisecco z winnicy Casano w Marsali.

Potem moi rodzice zostali adwentystami dnia siódmego, w związku z czym nie mogli już pić alkoholu. Mama ciągle używała sycylijskiego wina, przygotowując swój deser z brzoskwiniami (sławny właśnie za sprawą marsali), i trzymała butelkę, wyłącznie do celów kulinarnych, w szafce nad kuchenką.

Tata po nawróceniu nie stracił ochoty na marsalę i od czasu do czasu ją podkradał. Mama zrobiła się podejrzliwa i za każdym razem, gdy odkładała butelkę do szafki, znaczyła na etykiecie poziom alkoholu. Kiedy sięgała po nią po raz kolejny i widziała, że wina ubyło, żądała od taty wyjaśnień. On wtedy zawsze mówił, że wyparowało i że nie powinna go trzymać nad kuchenką. Do dzisiaj chce mi się śmiać, gdy o tym pomyślę. Kiedy znalazłem się w centrum Marsali, zaparkowałem Marcella i wyruszyłem na poszukiwanie słynnego trunku. Znalazłem niewielki sklep przy Piazza F. Pizzo, który nazywał się Gaspare Laudicina, jednak chociaż był tam duży wybór lokalnych win, żadne nie pochodziło z wytwórni wina Casano, tej, która produkowała marsalę zapamiętaną przeze mnie z dzieciństwa.

Mimo tego sklep na pewno spodobałby się mojemu tacie. Mieli tam pełno salami, szynki, oliwek, marynowanych cebul i tyle różnych rodzajów mięs, że nawet nie chciało mi się dociekać, z jakich zwierząt pochodzą. Kupiłem tam ojcu najdroższą butelkę wina, jaką mieli na składzie. Nazywała się Terre Arse i zamiast zwykłej etykiety informacje były nadrukowane wprost na butelce, więc nie można było zaznaczać na niej ołówkiem poziomu alkoholu.

Potem skierowałem się na południe, mijając na przedmieściach składy i fabryki. Moim celem była Mazara del Vallo, dawny arabski port rybacki, w którym chciałem zatrzymać się na noc. Wino włożyłem do reklamówki i zawiesiłem na haczyku pod siedzeniem Marcella, aczkolwiek nie było to dla niego najbezpieczniejsze miejsce, bo kiedy przejeżdżałem przez dawno nieużywane tory kolejowe, reklamówka na skutek wstrząsów rozerwała się.

To, co zdarzyło się chwilę później, można uznać za cud. Cud marsali w Marsali, można by rzec. Gdy zorientowałem się, co dzieje się z reklamówką, natychmiast zatrzymałem Marcella i w ostatniej chwili złapałem butelkę, która już miała wypaść i się potłuc. Ale nie to było cudem.

Cud nastąpił, kiedy podniosłem głowę i zobaczyłem, że stanąłem przed wytwórnią win Casano. Na bramie wejściowej widniał herb podtrzymywany przez dwa lwy, ten sam, który zdobił etykietę, na której mama stawiała kreskę, ilekroć wkładała butelkę wina z powrotem do szafki.

Było późne popołudnie, kończył się dzień pracy i widać było, że brama zaraz zostanie zamknięta. Ale czułem, że muszę wjechać do środka, i lawirując Marcellem między wychodzącymi pracownikami wytwórni, dotarłem w końcu do budynku, który wyglądał na biuro. Wyszedł z niego mężczyzna o włosach przyprószonej siwizną, w koszuli z krótkimi rękawami i spytał mnie, co obcy człowiek na pomarańczowej vespie robi w jego zakładzie o tak późnej porze. Powiedziałem, że jestem z Australii. Odparł, że nazywa się Casano – tak, to był sam szef! – i zgodził się oprowadzić mnie po wytwórni.

Gdy szliśmy przez zakład, opowiedziałem mu, jaką rolę odgrywała jego marsala w mojej rodzinie. Wydawał się lekko zażenowany moją opowieścią, ale może brało się to stąd, że opowiadałem ją kulawym włoskim, a czego nie mogłem opowiedzieć, pokazywałem na migi. Uśmiechnął się, kiedy zacząłem odgrywać tatę, który ukradkiem pociąga wino z butelki stojącej nad ku-

chenką i zaraz przetłumaczył moje słowa żonie, która zjawiała się w pewnej chwili zdziwiona, że długo nie wracał do biura.

Gdy spostrzegłem wreszcie butelkę Ambra Semisecco, stwierdziłem z zadowoleniem, że etykieta od trzydziestu lat pozostała ta sama. Pokazałem państwu Casano, gdzie mama robiła kre-skę, a pan Casano powiedział, że wciąż eksportują to wino do Australii. Potem spytał, czy nie miałbym ochoty skosztować nie tylko Ambra Semisecco, ale też jednego z najlepszych rodzajów ich marsali. Spróbowałem obu win, a on zapytał mnie, które wolę. Przyznałem, zgodnie z prawdą, że to droższe jest rzeczywiście bardziej wyrafinowane. Ale moje podniebienie było w nastroju nostalgicznym i wołało Ambra Semisecco z dzieciństwa.

– *Buone memorie*, dobre wspomnienia – wyjaśniłem.

Pan Casano uśmiechnął się i powiedział coś po włosku do żony. Ta zostawiła nas, a po paru minutach wróciła z butelką Ambra Semisecco w specjalnym okolicznościowym pudełku.

Ale to jeszcze nie był koniec cudu marsali w Marsali. W pudełku było miejsce na dwa wi-na, więc znalazła się w nim także butelka Terre Arse. Na dodatek haczyk pod siodełkiem vespy w sam raz pasował do uchwytu pudełka, a samo pudełko dokładnie wpasowało się w przestrzeń między siedzeniem a miejscem na nogi. Pani Casano powiedziała, że to na pewno święty Amand, patron wytwórni win, uśmiechnął się do mnie.

Zrobiłem zdjęcie państwa Casano pozujących przy Marcellu na pamiątkę cudu w Marsali i jako dowód dla taty, że butelka, którą dla niego kupiłem, pochodzi wprost z wytwórni. Oboje stali i machali mi na pożegnanie, gdy wyjeżdżałem przez bramę z cennym ładunkiem spoczywającym bezpiecznie między moimi nogami.

Miałem do przebycia jeszcze tysiąc pięćset kilometrów. Wiedziałem, że nadejdą chwile, gdy moja silna wola zostanie poddana próbie i najdzie mnie pokusa, by samemu upić kilka łyków Ambra Semisecco Casano. Obiecałem sobie, że jeśli to zrobię, zaznaczę na butelce, ile upiłem.

Otak, przez wzgląd na stare dobre czasy.



## *Agrigento*

### *Patron: Herkules*

Nie byłem pewien, czego mogę się spodziewać po Agrigento. Leży w połowie drogi między rzekami Belice (znaną w starożytności jako Hypsas) i Akragas, na wzniesieniu górującym nad starożytnym greckim miastem założonym w 581 roku przed naszą erą. Grecki poeta Pindar pisał, że Agrigento to „najpiękniejsze z miast, w których żyją śmiertelnicy”. Amerykański polityk i historyk Henry Adams określił je mianem „udoskonalonych Aten”. Ale Sergio, kiedy jadłem z nim obiad z w Palermo, powiedział, że to „kupa gówna”.

Prawda jak zwykle leżała pośrodku. Porto Empedocle, czyli pobliski port, szpeciła dominująca nad nim fabryka cementu, a na pobliskiej plaży zobaczyłem jedno z najbrzydszych domów z kwaterami do wynajęcia, jakie kiedykolwiek widziałem. Jednakże Valle dei Templi, czyli Dolina Świątyń, była tak piękna, jak twierdzili Pindar i Adams. Wzdłuż długiego wzniesienia ciągnęły się starożytne ruiny, poniżej szumiało morze, a wokół rosły polne kwiaty i oleandry. Wzniesiona z pławego kamienia świątynia Zgody wraz z sąsiednim samotnym drzewem wyglądała równie pięknie jak na widokówkach.

Przejechałem przez dolinę, kierując się do centrum Agrigento położonego na skalistym wzgórzu nad ruinami. Tutejsze przedmieścia są jednymi z najuboższych we Włoszech. To właśnie tu Sergio spędził młodość. Domy wokół były zapuszczone i wybudowane tylko do połowy. Ulice zniszczone. Nawet stadion nie został dokończony. Rusztowanie wzniesione po jego południowej stronie stało tam tak długo, że kompletnie zardzewiało.

Centrum miasta miało w sobie jakiś mroczny urok. Ludzie sprowadzili się tu w średniowieczu, gdy ich wcześniejsze siedziby w dolinie po raz kolejny zostały spustoszone przez barbarzyńców. Agrigento skupiało się wokół trzech placów połączonych ze sobą schodami i brukowanymi uliczkami, z których gdzieś widać leżącą niżej dolinę i morze. Najwspanialsze budynki w mieście zostały wzniesione w czasach Normanów, ale każdy, kto dokładnie przyjrzy się nawet kościoła Santa Maria dei Greci, zobaczy pozostałości starej greckiej świątyni, na miejscu której zbudowano kościół. Resztki kolumn stały się częścią fundamentów.

Zatrzymałem się w Bella Napoli, tanim, ale sympatycznym hotelu przy Piazza Lena w najwyższej położonej części miasta. Hotel znajdował się w połowie Via Bac Bac – jednokierunkowej ulicy, którą można było jechać jedynie w dół od hotelu. Przez pół godziny kluczyłem w labiryncie jednokierunkowych uliczek i wydzielonych stref dla pieszych, starając się znaleźć początek Via Bac Bac i za każdym razem lądując u jej wylotu. W końcu, nie bacząc na nic, pojechałem w górę, pod prąd i dotarłem pod hotel dokładnie w tej samej chwili, gdy jego kierownik wyszedł na zewnątrz na papierosa. Przywitał mnie beztroskim: *buona sera*, dobry wieczór, i zupełnie nie przejął się tym, że właśnie złamałem przepisy. Zdziwił się dopiero podczas meldowania, gdy pokazałem mu swój australijski paszport.

– To pan nie jest Włochem? – zapytał.

Kiedy pokręciłem przecząco głową, spytał, czy w takim razie nie mam jakiegoś Włocha

w rodzinie. Znowu pokręciłem przecząco głową.

– A, w takim razie to ta pańska vespa – stwierdził ze śmiechem, doszedł bowiem do wniosku, że tylko czymś włoskim można wytłumaczyć fakt, że przyjechałem ulicą *senso unico*, jednokierunkową, pod prąd.

Rzuciłem torbę na łóżko i ruszyłem do Doliny Świątyń. Było późne popołudnie, ale kierownik hotelu powiedział, że to najlepsza pora, żeby odwiedzić to miejsce. Po pierwsze, zelżał już południowy skwar. Po drugie, odjechały autokary z turystami. A po trzecie, wapienny tuf użyty do budowy świątyń pięknie prezentował się w promieniach zachodzącego słońca.

Zaparkowałem Marcella pod drzewem zaraz obok punktu informacji turystycznej. Oficjalnie nie był to teren dostępny dla turystów, ale młody człowiek sprzedający bilety nie miał nic przeciwko, w przeciwieństwie do jędzy przy nuragu Santu Antine. Spodobał mu się mój Marcello i już przez to, że jeździłem taką vespą, moja wartość w jego oczach niepomiaralnie wzrosła. Kiedy jakiś nadęty przewodnik wynajęty przez bogatego turystę z Mediolanu chciał się wepchnąć przede mną w kolejce po bilet, bileter kazał mu poczekać, aż skończy mnie obsługiwać.

– Co za – jak to mówicie? – kmiot! – powiedział do mnie po angielsku, wręczając mi bilet.

Uśmiechnąłem się, natomiast nieznający angielskiego przewodnik spojrział na nas spod łba. Nie wiedział, jakimi dokładnie słowami go określono, ale domyślał się, że nie były one pochlebne.

Cały teren przeznaczony do zwiedzania był podzielony na dwie strefy, a wśród suchych, skalnych występów rosły głożyny, opuncje i *macchia*, makia. Od razu ruszyłem zakurzoną ścieżką ku ruinom świątyni Herkulesa. Gdy jeszcze stała, uważano ją za jedną z najpiękniejszych starożytnych budowli. Do dziś pozostało po niej tylko osiem kolumn różnej wysokości ustawionych z powrotem na właściwym miejscu przez Anglika, sir Alexandra Hardcastle'a, w 1924 roku.

Chciałbym móc powiedzieć, że moje zainteresowanie tą właśnie świątynią wiązało się z tym, co wyniosłem z lekcji historii w szkole średniej. Na przykład, że to najstarsza świątynia w tym kompleksie. Albo że sir Alexander Hardcastle z własnej kieszeni zapłacił za postawienie tych kolumn. Niestety, powód był bardziej prozaiczny i mniej wzniosły, a był nim serial *Herkules*. Kręcono go w Nowej Zelandii i utorował on drogę *Xenie: wojowniczej księżniczce*. Była to odlotowa mieszanka kina akcji, arcyanachronizmów i – no dobrze, nie ma co ukrywać – dziewczyn w kolczugach bikini. Do dzisiaj potrafię wyrecytować słowo w słowo monolog z początku filmu, a najbardziej podoba mi się zdanie opisujące starożytność jako okres, kiedy „bogowie byli okrutni, małostkowi i dręczyli ludzkość cierpieniem”. Zawsze wydawało mi się to bardzo poetyckie.

Głównego bohatera grał Kevin Sorbo. Jego Herkules jest tak szlachetny, że aż zęby bołą. W każdym odcinku jakaś mniejsza czy większa bogini rzucała mu się w ramiona, ale on przez wzgląd na pamięć swojej zmarłej żony pozostawał nieczuły na jej wdzięki. Moja ulubiona kwestia, nie tylko z tego serialu, ale ze wszystkich filmów i seriali, to ta ze sceny, w której heros odrzuca zaloty Nemesis granej przez Kimberley Joseph. Kiedy bogini pyta Herkulesa, czy zawsze jest taki dzentelmeński, on odpowiada: „Staram się taki być”. Ta odpowiedź była tak kapitalna, że zapamiętałem ją z nadzieją, że skorzystam z niej, gdy jakaś kobieta zada mi to samo pytanie. Jak dotąd jednak nie miałem okazji.

Po zwiedzeniu ruin świątyni Heraklesa wróciłem złośliwym koleinami greckim gościńcem do tego, co pozostało z innych świątyń, i ucieszyłem się, widząc, że i one poświęcone są greckim bogom, którzy pojawiają się w *Herkulesie*. Była tam świątynia Hery, wnerwionej żony Zeusa, która przez prawie cały serial stara się zabić tytułowego bohatera, bo jego osoba przypomina jej o niewierności męża. Świątynia Hery znajdowała się na wysokim skalnym wzniesieniu,

z widokiem na cały kompleks ruin. Była tam też świątynia Kastora i Polluksa, bliźnięt, które urodziła Zeusowi Leda po tym, gdy oboje przybrali postać łabędzi. I świątynia Zgody, nazwana tak z powodu łacińskiej inskrypcji znalezionej w jej pobliżu, niemająca związku z serialem. Ta najbardziej budowlana w Dolinie Świątyń, umieszczana na wszystkich widokówkach, swój pierwotny wygląd odzyskała w 1748 roku.

Ze świątyni poświęconej ojcuzłkowi Herkulesa, Zeusowi, pozostała tylko kupa kamieni. Mająca sto trzynaście metrów długości i trzydzieści sześć metrów szerokości świątynia Zeusa Olimpijskiego była uważana za jedną z największych w starożytności. Była to też pierwsza świątynia, którą obracały w perzynę najeżdżające te tereny armie, i pierwsza, którą tutejsi mieszkańcy odbudowywali, gdy było to już możliwe.

W jej architekturze wyróżniały się telamony, czyli rzeźbione podpory w kształcie mężczyzn, podtrzymujące strop. Te podpory nazywano także atlasami w nawiązaniu do Atlasa – jednego z tytanów, skazanego przez Zeusa na wieczne podtrzymywanie na swych barkach sklepienia nieba.

Do dzisiaj zachował się jeden z atlasów – leży na ziemi nieopodal ruin. Rysy twarzy zatarła erozja. Została tylko ludzka sylwetka utrwalona w kamieniu. Uniesione nad głowę ramiona miały podtrzymywać strop, ale teraz leżący na ziemi atlas z założonymi za głowę rękoma wygląda, jakby uciał sobie drzemkę. Takie rzeczy zawsze mnie bawią i zrobiłem tam tyle zdjęć, że wypełniłem prawie całą kartę pamięci w cyfrówce.

Wróciłem do hotelu krótko przed zmierzchem (jadąc znowu Via Bac Bac pod prąd) i postawiłem skuter na placu przed hotelem. Wziąłem szybko prysznic i wróciłem do centrum, ale już piechotą. Wiele ulic w Agrigento jest po południu zamkniętych dla ruchu, dzięki czemu mieszkańcy mają znacznie lepsze warunki do zakupów i spacerów. Mój spacer po Via Atenea był wyjątkowo przyjemny. Mijałem księgarnie, sklepy jubilerskie i butiki i zakończyłem go obowiązkową wizytą w *pasticerii*, cukierni.

Od czasu do czasu dawałem nura w jakąś boczną, wykładaną kocimi łbami uliczkę, ciekaw, dokąd mnie zaprowadzi. Nie raz i nie dwa dochodziłem w ten sposób do miejsca, skąd niespodziewanie roztaczał się piękny widok na całą dolinę rozciągającą się u stóp miasta.

Na Via Giambertoni znalazłem tanią restaurację L'Ambasciata di Sicilia, z wychodzącym na południe balkonem, z którego widać pięknie ruiny świątyń i morze. Jadałem już lepszy makaron z owocami morza niż ten, który mi tam zaserwowano, ale niedostatki smakowe rekompensował mi widok godny pozazdroszczenia. Podziwiałem mury świątyń lśniące w promieniach zachodzącego słońca, pijąc *macchiato* i kieliszek grappy (których dziwnym trafem nie zamawiałem). I cały czas zastanawiałem się, co też takiego musiał przeżyć w Agrigento Sergio, by wyrobić sobie o tym mieście tak złą opinię.

Następnego dnia skierowałem się w głąb łądu, do miasta Piazza Armerina. Droga prowadziła wśród falujących wzgórz i prowizorycznie skleconych domów. Kiedy patrzyłem na te ostatnie, przypominały mi się nieukończone domy w Corleone. Pojąłem, że definicja „niezakończonej inwestycji budowlanej” jest inna w każdej prowincji na Sycylii i ma to pewnie coś wspólnego z możliwymi obniżkami podatku. Czasami wystarczyło zamiast szyb wstawić przezroczysty plastik, ale tu, pośród wzgórz środkowej Sycylii, przepisy były zdaje się bardziej restrykcyjne. Miejscowe władze domagały się byle jak położonych cegieł, widocznych warstw zaprawy między nimi i tego, żeby pręty zbrojeniowe wystawały z dachu jak nieugotowane spaghetti.

Na szczęście same wzgórza otaczające miasta z tak niedokończonymi domami były śliczne. Piaskowej barwy pola ciągnęły się aż po horyzont, a na szczytach usadowiły się wzniesione z kamienia wille, równie malownicze jak te w Toskanii. Od czasu do czasu widok psuł jakiś szyb z pompą stojący na skalistym polu, z którego wydobywano ropę. Byłem tu tylko ja, Marcello

i pusta nitka asfaltowej drogi wysadzonej drzewami tak poskręcanyimi i wiekowymi, że miało się wrażenie, że już takie były, gdy je posadzono.

Zaraz za miasteczkiem Barrafranca utknąłem za ciężarówką, której kierowca próbował pobić rekord przewozu największej liczby arbuźów w jednym transporcie. Arbuzy ułożone były na pace warstwami, tworząc ogromną piramidę. Kierowca chciał pewnie uzyskać dodatkowe punkty za poziom trudności, bo postanowił, że nie zabezpieczy ładunku plandeką.

Górska serpentyna. Ciężarówka pełna arbuźów. A zaraz za nią jakiś facet na vespie. Czuję instynktownie, jak to się musi skończyć. Były już wszystkie elementy scenariusza włoskiej komedii z lat siedemdziesiątych. Zdrowy rozsądek nakazywał zjechać na bok i poczekać, aż ciężarówka zniknie gdzieś w oddali.

Ale ja jechałem, wpatrując się jak zauroczony w arbuza wieńczącego zieloną piramidę. Kołysał się z boku na bok i byłem pewien, że na kolejnym zakręcie wreszcie zakotłusze się tak mocno, że spadnie. I kiedy wreszcie to się stało, tak jak przewidywałem, z pełnym spokojem przyjąłem, że rozwalił się na drodze tuż przede mną.

Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że różowe rozbryzgi arbuza pięknie komponują się z pomarańczowym kolorem mojej vespy i wszystko wygląda bardzo *tutti-frutti*. Potem zacząłem zastanawiać się, co właściwie znaczy to wyrażenie.

Ale kiedy chwilę później wjechałem przednim kołem Marcella na część rozbitego arbuza, musiałem skupić się na tym, żeby nie wywalić się na pokrytym różową mazią asfalcie. Marcello niebezpiecznie się zakotłuszał, ja starałem się zachować równowagę, śmiesznie rozstawiając nogi na boki, a pasażerowie samochodu jadącego za mną zaczęli płakać ze śmiechu. Brakowało tylko jeszcze jakiejś zwariowanej melodyjki granej na organach Hammonda jako tła muzycznego i mielibyśmy przebój kinowy.

Do Piazza Armerina przyjechałem przede wszystkim po to, żeby obejrzeć mozaiki w Villa Romana del Casale – letniej rezydencji oddalanej o trzy kilometry na południowy zachód od miasta. Zbudowana między III a V wiekiem naszej ery willa była centrum ogromnego rzymskiego latyfundium, a swą sławę – i miejsce na liście UNESCO – zawdzięcza mozaikom posadzkowym zdobiącym sześćdziesiąt dwa pomieszczenia kompleksu. Dekoracje te są uważane za najpiękniejsze mozaiki świata rzymskiego, a zachowały się dzięki powodzi, która w XII wieku przykryła je warstwą błota. Odkryto je w 1950 roku.

Zawsze uwielbiałem mozaiki. Urzeka mnie w nich połączenie prostoty z wysmakowaniem. Materiał, z jakiego są wykonane, znacznie ogranicza twórcę, bo płytki, z których składa się mozaika, są bardzo małe. Żeby uzyskać pożądany efekt, trzeba umiejętnie dobierać kolory i kształty tesserów. Wysilek ten owocuje jednak takim mariażem piękna i prostoty, jakiego nie da się uzyskać za pomocą pędzla i farby.

Naukowcy wciąż spierają się na temat tego, kiedy powstała willa w Casale i do kogo należała. Jedni uważają, że zbudowano ją między IV a V wiekiem naszej ery, a jej właścicielem był rzymski senator Rufius Albinus. Ów Rzymianin pisał, że ta część Sycylii odznaczała się „poetyckim spokojem”.

Z kolei profesor Gino Vinicio Gentili, który brał udział w pracach wykopaliskowych w Casale w latach pięćdziesiątych, kiedy odkryto mozaiki, jest przekonany, że willę wybudowano między III a IV wiekiem naszej ery i że była ona rezydencją myśliwską cesarza Maksymiana Herculiusa. Argumentem przemawiającym za tą wersją ma być fakt, że chłopiec na mozaice w westybulu ma zeza, a kroniki mówią wyraźnie, że zeza miał właśnie syn Maksymiana, Maksencjusz.

Tak czy owak, wykonanie tych dekoracji było bardzo praco- i czasochłonne. Na Sycylię sprowadzono rzemieślników z północnej Afryki, którzy położyli ponad trzy i pół tysiąca metrów

kwadratowych mozaik, wykorzystując do tego trzydzieści milionów tesserów. Zakładając, że jeden człowiek potrzebował sześciu dni na wykonanie jednego metra kwadratowego mozaiki, historyk Paul MacKendrick oszacował, że wykonanie wszystkich mozaik zajęło pięćset cztery tysiące roboczogodzin. Przedsięwzięcie to było także bardzo kosztowne. W tamtych czasach robotnikom budowlanym płacono pięćdziesiąt denarów za dzień pracy. Ten, kto układał mozaiki, żądał stu pięćdziesięciu denarów.

Dopiero zwiedzając pozostałości willi, człowiek uświadamia sobie, jak ogromny był to budynek. Znajdowały się w nim cztery pomieszczenia dla niewolników. Dalej pokoje dla odźwiernych. Sala do masażu. Sádzawka. Zimne łaźnie. Gorące łaźnie. Sala do ćwiczeń gimnastycznych. A każde z tych pomieszczeń było udekorowane mozaiką ilustrującą historię z dzieł Owidiusza, Seneki, Nowacjana czy Grattiusa. Nawet w toalecie na posadzce umieszczono zachwycającą mozaikę przedstawiającą lamparta goniącego osła goniącego królika goniącego gołębia. Nie byłem pewien, co to ma wspólnego z tym, co robimy w toalecie, ale i tak wyglądało to wspaniale.

Odwzorowanie szczegółów na mozaikach jest tak dokładne, że rzesze archeologów zrobiły habilitacje i profesury, analizując obuwie, fryzury i stroje przedstawione na posadzkach. O zezie Maksencjusza już wspominałem, ale nie tylko ta mozaika dowodzi, jak wielką uwagę jej twórcy przywiązywali do detali. Zaprojektowana z rozmachem scena myśliwska zdobiąca cały główny korytarz willi przedstawia nie tylko polowanie; widać na niej także załadunek ubitej zwierzyny na statki i krew kapiącą z ran zwierząt. Inna mozaika przedstawia dziewczynę z odsłoniętymi pośladkami siedzącą na cesarskich kolanach. Wyraz twarzy władcy – i dziewczyny – mówi, że „cysorz to mo klawe życie”. Najbardziej znanym pomieszczeniem w willi jest chyba sala gimnastyczna z mozaikami przedstawiającymi dziewczęta ćwiczące w bikini. Zdaniem archeologów, te mozaiki to „rzadka i cenna informacja o modzie tamtego okresu”. Archeolodzy z XXIV wieku pewnie powiedzą dokładnie to samo, gdy dokopią się do jakiegoś starego numeru „Sports Illustrated”. Głowę dam, że właśnie takie mozaiki fundują sobie w tej chwili rosyjscy miliarderzy w swoich petrorublowych pałacach.

Wyjechałem z terenu willi drogą biegnącą pośród pnączy dzikiego kapryfolium i kęp lawendy i skierowałem się z powrotem w stronę Piazza Armerina. Na jej przedmieściach staruszek w kaszkiecie sprzedawał brzoskwinie ze swojego *ape*. Były to najbardziej soczyste brzoskwinie, jakie kiedykolwiek widziałem. Kupiłem dwie na podwieczorek, a staruszek dorzucił mi jedną gratis za to, że mój Marcello był w takim samym kolorze jak jego brzoskwinie.

Na nocleg nie zatrzymałem się w Piazza Armerina, ale – zgodnie z sugestią mojego przewodnika – wybrałem ekscentryczne *agriturismo*, gospodarstwo agroturystyczne, trzy kilometry na południe od miasta. Nazywało się Agricasale, a drogę do niego wskazywały znaki z rudym liściem mówiącym „Jedź za mną”. Znaki zaczynały się na peryferiach Piazza Armerina i pojawiały się niepokojąco nieregularnie na drzewach i słupach telefonicznych. Kilka razy byłem gotów zrezygnować z dalszych poszukiwań, ale gdy już miałem zawrócić, dostrzegłem kolejny znak, trzy wykrzykniki zaś przynaglały mnie do dalszej jazdy i obiecywały niezwykle doświadczenie.

W normalnych okolicznościach nie uznałbym Agricasale za odpowiednie dla mnie miejsce. Był to rodzaj ogromnej hacjendy z basenem, kortem tenisowym i boiskiem do siatkówki. Na podjeździe stały maszty z flagami różnych państw, a na szklanych drzwiach wejściowych umieszczono piktogramy informujące, że ośrodek przyjmuje karty kredytowe, gości z psami i kotami, osoby na wózkach i kampery, ale nie skutery. A przynajmniej nie było takiego piktogramu.

Wszystko było wykafelkowane, lśniąca i pachnąca. Miałem wrażenie, że za chwilę zjawi się pracownik w czerwonym uniformie i powie, że tacy jak ja nie mają tutaj wstępu. Ale zamiast niego stanął przede mną ktoś, kto wyglądał jak Raúl Juliá. Wyściskał mnie jak długo niewidzia-



nego krewnego, zaoferował pokój ze śniadaniem i obiadem za pięćdziesiąt euro, chwilę później spuścił cenę do czterdziestu euro i zaproponował jedną z willi pośród wzgórz, kilkaset metrów od głównego budynku ośrodka.

– Interes kiepsko idzie – wyznał z szerokim uśmiechem. – Więc może pan tam sobie zamieszkać.

Willa znajdowała się na końcu długiej alejki ocienionej cyprysami. Miała dwa piętra i balkon z widokiem na puste wzgórze na południu. Stałem na nim przez chwilę, chłonąc ciszę przerywaną jedynie gruchaniem gołębi i cykaniem świerszczy. Jadąc tu, bałem się najgorszego, ale okazało się, że to jedno z najlepszych miejsc, w których przyszło mi nocować w czasie tej podróży.

Kiedy zdejmowałem torbę z tylnego bagażnika Marcella, zorientowałem się, że zgubiłem buty. Od przyjazdu na Sycylię podczas jazdy zawsze miałem na nogach sandały, bo było ciepło, a buty przywiązywałem za sznurówki do tylnego bagażnika. Ponieważ były to jedyne pełne buty, jakie miałem z sobą, postanowiłem wrócić i poszukać ich przy drodze.

Pamiętałem, że ostatni raz widziałem je, gdy zatrzymałem się, żeby zrobić zdjęcie pomnika upamiętniającego żołnierzy z I wojny światowej – wspinających się na wzgórze z brązu i spadających z niego – w centrum Piazza Armerina. Zaraz potem zobaczyłem pierwszy znak z liskiem i wyjechałem z miasta.

Moje buty były w kolorze brudnobrązowym, takim samym jak wiejskie drogi Sycylii, zdawałem więc sobie sprawę, że mogę je minąć i nawet ich nie zauważyć. Gdy jadąc, przyglądałem się dokładnie drodze i poboczu, zrozumiałem, że mogę je pomylić nawet z szyszkami pinii. Wystarczy, żeby leżały w cieniu, a nie będzie widać różnicy. Poza tym do tej pory nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, ile śmieci wałało się przy drodze. Najczęściej były to najzwyklejsze przedmioty: plastikowe butelki, pudełka po papierosach, jakieś ulotki, kołpaki z kół. Trafiły się także dwa stare kineskopy, koszula i jeden sandał. Za to moich butów ani śladu.

W świecie doskonałym buty leżałyby sobie spokojnie obok szosy i czekały, aż się zjawię i je zabiorę. Ale w rzeczywistości wiedziałem, że jeśli spadły na drogę w czasie jazdy i odbiły się od asfaltu, to przecież mogły wylądować gdziekolwiek. Jeśli jechałem w tamtej chwili dość szybko, mogły odbić się od szosy, przelecieć przez przydrożny rów i wylądować gdzieś dalej, na polu. Wyobrażałem sobie sycylijskiego rolnika orzącego pole, który schyla się i widzi buty, rozmiar czterdziesty drugi – dokładnie jego rozmiar – leżące na polu. Na pewno uznałby to za cudowny prezent od Najświętszej Pani. Może nawet postawiłby kapliczkę, taką samą jaką widziałem w Favignanie, gdzie wierni będą przychodzić i czcić „cud butów”.

Niebawem dotarłem do miasta. Na tym samym skrzyżowaniu, na którym skręcałem z głównej drogi, kierując się za pierwszym znakiem z liskiem, natrafiłem na wypadek. Zderzyły się dwa samochody; jeden jechał prosto, drugi skręcał i wjechał mu przed maskę. Obok aut stali karabinierzy – zdjęli czapki i drapali się w głowę jak wszyscy policjanci w każdym miejscu na świecie.

Do głowy przyszła mi straszna myśl. A jeśli to przez moje buty? Może któryś z kierowców skręcił raptownie, żeby je wyminąć? Przejeżdżając obok unieruchomionych samochodów, zwolniłem, patrząc, czy moich butów nie ma gdzieś pod kołami. Nie było. Trochę mnie to rozczarowało, ale potem uświadomiłem sobie, że moja polisa chyba nie uwzględniała takiej ewentualności. Postanowiłem zostawić buty w spokoju i okrężną drogą, objeżdżając miasto, skierowałem się z powrotem do *agriturismo*.

Restauracja w Agricasale słynęła z tego, że wykorzystywano w niej świeże produkty z pobliskich upraw ekologicznych. Autorzy mojego przewodnika pisali, że nawet jeśli nie zdecyduję się na nocleg w tym ośrodku, to powinienem przynajmniej zjeść tam kolację. Ale kiedy

o wyznaczonej godzinie znalazłem się w jadalni, nie było tam nikogo poza właścicielem, który siedział w kącie i na dużej plazmie oglądał mecz piłki nożnej.

Gdy mnie zobaczył, zerwał się z krzesła i podszedł, uśmiechając się niewyraźnie. Ponieważ wcześniej powiedział, że jestem jedynym gościem, myślałem, że zakomunikuje mi, że dla mnie nie opłacało się gotować. Ale zamiast tego zaprowadził mnie do stolika zastawionego dla jednej osoby i zawołał żonę, która robiła coś w kuchni. Wyszła stamtąd po chwili z talerzem pełnym bakłażanów, kulek mięsnych, miecznika ze szparagami, oliwek, pomidorów i plasterów mozzarelli. Gdy wszystko to zmiotłem do czysta, wróciła z kolejnym talerzem, na którym były dwa kawałki tarty z warzywami i pięć *arancini*, ryżowych kulek z farszem z mielonego mięsa, sera i groszku, smażonych w oleju. Zajęło mi to trochę czasu, ale i z tym się uporałem, nie zostawiając na talerzu ani kruszyny.

Wyraz satysfakcji z dobrze wykonanego zadania znikł mi z twarzy, gdy żona właściciela wróciła z wazą pełną makaronu w sosie pomidorowo-grzybowym i oświadczyła, że to jest moje *primi piatti*, pierwsze danie. Kiedy zjadłem makaron, na stole pojawiło się *secondi piatti*, drugie danie: wieprzowina z oliwkami, cebulą i octem balsamicznym. We Włoszech drugie danie to zwykle właśnie kawałek mięsa lub ryby, ale tutaj dostałem do tego całą kopę ziemniaków w śmietanie. Zjadłem kilka łyżek, a potem odpuściłem. Było mi niedobrze i czułem się napchany jak nałogowy żarłok.

A tymczasem właściciel ośrodka jadł spokojnie arbuza, dalej oglądając mecz. Pomyślałem, że taki arbuz przydałby mi się teraz. Wydawał się być słodki, a na pewno był lekkostrawny i doskonale podziałałby na mój przepelniony żołądek. Dlatego spytałem właściciela, czy mógłbym liczyć na *dolci*, deser. Gestem dał mi do zrozumienia, że mam chwilę poczekać, bo deser już jest w drodze.

I rzeczywiście, po chwili zjawiała się przede mną gospodyni, niosąc ciastka z ricottą, posypane cukrem pudrem i przybrane truskawkami i wiśniami, a wszystko to polane było słodką czerwoną polewą. Zjadłem więc i deser. W końcu udało mi się jakoś doczłapać do drzwi, ale przedtem musiałem jeszcze wypić wieńczącą posiłek darmową lampkę wina migdałowego.

Chociaż do mojej willi było zaledwie kilkaset metrów, wiele bym wtedy dał, by móc pokonać ten dystans na Marcellu.



## Syrakuzy

### Patronka: święta Łucja

Następnego ranka podarowałem sobie śniadanie i ruszyłem przez nagie wzgórza na wschód, do Caltagirone. Zbliżały się najgorętsze miesiące w roku i rolnicy, korzystając z chłodniejszych dni czerwca, wypalali na polach wyrosłe wiosną chwasty.

W Australii takie rzeczy robią odpowiednie brygady do wypalania buszu, które bardzo pilnują, żeby ogień się nie rozprzestrzenił. Tu, na Sycylii, podpala się suche zielsko i nikt nie kontroluje płomieni. Chwasty palą się na polach wzdłuż drogi i czasami dym i ogień dochodzą aż do asfaltu.

Gdy jechałem szosą, na którymś z zakrętów wiatr pognał płomień wprost na mnie. Przejechałem przez ścianę ognia i dymu niczym kaskader na pokazie, jedynie osmalając sobie włosy na rękach. Na szczęście butelki marsali kołyszące się niebezpiecznie blisko mojego krocza, nie potłukły się i alkohol się nie zapalił.

W dzielnicy Sydney, w której dorastałem, było bardzo wielu włoskich imigrantów. Kiedy wprowadzali się do domów, zdzierali wykładzinę i wszędzie kładli posadzki z terakoty. Moi rodzice uważali to za wariactwo. Ale ilekroć odwiedzałem włoskich kolegów w upalny letni dzień, w ich domach panował wyjątkowo przyjemny chłód.

Mieszkańcy Caltagirone zastosowali to rozwiązanie w całym mieście. Gdzie się nie popatrzyło, wszędzie widać było albo terakotę, albo inne przedmioty z ceramiki. Most San Francesco ozdobiono ceramicznymi płytkami przedstawiającymi kwiaty i herby. Kamienna balustrada wokół *giardino della villa*, ogrodu miejskiego, zwieńczona jest ceramicznymi dzbanami z różnymi scenami z życia codziennego. Nawet utrzymane w wiktoriańskim stylu podium dla orkiestry ozdobiono płytkami ceramicznymi. Wszystko, co dało się pomalować, pokryć glazurą i wypalić w piecu, zostało pomalowane, pokryte glazurą i wypalone. A jeśli czegoś nie dało się tak potraktować, to znajdziemy na tym albo płytki ceramiczne, albo jakiś inny wyrób z ceramiki.

W Caltagirone ceramikę wytwarzano od zawsze. Tamtejsi rolnicy w czasie orki bezustannie wygrzebują z pól jakieś prehistoryczne skorupy i garnki. Zanim miasto legło w gruzach na skutek strasznego trzęsienia ziemi w 1693 roku, pięć procent jego mieszkańców trudniło się zdobieniem za pomocą ceramiki kościołów lub budynków publicznych. Gdy Caltagirone odbudowywano, jeszcze więcej osób zabrało się za formowanie i wypalanie gliny, by zaspokoić popyt na ceramikę towarzyszącą architekturze baroku, która wówczas dominowała w mieście. W XIX wieku zaczęto tworzyć wyroby artystyczne i tak pozostało do dzisiaj. Nawet arabską nazwę miasta, Cal'at Ghiran, można tłumaczyć jako „zamek waz”.

Caltagirone słynie z charakterystycznej wielobarwnej ceramiki – zasady jej wytwarzania miejscowi rzemieślnicy przyswoili sobie wraz z przybyciem Arabów. Szczególnie popularne są tu odcienie niebieskiego i żółtego. Gdy zaparkowałem Marcella na Piazza Municipio, obok ściany ozdobionej ceramicznym herbem miasta w krzykliwych kolorach, skuter doskonale wtopił się w barwne tło.

Największa atrakcja miasta to La Scala, czyli zbudowane w 1608 roku schody łączące stojącą na szczycie wzgórza katedrę Santa Maria del Monte ze znajdującym się niżej Palazzo Senatorio. Czoła wszystkich stu czterdziestu dziewięciu stopni ozdobiono ręcznie malowanymi płytkami, pośród których nie ma dwóch takich samych. Przy schodach znajduje się kilka sklepów z ceramiką, ale przede wszystkim stoją tam domy i warsztaty mieszkańców.

Zostawiłem Marcella na placu i zacząłem się wspinać do katedry. Poza mną nie było tam żadnych turystów. Jakaś kobieta wieszała pranie. Dziewczynka z kręconymi włosami bawiła się, wskakując na kolejne stopnie i zeskakując z nich. Zdezelowana vespa stała w jednym z zaułków odchodzących od schodów. To, co zwyczajne i codzienne, było tłem dla tego, co niezwykajne.

Przed wejściem do katedry siedziała nastolatka i tworzyła plakat, który miał informować turystów, że znowu można zwiedzać dzwonnice. Dzwonnica była zamknięta przez ostatnie pięć lat, ale arcybiskup, pod wpływem kaprysu, na powrót postanowił udostępnić ją zwiedzającym. Chociaż dziewczyna się starała, jej plakat wyglądał jak typowa praca powstała na lekcji plastyki. Znalazły się na nim napisane kolorową kredką i grubymi literami słowa: „Zwiedzajcie dzwonnice”, oraz fotografie wycięte z przewodnika i przyklejone do tektury.

Spytałem dziewczynę, czy dzwonnice można zwiedzić już w tej chwili, a ona skinęła głową. Ponieważ zwróciłem się do niej po angielsku, ona z kolei spytała mnie, czy po angielsku lepiej napisać „zwiedzajcie” czy „wycieczka”. Powiedziałem, że jeśli użyje słowa „wycieczka”, to osoby znające angielski pomyślą, że jest tu też ktoś, kto ich oprowadzi. Dziewczyna spojrzała na mnie zdziwiona.

– Nie, nie ma tu przewodnika. Samemu trzeba wejść na górę.

Jej odpowiedź mnie zaskoczyła. Zdziwiony byłem nie tym, że sam musiałem wejść na dzwonnice, ale głosem, jaki usłyszałem – niskim i lekko chropawym. Dziewczyna była filigranowa i miała delikatne rysy, w przeciwieństwie do głosu, który bardziej pasowałby do Louisa Armstronga. We Włoszech nie było to jednak niczym niezwykłym. Można odnieść wrażenie, że większość Włochów ma lekko chrapliwy, matowy głos. W czasie mojej ostatniej podróży oglądałem tutaj dubbingowaną wersję sitcomu *Pomoc domowa* i zauważyłem, że tytułowa bohaterka we włoskim dubbingu mówi właśnie takim seksownym i matowym głosem.

Dziewczyna otworzyła mi drzwi do dzwonnicy. Nienaruszona pajęczyna wskazywała, że jestem pierwszą osobą od pięciu lat, która tu wchodzi. Ceramiczne wizerunki Matki Boskiej pokryte były kurzem, a każdy mój krok zostawiał ślad na stopniach. Na samym szczycie dzwonnicy wszystko, łącznie z dzwonem, było zapaskudzone gołębiami odchodami. Za to widok okazał się wspaniały – jeśli tylko stanęło się plecami do masztu telefonii komórkowej umieszczonego za kościołem. Na dodatek wiał tutaj przyjemny, chłodny wiatr.

Kiedy wróciłem na Piazza Municipio, zobaczyłem, że wokół Marcella zebrała się grupka chłopaków. Byli ubrani na sportowo, a włosy mieli postawione na żelu. Spyтали, czy to moja vespa, a kiedy powiedziałem, że tak, kazali mi wsiadać i jechać za nimi.

Dojechaliśmy do sklepu sprzedającego ceramikę przy Via Celso. Można tam było kupić przedmioty typowe dla tego rodzaju miejsc: talerze, dzbany, wazy, i w pierwszej chwili sądziłem, że ściągnęli mnie tutaj, żebym coś kupił, a oni będą mieć z tego prowizję. Zakomunikowałem więc, że nie ma szans na to, żebym na vespie przewiózł na przykład ogromny ceramiczny stojak na parasole w kształcie ludzkiej głowy. Ale oni zamiast namawiać mnie do zakupów wskazali na czerwoną vespę zaparkowaną przed sklepem, taką samą jak Marcello.

Rzeczywiście, wyglądało na to, że to model Rally, ale skuter nie miał z boku charakterystycznych pasków, więc nie byłem pewien. Chłopcy wywołali ze sklepu sprzedawcę, ogolonego na zero mężczyznę o imieniu Joe. Potwierdził, że to rzeczywiście Rally 200, z 1974 roku. Wtedy któryś z chłopaków przetoczył Marcella i zaparkował go obok czerwonej vespy. Jego kumple by-

li zachwyceni. Usiedli na siodełkach skuterów, zaczęli pozować, robić gesty charakterystyczne dla fanów heavy metalu i głośno domagali się, żeby zrobić im zdjęcie. Bardzo mnie to rozbawiło.

Joe był pod wrażeniem pasków na moim Marcellu. Zawołał kolegę pracującego w salonie tatuażu po drugiej stronie ulicy, ten pstryknął komórką zdjęcia pasków i obiecał, że zrobi mu takie same. Joe zaglądał mu przez ramię, gdy tamten robił zdjęcie, chcąc mieć pewność, że uchwyci wszystko jak należy.

Potem Joe zaprosił mnie do sklepu na filiżankę kawy. Okazało się, że sklep należy do jego rodziny i że za budynkiem jest warsztat ceramiczny, gdzie wytwarzane są sprzedawane tu przedmioty. Jego tata pracował właśnie przy stole garncarskim, siostra malowała jakieś wzory na dzbankach, a brat czytał dział sportowy w gazecie.

– On robi antyki – powiedział Joe tajemniczo.

Joe zrobił nam dwie filiżanki espresso, korzystając z ekspresu do kawy w głębi warsztatu. (Ekspres do kawy w miejscu pracy to zdaje się niezbywalne prawo pracownicze we Włoszech). Przesunął leżące na ławce rzeczy z ceramiki, żeby zrobić mi miejsce, i pogardliwie machnął ręką, wskazując przedmioty wokół i mówiąc:

– To wszystko dla turystów.

Potem opowiedział, jak wyrabia się poszczególne rzeczy, ale nie oczekiwał, że coś kupię. Oczywiście było, że jako właściciel modelu Rally mam klasę i dobry gust.

Interesowała go za to moja podróż. Oczywiście rozszerzyły mu się ze zdumienia, gdy powiedziałem, że przejechałem na Marcellu całą Sycylię i pół Sycylii. Najdłuższa trasa, jaką Joe zrobił na swoim skuterze, to trzydzieści cztery kilometry na plażę koło miejscowości Gela.

– To może i ja się dokądś wybiorę na moim Rallym – powiedział w pewnej chwili.

Wróciliśmy do vesp. Ciągle budziły zainteresowanie chłopaków, dalej okupujących ich siodełka. Joe roześmiał się.

– To nam pochlebia – zauważył. – Przynajmniej nie jesteśmy dla nich zgredami, co jeżdżą na hondach!

Przed odjazdem Joe dał mi w prezencie ceramiczną vespę pomalowaną na żółto i na niebiesko.

– To na pamiątkę – powiedział ze śmiechem.

Figurka była ładna, ale obaj wiedzieliśmy, że nie umywa się do naszych prawdziwych skuterów.

Gdy w końcu dotarłem do Syrakuz, marzyłem tylko o tym, żeby położyć się spać. W palących promieniach słońca przejechałem w poprzek całą Sycylię i teraz odczuwałem tego skutki. Położyłem się plackiem na łóżku w pokoju w hotelu nad brzegiem morza na wyspie Ortygia przyklejonej do Syrakuz i przypominającej kształtem barani kotlet. Dodam tylko, że w moim świecie „położyć się plackiem na łóżku”, oznacza zapłacić siedemdziesiąt euro za noc. Na szczęście hotel Gutkowski był jednym z tych modnych miejsc, które jednak nie są aż tak modne, by liczyć za pokój tym więcej, im mniej w nim było tradycyjnego hotelowego wyposażenia.

Ortygia zawsze była najważniejszą częścią Syrakuz. Dwa i pół tysiąca lat historii stłoczonych jest w średniowiecznym labiryncie ulic, długim na kilometr i szerokim na pół kilometra. Tu właśnie znaleźć można najbardziej imponujące budowle Syrakuz, takie jak świątynia Apollona z VI wieku przed naszą erą czy olśniewające barokowe *duomo*, katedrę. Na dodatek w barach i restauracjach panuje żywsza atmosfera niż po drugiej stronie wąskiego kanału oddzielającego Ortygię od części miasta położonej na Sycylii.

Dlatego właśnie rzadko zapuszczałem się do drugiej części Syrakuz. Zajrzałem tylko do bazyliki w Santuario Madonna delle Lacrime, żeby kupić magnes ze świętą Łucją. (To patronka Syrakuz, a jej kości dopiero co wróciły do miasta po zakończeniu długotrwałej walki o nie

z władzami Wenecji). Zwiedziłem także grecki amfiteatr w Neapolis, w którym szesnaście tysięcy osób oglądało niegdyś premiery tragedii Eurypidesa i Sofoklesa wystawianych tu w V wieku przed naszą erą. Poza tym spacerowałem po brukowanych uliczkach odchodzących od Piazza Archimede i po metalowych stopniach zszedłem na kamienistą plażę zaraz obok Lungomare.

Nawet się nie obejrzałem, jak nadszedł mój ostatni wieczór w Syrakuzach. Od morza wiała chłodna bryza, a elegancko ubrani mieszkańcy miasta siedzieli na tarasach restauracji i pod palmami albo spacerowali biegnącą wzdłuż portu promenadą. W mieście, w którym Archimedes wykonał kawał solidnej roboty umysłowej, spędziłem trzy dni śpiąc, jedząc i pływając w morzu. Stwierdziłem więc, że trzeba w końcu zająć się jakąś kulturalną rozrywką. Zobaczyłem plakat reklamujący przedstawienie w Piccolo Teatro dei Pupi, czyli miejscowym teatrzyku kukielkowym. Plakat obiecywał *spettacoli tradizionali*, tradycyjny spektakl, i uznałem, że właśnie czegoś takiego szukałem.

Recepcjonistka w hotelu skrzywiła się, gdy powiedziałem, dokąd się wybieram. Przedstawienia kukielkowe to rozrywka popularna na Sycylii od XIV wieku. Nieodmiennie dominuje w nich wątek chrześcijan tłukących po łbach najeżdżających wyspę Saracenów albo też, nie wiadomo dlaczego, krokodyle. Dzisiaj te przedstawienia są już trochę *passé*.

– Teraz na Sycylii już się trochę wyrobiliśmy – powiedziała. – Krokodyle i walki na miecze są dobre dla dzieci. – Ale nic nie było w stanie odwieść mnie od tego pomysłu. Byłem zdecydowany pójść do teatrzyku, choćby nie wiem co.

Odnalazłem Piccolo Teatro dei Pupi w niewielkiej uliczce odchodzącej od Via della Maestranza. Dość korpulentny mężczyzna z czarną brodą siedział przy kontuarze z twarzą ukrytą w dłoniach. Teatrzyk znajdował się tuż obok. Jednak ustawione w rzędy drewniane ławki były puste.

– Przedstawienie kukielkowe? – spytałem z nadzieją w głosie.

Mężczyzna skinął głową ze złośliwym wyrazem twarzy.

– Czekamy na więcej widzów – wyjaśnił.

Dla zabicia czasu zadałem mu jeszcze kilka bezsensownych pytań i dowiedziałem się, że bilety są po pięć euro, że jest lalkarzem i że zajmuje się tym od 1995 roku. Nazywał się Alfredo Vaccara i to miano znajdowało się nad drzwiami i na wszystkich plakatach. Jednak za wszelką cenę starał się mi wyjaśnić, że Alfredo Vaccara to także nazwisko jego dziadka. Wyglądało to tak, jakby ostrzegał, żebym nie spodziewał się po przedstawieniu niczego nadzwyczajnego.

– Za jego czasów było inaczej – westchnął. – Przychodzili ludzie z miasta. To była dla nich rozrywka. Dzisiaj mają telewizję, a dzieci komputery. Muszę polegać na turystach.

Po chwili zjawili się dwoje młodych ludzi. Widząc nadzieję na mojej twarzy, Alfredo natychmiast rozwił ją, mówiąc, że to jego brat.

Minęło kolejne pół godziny. Spytałem, czy w lipcu ma dużo widzów, a Alfredo odparł, że raczej tak. Tyle że w tej chwili w mieście było niewielu turystów. Fakt, też to zauważyłem. Minęło kolejne pół godziny i nikt nie przyszedł.

– Jutro też dajemy przedstawienie – powiedział.

Odparłem, że jutro będę w drodze na Wyspy Eolskie, ale on tylko wzruszył z rezygnacją ramionami.

Na odchodnym zrobiłem zdjęcie nieszczęśliwego Alfreda w pustym teatrzyku. Zazartował cierpko, że powinienem dać zdjęciu podpis: „Oczekiwanie”, i poprosił, żebym mu je przysłał mailem.

Wyszedłem w noc, zdecydowany dalej szukać jakiejś rozrywki. Wcześniej, za dnia, widziałem kilka interesujących pubów i barów. Jeden z nich, 747 Bar, cały w chromie i w pomarańczowym kolorze, był dokładnie w stylu Marcella. Zainteresował mnie także Pub Vecchio, wyglą-

dający tak nobliwie, jak sugerowała jego nazwa (*vecchio* to po włosku „stary”). Problem w tym, że oba lokale były zamknięte, bo wszyscy, którzy mieli wypić aperitif, już to zrobili i przenieśli się do restauracji. Szedłem nieśpiesznie ciemną, brukowaną uliczką, chcąc dotrzeć do pubu Il Bagatto przy Piazza San Giuseppe, gdzie, jak powiedziała mi recepcjonistka z hotelu Gutkowski, może będzie grał jakiś zespół.

Jedynymi osobami, na które natknąłem się na ulicy, były dwie młode dziewczyny w spodniczkach mini i w szpilekach. Usłyszały moje kroki i obejrzały się, a widząc, że zbliża się do nich samotny, byle jak ubrany mężczyzna, przycisnęły do piersi torebki i pognały przed siebie, starając się zachować równowagę i nie potknąć o bruk.

Nigdy nie wiem, co robić w takiej sytuacji. Gdybym przyśpieszył, chcąc je wyminąć, pomyślałyby, że je gonię i zaczęłyby krzyczeć wniebogłosy. Jeślibym jednak zwolnił, utwierdziłbym je w podejrzeniach, że mogę być niebezpieczny. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie krzyknąć, że przecież nie chcę wyrządzić im krzywdy, ale biorąc pod uwagę mój kiepski włoski, uznałem, że nie jest to najlepszy pomysł. Bóg jeden wie, co bym wykrzyczał.

Zamiast tego skręciłem w boczną uliczkę, licząc, że doprowadzi mnie tam, dokąd chciałem dojść. Ale nie doprowadziła. Okazało się bowiem, że znalazłem się na tej samej ulicy, na której byłem przed chwilą, tyle że teraz znajdowałem się przed dziewczynami i szedłem w ich stronę. Wyglądało to jakbym świadomie wybrał jakiś skrót, żeby je wyprzedzić i zaskoczyć, i kobiety rzeczywiście zdawały się być przerażone. Przeszedłem na drugą stronę, żeby pokazać, że nie mam wobec nich złych zamiarów, ale to tylko utwierdziło je w przekonaniu, że coś knułem i teraz wyszło to na jaw. Schowałem się w kolejnej bocznej uliczce, mając nadzieję, że dziewczyny nie zadzwonią po karabinierów.

Uderzyła mnie myśl, że gdybym był na Marcellu, nic takiego by się nie zdarzyło. Po pierwsze, nie krążyłbym po jakichś ciemnych zaułkach miasta. A gdybym trafił na te same dziewczyny, na pewno zaczęłyby się zastanawiać, dokąd jedzie właściciel takiej wspaniałej vespy i być może nawet poszłyby za mną. Tymczasem bez Marcella byłem kimś, kogo należało unikać. A może nawet wyglądałem na zboczeńca.

Wreszcie udało mi się dotrzeć do Il Bagatto. „Zespołem” uprzyjemniającym tamten wieczór okazał się nieogolony gość w ciemnych okularach występujący pod niepokojącym pseudonimem Całujący Tulipany. Pobrdąkał trochę na gitarze, obalając w tym samym czasie dwie butelki czerwonego wina. Ale recepcjonistka ostrzegła mnie, że „nie mam co liczyć na superzabawę...”. Zajrzałem jeszcze do kilku innych pubów i dość szybko uświadomiłem sobie, że we Włoszech nie siada się samotnie przy stoliku lub przy barze, by przy piwie opłakiwać swoje smutki. Włosi chodzą do pubów gromadą. Śmieją się i głośno żartują z siebie nawzajem. Zwołują się za pomocą telefonów komórkowych, żeby wspólnie wylądować w jakimś lokalu i żeby nikt nie musiał znosić wstydu samotności. Wysłałem SMS do Sally, pisząc, że bez niej jest mi tu bardzo smutno.

Ostatecznie za dużo wypilem i chwiejnym krokiem powlokłem się przez Via Roma, starając się przypomnieć sobie drogę do hotelu. W pewnej chwili dostrzegłem budkę z kebabem – pierwszą, jaką widziałem we Włoszech – i uświadomiłem sobie, że tego dnia nie jadłem obiadu.

Zamówiłem kebab i klapnąłem na plastikowe krzesło, pijąc colę i czekając, aż mi go przyrządzą. Typowa scena w nocy z piątku na sobotę w każdym miejscu świata.

Jedno powiem. To, że zrobią ci kebab we Włoszech, wcale nie znaczy, że podczas drogi do domu (lub hotelu), da się go zjeść bardziej elegancko niż gdziekolwiek indziej.





## *Etna*

### *Patronka: święta Agata*

Opuściłem Syrakuzy w pośpiechu, mijając na pełnym gazie pozbawione wyrazu bloki mieszkalne otaczające miasto, a potem gnając biegnącą wzdłuż wybrzeża autostradą, po której obu stronach ciągnęły się fabryki. Chciałem się dostać na Wyspy Liparyjskie znane także jako Wyspy Eolskie – łańcuch wysp wulkanicznych u północno-wschodniego wybrzeża Sycylii. Wzięły one swą nazwę od Eola, mitycznego władcy wiatrów i mistrza nawigacji. Starożytni poeci opisywali je jako „skaliste klejnoty w lazurowym morzu”, a cały archipelag znajduje się dzisiaj na liście UNESCO.

Chciałbym móc powiedzieć, że było mi tak śpieszno na wyspy, bo na przyjęcie do swojej wakacyjnej willi zaprosili mnie Stefano Gabbana i Domenico Dolce. Na plaży tańczy u nich, nie kryjąc się przed paparazzi, Naomi Campbell, a do portu czasami zawija na swoim jachcie Madonna. Ale powód mojego pośpiechu był znacznie poważniejszy. To był ostatni dzień, w którym osoby przyjezdne mogły wjechać na wyspę własnym środkiem lokomocji, nazajutrz zaczynał się sezon letni, w którym było to zabronione. Gdybym nie dotarł na czas do Milazzo i nie załapał się tam na prom płynący na największą wyspę archipelagu, Lipari, mój plan, żeby potem przeskoczyć z Lipari do Neapolu ległby w gruzach. Jadąc na Sofii, nie brałbym nawet pod uwagę tak szalonego rozwiązania. Jej leciwy silnik o pojemności stu dwudziestu pięciu centymetrów sześciennych lubił raczej spacerowe tempo, ot, pozwalała potoczyć się leniwie przez parę kilometrów, a potem zatrzymać się na filiżankę espresso lub na piknik gdzieś w polu. Natomiast Marcello kochał wyzwania. Pod tym względem był znacznie bardziej męską vespą. Nie interesowało go zwykłe pokonywanie kilometrów. On chciał je pochłaniać najszybciej, jak to było możliwe, i tak, by wszyscy go przy tym widzieli.

Wczesnym przedpołudniem dotarłem w okolice południowych zboczy Etny, najaktywniejszego wulkanu w Europie – nie ma dnia, by nie wyrzucił z siebie pióropusza pary lub popiołu lub nie wydał pomruku, od którego drży ziemia. Posiadacze sokolego wzroku zauważyli pewnie, że lava na planecie Mustafar w *Zemście Sithów* ma lekko sycylijski charakter. To właśnie tutaj George Lucas kręcił materiał do trzeciej części *Gwiezdnych wojen*. Rzymski poeta Wergiliusz był świadkiem erupcji Etny i opisał „ogromne kule płomieni, z potwornymi językami, które lizały gwiazdy”. Jednak tamtego dnia wulkan wyglądał raczej jak dobrotliwy dziadek, który siedzi w fotelu i pyka fajkę.

Ponieważ miałem dobry czas, postanowiłem wjechać na szczyt wulkanu. Marcello śmigał w górę, jakby pędził w misji ratunkowej. Droga biegła zakosami przez czarną rzekę skały magmowej. Była to zastygła lava z ostatniej erupcji, z której w wielu miejscach przebijały dziko rosnące jaskrawe kwiaty. Wyglądało to, jakby lava rozlała się dawno temu i stanowiła część tego posępnego krajobrazu od tysięcy lat. A potem wyjechałem zza zakrętu i wśród skał zobaczyłem dach domu. Miał antenę satelitarną na dachu i od czasów Wergiliusza schował się trochę głębiej w ziemi.

Udało mi się dotrzeć jedynie do ośrodka turystycznego Rifugio Sapienza, przy którym drogę blokowała kolumna wozów strażackich i ambulansów. System monitorujący zachowanie wulkanu zarejestrował emisję trującego gazu z otworu w kraterze Bocca Nuova i cały ośrodek zamknięto. Zauważyłem, że wszystkie stojące tam ciężkie maszyny używane po erupcji do usuwania z drogi skał i popiołu miały dokładnie taki sam kolor jak Marcello. Gdybym miał na sobie kamizelkę odblaskową, taką, jaką noszą drogowcy, pewnie stojący na blokadzie karabinierzy pozwoliliby mi jechać dalej.

Zrobiłem kilka zdjęć i ruszyłem z powrotem w dół. Zatrzymałem się na lunch w Nicolosi, niewielkim kurorcie narciarskim na południowym zboczu góry. W 1669 roku na skraju miasteczka rozwarła się ziemia i wydostająca się z otworu lawa wylała się wprost na ulice. Z miejsca przy moim stoliku w restauracji Piccolo Mondo Antico (co znaczy „mały starożytny świat”) widziałem czerwono zabarwiony stożek wulkaniczny.

Wybrałem tę restaurację, bo mogłem zaparkować Marcella na chodniku i przez duże kamienne okna zerkać na swoje torby. Kelnerka, przychodząc do stolika z kartą dań, spytała, czy jestem Francuzem. Potrząsnąłem głową, a ona spytała, czy wybrałem ich restaurację, bo czytałem o niej w Internecie. Znowu potrząsnąłem głową i wzruszyłem przepaszając ramionami. Po prostu przejeżdżając, zauważyłem restaurację i zatrzymałem się, bo przyszła mi na to ochota. Kelnerka zakończyła szybkie badanie marketingowe i wręczyła mi menu. Wszystkie dania były z grzybami. Faktycznie na zboczach Etny rośnie sporo grzybów. Tutejsi mieszkańcy wiedzą, gdzie jest ich najwięcej i jakie są najsmaczniejsze. W listopadzie, po jesiennych zbiorach, we wszystkich wioskach u podnóża Etny odbywają się festyny, na których podaje się grzyby w każdej możliwej postaci. Zamówiłem sobie kwiaty cukinii nadziewane grzybowym puree i proste *fettuccine ai funghi*, makaron z grzybami. Oba dania były przepyszne. Grzyby pięknie pachniały i były smacznie przyrządzone. No, ale w końcu czego innego oczekiwać od szefa kuchni, który na okrągło serwuje grzyby?

Potem kelnerka przyniosła mi kawę i spytała, czy jej syn mógłby na chwilę usiąść i pobawić się na Marcellu. Chłopiec stał przy oknie, obserwował mnie, gdy jadłem, i przestępował z nogi na nogę, nie mogąc się doczekać, aż będzie mógł wskoczyć na siedzenie. Dla ośmiolatka w małym sycylijskim miasteczku jaskrawopomarańczowy Marcello w białe pasy był bez wątpienia odpowiednikiem trzęsącego się traktora Boba Budowniczego uruchamianego monetą w centrum handlowym. Powiedziałem, że nie ma problemu.

Kelnerka postawiła obok skutera krzesło, żeby pilnować syna. Chłopak siedział, kręcił manetką gazu i naśladował odgłos silnika. Nogami nie dosięgał do podnóżków i żeby trafić ręką do włączników, musiał się nachylić. Ale i tak uśmiechał się radośnie, a obserwująca go mama razem z nim.

Spytałem kelnerkę, jak się żyje w cieniu czynnego wulkanu. Wzruszyła ramionami i powiedziała, że można się przyzwyczaić. Lawa i popiół będące zagrożeniem są także podstawą dobrobytu mieszkańców. Zbocza Etny to najbardziej urodzajne ziemie we Włoszech. To właśnie dzięki bogatej w minerały wulkanicznej glebie serwowane w restauracji grzyby miały tak niezwykły aromat.

– A poza tym – dodała, wskazując na obraz w ramkach zawieszony na ścianie – chroni nas święta Agata.

Święta Agata jest patronką Etny. A dokładniej: zajmuje się powstrzymaniem erupcji tego wulkanu.

Agata była młoda, piękna i bogata. Urodziła się w III wieku w Katanii i poświęciła swoje życie Bogu. Kiedy rzymski cesarz Decjusz wyjął chrześcijan spod prawa, oddano ją do burdelu. Ponieważ nie chciała obsługiwać klientów, obcięto jej piersi, a potem rzucono ją na rozżarzone

węgle. Gdy umierała z powodu zadanych ran, trzęsienie ziemi pogrzebało jej oprawców. Jako święta potrafiąca powstrzymać wybuch wulkanu zasłynęła po tym, gdy procesja, w której niesiono jej welon, wstrzymała wypływ lawy w 253 roku, rok po jej męczeńskiej śmierci.

Kelnerka wskazała miejsce w oddali, na peryferiach miasteczka, gdzie majaczył duży krzyż. Dwa lata wcześniej miejscowy ksiądz umieścił go tam, by powstrzymać kolejny wypływ lawy. Odwołał się do wstawiennictwa świętej Agaty i stopiona lawa przestała płynąć.

– To był prawdziwy cud – powiedziała kelnerka.

Ksiądz miał szczęście, że nie próbował robić tej sztuczki przed 1983 rokiem. Aż do tamtego czasu bowiem, ktoś, kto chciał zmienić kierunek strumienia lawy, popełniał przestępstwo. Takie prawo uchwalono po wybuchu wulkanu w 1669 roku. Na zboczach Etny doszło wówczas do zamieszek, bo za łby wzięli się mieszkańcy Katanii i Paternò. Ci pierwsi chcieli skierować płynący ku nim strumień lawy w stronę Paternò. Tym drugim wcale nie uśmiechało się zniszczenie ich miasteczka. W ruch poszły pięści. W końcu lawa przypiekła Katanię.

Z Nicolosi pojechałem dalej drogą biegnącą na północ u podnóża góry. Tu zbocza Etny były obsypane, niczym brokatem, gajami cytrynowymi i polami, na których rosły pistacje. Pokryte woskiem liście drzewek cytrynowych skutecznie zatrzymywały ostre promienie południowego słońca, a w powietrzu unosił się zapach startej skórki cytrynowej wydzielany przez rozgniecione cytryny leżące na poboczach. Wszystko tu było takie świeże i czyste, że bardzo łatwo przychodziło zapomnienie o tym, że cała okolica może w mgnieniu oka zniknąć pod lawą, gdy Etna sobie leniwie beknie.

Po południu dotarłem do północnego wybrzeża Sycylii niedaleko kurortu Castoreale Terme i skręciłem na zjazd na autostradę łączącą Palermo z Mesyną. Autostradę biegnącą nad całą doliną dostrzegłem już wcześniej, jadąc z południa. Wysokie na kilkaset metrów betonowe kolumny stanowiły swoiste odpowiedniki kolumn z greckich świątyń, które widziałem wcześniej na Sycylii. Dzięki niezwykłym umiejętnościom Sycylijczyków, gdy idzie o pozyskiwanie funduszy z Unii Europejskiej, całą wyspę przecinały nowoczesne autostrady będące cudami sztuki inżynierskiej: spinały doliny, biegły tunelami przez wnętrza gór lub zawisały w czarodziejski sposób wzdłuż wybrzeża. Zastanawiałem się czasem, czy przyszłe pokolenia nie będą odnosić się do nich z takim szacunkiem, z jakim sam podziwiałem greckie świątynie w Agrigento.

Nie wolno mi było poruszać się Marcellem po autostradzie. Zgodnie z prawem mój skuter musiałby mieć silnik o pojemności co najmniej dwustu pięćdziesięciu centymetrów sześciennych, aby móc na nią wjechać. Ale ponieważ mogłem wyciągnąć na nim sto jeden kilometrów na godzinę, uznałem, że bez trudu da sobie radę. Po prostu pilnowałem się, żeby cały czas jechać prawym pasem, gdy obok mnie śmigwały alfy i fiaty. Dzięki temu mogłem od czasu do czasu rzucić okiem na rozciągającą się niżej dolinę lub skaliste wybrzeże.

Przy zjeździe na Milazzo zauważyłem stację benzynową i miejsce obsługi podróżnych, więc zatrzymałem się, żeby zatankować. Ku swojemu zadowoleniu zobaczyłem także dużą literę „A” wskazującą, że znajdowała się tam restauracja sieci Autogrill. Ta sieć była jednym z moich najwspanialszych włoskich odkryć. Autogrill to jednocześnie restauracja, kawiarnia, bar przekąskowy i sklep, i w przeciwieństwie do podobnych sieci w Anglii czy Australii jedzenie, które można tam dostać, jest całkiem niezłe. Najbardziej smakowały mi różne kanapki. Chleb był świeży, do tego miałem duży wybór różnych egzotycznych serów i szynek, a co najważniejsze, to wszystko kosztowało nie więcej niż kilka euro.

Kiedy wracałem do Marcella z kanapką i butelką soku pomarańczowego o krwistym kolorze, zobaczyłem, że kręci się koło niego młody karabinier. W pierwszej chwili pomyślałem, że szuka informacji o pojemności silnika skutera. Plakietki „Rally 200” nie było widać, bo zakrywała ją torba na tylnym bagażniku. Ale karabinier wcale nie poprosił o dokumenty skutera i nie wy-

jął bloczka z mandatami, tylko spytał skąd i dokąd jadę. Interesowało go szczególnie to, czy w nocy rozbijam biwaki, czy śpię w hotelach.

Był wyraźnie rozczarowany, kiedy powiedziałem, że nocuję w hotelach.

– Na takiej vespie to na noc rozbijał bym obóz nad *mare*, morzem – powiedział rozmarzonym głosem. – Budzić się przy szumie fal, czuć morskie powietrze, to byłoby cudowne.

Zjadłem kanapkę i wypilem sok, a potem – odprowadzany wzrokiem karabiniera – wróciłem (nielegalnie) na autostradę i skierowałem się (nielegalnie) na zjazd do Milazzo.

Dotarłem do Milazzo na godzinę przed ostatnim promem na Lipari. Lipari to nazwa zarówno wyspy, jak i jej głównego miasta. Jest to najważniejsza miejscowość na całym archipelagu Wysp Liparyjskich i główny port wszystkich obsługujących go promów. Chciałem zatrzymać się tam na kilka dni, a potem, skacząc coraz bardziej na północ z wyspy na wyspę, dotrzeć do Neapolu.

Na nabrzeżu czekało już dwoje młodych Australijczyków z reklamówkami pełnymi zakupów. Wyglądali tak, jakby przygotowali się na wieczną zimę po eksplozji nuklearnej, a nie na krótką wycieczkę na wyspę, i przez chwilę zastanawiałem się, czy aby nie wiedzą o czymś, o czym ja jeszcze nie usłyszałem. Przyszło mi do głowy, żeby skoczyć do supermarketu COOP po drugiej stronie ulicy i kupić chociaż dwulitrową butelkę coli, tak na wszelki wypadek. Ale potem doszedłem do wniosku, że chyba uda mi się ją kupić także na wyspie i po prostu usiadłem na stalowych dźwigarach w cieniu palm daktylowych w głębi nabrzeża.

Niedługo potem zjawilo się jakieś niemieckie małżeństwo z plecakami. Podobnie jak Australijczycy Niemcy zrezygnowali z droższej przeprawy wodolotem i czekali na tańszy prom. Oboje mieli pod siedemdziesiątkę i uginali się pod ciężarem ogromnych plecaków. Przesunąłem się i wskazałem im miejsce obok siebie, gdzie mogliby usiąść w cieniu. Ale stary Niemiec powiedział, że mam się odpieprzyć.

Zamurowało mnie. Nie takiego języka spodziewałem się po emerycie i ta nieoczekiwana odpowiedź do tego stopnia zbiła mnie z tropu, że nawet nie odszczeknałem, że sam ma się odpieprzyć. Pomyślałem, że może jednak źle go zrozumiałem. Niemcy mówiący po angielsku często brzmią bardzo obcesowo, nawet jeśli nie mają takiego zamiaru. I dlatego jeszcze raz zaproponowałem mu, żeby sobie usiadł. Tym razem staruch, żeby nie było żadnych niedomówień, pokazał mi środkowy palec.

Niemcy znaleźli sobie inne drzewo i wyciągnęli się pod nim na ziemi. Prezentowali postawę obieżyswiatów w wieku swoich wnuków. Leżeli oparci o plecaki, tak jakby robili to od lat, spoglądając gniewnym wzrokiem na wszystkich innych, podobnie jak oni czekających na prom. W ich mniemaniu nie wyglądaliśmy na prawdziwych podróżników. Ja jeździłem na vespie, a australijska para wydała więcej na zakupy spożywcze niż Niemcy na całą wycieczkę.

Wreszcie do nabrzeża dobił prom i Niemcy zaczęli się przepychać do przodu, żeby mieć pewność, że pierwsi dostaną się na pokład. Sama przeprawa trwała bardzo krótko. Ledwie miałem czas obejrzeć jeden odcinek *Córek McLeoda* z włoskim dubbingiem wyświetlanych na zawieszonych u sufitu telewizorach. (Uderzyło mnie to, że suche połacie Australii były bardzo podobne do wnętrza Sycylii). Prom przybił do portu w Lipari, gdy słońce już zachodziło.

Miasto wyglądało jak rybacki port ze starego włoskiego filmu. Leżało w kamienistej zatoczce, z jednej strony chronione przez kościół ze strzelistą wieżą, a z drugiej zamknięte wzniesieniem o urwistych zboczach, na którym rozsiadł się zamek. Wzdłuż nabrzeża ciągnęła się krótka promenada wysadzana palmami daktylowymi i ciąg budynków ze zdobnymi balkonami z kutego żelaza. Przy brzegu kołysały się kolorowe łodzie rybackie, a młodzi chłopcy skakali z mostka prowadzącego do doku dla wodolotów, nurkując za monetami rzucanymi przez turystów. Brakowało tylko młodej Sophii Loren w stroju wieśniaczki i równie młodego Marcella Mastroian-

niego.

Prom zacumował przy większym nabrzeżu, po przeciwległej do zamku stronie miasteczka. Stała tam już grupka mężczyzn w kaszkietach. Bez przekonania machali w stronę zjeżdżających z promu pojazdów ulotkami i wizytówkami, oferując noclegi i bez różnicy im było, czy ktoś był nimi zainteresowany, czy nie. Odprawiali swój rytuał, żeby zadowolić żony. Za chwilę mieli wrócić do pobliskiej kafejki, żeby dalej grać w karty i wychylić kieliszek grappy. Ale niemieccy emeryci i tak odepchnęli ich ze złością i skierowali się prosto na przystanek autobusowy. Starsi mężczyźni, tak samo jak ja, byli kompletnie zaskoczeni tym dziwacznym zachowaniem.

Przezornie już wcześniej zarezerwowałem pokój w pensjonacie prowadzonym przez pewną kobietę z Republiki Południowej Afryki, która nazywała się Diana Brown. Przed laty wyszła za mąż za miejscowego rybaka, Massimo, i obiecała mi, że wyśle go do portu, żeby mnie stamtąd odebrał. Massimo był drobnym, żylastym mężczyzną i kiedy tylko dostrzegł Marcella, zaczął wołać: „Panie Peter! Panie Peter! ”. Powiedziałem Dianie przez telefon, że przyjadę na pomarańczowej vespie i trudno będzie mnie nie zauważyć.

Massimo wskoczył na siodełko i wskazał mi drogę do hotelu. Śmigaliśmy przez wąskie brukowane uliczki, lawirując wśród wozów z sieciami rybackimi, a wszystkie koty pożywiające się resztkami rzucanymi im przez rybaków, czmychały na nasz widok. Nie minęły dwie minuty, a byliśmy pod hotelem stojącym na końcu zaułka udekorowanego sznurami na bieliznę rozciągniętymi między budynkami, równoległe do głównej ulicy: Corso Vittorio Emanuele.

Massimo przedstawił mnie Dianie, a ta zaprowadziła mnie do mojego pokoju. Był słoneczny, przestronny i miał balkon. Najpierw wziąłem prysznic, by zmyć z siebie pot i kurz całodziennej podróży, a potem usiadłem przy stoliku i zacząłem wsłuchiwać się w odgłosy Lipari. Gdzieś zamiauczał kot. Gdzieś indziej brzęknęła butelka. Znak drogowy skrzypiał, poruszany wietrzykiem. Dalej ktoś grał na akordeonie. Dotarcie tu trochę mnie kosztowało, ale już cieszyłem się z tego, że się na to zdobyłem.



## *Lipari*

### *Patron: święty Bartłomiej*

Jak na senną wyspę zagubioną gdzieś na Morzu Tyrreńskim Lipari ma wyjątkowo burzliwą historię. W okresie neolitu pozyskiwano tu obsydian, twarde szkliwo wulkaniczne, które obrabiano w celu otrzymania przedmiotów o ostrych, tnących krawędziach. W różnych okresach kontrolę nad wyspą sprawowali Etruskowie, Grecy i Kartagińczycy. Ci ostatni mieli tu bazę dla okrętów w czasie pierwszej wojny punickiej. Później Rzymianie przekształcili Lipari w kurort z leczniczymi termami oraz w miejsce wygnania. W VI wieku do katedry na wyspie sprowadzono relikwie świętego Bartłomieja, jednego z apostołów.

W IX stuleciu zrobiło się tu gorąco, bo wyspę zaczęli najeżdżać Saraceni, postrach wszystkich wysp Morza Tyrreńskiego. W 839 roku, w wyniku jednego z takich najazdów, śmierć ponieśli prawie wszyscy mieszkańcy Lipari, co sprawiło, że władze kościelne przeniosły relikwie świętego Bartłomieja na stały ląd – do Benewentu na północ od Neapolu. (Dzisiaj relikwie te znajdują się w Rzymie i w katedrze w Canterbury w Anglii). Najazdy, z krótkimi przerwami, trwały aż do 1544 roku, kiedy to pirat Barbarossa, bardziej znany jako Rudobrody, zrównał miasto Lipari z ziemią, w następstwie czego opuścili je wszyscy mieszkańcy. W 1556 roku Karol V zasiedlił Lipari na nowo hiszpańskimi osadnikami i kazał zbudować potężne mury, które z tutejszego zamku czynią niezdobytą twierdzę. Ale piraci nadal szaleli bezkarnie po całym Morzu Śródziemnym i wyspa z czasem popadła w zapomnienie.

Nawet dzisiaj, kiedy w letnich miesiącach liczba przebywających tu osób niepomiaralnie wzrasta, miasteczko nadal sprawia wrażenie przyjemnie sennego. Pierwszy poranek na wyspie spędziłem, spacerując po ciasnych uliczkach, i nie spotkałem po drodze żywej duszy. Jedyne na kamiennych stopniach prowadzących do katedry siedziała gromada dzieciaków sprzedających muszelki, czarne kawałki skał i popielniczki wykonane z puszek po coca-coli. Rozłożyły swój towar na kocach po tej stronie schodów, która pozostawała w cieniu, i przesuwwały koce, w miarę jak słońce przesunęło się po niebie.

Wybrałem się do katedry, żeby kupić kolejny magnes, tym razem ze świętym Bartłomiejem. Chociaż w Lipari już od dawna nie było jego kości, wszystkie związane z nim pamiątki ciągle dobrze się sprzedawały. Bartłomiej miał być moim pierwszym patronem-apostolem i ciekaw byłem, jaki też rodzaj ochrony może zagwarantować mi i Marcellowi. Jezus ponoć twierdził, że Bartłomiej nie sposób oszukać. Starsza kobieta, która sprzedała mi magnes, powiedziała, że był on patronem introligatorów, rzeźników, szewców, rymarzy i tynkarzy. Opiekował się także osobami cierpiącymi na różne zaburzenia nerwowe, schorzenia neurologiczne i tiki. Jak na razie mój stan psychiczny nie budził zastrzeżeń, ale kto wie, jak zareaguję na ruch uliczny w Neapolu?

Zjadłem lunch na tarasie jednej z restauracji rozlokowanych wzdłuż portowej promenady. Przed słońcem chronił mnie duży płócienny parasol, a przyjemny wietrzyk łaskotał mi twarz. Przyglądałem się włoskim chłopcom nurkującym za monetami rzucanymi przez turystów. Wyglądali jak łobuziaki ze starych, czarno-białych włoskich filmów i beczelnie prosili każdego prze-



chodzącego, żeby rzucił im pieniążek do wody. Gdy zebrali dość pieniędzy, biegli na drugą stronę ulicy kupić sobie loda. Właściciel lodziarni za każdym razem strofował ich za to, że noszą mu wody, ale i tak sprzedawał im lody. Zdaje się, że byli to jego najlepsi klienci.

Wśród chłopców panowała ścisła hierarchia. Większy mieli więcej monet, bo byli szybsi i bardziej wprawieni w nurkowaniu. Mniejsi chłopcy pływali, nurkując od czasu do czasu, żeby wyłowić monety, których nie zauważyli ich starsi koledzy lub po które tamtym nie chciało się zanurzać, bo nie przedstawiały dla nich wystarczająco dużej wartości.

Mój stolik stał niemal nad wodą i w pewnej chwili podeszło do niego dwóch chłopców: starszy i młodszy, który dopiero uczył się fachu. Był jednym z najmniejszych chłopców, jakich widziałem na nabrzeżu, ale z jego zachowania i miny wnioskowałem, że właśnie jemu nurkowanie sprawia najwięcej frajdy.

– Mówisz angielski? – zapytał szelmowsko ten mniejszy. – Jeden pieniążek, proszę!

Zacząłem grzebać po kieszeniach i wysuplałem jednego eurocenta. Pokazałem go chłopcom i wrzuciłem do wody. Starszy spojrział na mnie ze złością, odwrócił się na pięcie i poszedł sobie. Ale młodszy, tupeciarz, zanurkował po tę monetę. (O tym, jak czysta jest woda w Lipari, niech świadczy to, że wyłowił tego miedziaka w kilka sekund). W nagrodę wrzuciłem mu do wody dwa euro. Wyłowił je w mgnieniu oka, wygramolił się szczęśliwy na nabrzeże i z triumfem pokazał monetę pozostałym chłopakom. Zaczęli krzyczeć i tupać nogami, że to niesprawiedliwe, ale on się tym wcale nie przejął i pognął prosto po lody. Mając dwa euro, mógł je od razu kupić.

Całkowita powierzchnia wyspy Lipari to trzydzieści siedem i sześć dziesiątych kilometra kwadratowego. Na wyspie leżą tylko cztery wioski i nie potrzebowaliśmy z Marcellem zbyt dużo czasu, żeby zajrzeć do każdego jej zakątka. Zanurzyłem stopy w gorących źródłach nasyconych siarką i dwutlenkiem węgla w starych rzymskich termach w San Calogero. Sprawdziłem, co się dzieje na Spiaggia Bianca. Przejechałem się beztrąsko drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża, przytuloną do urwistego klifu, poniżej wyrobisk, z których pozyskuje się pumeks i z których wiatr przywiewał w moją stronę drobny biały pył z daleka podobny do dymu. Kilka razy odwiedziłem punkt widokowy przy posiadłości Quattrocchi, skąd rozpościerał się pocztówkowy widok na krańce na wyspie Vulcano, odległej od Lipari zaledwie o kilometr. *Quattrocchi* to po włosku „czworo oczu” – Massimo wyjaśnił mi, że nazwa wzięła się stąd, że to ulubione miejsce nowożeńców robiących fotografie ślubne.

Moje popołudnia przebiegały teraz w znacznie bardziej leniwej atmosferze. Zaczynałem od lunchu w restauracji przy porcie składającego się ze świeżych owoców morza, zazwyczaj z kaparami, które w tych okolicach rosną jak chwasty. Potem sjesta – przy lekko uchylonych okiennicach na balkonie, żeby wpuścić do środka ospały eolski wietrzyk. Kiedy cienie ludzi i drzew stawały się coraz dłuższe, wybierałem się na Marcellu do jakiegoś dzikiego zakątka na zachodnim brzegu Lipari, by podziwiać słońce chowające się w morzu, pomiędzy dwiema pozostałymi wyspami archipelagu, Saliną i Filicudi, niczym ogromna złota moneta.

Mój ulubiony punkt obserwacyjny mieścił się na końcu wąskiej drogi schowanej za starym kamiennym murkiem porośniętym wisterią. Droga wiodła do kilku gospodarstw, a potem przechodziła w ścieżkę dla kóz prowadzącą na zieloną równinę rozciągającą się na szczycie masywnego wulkanicznego klifu.

Odkryłem to miejsce zupełnie przypadkowo. Kiedy wjechałem na tę drogę pierwszy raz, minąłem starego rolnika taszczącego na plecach worek ze zbożem. Rzucił podejrzliwe spojrzenie w stronę Marcella – w tych okolicach pomarańczowe vespy to rzadkość – więc pozdrowiłem go radosnym *buona sera*. Uśmiechnął się w odpowiedzi i spytał, czy mogę mu pomóc dotransportować worek. Położył go za mną na siedzeniu i przytrzymując go, szedł obok Marcella, a ja jechałem najwolniej, jak umiałem. Do gospodarstwa było co prawda tylko kilkaset metrów, ale staru-

szek i tak był mi bardzo wdzięczny za pomoc. Na pożegnanie wskazał na ścieżkę i powiedział, że panorama stamtąd jest *bella*, piękna.

W filmie *Listonosz* kręconym na Salinie, wyspie, którą miałem zamiar odwiedzić po opuszczeniu Lipari, jest scena, w której młody listonosz pyta sławnego poetę Don Pabla, jak się zostaje poetą. Don Pablo odpowiada mu: „Idź powoli wzdłuż brzegu aż do zatoki i rozglądaj się dokoła. Przyroda objawi ci poezję. A poezja powie ci, co jest ważne w życiu”.

Tak samo oddziaływało na mnie moje sekretne miejsce na szczycie klifu. Siedząc tam, traciłem poczucie czasu. Słuchałem, jak fale pode mną rozbijają się o skały. Albo jak krzyczą mewy krążące nad klifem. Jeszcze innym razem obserwowałem sunący po morzu wodolot, który zostawiał za sobą białą smugę, i morze wyglądało tak, jakby ktoś nagle rozciął aksamit. Czasami było tak cicho, że słyszałem cykanie świerszczy. Siedząc w moim sekretnym miejscu, cały czas rozmyślałem. Bynajmniej nie o tym, co zjem na kolację, ale o życiu, które mnie czeka, gdy wrócę do domu. Czuję zaskakujący spokój.

Tam też uświadomiłem sobie, że za niecałe dwa tygodnie będę miał urodziny. Razem z Sally zastanawiałem się, czy nie mogłaby przyjechać do Włoch i świętować razem ze mną. Byłaby wtedy w trzydziestym tygodniu – na tym etapie ciąży linie lotnicze jeszcze nie robią trudności kobietom chcącym podróżować samolotem.

Sally odrzuciła ten pomysł, uważając go za całkowicie niepraktyczny. W końcu przemierzałem Włochy na vespie. Owszem, dołączyła do mnie na dwa tygodnie w Toskanii podczas mojej pierwszej wyprawy, ale wtedy nie była w ciąży. Tamtego wieczoru, gdy przyglądałem się, jak czerwona, ognista kula chowa się za horyzontem, uświadomiłem sobie, że moje urodziny nic nie będą dla mnie znaczyć, jeśli nie spędzę ich z osobą (a wkrótce z osobami), które są dla mnie najważniejsze.

Wpadłem więc na inny pomysł: może po prostu wybrać miejsce i zatrzymać się w nim na jakiś czas? Pobyt na Lipari pokazał mi, że nie trzeba się tak śpieszyć i wszystkim przejmować. Moglibyśmy wynająć pokój gdzieś na wybrzeżu Amalfi, może w Positano, i tam sobie odpoczywać. Jakby nie było, to ostatnie chwile, które możemy spędzić tylko we dwoje, zanim zacznie się czas wychowywania naszego dziecka. Nie zwlekając, pojechałem z powrotem do miasta, poszedłem do kafejki internetowej mieszczącej się w lodziarni i zarezerwowałem dla Sally lot do Neapolu. Byłem tak podekscytowany, że w nagrodę za ten pomysł zamówiłem od razu trzy gałki lodów.

Teraz musiałem już trzymać się terminarza. Za tydzień Sally będzie w Neapolu, a ja jeszcze chciałem zwiedzić resztę Wysp Liparyjskich.

Pierwszą z wysp, które odwiedziłem, była Salina. W jej krajobrazie dominują dwa wysłe wulkany, skutkiem czego wyspa ta wygląda jak dryfująca po morzu górna część bikini. Salina ma najżyźniejszą glebę ze wszystkich wysp archipelagu. Rosnące tu w obfitości kapary są eksportowane na cały świat. Jest to także jedyna część archipelagu, w której uprawia się jako takiej jakości winorośl ze szczepu malvasia, i dlatego tylko tutaj można się napić prawdziwej małmazji. Wino, jakiego skosztowałem, miało miodową barwę i było słodkie, ale chociaż lubię słodkie wina, trudno było mi zaakceptować jego wyraźnie siarczany finisz.

Gdy wyjedzie się z głównego portu wyspy, Santa Marina Salina, trafi się w dziką, opustoszałą okolicę, gdzie nakręcono większość scen z filmu *Listonosz*. Będąc tam, nietrudno wyobrazić sobie, że cofnęliśmy się w czasie do lat pięćdziesiątych. Ironią losu jest to, że niezwykła popularność *Listonosza* przyczynia się do niszczenia wyspy. Plaża nieopodal wulkanu Pollara, gdzie kręcono wspomniane sceny, powoli przestaje istnieć na skutek erozji wywoływanej drganiem generowanymi przez silniki tysiący łodzi motorowych, które przyplývają tu każdego lata. Gdy powstawał film, był to schodzący do morza szeroki na dziesięć metrów pas szarego piasku i białych

kamyków. Teraz plaża ma tylko cztery metry szerokości. Co gorsza, ogromny klif zaraz za plażą, zwany przez miejscowych Il Costone, zaczyna się kruszyć. Odłamki skał spadają na kinomanów z taką regularnością, że miejscowe władze mają kłopoty z wykupem polisy od odpowiedzialności cywilnej za ewentualne wypadki, jakie mogą przydarzyć się turystom.

I dlatego moim celem nie była ta słynna plaża, ale Rinella, niewielki port, do którego prowadziła wyjątkowo kręta droga. Żeby dostać się na tamtejszą plażę, trzeba zejść stromą, skalistą ścieżką pośród głożyn i opuncji figowych.

Na miejscu z przerażeniem stwierdziłem, że plaża jest kamienista, a nie piaszczysta. Co gorsza, kamienie były wielkie jak jaja strusia i czarne. Nigdy nie mogłem zrozumieć, po co przyjeżdża się na kamienistą plażę. Nie da się tam leżeć. Wystarczy parę kroków, a możesz zwichnąć sobie kostkę lub kolano. A poza tym, ponieważ kamienie były czarne, były też gorące i parzyły, gdy skacząc po nich, nieporadnie zmierzałem do wody. Dopiero kiedy zanurzyłem się w krystalicznie czystym morzu, widząc pod stopami skaliste dno, zrobiło się przyjemnie. Woda była orzeźwiająco chłodna, ale po chwili uświadomiłem sobie, że zaraz będę musiał wracać po gorących kamieniach, a potem wspinać się stromą ścieżką...

Gdy znalazłem się z powrotem w porcie w Santa Marina, skąd chciałem wrócić promem na Lipari, kapitan zabronił mi wjazdu Marcellem na pokład. Zobaczył, że mam tablice rejestracyjne z Livorno, i oświadczył, że na pokład mogą wjeżdżać tylko pojazdy zarejestrowane w Lipari. Powiedziałem mu, że już od kilku dni jestem na Lipari, ale to go nie przekonało. Termin wjazdu dla pojazdów spoza wyspy minął i koniec.

Skoro nie mogłem wziąć Marcella ze sobą na pokład promu, musiałem zostawić go na Salinie aż do początku września – zaledwie kilka tygodni później miała się urodzić moja córka. Byłem uziemiony, i to na dobre. Już zaczynała ogarniać mnie panika i poczułem nieprzyjemne ściskanie w żołądku, kiedy nagle spłynął na mnie spokój godny mistrza zen, który uzyskiwałem za sprawą spacerów po klifach na Lipari. Przypomniałem sobie, że prom, którym miałem płynąć z Lipari do Neapolu, zawija także na Salinę, więc mogłem zostawić skuter, wrócić na Lipari i odebrać go w drodze do Neapolu.

Kapitan promu moje długie milczenie zinterpretował jako wyraz rozpaczy. A anielsko spokojny wyraz mojej twarzy wzbudził w nim niepokój. Obawiając się, że mogę zaraz dostać wylewu albo zawału, zaproponował włoskie rozwiązanie. Jeśli pokażę mu bilet z porannego promu, którym przyplłynąłem na Salinę, pozwoli mi wprowadzić Marcella na pokład. Zacząłem dziękować mu wylewnie, niczym jakiś krisznowiec, i dziwiłem się, że musiało upłynąć tyle czasu, zanim zrozumiałem, że zen rzeczywiście czyni cuda.

Następnego dnia popłynąłem na wyspę Vulcano. Dałem odpocząć moim nowo uzyskanym mocom duchowym i tym razem postanowiłem zostawić Marcella na Lipari. Chciałem tylko wspiąć się na Gran Cratere i zażyć *fanghi*, zdrowotnej kąpiel w łaźni błotnej. I jedno, i drugie znajdowało się niedaleko małego portu: Porto di Levante, i można tam było dotrzeć piechotą.

Diana, właścicielka pensjonatu, w którym się zatrzymałem, ostrzegła mnie, że tego dnia mogę mieć kłopoty z dostaniem się na Vulcano wodolotem. Rybacy w Lipari zorganizowali protest i zablokowali port. Była to typowo włoska awantura. Dziesięć lat wcześniej rybacy dostali rekompensaty z Unii w zamian za zaprzestanie łowienia za pomocą sieci dryfujących. Ale ryb było coraz mniej i coraz trudniej było je złowić innymi metodami, więc Włosi chcieli wrócić do dawnego systemu połowu. Poprzedniego dnia widziałem, jak rybacy wszędzie rozklejali plakaty. Nie znałem na tyle włoskiego, żeby rozeznac się, o co w nich chodziło, ale szablony graficzne, które wykorzystali: korki od szampana i fajerwerki, wskazywały – jak wówczas sądziłem – na zabawę, a nie wezwanie do protestu.

Cała blokada też miała bardzo włoski charakter. Rybacy zatarasowali wejście do portu

i co chwila wystawiali środkowy palec w stronę kapitanów statków turystycznych uwieczonych w porcie. Kapitanowie wyzywali rybaków od sukinsynów i odpowiadali im takim samym gestem. Po jakichś dziesięciu minutach jedna z łodzi odsunęła się i pozwoliła wypłynąć statkom. Tymczasem karabinierzy na łodzi policyjnej stali z boku, opierając się leniwie o nadbudówkę, poprawiając okulary słoneczne i dłubiąc w zębach. Przez cały czas trwania blokady nikt ani razu nie poprosił ich o interwencję.

Ponieważ miejsce dla wodolotów znajdowało się po zewnętrznej stronie portu, grupa rybaków przykuła się łańcuchami do wiaty dla pasażerów przed kasą, żeby uniemożliwić sprzedaż biletów. Jednym z przykutych mężczyzn był Massimo, który widząc mnie, pomachał w moją stronę, unosząc równocześnie rękę swojego towarzysza.

– *Ciao*, Peter! – zawołał radośnie i zapytał, dokąd się wybieram.

Powiedziałem mu, że chcę się dostać na Vulcano, a on odparł, że mam przyjść za pół godziny.

– Chłopakom już się trochę znudziło – dodał konspiracyjnym szeptem. – Zaraz pójdziemy do baru obmyślić kolejny ruch.

Massimo nie kłamał. Pół godziny później byłem już na pokładzie wodolotu, by po trwającym dwadzieścia pięć minut rejsie przez Bocche di Vulcano znaleźć się na wyspie Vulcano z jednym z dwóch czynnych wulkanów Wysp Liparyjskich.

Wulkan Gran Cratere wznosi się złowieszczą ponad Porto di Levante. Warstwy związków siarki u jego podnóża, układające się w pomarańczowe i czerwone smugi, przypominają otwarte rany, a obramowany żółtą otoczką krater to wymowne świadectwo tego, że w jego trzewiach bulgocą różne toksyczne związki. Wszystko to wygląda bardzo groźnie, ale w rzeczywistości wulkan dogorywa. Ostatnia poważniejsza erupcja miała miejsce w 1888 roku. Nie da się wykluczyć, że wulkan wybuchnie znowu, ale jak na razie Gran Cratere dyszy i sapie jak stary astmatyk.

Ścieżka prowadząca do krateru zaczyna się na południowych peryferiach miasteczka. Napotkani tam przeze mnie turyści wyglądali, jakby wybrali się na popołudniową przechadzkę i piekli się na kamieniste zbocze w takich samych klapkach, w jakich chodzi się na plażę. Mężczyźni byli bez koszul. Kobiety w szortach i bluzkach na ramiączkach. Jakaś starsza Włoszka, o skórze brązowej i pomarszczonej jak damska torebka, atakowała szczyt w samym bikini. Ja, w dzinsach, koszulce z krótkimi rękawami i porządnym butach trekkingowych kupionych przed wyjazdem z Syrakuz specjalnie z myślą o tego rodzaju eskapadach, wyraźnie odcinałem się od całego towarzystwa.

A tymczasem wspinaczka wcale nie była tak prosta, jak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Na kamienistym zboczu trudno było znaleźć pewne oparcie dla stóp nawet w specjalnych butach, a co dopiero w klapkach. Żaden z pseudozdobywców wulkanu nie pomyślał o tym, żeby zabrać ze sobą wodę, i teraz jeden po drugim rezygnowali z dalszej wspinaczki. Mijałem ich, gdy stali z rękami na biodrach, ciężko dysząc, lub siedzieli na głazach, nie zwracając zupełnie uwagi na zakazujące tego znaki. Kiedy w końcu dotarłem na szczyt wulkanu znajdujący się na wysokości trzystu osiemdziesięciu sześciu metrów, okazało się, że miałem go tylko dla siebie.

Nie zostałem na górze zbyt długo. Widoki przez krater aż na Lipari były rzeczywiście olśniewające, ale zapach zgniłych jaj, a właściwie siarkowodoru wydobywającego się z wulkanu, był nie do zniesienia. Przeszedłem się ścieżką dokoła, zajrzałem w kilka rozpadlin, skąd z sykiem wydobywały się jakieś wyziewy, a potem zacząłem ostrożnie i powoli schodzić po kamienistym zboczu do miasteczka.

Drugą atrakcją turystyczną wyspy Vulcano są *fanghi*, wulkaniczne kąpiele błotne, z których korzystać można w sadzawkach znajdujących się pod *faraglione* – strzelistą skałą – zaraz przy morzu. Mój przewodnik opisywał te sadzawki jako pełne „gęstej żółtej zupy cuchnącego

siarkowego błota”. Błoto to słynie jednak z właściwości leczniczych pomagających w schorzeniach artretycznych i w chorobach skóry. Wywieszka przyczepiona do ogrodzenia sadzawek w pięciu językach informowała, co robić, żeby jak najlepiej skorzystać z takiej błotnej kąpieli, a czytało się ją jak etykietę na szamponie. Nasmarować się błotem. Poczekać, aż zaschnie na skórze. Wejść do morza i zmyć błoto. Jeśli trzeba, powtórzyć kilka razy.

Rozebrałem się do kąpielówek i skacząc po rozpalonej jak piec ziemi, dotarłem do sadzawek. Usiadłem w cuchnącej brei i natychmiast odeszła mi na to wszystko ochota. Po pierwsze, śmierdziało tysiącem zgniłych jaj; po drugie, wszyscy obok mnie rzeczywiście wyglądali na ludzi z problemami skórnymi i artretycznymi – chronicznymi problemami skórnymi i artretycznymi.

Uświadomiłem sobie, że zupełnie nie wiem, po co tu jestem. Nie cierpiałem na artretyzm i nie miałem problemów ze skórą. Za to w oczy strasznie szczypały mnie opary siarki. No i wiedziałem już, że moje kąpielówki będą śmierdzieć przez najbliższe trzy miesiące.

Doszedłem do wniosku, że wcale nie muszę tam siedzieć. Wskoczyłem z sadzawki, pobiegłem do morza, żeby się opłukać, a potem potruchtalem radośnie do kabiny, przebrać się, tak szczęśliwy, jakby nagle ukazał mi się jakiś anioł.

Ale szybko straciłem dobry humor, bo kiedy się ubierałem, zobaczyłem, że moja obrączka przybrała niepokojąco żółte zabarwienie. Sprawdziłem, co napisano na wywieszce umieszczonej na ogrodzeniu. Rzeczywiście, na samym dole drobną czcionką umieszczono informację, że osoby korzystające z kąpieli błotnych powinny zdjąć biżuterię.

Sytuacja była niewesoła. Sally kupiła mi tę obrączkę w Sydney na Strand Arcade, w jednym z droższych sklepów jubilerskich. Teraz obrączka wyglądała, jakbym kupił ją na odpuszcie. Co gorsza, moja żona za niespełna tydzień miała przylecieć do Neapolu. Zdjąłem obrączkę i zacząłem jak wariat pocierać ją rąbkami mojej bawełnianej koszulki, ale nic to nie dało.

W pierwszej chwili pomyślałem, że może powiem Sally, że ją zgubiłem. A potem, jak wrócę do Sydney, kupię sobie taką samą i ogłoszę, że to ta stara, która się znalazła. Ale wtedy zaczęłyby się pytania, dlaczego w ogóle ją zdejmowałem.

Po powrocie do Lipari poszedłem od razu do kafejki internetowej. Zdaje się, że nikomu tam nie przeszkadzało, że cuchnąłem zgniłymi jajami. Zacząłem szukać w sieci informacji, jak ratować obrączkę, ale – co dziwne – nie mogłem znaleźć żadnej strony wyjaśniającej, jak ratować obrączki ślubne, które straciły blask po kąpieli w błocie powulkanicznym.

Zdesperowany włożyłem obrączkę do szklanki i zalałem coca-colą. Moja mama wrzuciła kiedyś do coca-coli na całą noc mój mleczny ząb, żeby zniechęcić mnie w ten sposób do tego napoju – rano po zębie nie było nawet śladu, bo się rozpuścił. Ale tamtej nocy w Lipari po kilku godzinach w coca-coli moja ślubna obrączka pożółkła i wypłowiwała jeszcze bardziej. Nie miałem wyjścia: musiałem wyznać Sally, że zniszczyłem obrączkę, i mieć nadzieję, że nie odbierze całego wydarzenia jako zapowiedzi tego, co czeka nasze małżeństwo.

Przed opuszczeniem Wysp Liparyjskich wybrałem się na jeszcze jedną wycieczkę statkiem. Agencja Gruppo di Navigazione Regina oferowała rejs na wyspy Panarea i Stromboli. Broszura zachęcająca do wybrania się na tę wycieczkę obiecywała, że będzie to „wydarzenie kulturalne, opowieść o dziejach ludzi w rejonie Morza Śródziemnego”. Jednak moi współpasażerowie bardziej niż kulturą byli zainteresowani pogłębieniem swojej opalenizny. Były to przede wszystkim włoskie pary, już i tak spalone na brąz. Gdy tylko „Viking” odbił od nabrzeża w Lipari, Włosi rozebrali się do kostiumów kąpielowych, rozłożyli ręczniki i legli plackiem na pokładzie.

Broszura obiecywała także, że czeka nas orzeźwiająca kąpiel w krystalicznie czystej morskiej wodzie w Cave di Pomice na wschodnim wybrzeżu Lipari. Byłem jedyną osobą, która chciała popływać, więc kapitan od razu obrał kurs na port San Pietro na wyspie Panarea.

Panarea to najmniejsza i najbardziej urokliwa ze wszystkich wysp archipelagu. Stoją

na niej pomalowane na biało domy, co zdaniem wielu nadaje wyspie grecki charakter. Jak dla mnie wznoszący się nad miastem majestatyczny szczyt Punta del Corvo i kwitnące bugenwille spływające z tarasów kojarzyły się raczej z wyspą na południowym Pacyfiku. Godzinę na Panarei spędziłem, wspinając się po poprowadzonych wzdłuż tarasów alejkach i lawirując między wózkami golfowymi – jedynymi pojazdami, jakimi wolno poruszać się na wyspie. Były białe, kanciate, wyglądały śmiesznie i jeździły z anemicznym świstem. Ale tutejsi mieszkańcy, było nie było Włosi, i tak kierowali nimi z zacięciem i fantazją. Miejscowi karabinierzy tak wykręcali swoim wózkiem, jakby siedzieli w dwunastocylindrowym ferrari. Jakaś dama z towarzystwa, w olśniewającej, leżącej się sukni z białego szyfonu i w okularach od Gucciego, które zakrywały jej niemal całą twarz, jechała takim wózkiem, szczebiocząc coś do komórki, zupełnie nieświadoma tego, że wszyscy czmychali przed nią w obawie, że zaraz ich rozjedzie. O mało co przejechałaby mi stopę.

Z Panarei „Viking” skierował się mężnie przez przejrzyste morze ku wyspie Stromboli.

Trudno wprost opisać, jak bardzo byłem podekscytowany tym, że znajdę się na Stromboli. Tutejszy wulkan jest jednym z najbardziej aktywnych na świecie, ponieważ jego erupcje trwają bezustannie od ponad dwóch tysięcy lat. Idealny w kształcie stożek wznosi się na wysokość dziewięćset dwudziestu czterech metrów. Wulkan wyrzuca z siebie niemal bez przerwy smugę dymu, a stożek ciągle drga od żarzącego się popiołu i wypływanych bomb wulkanicznych. Wulkanolodzy nazwali tego rodzaju aktywność erupcjami stromboliańskimi i tym terminem określa się podobne zachowanie wulkanów w innych rejonach świata.

Chociaż może się to wydawać niewiarygodne, na Stromboli mieszkają ludzie. Większa część populacji wyspy osiedliła się po północnej stronie wulkanu, na niższej części zbocza, wokół Sciarra del Fuoco (co znaczy „strumień ognia”), czyli rumowiska, z którego lawa i kamienie wpadają prosto do morza.

Dziki charakter wyspy zawsze przemawiał do osób twórczych i obdarzonych wyobraźnią. Profesor Lindenbrock, bohater *Podróży do wnętrza Ziemi* Juliusza Verne’a, wracał ze swej podziemnej wyprawy właśnie przez krater Stromboli. Roberto Rossellini nakręcił tutaj swój słynny film *Stromboli*. Dom, w którym mieszkał razem z Ingrid Bergman w czasie zdjęć (oboje pozostawali wówczas w związkach z innymi osobami), to jedyna historyczna atrakcja turystyczna wyspy. Swoją letnią rezydencję mają tu też Domenico Dolce i Stefano Gabbana i praktycznie każdej nocy w czasie cieplejszych miesięcy celebryci z całego świata pływają tu bez skrępowania na czarnym piasku przy dźwiękach i efektach świetlnych, jakie zapewnia znajdujący się za ich plecami wulkan.

Nasz statek zawinął do niewielkiego portu i kapitan powiedział, że mamy dwie godziny na zjedzenie obiadu i zwiedzenie miasteczka. Nie interesowało mnie ani jedno, ani drugie. Ostrożnie zszedłem z urwiska na pokrytą czarnym piaskiem plażę i wędrowałem tak długo, aż zostawiłem za sobą ostatnie domy. Potem wszedłem do wody i tak spędziłem czas na Stromboli: leżąc na plecach w ciepłej morskiej wodzie i wpatrując się w wyrastający przede mną ogromny wulkan. Było jeszcze jasno, więc nie mogłem podziwiać żarzących się eksplozji na jego szczycie. Ale słyszałem je wyraźnie – był to głos pierwotnej, dzikiej natury.

W drodze powrotnej kapitan zatrzymał statek naprzeciw Sciarra del Fuoco. Robiło się ciemno i eksplozje były teraz lepiej widoczne. W powietrze wlatywały czerwone iskry, a poruszone erupcją głązy staczały się po rumowisku wprost do morza. Na pokładzie słychać było głośne ochy i achy, jak gdyby wszyscy oglądali sylwestrowy pokaz fajerwerków.

Ja natomiast miałem wrażenie, jakby w ten sposób przemawiały do mnie żywioty. W filmie Rosselliniego wulkan zmusza bohaterkę graną przez Ingrid Bergman do tego, by spróbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, kim jest i w co wierzy. Jest w ciąży i w związku z mężczyzną,

którego nie kocha, i stara się przed tym wszystkim uciec, podejmując pieszą wędrówkę przez wyspę. Wulkan utrudnia jej każdy krok i najpierw traci bagaż, a potem dumę. Ostatecznie pozostaje jej tylko szloch i błaganie Boga o pomoc.

No dobrze, nie powiem, że i ja w spotkaniu z wulkanem stałem się roztrzęsionym wrakiem. Ale rzecz dziwna, widziałem w nim metaforę swojej obecnej sytuacji. Wulkan był jak moja nienarodzona jeszcze córka, jak „dobra eksplozja”, która – mówili to wszyscy wokół mnie – wywróci mi życie do góry nogami. Byłem jak mieszkańcy Stromboli i jak ci, którzy żyją u podnóża Etny. Zdawałem sobie sprawę z tego, że nadciąga wybuch, ale nie wiedziałem, jakie będą jego skutki.

Gdybym jednak zaczął się zbytnio niepokoić czy denerwować, miałem na pociechę magnes na lodówkę ze świętym Bartłomiejem.





## Neapol

*Patron: święty Giuseppe Moscati*

Dean Martin śpiewał w słynnej piosence *That's Amore*, że Neapol to miasto, w którym księżyc wygląda jak ogromna pizza. Świat wokół lśni i błyszczy, jakby człowiek wypił za dużo wina. Dzwonki dzwonią „ting-a-ling-a-ling”, a ludzie, nie wiadomo dlaczego, śpiewają *vita bella*, piękne życie – opowiada dalej piosenka. I dlatego byłem ogromnie zdziwiony tym, że kiedy znalazłem się w Neapolu i jechałem Marcellem wzdłuż nabrzeża, na siodełku za plecami miałem brudnego Australijczyka z plecakiem i w przepoconym ubraniu.

Mój pasażer miał na imię Joe, jego rodzice pochodzili z Włoch, ale on urodził się w Australii. Poznałem go na promie płynącym z Lipari do Neapolu. W jednej chwili przyglądałem się morzu, zastanawiając się nad czekającymi mnie już niebawem zmianami w życiu, a w następnej miałem obok siebie rodaka, dla którego od razu byłem kumplem i który pytał mnie o wyniki w lidze australijskiej. Zachodziłem w głowę, skąd wiedział, że jestem z Australii – nie miałem przy sobie torby australijskich linii lotniczych Qantas – a on odparł beztrąsko, że wcale nie wiedział.

– Kiedy zagadałem do ciebie po włosku, nie odpowiedziałeś – wyjaśnił. – Więc spróbowałem jeszcze raz po angielsku.

Prom do Neapolu był ostatnim nocnym promem, z jakiego korzystałem w czasie mojej podróży. Był także najgorszym. Trząsł się, skrzypiał i pojękiwał. Jarzeniówki cały czas migotały, a z podłogi odchodziły kwadratowe kawałki linoleum, tak że niektóre dzieciaki zaczęły się nimi bawić jakby to było frisbee. Za późno kupiłem bilet, żeby dostać kabinę, i musiałem zadowolić się twardym plastikowym siedzeniem we wspólnej części pasażerskiej. Było zbyt niewygodne, żeby na nim zasnąć, więc umościłem sobie niewielkie gniazdko w rogu. Ale ciągle rozmowy Włochów, ostre, zapalające się co chwilę światło i rżenie kadłuba wygoniły mnie na pokład w poszukiwaniu samotności i ciemności.

Joe odbywał właśnie wielką podróż po kraju przodków. Zatrzymywał się u krewnych, których widział po raz pierwszy w życiu, i odwiedzał miejsca, o których z nostalgią opowiadali mu rodzice. Był otwarty, serdeczny i łatwo nawiązywał kontakt. Kiedy powiedziałem, że zwiedzam Włochy na vespie, oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

– Jesteś wariat! – odrzekł, śmiejąc się.

A potem spytał, czy aby na pewno ktoś z moich przodków nie był Włochem.

Nie byłem jedyną osobą, z którą Joe zaprzyjaźnił się w czasie swojej podróży. Gdy staliśmy na pokładzie, jakaś Włoszka w średnim wieku o lśniących blond włosach pomachała do niego, uśmiechając się zalotnie.

– Ma problemy z mężem – wyjaśnił mi Joe.

Najwidoczniej mąż nie słuchał tego, co chciała mu powiedzieć, za to Joe tak.

Jeszcze w Lipari Joe zaprzyjaźnił się z pewną Amerykanką, która jako dziecko wychowywała się we Włoszech, ale całe dorosłe życie spędziła w Nowym Jorku. Mówiła mu, że czuje się rozdarta między dwiema kulturami. Nie była w pełni ani Włoszką, ani Amerykanką. Joe poradził

jej, żeby z każdej kultury wzięła to, co najlepsze.

– To jak ze mną, gdy kibicuję w mistrzostwach świata w piłce nożnej. Zawsze najpierw będę kibicował Australijczykowi – dopóki ich nie wyeliminują. A potem przerzucam się na Włochów.

Czasami otwartość na ludzi wpędzała Joego w kłopoty. W jakimś barze w Rzymie spotkał geja, który żalił mu się, jak skomplikowało się jego życie miłosne. Joe powiedział mu o wierszu, który przeczytał jakiś czas wcześniej na autobusie w Positano, i wyrecytował: „Można żyć bez miłości, lecz przeżyć jeden dzień z miłością, to jak przeżyć życie tysiąc razy”. Potem dowiedział się od kogoś, że były to słowa Che Guevary. Co by nie mówić, spodobały się gejowi w Rzymie, bo potem prawie co dzień wysyłał Joemu SMS-y, opisując, jak bardzo go pragnie.

Tamtego ranka na drodze biegnącej wzdłuż Zatoki Neapolitańskiej Joe okazał się posłańcem Boga. Był już kiedyś w Neapolu i udzielał mi wskazówek, które dy jechać, tak że mogłem skupić się na prowadzeniu skutera i uniknąć kolizji. Mknęliśmy Via Nuova Marina, przeciskając się wśród samochodów, a potem wjechaliśmy w labirynt uliczek tworzących Spaccanapoli, serce starego miasta.

Teraz Joe pilotował mnie przez płataninę ulic jednokierunkowych do naszego celu, czyli dworca kolejowego na Piazza Garibaldi. Kiedy skręciłem w ostatniej chwili, żeby nie rozjechać jakiegoś Afrykanina, który rozkładał się właśnie na ulicy ze swoim stoiskiem z okularami przeciwsłonecznymi, Joe wrzasnął mi do ucha, że prowadzę jak szatan. Trudno wyobrazić sobie bardziej podniecające pierwsze spotkanie z Neapolem. Mogłem prowadzić jak miejscowi, czuć, jak skacze mi adrenalina, i nie martwić się, czy jadę w dobrym kierunku, bo drogę wskazywał mi Joe. Jak ktoś chce jeździć skuterem po Neapolu, serdecznie polecam mu Joego.

Dotarliśmy pod dworzec, bo Joe musiał dostać się pociągiem do Rzymu. Czuł się zobowiązany powiedzieć swojemu wielbicielowi, że nie ma takich skłonności, jakie mu tamten przypisywał. Ponieważ do odjazdu pociągu została godzina, zatrzymaliśmy się przed kawiarnią, która – jak objaśnił Joe – była dobra i tania. A co jeszcze ważniejsze, przed kawiarnią była ławka, więc mogliśmy na niej usiąść i mieć oko na Marcella i nasze bagaże.

Piazza Garibaldi to główny węzeł komunikacyjny Neapolu. Brudny i ożywczo zabałaganiiony, aczkolwiek czułbym się jeszcze lepiej, gdyby nie hałas młotów pneumatycznych, którymi drogowcy kruszyli asfalt na rondzie na środku placu.

Tu kiedyś biło serce starego Neapolu i było prawdopodobne, że robotnicy natrafiają na przedmioty z czasów imperium rzymskiego. Dość chaotyczny sposób pracy wskazywał, że bardzo zależało im na tym, żeby narobić jak najwięcej szkód, podobnie zresztą jak kierowcom, którzy mijali ich w odległości zaledwie kilku milimetrów.

Wokół dworca rozlokowało się mnóstwo ulicznych handlarzy sprzedających okulary przeciwsłoneczne, torebki i najnowszą płytę Madonny. Wzdłuż prowadzącej na północ ulicy – Corso Garibaldi, pełno było międzynarodowych centrów usług telefonicznych i sklepów oferujących specjalny z Afryki i Polski.

Wkrótce nadeszła pora, by pożegnać się z Joem. Poradziłem mu jeszcze, żeby był łagodny podczas spławiania swojego znajomego w Rzymie, i pogałem Via Mancini do taniego hotelu, który polecił mi nowo poznany australijski przyjaciel. Ledwie dotarłem na miejsce i wyłączyłem silnik, a jakiś łobuziak przebiegł pędem przez ulicę, stanął przy mnie i zaczął szarpać mój słomkowy kapelusz przywiązany do przedniego bagażnika.

*Scugnizzo*. Tak nazywa się w Neapolu dzieci wychowujące się na ulicy. Muszą liczyć na własny spryt, załatwiając ludziom różne sprawy w zamian za jedzenie bądź pieniądze. Stacjonujący w Neapolu w czasie II wojny światowej amerykańscy żołnierze posyłali je, żeby skołowały im na czarnym rynku papierosy lub nagrały randkę ze swoimi starszymi siostrami. Ulicznik

o złotym sercu to stały bohater starych włoskich filmów, których akcja dzieje się w mieście.

Dzisiaj trudniej i niebezpieczniej jest żyć na ulicy, ale widać było, że chłopak, który podbiegł do mnie, ma w sobie tego samego łobuzerskiego ducha. Gdy nie udało mu się zdjąć kapelusza, zastukał w zamek schowka, żeby zorientować się, czy da się go otworzyć. Odsunąłem jego rękę z uśmiechem, ale stanowczo, i spojrzałem mu prosto w oczy.

– Jak jeszcze raz dotkniesz tej vespy, Padre Pio policzy się z tobą, jasne? – powiedziałem. Pokiwał głową i spojrzał na mnie rozszerzonymi oczyma, mówiąc:

– *Si!*

Ale gdy tylko się odwróciłem, zaczął obmacywać kłódkę, którą przypinałem skuter.

Włosi rzadko zdobywają się na powiedzenie czegoś dobrego o Neapolu. Mieszkańcy pozostałych części kraju uważają neapolitańczyków za leni nieszanujących prawa i żyjących z zasiłków, na które idą pieniądze z podatków (nawet jeśli wielu z nich też unika płacenia podatków). Osobiście uważam, że mówią tak z zazdrości. Mieszkańcy Neapolu ciągle mają to *brio*, ikrę, które stopniowo zanika gdzie indziej z powodu przepisów i regulacji narzucanych od czasu wstąpienia do Unii.

Jest taki popularny włoski dowcip. Biznesmen z Mediolanu przyjeżdża do Neapolu, widzi chłopca śpiącego na ławce w porcie i pyta go, z czego ten żyje. Chłopak odpowiada, że łowi ryby. Na to biznesmen mówi mu, że na jego miejscu tyle by nie spał, tylko łowił i łowił, aż kupiłby sobie łódź. Potem powinien łowić, aż będzie miał całą flotyllę łodzi i duży ładny dom. I wtedy, po latach ciężkiej pracy i poświęceń, będzie mógł sobie spokojnie przejść na emeryturę i wyciągnąć nogi. Na to chłopak zaśmiał się i odparł: „Ale ja mogę to zrobić już teraz”.

Neapolitańczycy żyją terażniejszością. Za kierownicą samochodu lub na tylnym siedzeniu skutera chłoną każdą chwilę. Wiem, że to może zabrzmieć idiotycznie, ale nie mogłem się już doczekać, gdy zostawię bagaże w pokoju, wskoczę z powrotem na Marcella i zanurkuję w przygotowaną o zawrót głowy gęstwinę ulic Neapolu. Rzuciłem się w ruch uliczny kotłujący się wokół Piazza Garibaldi, chcąc jakoś dotrzeć do masywnego zamku Sant’Elmo i na wzgórze dzielnicy Vomero, która od starożytności słynie z piękna i leczniczego klimatu. Jednak w końcu popłynąłem z prądem.

Emocje towarzyszące jeździe vespą po Neapolu to moim zdaniem jeden z najlepszych naturalnych dopalaczy. Na ulicach jest gęsto od samochodów, które poruszają się niebezpiecznie szybko, a na dodatek z każdej strony atakują człowieka skutery, niczym wirusy szukające luki w układzie immunologicznym organizmu.

W Neapolu kodeks ruchu drogowego został skondensowany do jednej tylko zasady: każdy troszczy się o siebie. Ale jednak, rzecz dziwna, rzadko dochodzi tu do wypadków. Gdy już myślisz, że zaraz zepchną cię z jezdni i wylądujesz w stercie niesprzątanym od miesiąca śmieci, nagle pojazdy się rozstępują i wciskasz się w lukę niczym Mojżesz przechodzący z Izraelitami przez Morze Czerwone. Rzeczywiste niebezpieczeństwo zagraża kierowcy na ulicach wyłożonych brukiem. Roi się tam od dziur, bo mieszkańcy rozkradli kostkę do budowy własnych domów.

Ulubiony model vespy w Neapolu to PX. Filippo (ten z Livorno) miał znajomego, który kupował stare egzemplarze PX na północy i wysyłał je do Neapolu. Neapolitańczycy cenili ten model za proste kształty i niezawodność.

– Do PX możesz grzmotnąć ze strzelby, a on pojedzie dalej – wyjaśniał mi Filippo.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, wywnioskowałem, że w Neapolu ta właśnie cecha jest wyjątkowo potrzebna i ceniona.

Neapolitańczycy mają także w zwyczaju zdejmować ze skuterów boczne osłony i jeździć z odsłoniętym silnikiem i kołem zapasowym. Pytałem Filippa, czy robią tak, bo boją się, że ktoś

im te osłony ukradnie albo porysuje lub powygina w czasie jazdy, czy może dlatego, że chcą zyskać parę milimetrów, żeby łatwiej im było przeciskać się skuterem między autami. Ale Filippo tylko pokręcił głową.

– Mówią, że to z powodu upałów – odparł. – Ale tak naprawdę robią to dla szpanu.

Zwyczaj zdejmowania bocznych osłon na pewno kłócił się z intencjami Corradina D'Ascania, człowieka, który zaprojektował vespe. W wywiadzie radiowym udzielonym cztery lata po skonstruowaniu pierwszej vespy D'Ascanio powiedział, że nigdy nie podobała mu się płatacina eksponowanych części mechanicznych i napędowych zwykłych motocykli. Po podróży na takiej maszynie człowiek zawsze miał brudne ręce i spodnie, co uważał za „najbardziej widoczną niedogodność” motocykli. Zaprojektował vespe w taki sposób, żeby wszystkie bebechy, takie jak gaźnik czy filtr oleju, były niewidoczne i nie trzeba się było nimi przejmować. Wziął nawet pod uwagę problem ewentualnego przegrzania tak schowanych elementów i rozwiązał go w prosty, a zarazem genialny sposób: montując wiatraczek na kole zamachowym.

Nie zmienia to jednak faktu, że „roznegliżowane” modele PX jeżdżące po Neapolu mają swój urok i pasują do tego miasta.

Ostatnią atrakcją dnia była (względnie) spokojna przejażdżka po Corso Umberto I, czyli długiej prostej ulicy prowadzącej spod masywnego zamku, jakim był Castel Nuovo, w gęszcz samochodów i skuterów kotłujących się na Piazza Garibaldi przed głównym dworcem kolejowym miasta. Gdy mijalem uniwersytet, zauważyłem Afrykańczyków sprzedających okulary przeciwsłoneczne. Mieli podróbki wszystkich najnowszych modeli, także tych od Christiana Diora, w których każdy człowiek z wyjątkiem Włocha wyglądał jak Spiderman. A jeśli akurat nie mieli okularów, jakie chciało się kupić, podchodzili z klientem do sklepu z oryginalnymi oprawkami, prosili, żeby pokazać im, o który model chodzi, potem szli do swojego dostawcy i wracali z dokładnie takim samymi.

Gdy objeżdżałem na skuterze pomnik znajdujący się na środku Piazza Nicola Amore, Afrykańczycy w ułamku sekundy zgarnęli swój towar i dali nogę w boczne uliczki wychodzące promieniście od placu.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to dlatego, że widzieli, jak jadę w ich stronę. Rano w tym samym miejscu niewiele brakowało, a rozjechałbym jednego z nich, dlatego miałem wrażenie, że zapamiętali moją pomarańczową vespe i doszli do wniosku, że pracuję na zlecenie Donatelli Versace i jestem jakimś jeżdżącym na skuterze świrem, który w imieniu producentów markowych okularów wymierza karę handlarzom podróbkami.

Ale potem dostrzegłem patrol policyjny na chodniku. Widok karabinierów był dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Neapol słynie z dość liberalnego podejścia do podróbek i łamania wszystkich praw związanych z własnością wyrobu. Bardzo łatwo można tu kupić najnowszą wersję systemu Windows za kilka dolarów i dość dobrą podróbkę torebki Louisa Vuittona raptem za dziesięć euro. Zauważyłem, że obaj policjanci mają okulary przeciwsłoneczne od Gucciego, model Aviator. Nie były oryginalne. Para takich okularów kosztuje trzysta euro. Zrozumiałem, że oni także przyszli tu na drobne „zakupy”.

Następnego dnia rano postanowiłem pozwiedzać Centro Antico, zabytkowe centrum na piechotę. Chciałem poczuć atmosferę tego miejsca i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie przespacerować się po Spaccanapoli, najbogatszej architektonicznie i najgwarniejszej dzielnicy Neapolu. Chodziłem po uliczkach zamkniętych dla ruchu i zaglądałem w odchodzące od nich zaułki. Ubrane na czarno babcie kłóciły się z młodymi chłopakami w dresach. Młoda kobieta targowała się ze sprzedawcą o cenę melona z jego straganu. Dziewczynka przyglądała się ojcu grającemu na ulicy w pokera z kolegami i szeptała mu do ucha, jakie tamci mają karty. Miałem wrażenie, jakbym znalazł się w filmie Felliniego.

Na San Gregorio Armeno natknąłem się na warsztaty rzemieślników wykonujących figurki do tradycyjnej szopki neapolitańskiej. W czasie świąt Bożego Narodzenia w Neapolu najważniejszy jest *presepe*, żłóbek, i chociaż do Wigilii było jeszcze pięć miesięcy, interes kwitł. W oknach wystawowych stały małe rzeźbione osiołki, Maryje, Józefy oraz Pulcinella, czyli głupi, ale przebiegły kłown pojawiający się w *commedii dell'arte*, komedii ludowej, ilekroć Neapolitańczycy chcą się pośmiać. Rzemieślnicy nie ograniczali się do robienia tradycyjnych postaci. Sądząc z tego, co zobaczyłem w oknie, popularni byli także zawodnicy z neapolitańskiej drużyny piłki nożnej i Ojciec Pio. Mieszkańcy tego miasta chyba mieli słabość także do księżnej Diany, bo w jednym ze sklepów zobaczyłem całą półkę małych drewnianych figurek księżnej.

*Presepe* jest dowodem na to, że Neapolitańczycy to jedni z najgorliwszych włoskich katolików. I podobnie jak drewniane figurki, które znajdują się w ich bożonarodzeniowych szopkach, także wyznawany przez nich katolicyzm różni się pod pewnymi względami od katolicyzmu, jaki znamy. Zawsze z wielką czcią odnoszono się tutaj do cudów, a w XVII wieku przez krótką chwilę nawet oddawano cześć zmarłym. Również dzisiaj parafianie gromadzą się w niewielkiej kaplicy z podziemnym cmentarzem ukrytej przy Via Tribunali, gdzie modlą się za dusze cierpiące w czyśćcu. Tutejsze kościoły są zawsze pełne. Ma się wrażenie, jakby zatłoczone ulice miasta wlewały się do świątyń. Ludzie wchodząc do kościoła, nie przerywają rozmowy czy sprzeczki; zanurzają ręce w święconej wodzie, robią znak krzyża i dalej gestykują, kontynuując rozmowę.

Najbardziej tętniący życiem kościół, jaki zobaczyłem w Neapolu, to Gesù Nuovo znajdujący się przy placu o tej samej nazwie. Kiedyś był to pałac, w 1584 roku jezuita kupili go i przekształcili w świątynię. Fasadę kościoła zdobią spiczasto zakończone wybrzuszenia, co moim zdaniem nie wygląda zbyt atrakcyjnie. Mam wrażenie, że kiedy jezuita kupowali ten budynek, jakiś wędrowny sprzedawca wcisnął im szarą i tandetną licówkę.

W środku jest jednak radośniej. W barokowym wystroju wnętrza dominuje wielobarwny marmur, mnóstwo jest tu też fresków o żywych kolorach i bogato zdobionych dzieł sztuki. Właśnie odprawiano mszę i ta przesadna ornamentyka dobrze korespondowała z nastrojem zgromadzonych tu wiernych. Ławki były zajęte co do ostatniego miejsca, a stojący wspinali się na palce i wyciągali głowy, żeby lepiej słyszeć i widzieć księdza. Przez cały kościół ciągnęły się długie kolejki do konfesjonałów, a siedzący w nich kapłani skojarzyli mi się z cygankami wróżącymi z kart. Tyle że zamiast kart mieli na kolanach Biblię. Jeden ze spowiadających się mężczyzn nie był najwidoczniej usatysfakcjonowany pokutą, bo sprzeczał się z księdzem, udzielającym mu rozgrzeszenia:

– Rozumiem, proszę księdza – zdawał się mówić – ale wydaje mi się, że wystarczyłoby pięć zdrowasiek, nie siedem.

Gdy sądziłem, że nie zobaczę już nic bardziej zwariowanego, dwóch policjantów wwlokło do kościoła zgarniętego z ulicy Afrykanina sprzedającego coś z wielgachnej torby i zaprowadziło go do bocznej kaplicy. Obszukali go, przetrząsnęli mu torbę i każdy z karabinierów wziął sobie parę okularów. Potem jeden przytrzymał handlarza, a drugi przez krótkofalówkę kontaktował się z komisariatem. Któryś z księży podszedł do stróżów prawa, mówiąc, że za bardzo hałasują. Wtedy ci dali mu parę okularów, a on zostawił ich w spokoju. W końcu wróciłem do hotelu po Marcella i pojechałem na nim do bazyliki Santa Maria della Sanità. Stoi ona w sercu robotniczej części miasta, po stronie starych murów miejskich, na drugim końcu ulicznego targu, gdzie panował taki ścisk i chaos, jak na tym, przez który przepychałem się na vespie w Palermo.

W bazylice znajduje się słynna figura świętego Wincentego Ferreriusza. Miejscowi nazywają go pieszczotliwie *munacone*, wielki mnich. Natomiast w grocie pod kościołem w 452 roku został pochowany afrykański biskup Settimo Celio Gaudio i wokół jego grobu rychło powstały dość ponure katakumby. Można rzec, że nawiedzanie śmiertelnych szczątków mnichów stało się

w pewnym sensie motywem przewodnim mojej wyprawy.

Tablica przy wejściu do bazyliki informowała, że katakumby można zwiedzać codziennie w określonych godzinach. Kolejne zwiedzanie miało się rozpocząć za dziesięć minut. Młody mężczyzna siedzący przy stoliku w głębi kościoła i sprzedający bilety do katakumb powiedział, że zwiedzanie odbędzie się, jeśli zbiorą się przynajmniej dwie osoby. Ponieważ nie było nikogo poza mną, zaproponowałem, że kupię dwa bilety.

– To tak nie działa – odparł, nie wyjaśniając jednak dlaczego. A po chwili dodał: – Za kwadrans będzie tu włoska wycieczka. Jeśli pan chce, może się pan do niej dołączyć.

Jednak wycieczka się nie pojawiła. Wtedy mężczyzna skinął na swoją znudzoną koleżankę i powiedział jej, żeby i tak oprowadziła mnie po katakumbach. Zauważyłem ją wcześniej, ale sądziłem, że to po prostu dziewczyna biletera, która czeka, aż jej chłopak skończy pracę i będą mogli pójść w jakieś ciekawsze miejsce.

Przewodniczka zaprowadziła mnie do wejścia do katakumb znajdującego się w głębi nawy głównej. Wejście było zabezpieczone brzydką, metalową bramką zamykaną na kłódkę, którą dziewczyna otworzyła kluczem wyglądającym na cudem przeniesiony wprost ze średniowiecza. Błotnista ścieżka prowadziła do zawilgoconej groty i przewodniczka gestem poprosiła, bym szedł za nią.

Grota była udekorowana prawdziwymi czaszkami umieszczonymi w ścianach. Z czasem twarzowe części czaszek uległy zniszczeniu i przetrwała tylko ta ich część, która tkwiła w ścianie. W jednym miejscu umieszczono cały szkielet – także w jego przypadku zachowały się tylko te części, które tkwiły w ścianie. W kilku miejscach narysowano szkielety, lecz podobnie jak freski znajdujące się w innych częściach groty, rysunki te były już zatarte.

Obchód katakumb zajął niewiele czasu. Dziewczyna nie mówiła po angielsku, pokazywała mi więc tylko kolejne miejsca, a ja musiałem domyślać się, czym są i jakie jest ich znaczenie. Poza tym w grocie było bardzo zimno, a ona miała na sobie tylko T-shirt i kuliła ramiona, usiłując uchronić się przed chłodem.

Wieczorem tego samego dnia wróciłem na Spaccanapoli, żeby poszukać autentycznej neapolitańskiej pizzy. Pizza była pierwotnie prostą chłopską potrawą, przygotowywaną z ciasta, oliwy i pomidorów. Sprzedawano ją na ulicy i jadano o każdej porze dnia i nocy.

Pizza tak mocno kojarzy się z Neapolem, że aż trudno uwierzyć, że pojawiła się w nim dopiero w XIX wieku. Wcześniej wieśniacy jadali tam kapustę. Klasy wyższe ignorowały pizzę aż do 1889 roku, kiedy to postanowiła spróbować jej królowa Margherita, żona króla Umberta I. Na tę okazję dodano do pizzy mozzarellę i bazylię, żeby odtworzyć kolory włoskiej flagi (czerwony, biały i zielony) i w ten sposób narodziła się pizza margherita.

Puryści polecają Pizzerię di Matteo przy Via dei Tribunali. Podaje się tam pizzę *a fazzoletto*, czyli w kawałku złożonym jak chustka do nosa, którą zjada się na stojąco, przy kontuarze. Niektórzy jedzą ją także na ulicy, jak na przykład Bill Clinton, który podczas wizyty w Neapolu zajrzał tu na chwilę razem ze swoją obstawą.

Ja wybrałem się do pizzerii Sorbillo. Znajdowała się kilka przecznic dalej, bliżej serca Spaccanapoli, i zrywała z tradycją, pozwalając gościom usiąść i zjeść pizzę przy stoliku. Lokal ten został założony w 1935 roku przez Annę Sorbillo i jest uważany za jedną z najlepszych pizzerii w Neapolu. Za pomocą Google'a przetłumaczyłem z włoskiego ich stronę internetową, z której – ku swemu przerażeniu – dowiedziałem się, że Anna Sorbillo między jedną a drugą pizzą zdążyła urodzić dwudziestu jeden synów. I każdy z nich został *pizzaiuolo*, piekarzem wypiekającym pizzę.

Do stolików ustawiła się kolejka, co uznałem za dobry znak. Szyld nad drzwiami informujący, że tu się sprzedaje *la vera pizza napoletana*, prawdziwą neapolitańską pizzę, także zachę-

cał. Aby móc umieścić taki szyld, pizzeria musiała spełnić bardzo surowe kryteria ustalone przez rząd.

Po niecałych dziesięciu minutach oczekiwania zaprowadzono mnie do stolika. Stał pod kamiennym murkiem, miał marmurowy blat, a siedząc przy nim, można było obserwować, jak pracuje *pizzaiuolo*. A ten brał ciasto i wyrabiał je na marmurowym stole, wtlaczając weń powietrze, potem odrywał kawałek wielkości pomarańczy i wprawiał go w ruch, *la gestualità*, kręcąc nim w powietrzu, aż z kawałka wielkości pomarańczy robił się okazały placek. Potem sprawnie układał na placku wybrane składniki, umieszczał go na łopacie i wsuwał do pieca. Widać było, że zna się na swoim fachu.

Zamówiłem margheritę i po kilku minutach pizza leżała przede mną. W porównaniu z pizzą z sieci Domino's Pizza, którą czasem zamawiam w piątek wieczorem, ta wyglądała dość ubogo. Pomidory, oliwa, mozzarella i kilka podartych listków bazylii. Ale wszystkie składniki były świeże, kupione tego samego dnia na targu, który rozciągał się na kilka przecznic i zaczynał się raptem parę metrów od pizzerii. Informacja, że ta pizza była na głowę wszystko, co oferuje sieć Domino's Pizza, chyba dla nikogo nie będzie zaskoczeniem.

Zanim zabrałem się do jedzenia, spytałem kelnerkę, czy Anna Sorbillo naprawdę urodziła dwudziestu jeden synów. Roześmiała się:

– To prawda – powiedziała. – Włoski rząd przekazał nawet jej i jej mężowi list gratulacyjny, dziękując, że dała krajowi tylu *pizzaiuoli*! Usatysfakcjonowany opuściłem pizzerię. Lokal rzeczywiście oferował to, co obiecywał w swoim motto: *Qualità in Quantità*, jakość i ilość. Ruszyłem wolnym krokiem z powrotem do hotelu, rad, że wybrałem się na pizzę piechotą, a nie skuterem. Dzięki temu miałem szansę spalić kalorie z kolacji.

I tak mijały mi kolejne dni w Neapolu. Mając Marcella, mogłem robić wypadki za miasto, na przykład do Riviera di Chiaia, nadmorskiego kurortu, który wyglądał jak z pocztówki z lat pięćdziesiątych. Jeździłem wzdłuż wybrzeża, mijając stragany z rybami i plaże zatłoczone opalającymi się Włochami. To właśnie była duchowa ojczyzna Marcella. Ba, któregoś wieczoru, gdy siedziałem i podziwiałem zachód słońca, jakaś amerykańska turystka spytała, czy może zrobić zdjęcie mojemu skuterowi.

– Popatrz, jaki to piękny włoski obrazek – powiedziała do męża, pokazując mu zdjęcie skadrowane na ekranie cyfrowki.

Nie miała pojęcia, że znam angielski.

Innym razem prulem na pełnym gazie przez Via Umberto I, a potem wokół Piazza Garibaldi, ot tak, dla zabawy.

Wszystko to jednak odbiło się wkrótce niekorzystnie na Marcellu, bo zaczęła się blokować linka gazu. Pierwszy raz zdarzyło mi się to, gdy stałem na czerwonym i czekałem na zmianę świateł. Po raz drugi, kiedy chciałem wyprzedzić śmieciarkę. Gdy więc na Via Foria, zaraz obok Piazza Cavour, zauważyłem niewielki warsztat naprawy skuterów, postanowiłem natychmiast skorzystać z pomocy mechanika.

Nad drzwiami warsztatu widniało logo firmy Piaggio. Miałem nadzieję, że oznaczało to, że pracujący tam mechanicy przeszli odpowiednie szkolenia, zdali trudne egzaminy, że warsztat był kontrolowany i posiadał certyfikat drobiazgowo badających kwestię jakości obsługi przedstawicieli firmy Piaggio. Ale gdy zobaczyłem mechanika – pięćdziesięcioletniego mężczyznę w niebieskim drelichu – doszedłem do wniosku, że chyba wygrał to logo na loterii fantowej.

Po pierwsze, nawet nie wjechał z Marcellem do środka. Gdy powiedziałem, co się dzieje, zdjął osłonę silnika i położył ją na chodniku, obok skutera. Oparł się łokciami na podnóżkach i zaczął zdecydowanym ruchem szarpać linkę, tak jak ptak wyciąga z ziemi robaka, który nie chce dać się zjeść. Potem postanowił przypuścić atak z drugiej strony, zdejmując osłonę licznika

i sięgając po linkę od góry. Nie używał specjalnych narzędzi dostarczonych przez firmę Piaggio, ale tego, co miał akurat pod ręką. Działał z taką bez troską i tak brutalnie, że w myślach ochrzciłem go mianem „rzeźnika z Neapolu”.

Ale gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że większości osób przyjeżdżających do jego warsztatu absolutnie nie przeszkadzało, że w taki sposób obchodził się z ich vespami.

Dla nich były to po prostu dwa kółka do przemieszczania się. Zdrapanie czy uszkodzenie spowodowane przez mechanika sprawiało, że skuter stawał się jeszcze bardziej szpanerski. Ja jednak nie mogłem na to patrzeć. Każda rysa na Marcellu była jak rana zadana mi nożem.

Z warsztatu wyszła niewysoka, korpulentna kobieta z szopą włosów. Była to żona mechanika, która przyszła spytać, czy przyjdzie na obiad. On tymczasem, żeby dostać się do licznika, otworzył schowek, gdzie od wewnętrznej strony przymocowałem wszystkie magnesy ze świętymi. Kobieta wydała z siebie urwany okrzyk i przeżegnała się.

– Ma pan Moscatiego! – zawołała.

Magnes na lodówkę ze świętym Giuseppe Moscatim był moim najświeższym nabytkiem. Kupiłem go za euro w Gesù Nuovo, gdzie znajdowała kaplica tego świętego. Moscati pracował jako lekarz w czasie I wojny światowej i słynął z tego, że diagnozował chorobę i przepisywał właściwe lekarstwa, nawet nie widząc pacjenta. W kaplicy pełno było srebrnych wotów w kształcie różnych części ciała: małych dowodów wdzięczności korespondujących z ranami i chorobami, które wyleczył przyszły święty. Zdecydowałem się na magnes z Moscatim, przedkładając go nad świętego Januarego, patrona Neapolu, ponieważ włoski lekarz wyglądem przypominał mi skrzyżowanie Bena Kingsleya i prezydenta Pakistanu generała Perveza Musharrafa.

– To był bardzo dobry człowiek – powiedziała żona mechanika, wskazując na magnes z Moscatim. – Będzie pana chronił w czasie podróży.

Święty nie uchronił jednak Marcella przed jej mężem. Bo kiedy ten wstawił nową linkę, wcisnął na siłę licznik z pomocą śrubokrętu, oddłubując przy tym kawał lakieru. Wziął ode mnie za naprawę tylko pięć euro, ale największym cudem było to, że go wtedy nie pobiłem.

Tego ranka, kiedy wyjeżdżałem z Neapolu, wstąpiłem do kiosku i kupiłem kupon na loterię. Neapolitańczycy to fanatycy tej gry, a wygrana uważana jest za ostateczne zwycięstwo nad systemem. Grę wprowadził Ferdynand I w 1774 roku i wiele z dawnych tradycji przetrwało do naszych czasów. Losowanie, tak jak przed wiekami, odbywa się w sobotę, w samo południe, a kule z numerami wyciąga jakiś szkrab z zawiązanymi oczami.

Losuje się pięć liczb z przedziału od jednego do dziewięćdziesięciu. Grający obstawiają dowolną ilość liczb i deklarują, o jaką stawkę chcą grać. Można obstawić tylko jedną liczbę, ale wygrana jest wówczas tak mizerna, że większość ludzi tego nie robi. Obstawienie dwóch liczb nazywa się *ambo*. Jeśli się trafi, dostaje się dwieście pięćdziesiąt razy więcej, niż się postawiło. Trzy liczby to *terno*. Wygrana to cztery tysiące dwieście pięćdziesiąt do jednego. Cztery liczby to *quaterna* z możliwością wygrania osiemdziesięciu tysięcy do jednego. Obstawienie pięciu liczb to *cinquina*, z zawrotną wygraną: milion do jednego! Suma, którą można postawić na pięć liczb, jest ograniczona, ale ci, którzy czują, że trafiają, nie przejmują się tym i po prostu kupują więcej kuponów.

Ponieważ to Neapol, wszystkiemu towarzyszy wiele przesądów. Niektórzy gracze zasięgają porady u osób zwanych *assisti*, które twierdzą, że potrafią przewidzieć, jakie liczby padną. Jednak większość neapolitańczyków korzysta z *La Smorfii*, czyli sennika, który podaje, na jakie numery stawiać. Książka jest uaktualniana z duchem czasów (jeśli śni ci się, że spotykasz kogoś w Internecie, to trzeba obstawiać liczbę 43). Większość neapolitańczyków zna na pamięć liczby odpowiadającego danemu rodzajowi snu.

Kupiłem sennik w księgarni przy Via Pessina po tym, jak zwiedziłem Muzeum Narodo-



we. Księgarnia sprzedawała przede wszystkim podręczniki akademickie, ale i tak mieli osobną półkę na kupony i *La Smorfie*.

Wróciłem do hotelu i z pomocą sennika i słowniczka wybrałem pięć liczb.

Zaraz miały zacząć się dla mnie wakacje nad morzem (16) razem z moją vespą (79) i żoną (11), która była w ciąży (45) i miała urodzić córkę (60).

To była moja zwycięska kombinacja. Nawet jeśli miałbym nie wygrać ani grosza.



## *Positano*

### *Patron: święty Pantaleon*

Kiedy Johann Wolfgang von Goethe odwiedził wybrzeże Amalfi w 1787 roku, okolica tak go urzekła, że napisał słynne słowa: „Gdy mieszkańcy tych miejsc pójdą do nieba, będzie to dla nich jak kolejny zwykły dzień”.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego Goethe tak się zachwycił okolicami Amalfi. Wioski w pastelowych kolorach uczone są tu stromych zboczy, tworząc krajobraz jak z obrazka. Morze ma inny, zdecydowanie lepszy odcień błękitu. A w powietrzu unosi się zapach cytryn i ziół.

Jedyne, o czym nie wspomniał nasz Johann, to niebezpieczna droga, która obiega wybrzeże, czepiając się kurczowo skał. Stąd duże prawdopodobieństwo, że tutejsi mieszkańcy docierają do nieba szybciej niż większość z nas. Pierwszy znak, jaki zauważyłem, gdy wjechałem na tę słynną szosę, zaraz na północ od Salerno, informował w czterech językach: „Nie utrudniaj manewru wyprzedzającym cię pojazdom”.

Wspomniana droga uważana jest za najpiękniejszą w Europie i rzeczywiście zasługuje na to miano. Nazywa się banalnie: droga krajowa numer sto sześćdziesiąt trzy. Niecałe sto lat temu był to trakt, którym wędrowały objuczone osiołki. Szosa wije się wzdłuż górskiego zbocza, wczepiając się w każdą jego szczelinę i wgłębienie, z drugiej strony zionie przepaść, a w dole, kilkaset metrów niżej, szumi morze. W niektórych miejscach jest tak wąska i niebezpieczna, że gotów byłbym przysiąc, że drogowcy po prostu zalali asfaltem ścieżkę wydeptaną kopytami zwierząt.

Trasa ta biegnie przez pięćdziesiąt kilometrów od Salerno na południu do Sorrento na północy. Sorrento leży bliżej Neapolu, a Positano leży bliżej Sorrento niż Salerno, ale ja objechałem górę z drugiej strony, żeby wjechać na drogę od strony Salerno. Dzięki temu mogłem przemierzać dłuższy i – jak informował mój przewodnik – najbardziej zachwycający odcinek sławnej drogi.

Od razu okazało się, że przemieszczanie się vespą to najlepszy sposób, żeby podziwiać wybrzeże Amalfi. Po pierwsze, oszczędzamy sobie tego strasznego poczucia klaustrofobii, jakie ma się w samochodzie czy autokarze. Nawet tam, gdzie droga niemiłosiernie się zwężała, miejsca dla vespy było aż nadto. Odcinki, gdzie wymijanie się dwóch samochodów wiązało się z niebezpieczeństwem, nie stanowiły zagrożenia, jeśli z samochodem mijała się vespa. Gdy trzeba było, mieściłem się między autokarem a barierką.

Jednak szybko nauczyłem się zjeżdżać na bok, kiedy z naprzeciwka nadjeżdżał włoski autobus komunikacji międzymiejskiej, SITA. Ich kierowcy wchodzili ostro w zakręty nie przejmując się ani stanem wozu, ani wygodą pasażerów, ani tymi, co jechali z przeciwka. Zastanawiałem się, dlaczego na drodze nie ma znaków: „Ustąpić przejazdu autobusom SITA”. Doszedłem do wniosku, że gdy kierowca spotykał nad stromym urwiskiem autobus, było dla niego oczywiste, że tak właśnie należy robić. Na każdym zakręcie umieszczono lustro pozwalające zorientować się, co zbliża się z drugiej strony: na przykład mężczyzna sprzedający z drewnianego wózka

sznury czerwonej papryki i likier limoncello oraz warte miliony dolarów widoki skalistego wybrzeża. Miałem nieodparte wrażenie, że lada chwila zza zakrętu wyłoni się w kabriolecticie Dean Martin z jakąś niezłą laską w chustce na głowie.

Tamtego poranka wyśmienity nastrój psuł mi jedynie kierowca jadącego za mną mercedesa. Gdzieś się najwidoczniej śpieszył i cały czas starał się mnie wyprzedzić, przystępując do tego manewru w najbardziej niesprzyjających momentach. Wyrwał się do przodu, spychając mnie na bok, a potem hamował i zwalniał, bo z drugiej strony wyjeżdżał jakiś samochód osobowy lub autobus. Mój spokojny styl jazdy bardzo go irytował. Chciałem podziwiać widoki, więc po co miałem się śpieszyć? Po jakichś piętnastu minutach z nim na ogonie, zjechałem na punkt widokowy, żeby zrobić parę zdjęć, i pozwoliłem mu się wyprzedzić.

Wkrótce dotarłem do Amalfi. To największe miasto w tej części wybrzeża przyciąga rzesze turystów. Wtłoczone między góry i morze stanowi malowniczą płataninę wież, kopuł, schodów i alejek. Kiedyś istniała tu potężna morska republika, która w XI wieku rywalizowała nawet z Genuą i Wenecją.

Wijącą się drogą dotarłem do miasta, które powoli przestawało radzić sobie z zalewem przybyłych na letni wypoczynek turystów, tworzących korki na ulicach. Wszędzie panował tłok i chaos, a kierująca ruchem policjantka z trudem utrzymywała jako taką kontrolę nad tym wszystkim. Kiedy w pewnej chwili kazała się zatrzymać któremuś kierowcy, ten zignorował ją i popruł dalej, o mało jej nie rozjechawszy.

– *Grazie, prego!* Dziękuję, proszę! – zawołała za nim z sarkazmem.

Kilkaset metrów dalej jej kolega radził sobie nieco lepiej. Miał w ręce terminal do natychmiastowego wystawiania mandatów i biegał, gorączkowo wklepując numery rejestracyjne samochodów zaparkowanych nieprzepisowo wzdłuż głównej ulicy.

Przecisnąłem się pomiędzy stojącymi w korkach zderzak w zderzak samochodami na drugi kraniec miasteczka. Na przystanku właśnie zatrzymał się autobus SITA, a zaraz za nim stała moja zmora – szalony mercedes – który tym razem nie był w stanie wyminąć autobusu. Objechałem mercedesa, a potem autobus, trąbiąc przy tym radośnie. Z drugiej strony nic nie jechało i zadowolony prulem pod górę. Aż do zakrętu na szczycie wzgórza nie zobaczyłem w lusterku mercedesa, co znaczyło, że nie udało mu się wyjechać zza autobusu. Wielka szkoda. Za zakrętem zobaczyłem w oddali Positano i z miejsca się w nim zakochałem. Miasteczko wyglądało jak pozująca do zdjęcia okładkowego gwiazda filmowa olśniewającej urody. Domy w radosnych pastelowych kolorach były jej dekoltem. Kościół z obłożoną mozaiką kopułą zdobił ją niczym biżuteria. Morze było falistą suknią, która zmieniała kolor zależnie od kąta, pod jakim się na nią patrzyło. Przedpołudniowe słońce zapewniało korzystne światło, a górskie zbocze stanowiło zapierające w piersiach tło kadru.

W 1953 roku John Steinbeck pisał, że Positano „potrafi bardzo głęboko zapaść w serce”. Pisarze ciągnęli tu jak pszczoły do miodu, był nawet czas, że szum fal rozbijających się w dole o skały ginął w stukocie maszyn do pisania. Steinbeck pisał także, że „prawie zawsze, kiedy człowiek znajdzie takie piękne miejsce jak Positano, pierwszym impulsem jest dobrze ukryć je przed światem”. Steinbeck tego nie zrobił. Więcej nawet, to zdanie pojawiło się w jego artykule o Positano opublikowanym w „Harper’s Bazaar”. Od tamtej pory ciągną tu pielgrzymki artystów, turystów i bogaczy.

Skręciłem z drogi SS 163 w Viale Pasitea biegnącą przez miasteczko serpentyną i mijającą wille, sklepiki i od czasu do czasu parkingi pełne samochodów upakowanych ciasno niczym sardynki w puszcze. Szukałem hotelu Casa Soriano i znalazłem go: stał schowany za kościółkiem ze smukłą wieżą i palmą rosnącą na dziedzińcu.

Pokój w Casa Soriano próbowałem zarezerwować jeszcze w Lipari. Informację o tym ho-

telu znalazłem w przewodniku. Napisano w nim, że Casa Soriano to XVIII-wieczna willa ze sklepieniami sufitami. Jego atutem przede wszystkim miały być niskie ceny. Dzwoniłem pod podane w przewodniku numery kilkanaście razy o każdej porze dnia i nocy, ale za każdym razem włączał się tylko faks. Doszedłem do wniosku, że tani hotel w takim miejscu to zbyt piękne, by było prawdziwe.

Dopiero w przeddzień mojego wyjazdu z Neapolu telefon odebrał jakiś starszy mężczyzna. Byłem tym tak zaskoczony, że przez chwilę miałem problem z wyartykułowaniem daty rezerwacji. Gdy na koniec spytałem, czy podać numer karty kredytowej dla potwierdzenia rezerwacji, usłyszałem po drugiej stronie śmiech. Nie przyjmowali kart. Będę musiał skorzystać z bankomatu. Mężczyzna po drugiej stronie kabła mówił z taką beztrąską, że zacząłem węszyć jakąś starannie zaplanowaną ściemę.

I dlatego, kiedy nacisnąłem dzwonek przy bramie, całkiem na serio spodziewałem się informacji, że mój pokój dostał kto inny, a moja ciężarna żona, która miała się zjawić lada dzień, i ja musimy poszukać sobie innego lokum. Zamiast tego usłyszałem przez domofon: „Czy pan Moore? ”, a potem furtka szczęknęła i wpuściła mnie do środka.

Willa usadowiła się na wzniesieniu, gdzie prowadziły zakręcające trzykrotnie schody, nad którymi rozciągał się baldachim drzewek cytrynowych z gałęziami uginającymi się od owoców. Schody biegiły obok trzech tarasów. Na pierwszym znajdował się ogród warzywny, pełen pomidorów i ogórków. Na drugim stał dom właścicieli, gdzie przywitał mnie starszy mężczyzna z wąsem i w słomianym kapeluszu na głowie. Na najwyższym tarasie były pokoje noclegowe. Miały balkony z pergolą porośniętą bugenwillą i wiciokrzewem z widokiem wprost na morze.

– O rany! – wyrwało mi się, na co mężczyzna roześmiał się.

Potem ja się roześmiałem, widząc przygotowany dla mnie pokój. Może i była to XVIII-wieczna willa, ale na pewno odnawiano ją w latach siedemdziesiątych. Przed wanną umieszczono stopień, na którym można było usiąść – to bardzo przydatne dla ciężarnych kobiet, jak zapewnił mnie gospodarz – a zasłony i kapa na łóżko wykonane były z tkaniny w duże kwieciste wzory i przypominały sukienki, jakie nosiła Agnetha Fältskog z zespołu ABBA. Uśmiechnąłem się, bo uświadomiłem sobie, że oto miałem przed sobą reinkarnację Marcella jako pokoju.

Starszy mężczyzna poprosił o paszport. Wręczyłem mu go, mówiąc, że jutro przyjeżdża Sally. Roześmiał się. Potem wskazałem na Marcella stojącego na ulicy i spytałem, czy mogę tam parkować, a on znowu się roześmiał. Doszedłem do wniosku, że mój gospodarz bardzo często się śmieje, co zresztą nie powinno być dziwić, skoro każdego dnia po przebudzeniu ma taki widok.

Stałem na balkonie oszołomiony pejzażem. Miałem wrażenie, że wystarczy tylko sięgnąć ręką, a dotknę żółtych, niebieskich i zielonych płytek na kopule kościoła Santa Maria Assunta. Dalej na morzu unosiły się Li Galli, wysepki, z których syreny wabiły Odyseusza, chcąc sprowadzić na niego śmierć. Gdy zadarłem głowę, mogłem oglądać różnokolorowe fasady domów na tle poszarpanego górskiego zbocza. Z kolei poniżej, na małej szarej plaży widać było rząd kolorowych parasoli. Kiedy wieczorem zaszło słońce, zamknęły się jak słoneczniki, czekając na poranne słońce, by się znowu otworzyć.

Autobusem SITA pojechałem do Sorrento, a potem kolejnym autobusem dostałem się na lotnisko Capodichino pod Neapolem. Podróż w jedną stronę zajęła mi półtorej godziny. Na Marcellu pokonałbym ten dystans dwa razy szybciej, ale to nie było najlepsze rozwiązanie, gdy trzeba odebrać z lotniska żonę w siódmym miesiącu ciąży. W 1957 roku w czasopiśmie „Popular Science” ukazał się artykuł twierdzący, że kierowcy skuterów to albo single, albo osoby, które niedawno wstąpiły w związek małżeński, a skutery tak bardzo sprzyjają romantycznym relacjom, że ci pierwsi bardzo szybko stają cię tymi drugimi. Nie było tam jednak mowy o tym, w jakim stopniu skuter przyspiesza przejście na kolejny poziom – rodzicielstwa. Ani też o tym,

czym to skutkuje, gdy trzeba się przemieszczać.

Nie mogłem się doczekać, żeby znowu ujrzeć Sally. Wciąż gryzło mnie poczucie winy, że wybrałem się w tę podróż, gdy Sally była już w ciąży. Wiedziałem jednak, że muszę to zrobić, jeśli chcę być dobrym ojcem. A i Sally powiedziała, że wychodząc za mnie, wiedziała, kim jestem. Żałowałem jednak, że nie było mnie przy niej by pomasażować jej stopy lub zrobić herbatę.

Wreszcie zobaczyłem Sally, a ona uśmiechnęła się do mnie. Wiem, że to brzmi strasznie sztampowo, ale naprawdę promieniała. Brzuch miała dwa razy większy niż wtedy, kiedy się rozstawaliśmy. Nie przywiozła zbyt dużo bagażu i wyglądała tak, jakby pod sukienkę ktoś włożył jej piłkę do koszykówki. Wyciągnąłem rękę i instynktownie dotknąłem brzucha.

– Ona też nie może się doczekać, żeby ciebie zobaczyć. Kopała całą drogę.

Wziąłem jej torbę i poprowadziłem ją do autobusu. Udała, że jest ogromnie rozczarowana tym, że nie pojedziemy vespą:

– Bardzo chciałabym poznać ten twój nowy skuter!

Positano to nie jest zbyt dobre miejsce dla kobiety w zaawansowanej ciąży. Niemal wszędzie trzeba się piąć po stromych schodach wykutych w górskim zboczach, więc przez kilka pierwszych dni siedzieliśmy w naszym orlim gnieździe, czytając książki i czasopisma i jedząc pomidory z ogródka gospodarzy ze świeżym chlebem, szynką i *antipasto*, przekąskami, kupowanymi w małym *alimentari*, sklepie, znajdującym się kilka kroków dalej w dół wzgórza.

Któregoś ranka zastanawialiśmy się, jakie imię dać naszej córce. Pokazałem Sally listę typowo włoskich imion, które Sergio spisał dla mnie w Palermo. Crocifissa. Catena. Concetta. Immacolata. Assunta. Incoronata. Sally była przerażona.

– Brzmiały jak nazwy ciężkich przypadków medycznych – stwierdziła zupełnie nieprzekonana.

Wziąłem z talerza kawałek pizzy.

– A Margherita? – spytałem.

Sally uniosła w zdziwieniu brwi. Powiedziałem jej, że w tłumaczeniu na angielski to będzie Daisy, i wtedy przyznała, że to brzmi znacznie lepiej. Ale żadnej konkretnej decyzji jeszcze wtedy nie podjęliśmy.

Popołudniami, kiedy robiło się chłodniej, schodziliśmy ostrożnie po schodach do miasteczka. Positano, mimo swej sławy i popularności, miało senną atmosferę, chociaż właśnie trwał szczyt letniego sezonu. W 1999 roku burmistrz miasteczka podpisał Kartę Miasta Bez Pośpiechu (Slow City Charter), zobowiązując się do zminimalizowania w Positano hałasu, zmniejszenia liczby reklam i promowania wysokiej jakości życia. To się sprawdzało.

Schody biegnące ukośnie naprzeciw Casa Soriano prowadziły prosto do centrum miasteczka. Schodziło się z nich obok kościoła Santa Maria Assunta. Zamawialiśmy schłodzony sok w którejś z kawiarenek przy plaży, a potem spacerowaliśmy między butikami sprzedającymi sandały i lniane garnitury w pastelowych kolorach. Gdy już zdecydowaliśmy, że nie mamy dość funduszy, żeby pozwolić sobie na plażowy włoski szyk, wsiadaliśmy do pomarańczowego miejskiego busiku, jechaliśmy na szczyt wzniesienia, a potem schodziliśmy do naszego hotelu, znajdującego się mniej więcej w połowie zbocza. Jeśli mieliśmy szczęście, przychodziliśmy już po odjeździe busa i czekając na następny, mogliśmy kupić lody w lodziarni obok przystanku.

Gdziekolwiek się zjawiliśmy, wszyscy zwracali uwagę na brzuch Sally. Właściciel lodziarni pytał, kiedy rozwiązanie. Kelnerka w kawiarni zacmokała pieszczotliwie i spytała Sally, czy może dotknąć jej brzucha. Pasażerowie w busie wstawali i ustępowali nam miejsca.

Któregoś ranka, gdy jak zwykle schodziliśmy powoli po schodach, zobaczyliśmy na ich końcu Włoszkę w średnim wieku, która czekała na swoją przyjaciółkę próbującą pokonać ostatnie stopnie. Biorąc oddech, zasapana kobieta spostrzegła, że Sally jest w ciąży, i klasnęła w dło-

nie.

– *Complimenti!* Gratuluję! – zawołała.

Nie byłem pewien, czy gratulowała Sally dziecka, czy tego, że mimo zaawansowanej ciąży tak dobrze radziła sobie ze schodami.

W Positano nie ma zbyt wiele do roboty. Prawdę mówiąc, to właśnie stanowi o części uroku miasteczka. Ale z drugiej strony, ile razy można mijać butik, gdzie sprzedawca chce cię przekonać, że naprawdę potrzebujesz pary sandałów? I dlatego co drugi dzień wybieraliśmy się na wycieczki po okolicy. Żadne tam dalekie ekspedycje – Positano leży w centralnej części wybrzeża Amalfi, więc wszędzie jest blisko. Ot, krótki wypad, po to, by na chwilę uciec od butiku z sandałami.

Najpierw wybraliśmy się do Ravello, miasteczka, które usadowiło się wysoko na szczycie góry. Poeta André Gide pisał, że znajdowało się „bliżej nieba niż ziemi”. Referencje artystyczne Ravello robią równie duże wrażenie co sława Positano. Pochodzący stąd kupiec o imieniu Rufuolo pojawia się w *Dekameronie*. D.H. Lawrence machnął tutaj kilka rozdziałów *Kochanka Lady Chatterley*. Miasteczko było inspiracją dla Wagnera, gdy tworzył magiczny ogród Klingsora w *Parsifalu*. Do niedawna miał tu także swoją willę pisarz i polityk Gore Vidal, ale sprzedał ją, gdy zaczęły mu słabnąć kolana.

Podróż z Positano do Ravello podzieliliśmy na dwa etapy. Najpierw trzeba było dojechać autobusem SITA do Amalfi, a potem małym lokalnym busem na szczyt góry, mijając strome wzgórza, na których zboczach rozciągały się pola uprawne.

Najbliższy przystanek przewoźnika SITA znajdował się w najwyższym położonym miejscu w Positano, tam gdzie Viale Pasitea spotyka się z drogą SS 163, zaraz obok Nuova Chiesa. Jedną z rzeczy, które kochałem w podróżowaniu na vespie, było to, że nie ograniczały mnie żadne rozkłady jazdy. Nie musiałem kupować biletów (co nie znaczy, że kupowali je Włosi). I nie musiałem martwić się tym, czy spóźni się mój autobus lub pociąg. Mogłem wskoczyć na vespę i po prostu jechać przed siebie. Ale tamtego ranka uświadomiłem sobie, że siedzenie i przyglądanie się temu, co dzieje się obok nas, też ma swój urok.

Ruchem na skrzyżowaniu kierował młody policjant odpowiedzialny za to, żeby w tej części wybrzeża Amalfi pojazdy przemieszczały się płynnie. Nie było to takie łatwe, jak mogłoby się wydawać. Północna część skrzyżowania była tak ciasna, że dwa samochody nie były w stanie się tam wyminąć. Obok znajdujących się w pobliżu sklepów zatrzymywały się dostawczaki z towarami. A mieszkańcy parkowali swoje samochody, blokując innych kierowców, po to, żeby szybko wypić poranne espresso w kawiarence obok przystanku.

Młody policjant energicznie dmuchał w gwizdek, machał rękoma jak wiatrak i nakazywał kierowcom zatrzymanie się, zdecydowanym ruchem wyciągając w ich kierunku dłoń w białej rękawiczce.

Jakiś kierowca na niemieckich numerach nie posłuchał policjanta, który kazał mu jechać dalej, więc ten błyskawicznie sięgnął do tylnej kieszeni po bloczek i zaczął wypisywać mandat. Niemiec w panice wskazał na samochód dostawczy blokujący mu drogę i skończyło się na ostrzeżeniu.

Największym wyzwaniem dla stróża porządku były tamtego ranka byle jak zaparkowane samochody. Gdy policjant zobaczył taki beztrosko pozostawiony i blokujący ruch samochód, dmuchał wściekle w gwizdek, aż z kawiarni wybiegał właściciel auta z rogalikiem w ręku i telefonem przy uchu.

Kiedy stróż prawa nie dmuchał w gwizdek i nie kierował ruchem, przechadzał się niespokojnie po skrzyżowaniu. Jakiś piesek z sąsiedztwa zaczął biegać za nim w podskokach. Gdy policjant przechodził jezdnię, pies także. Gdy wracał na drugą stronę, to samo robił i pies. Ludzie

stojący na przystanku zaczęli chichotać i mężczyzna dopiero po chwili uświadomił sobie, że oto psiak podważa jego autorytet. Kiedy próbował odgonić psa, ten po chwili wracał, szczekając i sądząc, że to taka zabawa. Niestety, przyjechał nasz autobus i nie zobaczyliśmy, jak się to wszystko skończyło.

W busiku, który zabrał nas z Amalfi, było pełno starszych Włosek, które wracały z zakupów. Najwidoczniej dobrze знаły kierowcę, który przemierzał tę trasę tam i z powrotem pięć razy dziennie. Żeby je trochę rozbawić i samemu nie zwariować z nudów, kierowca co chwila rzucał jakieś dowcipne komentarze. Jego ulubionym tematem była głupota kierowców, nadjeżdżających z drugiej strony krętą górską serpentyną. Na którymś z zakrętów jakaś kobieta zatrzymała się, żeby się czegoś napić.

– No tak *signora* – rzucił kierowca z przekąsem. – Doskonałe miejsce na drinka.

Włoszki zachichotały.

– On jest jak londyński taksówkarz – zauważyła Sally. – W każdej sprawie ma coś do powiedzenia.

Wysiedliśmy przy Piazza Vescovado, zaraz przed *duomo*. Katedrze tej patronuje święty Pantaleon, męczennik z IV wieku, którego krew podobno raz w roku znów staje się płynna, podobnie jak krew świętego Januarego w Neapolu. Ten cud miał nastąpić w przyszłym tygodniu i ksiądz już dekorował kościół z pomocą dwóch wiekowych parafianek.

Zdobienia na ambonach przypominały wystrój dziecięcego pokoju. Na jednej, tej z której czytano Ewangelię, były smoki i ptaki, a podpierało ją sześć lwów. Na drugiej, z której czytano pozostałe teksty, przedstawiono historię Jonasza połkniętego przez wieloryba. Dekoracje te rozbawiły Sally, która jednak zapaliła świeczkę w intencji naszej mającej się niebawem urodzić córeczki.

Przeszliśmy przez rynek i skierowaliśmy się w ciche uliczki, by znaleźć jakąś restaurację. Była pora lunchu i Sally zrobiła się bardzo głodna. Zauważyliśmy restaurację z tarasem wychodzącym na skąpaną w bujnej zieleni dolinę ciągnącą się aż do morza.

Kelnerem był wstrętny typ w kremowej marynarce za dużej o dwa numery. Najwidoczniej doszedł do wniosku, że nie jesteśmy z tych, co zostawiają sute napiwki, i całkowicie nas zignorował. Uwagę skupił za to na dwóch statecznie wyglądających amerykańskich turystkach.

– Wiem, że kazałaś mi tak nie pytać – zaczęła pierwsza z nich, najpewniej w peruce, przeciągając słowa z charakterystycznym amerykańskim akcentem, po czym zwróciła się do kelnera: – A co by pan dzisiaj polecił?

Minął kwadrans, a kelner nie przyniósł nam nawet chleba. Podnieśliśmy się od stolika i powiedzieliśmy, że wychodzimy, na co ten tylko wzruszył ramionami.

Wróciliśmy na rynek i weszliśmy do niewielkiego baru kanapkowego, który się nazywał Il Panini. Panował w nim ogromny ruch, a właściciel musiał sam przyjmować zamówienia, podgrzewać kanapki i zanosić je do stolika. Uwijał się jak w ukropie, ale kiedy zobaczył Sally, natychmiast spytał, kiedy będzie rozwiązanie. Sally powiedziała, że pod koniec września.

– Moja siostra ma wyznaczoną datę na 21 września – oznajmił. Kiedy wychodziliśmy, życzył nam wszystkiego najlepszego i powiedział, jak najkrótszą drogą dostać się do willi Cimbrone, dokąd właśnie zamierzaliśmy się udać.

Rezydencję tę kazał zbudować pod koniec XIX wieku pewien Anglik, lord Grimthorpe. Villa Cimbrone znajduje się na samym końcu grani Ravello i może poszczycić się belwederem na końcu urwistego zbocza, skąd roztacza się bez wątpienia najpiękniejszy widok na całym wybrzeżu. Belweder znany jest jako Taras Nieskończoności i zdaje się być zawieszony nad rozciągającą się poniżej doliną. Balustradę zdobią popiersia sławnych synów Ravello, którzy spoglądają hen, za morze, w wieczność.



Zrobiłem tam wspaniałe zdjęcie Sally na tle bezkresnego morza i nieba. Sally położyła ręce na brzuchu i uśmiechnęła się tajemniczo. Był to istny uśmiech Mony Lisy, zachęta do spekulacji, co też może on znaczyć.

Kiedy teraz patrzę na to zdjęcie, widzę w nim przecucie tego, co niebawem miało się wydarzyć. Przecucie zbliżających się radości macierzyństwa. A także ogromny lęk przed nieznanym.



## *Nadal Positano*

### *Patronka: księżna Diana*

Dzień, w którym wybraliśmy się zwiedzać Pompeje, był najgorętszym dniem tamtego roku. Wybierając się w drogę, oczywiście nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. W naszym pokoju w Positano nie było radia ani telewizora, więc nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje na świecie. Pogoda każdego dnia była tak wspaniała, że bez rozsuwania zasłon wiedzieliśmy, co jest za oknem. Przez drzwi na balkon widzieliśmy po raz kolejny błękitne niebo i odpowiednio się ubieraliśmy.

Tamten dzień zaczął się groźnie. Na zboczu góry na południe od nas widać było kłęby dymu. Żółty helikopter co chwila czerpał wodę z morza i zrzucał ją mniej więcej w połowie zbocza. Wyglądało na to, że od pożaru dzieli nas tylko kilka ciasnych zakrętów drogi, więc wskoczyłem na Marcella, mówiąc Sally, że się tam przejadę i zobaczę, jak daleko od nas szaleje żywioł. Powiedziałem, że chcę się upewnić, czy nic nam nie zagraża. Pojechałem w górę, aż do zakrętu na wzgórzu, mając na głowie zamiast kasku słomkowy kapelusz i od razu poczułem się lepiej. Okazało się, że pali się jedynie ściółka, a stojący na drodze strażak zapewnił mnie, że sytuacja została już opanowana.

Żeby dostać się z Positano do Pompejów, trzeba pojechać autobusem SITA na północ, do Sorrento. Stamtąd pociągiem linii Circumvesuviana mieliśmy się dostać wprost do Pompejów.

Już sam pociąg wyglądał jak ruina. Wagony były stare, zniszczone i pomazane graffiti. Chociaż trasa biegła wzdłuż zatoki, cały czas mijaliśmy brzydkie miasta pełne bloków mieszkalnych i popękanych chodników, gdzie z każdego kąta wзираła bieda. Po półgodzinie dotarliśmy do stacji Pompei Marina. Później jeszcze pięciominutowy spacer, przejście przez szpaler budek z tandetnymi pamiątkami i dotarliśmy do słynnych ruin.

Weszliśmy na teren Pompejów przez Porta Marina – Bramę Morską. Obok kasy z biletami był kiosk. Sally kupiła dwie butelki wody, żeby nie dopuścić do odwodnienia organizmu. Ja kupiłem dwie książki, które miały mi pomóc zorientować się w terenie, który mieliśmy zwiedzać.

Pierwsza była zatytułowana *Pompeje – trasa archeologiczna dla dociekliwych*. Obiecywała uświadomić zwiedzającym naukowe znaczenie Pompejów i ożywić na naszych oczach zwyczajny dzień pogrzebanego przez lawę miasta, „niczym sen”. Druga książka, zdominowana przez ilustracje, miała tytuł *Pompeje wczoraj i dziś*. Były tam zdjęcia najważniejszych miejsc z naklejonymi przezroczystymi stronami, na których pokazano brakujące fragmenty ruin oraz wygląd budowli w czasach świetności miasta.

W głębi serca wiedziałem, że więcej pożytku będę miał z książki z ilustracjami. Kiedy patrzę na jakieś ruiny, zawsze widzę tylko kupę kamieni. Niewiele wiem o starożytnej architekturze i nie umiem, tak jak niektórzy, wyobrazić sobie, jak to wszystko kiedyś wyglądało. Dlatego tak mi się podobała dorycka świątynia w Segeście i świątynia Zgody w Agrigento. Obie były mniej więcej kompletne.

Pompeje to chyba najstojniejszy kompleks ruin na świecie. Każde dziecko zna przynaj-

mniej w zarysie ich historię. W roku 79 naszej ery nastąpiła erupcja Wezuwiusza, który zasypał miasto deszczem popiołu i gorących kamieni. Kataklizm zupełnie zaskoczył mieszkańców.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o zagładzie Pompejów, na lekcjach w szkole, wyobrażałem sobie, że miasto zostało zasypane popiołem w kilka sekund. Nauczyciel historii opowiadał nam, że archeolodzy znajdowali ciała śpiących ludzi, więc sądziłem, że mieszkańcy umierali w pół słowa, z rękoma wyciągniętymi w rozpaczliwym geście. Prawda, okazała się zupełnie inna. W rzeczywistości wszystko trwało ponad dwa dni. Ponieważ miasto znalazło się pod górą popiołu i pumeksu i leżało schowane pod nią aż do połowy XVIII wieku, praktycznie wszystko zachowało się w nim w takim stanie, w jakim było w chwili erupcji. Dzisiaj Pompeje wciąż stwarzają archeologom wspaniałą sposobność do tego, by ujrzeć sprzęty domowe, żywność i przedmioty codziennego użytku, które w innych okolicznościach dawno uległyby zniszczeniu.

Pompeje liczyły około dwudziestu tysięcy mieszkańców. To mniej więcej tyle, co Armidale w Australii czy Skegness w Wielkiej Brytanii. Ulice w mieście miały raczej regularny przebieg. Dalej nazywają się tak, jak nazywały się, gdy jeszcze tętniły życiem, a na ruinach domów ciągle są ich numery.

Z powodu upału i stanu Sally zwiedzanie ograniczyliśmy do kilku najważniejszych miejsc. Poszliśmy na forum. Tuż za plecami mieliśmy Wezuwiusza. Forum było otwartą, rozległą przestrzenią, niegdyś otoczoną najważniejszymi budynkami o przeznaczeniu religijnym i urzędowym. Kiedyś był to jeden z najbardziej zachwycających placów w całym imperium rzymskim, ale przekonałem się o tym dopiero, kiedy otworzyłem przewodnik *Pompeje wczoraj i dziś* i na zdjęcie ruin nałożyłem przezroczystą stronę pokazującą pierwotny wygląd forum i wspaniałe arkady ciągnące się z każdej jego strony.

Podobnie wielkie wrażenie wywarła na mnie ilustracja przedstawiająca świątynię Fortuny Augusty. Niewiele wystające ponad ziemię ruiny nic nie mówią o wierzgającym koniu, zdobitym zwieńczeniem dachu. Przezroczysta strona przydała się także przy Domu Fauna. Był to największy i najpiękniejszy gmach w Pompejach, o powierzchni ponad trzech tysięcy metrów kwadratowych, ale pozostałości budynku nie dają żadnego wyobrażenia o jego imponującym drewnianym dachu. Trzeba za to przyznać, że w ruinach zachowały się dość ładne mozaiki przedstawiające Dionizosa jako chłopca jadącego na panterze. W miejscu, gdzie stała budowla, jak i na ilustracji przedstawiającej jej dawny wygląd, znajdował się brązowy posązek Fauna – kopia, bo oryginał przechowywano w muzeum w Neapolu. Miałem szczęście widzieć go, kiedy zwiedzałem je wcześniej.

Jedynymi ruinami, przy których nie musiałem korzystać z pomocy mojego przewodnika, były ruiny *thermopolium*, czyli tawerny, przy Via della Fortuna. Jako wieloletni bywalec pubów bez trudu mogłem wyobrazić sobie wygląd tego miejsca. Były tam wykładane marmurem kontuary z okrągłymi płytkami wgłębieniami, do których wkładano jedzenie – bardzo ciekawe rozwiązanie i szkoda, że nie dotrwało do naszych czasów. Zachowała się nawet kasa, w której archeolodzy znaleźli drobne. (Utag tamtego dnia: sześćset osiemdziesiąt trzy sestercje). Bardzo spodobało mi się to, że ludzie w tawernie pili aż do końca istnienia miasta.

Potem chciałem obejrzeć dom publiczny i ubikacje, ale Sally spojrzała na mnie wymownie i zakomunikowała, że jak chcę, to po powrocie do Londynu mogę sobie wypożyczyć na DVD *Up Pompeii* z Frankiem Howardem – zabawny serial komediowy, którego akcja rozgrywa się właśnie w tym mieście. Zaoponowałem, tłumacząc jej, że z mojego doświadczenia podróżnika wynika, że toalety i dom publiczny to najciekawsze i najbardziej pouczające miejsca w każdym starożytnym rzymskim mieście. I mówiłem to całkiem serio.

Kiedy zwiedzałem ruiny Efezu, starożytnego miasta na terenie Turcji, podobało mi się to, że siedząc na kamiennej toalecie, mogłem spoglądać na drogę, którą wędrowały procesje

i wzdłuż której stały kolumny, i w zasięgu wzroku miałem krajobrazy ciągnące się aż ku morzu. Równie duże wrażenie wywarł na mnie wyryty na kamieniu znak wskazujący drogę do przybytku rozkoszy, z rysunkiem dziewczyny i ceną za usługę. Ten kamień uważany jest za jedną z najstarszych reklam, jakby nie było, najstarszego zawodu świata. A ponieważ akurat pracowałem wtedy w reklamie, powiedziałem sobie, że wszystko to oglądam w celach badawczych.

Jedyne, co nas rozczarowało w Pompejach, to brak „zastygłych ciał”, jak ujęła to Sally. Spodziewała się, że będą poumieszczane między ruinami – tu mężczyźni siedzący w rogu sypiącej się willi i sączący herbatę, tam jakaś kobieta w trakcie prasowania.

– A przynajmniej powinny tu stać i pełnić jakąś użyteczną rolę – powiedziała Sally. Na przykład wskazywać drogę do *anfiteatro*, amfiteatru.

Jeszcze bardziej rozczarowała ją moja informacja, że ciała, które widzieliśmy (bo jednak są tam ciała), nie były autentyczne. Te, jak wszystkie inne pozostałości organiczne, rozłożyły się w ciągu stuleci. Oglądaliśmy po prostu gipsowe odlewy, jakie wiano w „formy” pozostałe po ciałach ludzi, którzy znaleźli się w pułapce i zasypał ich popiół.

Wczesnym popołudniem byliśmy już tak znużeni upałem i zmęczeni ogromem tego miejsca, że wróciliśmy na stację kolejową, wstępując po drodze do pizzerii na późny lunch. Był to mały rodzinny lokal ze stolikami na zewnątrz, a pizze okazały się równie smaczne jak te z pizzerii Sorbillo w Neapolu. Potem ruszyliśmy w długą podróż powrotną do Positano, dokąd przybyliśmy, gdy już zachodziło słońce. Usiedliśmy na balkonie i przyglądaliśmy się, jak na wzgórzach i w mieście zapalają się światła, dając odpocząć nogom obolałym po całym dniu chodzenia po ruinach.

Celem naszej ostatniej całonocnej wycieczki była wyspa Capri. Bezpośredni prom na wyspę odpływał z nabrzeża naprzeciwko kościoła w Positano i po zaledwie dwudziestu minutach przybiliśmy do tłoczego nabrzeża przy Marina Grande, nad którym na szczycie wzgórza, usadowiło się miasteczko Capri.

Autorzy przewodników i książek podróżniczych, pisząc o tej wyspie, rozpluwają się w ochach i achach. „Zapiera dech w piersiach”, jest „czarująca” i stanowi „obowiązkowy przystanek podczas śródziemnomorskiego rejsu każdego celebryty”. Ale tamtego dnia nie byłem w stanie sprawdzić, czy to wszystko prawda, czy też nie. Po prostu nie widziałem Capri z powodu przewalających się tam tłumów. I nawet gdybym miał Paris Hilton na wyciągnięcie ręki, też bym jej nie zobaczył.

Wszyscy turyści na wyspie stali w kolejce do... kolejki, która miała ich zawieźć na samą górę, do miasteczka. Kolejka (turystów) wiała się przez cały port, obok sklepów z tandetnymi pamiątkami i lodziarni sprzedającej lody stojącym w ogonku ludziom. W pewnej chwili zjawił się jakiś Włoch i zaczął się przepychać do przodu kolejki. Sally natychmiast się rozżościła. Jest Angielką, a w Anglii za takie przestępstwo grozi lincz ze strony pozostałych kolejkowiczów, więc popchnęła mnie, żebym zareagował i powiedział, co myślę o jego zachowaniu. Włoch nas przeprosił i zaproponował, że jeśli chcemy, możemy przepychać się do przodu razem z nim...

Na górze, w samym Capri, było jeszcze gorzej. Ludzie wylewali się z wagonów kolejki wprost na Piazza Umberto. W przewodniku napisano, że plac ten odznacza się elegancją i dobrym rozplanowaniem, ale tamtego dnia wyglądało, jakby wszyscy tutaj pogowali. Posuwaliśmy się powoli, wraz z tłumem mijając sklepy, których istnienia tylko się domyślaliśmy, aż wreszcie wydostaliśmy się na uliczkę prowadzącą do przystanku autobusowego. Wyjechaliśmy z miasta, nie zobaczywszy ani XVII-wiecznego Chiesa di Santo Stefano, ani Certosa di San Giacomo – odznaczającego się surowym wystrojem klasztoru Kartuzów z kaplicą ozdobioną subtelnymi malowidłami. Do Ogrodów Augusta także nie weszliśmy. Zamiast tego pojechaliśmy autobusem w dół, do portu.

Po doświadczeniu pustych przestrzeni Sardynii i Sycylii i napawaniu się beztróskim urokiem Wysp Liparyjskich, to, co przeżyłem na Capri, było dla mnie wręcz traumatyczne. Miałem ochotę pierwszym statkiem wracać do Positano. Ale Sally chciała jeszcze odwiedzić Lazurową Grotę.

– Nie mogę być na Capri i nie zobaczyć Lazurowej Groty – oświadczyła z determinacją w głosie.

W czasach Tyberiusza Lazurowa Grota była jego *nymphaeum*, nimfeum, gdzie cesarz spółkował z chłopcami, kiedy upał w ogrodach stawał się nie do zniesienia. Po śmierci Tyberiusza groty nikt nie odwiedzał, a miejscowi ludzie unikali jej, bo powiadali, że zamieszkują ją wiedźmy i potwory. Grotę odkrył ponownie w 1862 roku rybak Angelo Ferraro i pokazał ją niemieckiemu pisarzowi Augustusowi Kopischowi. Wkrótce po całej Europie rozniosła się wiadomość o cudownie rozświetlonej jaskini i Capri stało się obowiązkowym punktem na trasie podróży bogatych Brytyjczyków tłumnie zmierzających do Włoch w XVIII i XIX wieku.

Ja także chciałem zobaczyć Lazurową Grotę. Miałem jednak obawy, czy taka wyprawa to odpowiednia rzecz dla kobiety w zaawansowanej ciąży. Podróż dużą łodzią turystyczną, która dowoziła zwiedzających do wejścia do jaskini nie była problemem. Bałem się momentu, kiedy z tej łodzi trzeba będzie się przesiąść do małej łódki wpływającej do jaskini. Ale włoskie władze zajmujące się bezpieczeństwem turystów nie widziały najpewniej żadnego problemu, bo nie wymagały od osób wybierających się do groty nawet założenia kapoków.

Mój lęk był dla mnie kompletnym zaskoczeniem. Przejechałem Afganistan, Somalię i znajdujące się w stanie wojny Bałkany i ani przez chwilę nie myślałem o własnym bezpieczeństwie. Tu jednak cały czas niepokoiłem się o Sally i o moją nienarodzoną córkę. Sally zawyrokowała rozsądnie, że tak czy owak popłyniemy do groty, a jeśli uzna, że przejście na małą łódkę jest zbyt niebezpieczne, po prostu zrezygnuje.

Nie doceniłem rewerencji Włochów dla ciężarnych kobiet. Gdy dotarliśmy do wejścia do groty, szorstcy, ogorzali „kapitanowie” starali się, jak mogli, pomóc Sally przejść na łódkę. Kapitan dużej łodzi turystycznej, którą przyплыliśmy, podtrzymał Sally za ramię, a właściciele wszystkich łódek poza tą, do której wchodziła moja żona, wstrzymali się na chwilę z zabieraniem swoich pasażerów i przytrzymywali dużą łódź, żeby się nie kołysała. Odплыli dopiero, gdy mieli pewność, że Sally jest już bezpieczna, wołając na pożegnanie: „*Complimenti! Gratulacje!*”.

Właściciele łódek zarabiają od liczby osób, które wezmą na pokład, i dlatego chcą, żeby było ich jak najwięcej. Ale właściciel naszej łódki zadowolił się tylko Sally i mną. Powiedział, że matka na łódce przynosi szczęście, i wiosłował bardzo powoli, cały czas upewniając się, że Sally siedzi wygodnie i bezpiecznie.

Łódki tłoczyły się u niewielkiego wylotu groty, czekając na sposobność, by wpływać do środka. Manewr ten wymaga precyzji i jest obarczony pewną dozą ryzyka. W odpowiednim momencie, gdy fala na sekundę opada i niewielki wylot powiększa się na krótką chwilę, kierujący łódką chwytając łańcuch przymocowany do ściany groty i przeciąga łódkę do jej wnętrza. Nawet wtedy jest bardzo ciasno i zarówno on, jak i siedzący w łódce pasażerowie muszą położyć się na plecach. Brzuch Sally zaledwie przeszedł z kilkucentymetrowym marginesem. Kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie i znów usiedliśmy, naszym oczom ukazała się wypełniająca grotę woda lśniąca najbardziej zachwycającym błękitem.

– No, no – powiedziałem. – To się nazywa błękit!

Może nie były to szczyty elokwencji, ale tak właśnie działa na człowieka Lazurowa Grota. Odbiera mowę, w pozytywnym sensie.

Niewiarygodny błękit i niesamowite lśnienie wody mają dwie przyczyny. Promienie sło-

neczne wpadają do wnętrza grotty przez podwodny otwór i woda działa jak filtr, całkowicie pochłaniając barwę czerwoną. A potem wapienne dno jaskini odbija przefiltrowane światło, kierując je w górę. To naprawdę jedna z najbardziej zdumiewających rzeczy, jakie widziałem w życiu. Mimo upału i tłumów przewalających się po Capri, warto było tam przyjechać dla tego widoku.

Najczęściej kierujący łódkami zabierają turystów do grotty tylko na parę minut, wpływają i po chwili wypływają, ale nasz Włoch popłynął w głąb grotty, żebyśmy mogli zostać tam trochę dłużej. Zrobił nam zdjęcie. Zaśpiewał piosenkę. Pokazał niewyraźne rysunki z czasów Tyberiusza. A kiedy wypływaliśmy, zaśpiewał jeszcze jedną piosenkę, tym razem dla naszej córeczki w brzuchu Sally. Powiedział, że to włoska kołysanka.

Wieczór w dniu moich urodzin był również ostatnim dniem pobytu Sally w Positano. Zaczęliśmy go świętować w barze nad morzem, gdzie panowała kapitalna atmosfera. DJ grał chilloutową muzykę i piliśmy campari (Sally wersję bezalkoholową). Potem spacerkiem, trzymając się pod ramię, przeszliśmy alejką obok kwitnących wisterii do hotelu Le Sirenuse, gdzie na tarasie hotelowej restauracji La Sponda, czekał już na nas stolik. Siedząc przy nim, można było podziwiać widok zapierający dech w piersiach. Bardzo trudno dostać tam miejsce, ale Sally przezornie zarezerwowała je jeszcze przed wylotem z Londynu.

Gdy mijaliśmy hotel Palazzo Murat, drogę zagroziła nam spora grupa elegancko ubranych osób. Ludzie ci przybyli na wieczór autorski miejscowej pisarki Silvano Giacobini opowiadającej o swojej nowej książce: *Diana. Il Romanzo Verità*, co można przetłumaczyć jako „Diana. Prawdziwa historia”.

Widziałem w Positano plakaty reklamujące to wydarzenie. Była na nich okładka czasopisma „Hello” z Dianą i napis: „Nowa sensacyjna książka, która zmieni twój sposób myślenia o księżnej Dianie! ”. Książka Giacobini została umieszczona obok okładki czasopisma „Hello” w taki sposób, że można było odnieść wrażenie, jakby czasopismo reklamowało właśnie ją. Ale przyglądając się okładce „Hello” bliżej, dostrzegano się, że dotyczy ona książki Andrew Mortona, przedrukowywanej przez to czasopismo. Dość bezczelne zagranie.

Stolik w restauracji La Sponda mieliśmy zarezerwowany dopiero na ósmą. Był kwadrans po siódmej, więc spytałem Sally, czy nie moglibyśmy zostać trochę na tym wieczorze i zobaczyć, co się będzie działo. Plakat obiecywał, że książka opowiada o *una grande storia d'amore*, wspinałej historii miłosnej, i przedstawia nieznaną szczegóły romansu księżnej z Dodim al-Fayedem. Sally spojrzała na mnie wymownie i przytaknęła.

Jakiś mężczyzna z fircykowatą fryzurą i udręczoną miną sprzedawał książkę Silvano Giacobini ze stolika, więc i ja stanąłem w kolejce, żeby nabyć egzemplarz. Książka kosztowała sześć euro. Kiedy podałem mu banknot o nominale dziesięciu euro, spytał, czy mam jedno euro, bo jeśli tak, on mógłby wydać mi pięć. Powiedziałem, że nie mam, a on spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Na pewno pan nie ma? – spytał jeszcze raz.

Kiedy powiedziałem, że na pewno, zwrócił się do Sally z pytaniem, czy może ona ma jakieś drobne. Moja żona potrzęsła przecząco głową, a on spojrzał na nas z niedowierzaniem.

– Nie macie państwo żadnych drobnych?

Następnie podjął próbę przeprowadzenia bardzo skomplikowanej operacji finansowej między mną a stojącym za mną facetem. Z tego, co zrozumiałem, chodziło o to, żeby tamten dał mi jedno euro, ja wówczas dostałbym z powrotem pięć euro w banknocie, a od tamtego miałem wziąć numer konta bankowego i przelać mu to euro. Mężczyzna za mną całkiem słusznie odrzucił taki ryzykowny pomysł. Wtedy ten przy stoliku zakomunikował, że bardzo mu przykro, ale nie będzie mógł sprzedać mi książki.

Ale najdziwniejsze było to, że na tym samym stoliku, obok książek, stała puszka pełna bilonu. Wskazując na nią, Sally powiedziała mężczyźnie, że przecież ma mnóstwo monet do wyda-

wania.

– Owszem, mam – odparł. – Ale mogą być mi potrzebne później.

W końcu zrozumiał chyba jednak, jak idiotycznie się zachowuje, i sprzedał mi książkę, wydając cztery euro reszty. Ale i tak każdą monetę wręczał mi z bolesnym grymasem na twarzy.

Chciałbym móc powiedzieć, że w Positano miałem tylko jedną taką przygodę z drobnymi, ale niestety zdarzało się to częściej. Już wcześniej wytrąciłem z równowagi pracownika pralni samoobsługowej. Gdy odbierałem pranie, zażyczył sobie, żeby dać mu dokładnie odliczone pieniądze. Kiedy odparłem, że nie mam drobnych, kazał mi sprawdzić kieszenie, a nawet wywrócić je na jego oczach, żeby mu udowodnić, że nie kłamię. Potem poprosił Sally, żeby wysypała na ladę całą zawartość portmonetki.

W końcu powiedziałem mu, że nie jestem bankomatem i że jego obowiązkiem jako sprzedawcy jest posiadać odpowiednią ilość bilonu. Może i dałem przy tym upust emocjom, ale zasadniczo tak mu właśnie powiedziałem. On na to, że może obsługiwać, kogo chce, i że mam się tam więcej nie zjawiać. Od tamtej pory wszędzie starałem się kupować tylko takie rzeczy, za które mogłem zapłacić dokładnie odliczoną sumę.

Silvana Giacobini podeszła do pulpitu ustawionego w hotelowym holu przy wtórze okłasków zgromadzonych osób. Miała burzę blond włosów, masywną biżuterię, ogromne okulary przeciwsłoneczne i była zbyt mocno opalona. Wszystko to oczywiście miało odwrócić uwagę od zmarszczek, ale moim zdaniem i tak wyglądała olśniewająco, podobnie zresztą jak wiele starszych włoskich kobiet.

Autorka wyjaśniła, że jej książka przedstawia ostatnie dni życia Diany, kiedy ta wreszcie znalazła swą prawdziwą miłość i bratnią duszę – Dodiego al-Fayeda. Skąd dowiedziała się wszystkiego, co opisała w książce, nie powiedziała. Potem to sprawdziłem i teraz wiem, że z zawodu jest dziennikarką i pisze o celebrytach. Przedstawiła swoją teorię na temat związku Diany z Dodim tak przekonująco, że trudno jej było nie wierzyć.

Każdy rozdział książki zaczynał się od wiersza i właśnie te wiersze czytała nam Silvana. Głębokim, matowym głosem recytowała ody do powyginanych blach „wiecznego mercedesa” i do poduszki powietrznej Trevora Rees-Jonesa, „która spuchła niczym napelniająca przerażeniem nowina”.

Każdy utwór został wyrecytowany w ten sam, pełen dramatyzmu sposób charakterystyczny dla Włoszek. Silvana zakończyła swój występ, odczytując jeszcze raz wiersz, od którego go zaczęła, kuplet o zapachu martwych kobiet. Ale wyhamowała w samą porę i przywołała jeszcze ostatnie chwile życia Diany.

„Nie było czasu na myślenie/Nie było czasu na lęk” – wyszeptła dramatycznie. Potem zrobiła przerwę, wzięła głęboki oddech i wypowiedziała ostatnią linijkę głośno i dobitnie, z ogniem w oczach: „Nie ma czasu!”

Potem skuliła ramiona i pochyliła głowę. Zerwała się burza okłasków.

– Czegoś takiego raczej się nie spodziewałam – zauważyła Sally.

Po tym jakże inspirującym spotkaniu udaliśmy się na kolację. Hotel Sirenuse znajduje się naprzeciwko kościoła i plaży i roztaczają się z niego najpiękniejsze widoki w Positano. Otworzył swoje podwoje w 1951 roku, kiedy to markiz Paolo Sersale przekształcił w hotel swoją letnią rezydencję. Ściany w rustykalnej czerwieni ze szczegółami architektonicznymi odcinającymi się na białło istotnie przywodzą na myśl arystokratę z lat pięćdziesiątych mającego słabość do dobrego wina, kobiet i cienkich wąsików. Hotel ma własną stylową łódź motorową dla gości przybywających tu z Capri bądź Neapolu. No, to już wszystko na temat tego miejsca...

Oczywiście dyskretna elegancja kosztuje. Nawet poza sezonem ceny dwójek z widokiem na morze zaczynają się od ośmiuset pięćdziesięciu euro za noc.



Restauracja La Sponda mieści się na trzecim piętrze hotelu, na ogromnym tarasie z widokiem na morze. Jego arkady oplata bugenwilla. Pośród stolików ustawiono gustownie donice z drzewkami cytrynowymi. Zaprowadzono nas do stolika zaraz przy balustradzie z białych kolumniek i natychmiast wszystkie myśli o wrakach mercedesów i poduszkach powietrznych pełnych przerażenia rozwiały się jak dym. Sceneria była po prostu przepiękna.

Kelner powiedział, że jesteśmy tylko „osiemdziesiąt kroków ponad morzem”. Rzeczywiście, miało się wrażenie, że wystarczy sięgnąć ręką, a dotkniemy fal.

– Tu jest po prostu bosko – westchnęła Sally.

Dwaj mężczyźni w czarnych garniturach zaczęli wędrować po tarasie i zapalać świece. Nasz kelner powiedział, że świec jest w sumie czterysta. Migotały drgającymi płomykami w eleganckich kutych kandelabrach zwisających z sufitu i płożących się po ścianach niczym rośliny. Zewsząd otaczało nas pełne prostoty piękno. Chyba byłem bardzo przejęty swoimi urodzinami i tym, że niebawem zostanę ojcem, bo poczułem jak coś ściska mnie w gardle.

Menu w restauracji La Sponda przygotował Alfonso Laccarino, pierwszy szef kuchni na południu Włoch, który otrzymał trzy gwiazdki od Michelina. Nasz kelner powiedział, że ma ono zapoznawać gości z klasycznymi smakami i aromatami tego regionu. Potrawy były przygotowywane w oparciu o tradycyjne neapolitańskie receptury opracowane na nowo w twórczy sposób, z wykorzystaniem tylko świeżych składników kupionych tego ranka na miejscowych targach rybnych.

Ja zamówiłem dla siebie *linguine le Sirenuse*, makaron z homarem, krewetkami i langustą. Sally wzięła *linguine* z główkami karczochów, gotowanych *en papillote*, w pergaminie. Z powodu zaawansowanej ciąży nie mogła jeść owoców morza, bo nawet najłżejsza listerioza mogłaby mieć zgubne konsekwencje. Powinienem był się o tym dowiedzieć znacznie wcześniej, ale zamiast czytać poradniki dla kobiet w ciąży, czytałem podręczniki użytkownika vespy. Nasze dania prezentowały się gustownie i elegancko, korespondując z atmosferą otoczenia.

Po posiłku inny kelner podjechał z wózkiem z deserami. Sally, podając mi dłoń przez stół, powiedziała, że bardzo się cieszy, że przyjechała do Positano. Odpowiedziałem, że też się cieszę, że się na to zdecydowała.

John Steinbeck napisał, że kiedy jest się w Positano, wydaje się ono odrobinę nierzeczywiste i „staje się rzeczywiste, dopiero kiedy stamtąd wyjedziemy i gdy zaczyna przywoływać nas do siebie”. Tamtego wieczoru na tarasie restauracji La Sponda rozświetlonej migotliwym blaskiem czterystu świec, z widokiem na morze, dobrze rozumiałem słowa amerykańskiego pisarza. Chciałem zatrzymać tę chwilę jak najdłużej i przechować ją w pamięci jak najcenniejszy skarb.

Upłynie sporo czasu, nim znowu będziemy mieć takie wakacje lub podobny wieczór tylko dla nas dwojga.



## *San Giovanni Rotondo*

### *Patron: Ojciec Pio*

W 1952 roku papież Pius XII wezwał Kościół do tego, by opowiedział się za motoryzacją i w ten sposób zagwarantował sobie „coraz szybsze głoszenie Bożej chwały”. Włoscy księża poszli za wezwaniem papieża i w 1956 roku tygodnik „Time” pisał, że trzydzieści tysięcy osiemset pięćdziesięciu z nich przesiadło się na vespy. Z tego samego tekstu można się było dowiedzieć, że tam, gdzie pasterze doglądali trzódki, przemieszczając się na skuterach, sprawność działania Kościoła wzrosła o ponad trzy tysiące procent.

W tym samym czasie prezes firmy Piaggio wyznał dziennikarzom czasopisma „American Mercury”, że odznacza się „głęboką wiarą, która go prowadzi i inspiruje”. Biorąc pod uwagę zastrzyk gotówki od wielebnych przesiadających się na vespy, wcale się temu nie dziwię.

Były jednak w Kościele zakony i zgromadzenia, które nie rwały się do pełnienia posługi duszpasterskiej z wykorzystaniem skuterów. Niektórzy duchowni wręcz uważali je za dzieło szatana. „Time” pisał, że spowodowało to „spadek popularności i liczebności zakonu benedyktynów, nastawionych bardziej na rozwój duchowy, i franciszkanów, preferujących poruszanie się pieszo, na rzecz przemieszczających się szybko jezuitów, których wysokooktanowy zmysł praktyczny w epoce skutera ma się doskonale”.

Znowu sam, tylko z Marcellem, zmierzałem w stronę San Giovanni Rotondo, miasteczka w sercu nieskażonego cywilizacją półwyspu Gargano – ostrogi włoskiego buta. W miejscowości tej został pochowany jeden z najnowszych świętych Kościoła katolickiego – Ojciec Pio. Francesco Forgione, bo tak się nazywał Ojciec Pio, był stygmatykiem, co więcej: jest pierwszym stygmatykiem-księdzem w historii Kościoła katolickiego. Zdarzało się także, że „pojawiał się” przed kardynałami w Rzymie, jednocześnie smacznie śpiąc w swojej celi w San Giovanni Rotondo. Innymi słowy miał dar bilokacji, przydatną umiejętność, którą – jak się okazuje – posiadało wielu świętych.

Ojciec Pio to jeden z najbardziej popularnych świętych we Włoszech. Jego wizerunki spotykałem praktycznie w każdym mijanym miasteczku. Najczęściej były to wykonane z brązu pomniki w parku – takie jak ten w Corleone – albo portrety – jak ten na ścianie niewielkiego *alimentari*, sklepu spożywczego, w Positano, z którego uśmiechał się do mnie, gdy kupowałem kilka plastrów szynki parmeńskiej.

Nic mi nie wiadomo o tym, by Ojciec Pio poszedł za wezwaniem Piusa XII i podróżował vespą. Zresztą, gdy Pius XII kierował swój apel do duchownych, Ojciec Pio miał sześćdziesiąt pięć lat i z powodu stygmatów cały czas musiał mieć zabandażowane ręce. Gdyby rzeczywiście jeździł vespą, to na pewno zachowałoby się zdjęcie, na którym pędzi przed siebie z rozwianym habitem. Ale niezależnie od tego, jaki miał stosunek do skuterów, to przecież był patronem mojej poprzedniej vespy, Sophii, towarzyszącej mi w pierwszej podróży po Włoszech.

Zanim Ojciec Pio został niebieskim orędownikiem Sophii, funkcję tę pełniła Matka Boska, której powierzyłem pieczę nad duchowym i fizycznym stanem mojego skutera. Magnes z jej

łagodnym obliczem kupiłem jeszcze w Sydney, w katedrze pod jej wezwaniem. I kiedy wyruszyłem z Mediolanu, przytwierdziłem go z pietyzmem obok licznika Sophii.

Pierwsza część tamtej podróży naznaczona była wieloma problemami ze skuterem. Czytelnicy uważający się za ateistów mogą w tym widzieć dowód na to, że świadczący o mojej zabo-  
bonności magnes z Matką Boską nic a nic mi nie pomógł. Rzeczywiście, muszę przyznać, że w tych najbardziej mrocznych momentach, stojąc gdzieś w szczerym polu na poboczu drogi, umazany olejem, doświadczałem kryzysu wiary. Ale równocześnie mówiłem sobie, że życzliwość, jakiej doświadczałem ze strony Włochów pomagających mi w trudnej sytuacji były dla mnie dowodem, że Matka Boska działała w bardziej tajemniczy sposób, tak jak to mają w zwyczaju robić wszystkie święte figury i obrazy na całym świecie.

Dopiero gdy dotarłem do Livorno, Marco i Filippo wytłumaczyli mi, jaki błąd popełniłem. Powiedzieli, że wybrałem zbyt starego patrona. Maryja była już wyczerpana, bo od wieków musiała odpowiadać na prośby i modlitwy. Potrzebny był mi nowy święty, nowy gracz w niebieskiej drużynie, taki, co dopiero wszedł na boisko z ławki rezerwowych i miał mnóstwo energii. Wówczas nie było świeższego zawodnika niż Ojciec Pio, kanonizowany zaledwie dwa tygodnie przed moim przybyciem do Włoch. Zastąpiłem magnes z Matką Boską niedawno wyjętym spod sztancy magnesem z Ojcem Pio i od tej pory nie miałem z Sophią żadnych problemów.

Gdy pierwsza podróż dobiegła końca, zdjąłem magnes ze skutera i zachowałem go sobie jako amulet. Teraz, kiedy jechałem po raz drugi przez Włochy, był przytwierdzony do naszej lodówki między widokówkami, rachunkami i listą sprawunków. Świadomość, że święty spogląda ze swojego wyblakłego od słońca wizerunku na Sally i nasze mające się urodzić dziecko, dodawała mi otuchy.

I dlatego właśnie moja podróż do San Giovanni Rotondo była pielgrzymką dziękczynną. Żeby tam dotrzeć, musiałem nadłożyć prawie dwieście kilometrów, jadąc przez suche równiny Apulii. Byłem jednak przekonany, że przynajmniej tyle mogę zrobić w podzięce za to, że moje eskapady najpierw na Sophii, a teraz na Marcellu przebiegały bezproblemowo.

San Giovanni Rotondo rozłożyło się pod Monte Calvo, najwyższym szczytem na półwyspie Gargano. Pierwszą oznaką zbliżania się do „ziemi świętej” była wystawa prezentująca domki i altany z prefabrykatów wytwarzane przez firmę Prefabbricati Padre Pio. Na terenie wystawy znajdowała się figura Ojca Pio naturalnej wielkości umieszczona na szczycie wysokiej wieży. Święty miał ramiona rozłożone w geście pozdrowienia, ale w tamtym miejscu i na tamtej wysokości wyglądało to tak, jakby za chwilę miał wykonać efektowny skok do znajdującego się trzydzieści metrów niżej basenu.

Samo San Giovanni Rotondo przypominało las dźwigów uwijających się na licznych placach budowy. Miasto odwiedza rocznie siedem milionów pielgrzymów, co czyni je drugim, po Lourdes, najczęściej odwiedzanym celem pielgrzymek na świecie. Zakładając, że czterdzieści cztery procent światowej produkcji cementu płynie do Chin przeżywających boom inwestycyjny, szacuję, że połowa z pozostałych pięćdziesięciu sześciu procent wędruje do San Giovanni Rotondo. Kiedy tam przyjechałem, zobaczyłem Szanghaj w wersji mini, z parkingami samochodowymi, wielopiętrowymi hotelami i blokami mieszkalnymi.

O miejsce na nocleg nie było trudno. Dostałem pokój w nowym hotelu, niedaleko McDrive'a, tuż obok strefy pielgrzymia, czyli obszaru na skraju miasteczka, gdzie znajdują się stary kościół (Santa Maria delle Grazie), nowy kościół (Chiesa di San Pio) i milion straganów z pamiątkami.

W hotelowym holu pełno było nawiązań do Ojca Pio, a pamiątki można było kupić także w recepcji. W windzie umieszczono wywieszkę z informacją o godzinach odprawiania mszy w obu kościołach i obrazkiem świętego trzymającego na rękach owieczkę. Wszędzie, gdzie się

człowiek nie odwrócił, spoglądał na niego Ojciec Pio, czasami uśmiechnięty, czasami ze zmarszczonymi brwiami, ale zawsze w brązowym habitie i z gęstą siwą brodą.

W moim pokoju jedynym miejscem, którego nie okupował święty kapucyn, była ściana, przy której stało łóżko, gdzie zamiast jego wizerunku wisiał mały krucyfiks. Kiedy jednak położyłem się na łóżku i spojrzałem w górę, spostrzegłem, że do stóp Chrystusa przyklejona była niewielka nalepka. Z Ojcem Pio...

Kierownik hotelu poinformował mnie, że w strefie pielgrzyna parkowanie jest zabronione. Jest tu za mało miejsca – nawet dla vespy, a osoby łamiące ten przepis karane są z całą surowością. Zasugerował, żebym wjechał do strefy pielgrzyna pociągiem dla turystów. Przystanek znajduje się przed hotelem, a wysiadę zaraz przy Santa Maria delle Grazie, starym kościele, w którym mogę położyć się krzyżem przed przedmiotami należącymi do Ojca Pio, znajdującymi się w jego dawnej celi.

Pociąg dla turystów okazał się być zwykłym traktorem obitym odpowiednio blachą, który ciągnął trzy „wagony” pełne pielgrzymów. Takich rzeczy człowiek spodziewa się w Disneylandzie, ale nie w drugim najczęściej odwiedzanym przez pielgrzymów katolickim sanktuarium świata. A jednak moi współpasażerowie wyglądali na zadowolonych. Ten dziwny środek lokomocji robił pętlę, jadąc z peryferii miasta obok hoteli aż na główny plac. Wypluwał pasażerów przy kościele Santa Maria delle Grazie i przy ogromnym, odznaczającym się surową architekturą Casa Sollievo della Sofferenza („domu ulgi w cierpieniu”, jak kwiecieście nazwano szpital), a potem wracał.

Obity blachą traktor wyglądał jak dziecięca wersja lokomotyw sunących przez prerię w westernach. Ba, miał nawet plakietkę z napisem „Muson River 1894”. Zapisałem to sobie, żeby potem znaleźć w Google coś więcej na ten temat. Myślałem, że może kształt blach okrywających traktor wzorowano na jakiejś lokomotywie, która zapisała się chlubnie w historii cywilizowania Dzikiego Zachodu. Niestety, rzeczywistość była bardziej banalna: producent „lokomotywy”, południowokoreańska firma Dotto Road Trains, umieścił na niej plakietkę właśnie po to, żeby swojemu produktowi dodać trochę sznytu rodem z Dzikiego Zachodu. Przez chwilę korciło mnie, żeby wysłać im maila z informacją, że stylizacja na Dzikiego Zachód nie ma sensu, jeśli „lokomotywa” ciągle pulsuje pomarańczowym światłem ostrzegawczym i ma elektroniczne ograniczenie prędkości do dwudziestu kilometrów na godzinę.

Alejka na lewo od kościoła prowadziła na wzgórze, skąd roztaczał się widok na całe miasto. Wzdłuż niej umieszczono stacje Drogi Krzyżowej, aczkolwiek na jej końcu zobaczyłem nie Ojca Pio, ale Matkę Boską z Dzieciątkiem. Jednak Matka Boska na pewno nie miała wątpliwości co do tego, kto jest w tej chwili najpopularniejszym świętym, bo spoglądając w dół, widziała ogromny kościół pod wezwaniem Ojca Pio i las dźwigów.

Wracałem do Santa Maria delle Grazie za grupą rozentuzjasmowanych młodych pielgrzymów śpiewających i klaszczących w dłonie jak dzieci. Prowadził ich jakiś brodacz z gitarą. Na samym dole gromada zakonnic, niektóre ubrane na biało, inne na czarno, stanęła, żeby zrobić sobie zdjęcie pod pomnikiem świętego kapucyna.

Architektura kościoła Santa Maria delle Grazie wyróżnia się prostotą i surowością, cechami, które – zdaniem niektórych – charakteryzowały też samego Ojca Pio. Kiedy jednak w 1959 roku poświęcano ten kościół, kapucyn nie był zachwycony i miał podobno zawołać: „Co tu pobudowaliście? Pudełko zapalek?”. Wiedział już, żeby pomieścić rzesze „wiernych, którzy odpowiedzą na jego wołanie”, będzie potrzebna o wiele większa świątynia.

Do kościoła prowadziło niewielkie sklepione wejście usytuowane obok pierwotnej kaplicy. Gęsto zbity tłum stał w kolejce, w porażającej spiekocie, a niektórzy z pielgrzymów wachlowali się trzymanymi w ręką ulotkami z cytatami z Pisma Świętego. W tej kaplicy znajdował się

wcześniej grób Ojca Pio, obecnie przenoszony do nowego kościoła. Teraz wszyscy czciciele świętego stali w kolejce, by zobaczyć surową cełę, w której spędził większą część dorosłego życia.

Kiedy w końcu dotarłem do kaplicy, młody zakonnik w takim samym habicie, jaki nosił Ojciec Pio, wręczył mi jakiś formularz. Spytałem, co mam z tym zrobić, a on odparł, że mam przedstawić moje intencje. Powiedziałem, że po prostu chcę zobaczyć cełę, w której żył i umarł święty, a potem obejrzeć kościół, który – jakby nie patrzeć – robił znacznie większe wrażenie.

Wtedy zakonnik wyjaśnił mi cierpliwie, że podanie intencji oznacza określenie, za kogo lub o co potrzebuję modlitwy. Codziennie o ósmej trzydzieści on i jego współbracia kapucyni gromadzili się przy grobie i odmawiali różaniec w tych intencjach, o które danego dnia prosili ich pielgrzymi. Zapisałem na kartce imię Sally i dodałem Daisy jako imię naszej nienarodzonej córki (tylko to imię zdobyło akceptację Sally w Positano). Wręczyłem kartkę kapucynowi i dołączyłem do kolejki przesuwającej się wolno w stronę celi Ojca Pio.

Dziesięć minut później znalazłem się w niewielkim, pozbawionym ozdób i udogodnień pokoju, gdzie stały łóżko, miednica i nocny stolik. Obok łóżka, na specjalnym stojaku, umieszczono kapcie, które Ojciec Pio nosił aż do ostatniej godziny swego życia.

Pozostałe rzeczy osobiste świętego umieszczono w szklanej gablocie znajdującej się na środku celi. Była tam para rękawiczek bez palców, białe skarpetki z plamami krwi, skrawek bandaża, którym opatrywał ranę na piersi, sutanna z plamami krwi ze stygmatów, książki poświęcone różnym kwestiom duchowym i chusteczka, którą błogosławił z okna pielgrzymów. Był tam także aerozol przeciwko owadom, którego używał. Już widzę oczyma wyobraźni producenta tego aerozolu, jak obwieszcza w swojej reklamie: „Tego produktu używał Ojciec Pio!”

Celi pilnował inny młody zakonnik w brązowym habicie, który po jakichś dwóch minutach orzekł, że powinienem już wyjść. Ruszyłem za pozostałymi pielgrzymami pozbawionym ozdób ciemnym korytarzem, skąd wyszliśmy, mrużąc oczy przed słońcem, na ogromny betonowy plac przed nowiuteńką Chiesa di San Pio, czyli kościołem pod wezwaniem Świętego Ojca Pio.

Nowa świątynia została zaprojektowana przez światowej sławy włoskiego architekta Renzo Piano. Piano, urodzony w Genui, zaprojektował Centre Georges Pompidou w Paryżu, międzynarodowy port lotniczy w Osace i opracował plan części placu Poczdamskiego. Renzo został także laureatem Nagrody Pritzкера – najbardziej prestiżowego wyróżnienia w świecie architektury.

W Australii Renzo Piano jest znany przede wszystkim jako twórca Aurora Place, obsypanego nagrodami biurowca i apartamentowca przy Macquarie Street w Sydney. Wygięta i naznaczona krzywiznami wschodnia fasada budynku została zaprojektowana w taki sposób, by korespondować wizualnie z budynkiem opery i przypominać, że Sydney to także port morski. Jeśli spojrzeć się na Aurora Place z Ogrodów Botanicznych, musi się przyznać, że ten cel został osiągnięty.

Nie da się jednak powiedzieć wiele dobrego o kościele pod wezwaniem Świętego Ojca Pio. Ogromną przestrzeń placu wypełniają różne drobiazgi: dzwony czy betonowe gołębie przypominające mewy, i fontanna, przy której londyńska, upamiętniająca księżną Dianę jest wzorem stylu i funkcjonalności. Jednym słowem, mamy tam eklektyczną mieszankę dziwnych pomysłów, a nie spójną, estetyczną całość.

Z bliska to wszystko wcale nie wyglądało lepiej. Wzniesione z piaskowca łuki przypominały chwiejne odnóża ogromnej modliszki, a sceny biblijne przedstawione na witrażach wyglądały jak scenorys reklamy, naszkicowany pośpiesznie przez pracownika agencji reklamowej na parę minut przed przybyciem klienta.

Przypominało mi to bardziej kościół wybudowany przez któregoś z licznych amerykańskich teleewangelizatorów w samym sercu południa Stanów Zjednoczonych. To wrażenie spotę-

gowało się, kiedy dziewczyna dzinsach i trykotowej koszulce wręczyła mi broszurkę reklamującą Tele Radio Padre Pio, gdzie po opłaceniu abonamentu ma się dostęp do audycji z nauczaniem świętego zakonnika.

Wracając do hotelu, zrezygnowałem z jazdy pociągiem z Dzikiego Zachodu i postanowiłem pójść pieszo i obejrzeć sobie sklepy i stoiska z pamiątkami. Przedsiębiorczy sprzedawcy przekształcili tu całe turystyczne badziewie tak, że każda pamiątka wiązała się w jakiś sposób z Ojcem Pio. Były więc oczywiście magnesy na lodówkę i łyżeczki do herbaty z jego wizerunkiem. Ale były także inne, bardziej pomysłowe rzeczy. Najbardziej spodobała mi się plastikowa kopia aparatu fotograficznego ze slajdami, które oglądało się przyłożywszy oko do wizjera. Kiedy naciskało się spust migawki, ukazywały się kolejne fotografie pokazujące Ojca Pio błogosławiącego dzieci, a na końcu dość makabryczne zbliżenia stygmatów. Od razu go sobie kupiłem.

Było tam też pełno figur świętego w każdym kształcie i rozmiarze. Niektóre, mniejsze, dało się włożyć do torby. Ale były też posągi naturalnej wielkości po dwa tysiące pięćset euro za sztukę. Ponieważ nie mieściły się w sklepikach, stały na zewnątrz z wyciągniętymi rękoma, zbite w gromadki, przypominając polityków na wiecu prześcigających się między sobą, żeby objąć i pocałować jedno dziecko.

Rzecz jasna na stoiskach i w sklepikach można było kupić nie tylko śnieżne kule z Ojcem Pio czy święte miski do sałatek. Były tam też przybytki oferujące poważniejszy asortyment, na przykład sprzęt liturgiczny czy publikacje naukowe poświęcone kapucynowi. Kupiłem sobie kilka książek. Dwie miały tytuły mówiące same za siebie: *Ojciec Pio. Wczesne lata* i *Ojciec Pio. Ten, który przyjął cierpienie*. Oprócz tego nabyłem książeczkę w poręcznym formacie z myślami Ojca Pio na każdy dzień roku. W dniu moich urodzin święty przyznawał się do tego, że „nie toleruje krytycyzmu i mówienia źle o bliźnich”. W dniu urodzin Sally twierdził, że „polem bitwy między Bogiem a Szatanem jest dusza ludzka”.

Ale moim najcenniejszym nabytkiem była książka zatytułowana *Diabeł w życiu Ojca Pio*. Biorąc ją do ręki, przeczytałem niedokładnie tytuł jako *Diabeł w Ojcu Pio*. Sądziłem, że będzie to zbiór anegdot o życiu świętego i o tym, jak robił psikusy nowicjuszom – dosypując im proszku na pierdzenie do zupy czy coś w tym rodzaju. Ponieważ książka kosztowała tylko pięć euro, kupiłem ją bez wahania.

Tymczasem *Diabeł w życiu Ojca Pio* okazał się być poważną rozprawą teologiczną na temat istnienia diabła, w której Ojciec Pio starał się przeciwstawić zsekularyzowanej mentalności, która odesłała Szatana do świata mitologii bądź folkloru.

Ogromnym zaskoczeniem była dla mnie zawarta w książce informacja, że Ojca Pio już od piątego roku życia nawiedzały „diabelskie widzenia, wyjątkowo bezwstydne, nieludzkie i ponad wszystko ohydne”. Najczęściej przybierały formę nagich, „tańczących lubieżnie kobiet”. Od razu poczułem więź z włoskim zakonikiem. Kiedy byłem nastolatkiem, dręczyły mnie podobne wizje i sądziłem wówczas, że to niezaspokojony popęd seksualny. Nie macie pojęcia, jak mi ulżyło, kiedy dowiedziałem się, że to wszystko było sprawką diabła.

Mimo szacunku dla Ojca Pio resztę popołudnia postanowiłem spędzić na zwiedzaniu odludnych górzystych okolic półwyspu Gargano, kierując się ku Monte Sant'Angelo, miasteczku o długiej historii, które rozłożyło się na wzgórzu, osiemset metrów nad zatoką Manfredonia.

Jak mówią podania, w V wieku mieszkańcom Monte Sant'Angelo czterokrotnie ukazał się archanioł Michał. Miasteczko bardzo szybko stało się jednym z ważniejszych miejsc pielgrzymkowych świata. Było takim ówczesnym San Giovanni Rotondo, a Santuario di San Michele Arcangelo, kościół wzniesiony w miejscu, gdzie ukazywał się archanioł Michał, stanowiło odpowiednik monstualnego dzieła Renza Piano.

W 999 roku zawitał tutaj cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego Otton III, by błagać Bo-

ga, aby świat nie przestał istnieć w roku 1000. Proroctwa o zagładzie i zniszczeniu rozgłaszane w tamtym okresie były bardzo podobne do współczesnych ostrzeżeń przed pluskwą milenijną, nie dziwi więc, że po roku 1000 sława tego miejsca wzrosła jeszcze bardziej.

Gdy tamtego popołudnia wjechałem do miasteczka, zastałem je pogrążone w letargu. Brukowane uliczki były puste, pizzerie zamknięte. Czynnych było kilka stoisk z pamiątkami, ale sprzedawały to samo badziewie z Ojcem Pio, które mogłem kupić w San Giovanni Rotondo.

Zaparkowałem Marcella na dziedzińcu przed Santuario di San Michele Arcangelo. Gdybym był w San Giovanni Rotondo, zaraz by mi go odholowali i założyli blokadę. Tutaj nikt się mną nie przejmował. Wszedłem do kościoła i po wspaniałych schodach zszedłem do kaplicy ukrytej w podziemnej grocie, nie spotykając po drodze żywej duszy.

Stwierdziłem z zadowoleniem, że kaplicy nie stylizowano na nowoczesność i nigdzie nie było widać śladu wpływów Renza Piano. Nikt także nie rozdawał broszur reklamujących Tele Radio Archanioł Michał. Miałem przed sobą skromny ołtarz i obraz. Panowała absolutna cisza. Atmosfera zdawała się daleko nabożniejsza niż w kościołach poświęconych Ojcu Pio w nieodległym San Giovanni Rotondo.

W drodze powrotnej do San Giovanni Rotondo objechałem z drugiej strony Monte Sant'Angelo, mijając bezładnie stojące domy. W końcu wydostałem się na skraj wzniesienia, na którym stało miasto. Roztaczał się stąd widok na morze. Zatrzymałem się tam, gdzie widok był szczególnie piękny, i podziwiałem słońce chowające się za horyzontem. W ciągu całego długiego dnia najbliższej Boga poczułem się właśnie na tym wzniesieniu.

Późnym wieczorem byłem zbyt zmęczony, żeby wybrać się do restauracji, więc postanowiłem zajrzeć do sąsiadującego z hotelem McDonalda. Przez chwilę łudziłem się, że może do zestawów Happy Meal też dorzucają coś z Ojcem Pio, ale się rozczarowałem. Pielgrzymi mający od pięciu do dziesięciu lat musieli zadowolić się bez wątpienia świeckim samochodziem z serii Hot Wheels firmy Mattel (chłopcy) lub lalką My Scene (dziewczynki). Wracając do hotelu z lekkim poczuciem winy, że przepuściłem okazję zjedzenia gdzieś dobrej kolacji. No, ale cóż, nawet we Włoszech Big Mac jest czasem najlepszym rozwiązaniem.

Następnego ranka wymeldowałem się z hotelu. Wychodząc, kupiłem ostatnią pamiątkę w automacie stojącym w hotelowym korytarzu obok mojego pokoju. Była to mała, mniej więcej czterocentymetrowa figurka Ojca Pio. Kosztowała dwa euro i znajdowała się w pudełku, na którym widniała tarcza z literą „P”, przypominająca tarczę z literą „S” Supermana, co miało wskazywać, że sam Ojciec Pio to superbohater.

Figurkę wrzuciłem do przedniego schowka w Marcellu, gdzie wylądowała obok litrowej puszki z olejem, świec zapłonowych i kilkunastu innych świętych.

Dopisek:

Krótko po moich odwiedzinach w San Giovanni Rotondo Konferencja Episkopatu Anglii i Walii w Londynie ogłosiła świętego Ojca Pio patronem osób uskarżających się na stres i zimową chandrę. Rzeczniczka Konferencji powiedziała, że decyzja ta wynikała z przekonania członków Episkopatu, że słynna rada duchowa Ojca Pio: „Módl się, miej nadzieję i nie martw się” pomoże ludziom poradzić sobie z chandrą.





## Rzym

### Patron: Federico Fellini

We Włoszech nie ma winietek umożliwiających swobodne korzystanie z autostrad i płaci się za przejechane kilometry. Wjeżdżając na autostradę, wydajemy z automatu przy barierkach bilet. Potem wręczamy go pracownikowi autostrady w budce na zjeździe, a on oblicza należną kwotę.

System jest prosty, sprawiedliwy i skuteczny. Płaci się za to, co się przejechało, i nie dotuje się kierowców, którzy korzystają z autostrady częściej niż my. Problem pojawia się dopiero wtedy, gdy ktoś jest na tyle bezmyślny, że włoży bilet do zewnętrznej kieszeni kurtki w Foggi i zgubi go w drodze do Benewentu.

To, że zgubiłem bilet, uświadomiłem sobie, dopiero gdy zjeżdżałem z autostrady zaraz na północ od Benewentu. Nie miałem czasu, by wymyślić jakieś przekonujące wytłumaczenie po włosku. Na szczęście mężczyzna w budce jako tako władał angielskim. Wyjaśniłem mu, że włożyłem bilet do kieszeni i mi go wywiało gdzieś po drodze. Myślałem, że spojrzy na mnie z politowaniem i potraktuje jak ostatniego kretyna, lecz – rzecz dziwna – wykazał wiele zrozumienia.

– Taka vespa jest *molto velocemente*, bardzo szybka – powiedział. A potem poradził, że bym następnym razem włożył bilet do schowka.

No tak, ale musiałem jednak zapłacić za przejazd. Mężczyzna w budce stwierdził, że w zasadzie wszystko zależy od niego i mógłby mnie przepuścić przez barierki. Ale Autostrade per l'Italia, firma zarządzająca liczącą dwa tysiące osiemset pięćdziesiąt kilometrów siecią autostrad w całym kraju, dopiero co zainstalowała kamery przy stanowiskach na wjeździe i wyjeździe, żeby rejestrować każdą transakcję. Jeśli mnie przepuści i tak obliczą, ile kilometrów przejechałem, i potrącają mi to z pensji.

Za zgubienie biletu od razu naliczana jest grzywna w wysokości sześćdziesięciu euro. Ponieważ byłem cudzoziemcem, powinienem uiścić tę opłatę od razu. Ale starszy mężczyzna w budce poszedł mi na rękę i dał siedem dni na uregulowanie należności, radząc przy tym, że bym poszedł do biura Autostrade per l'Italia w Rzymie.

– Oni tam mogą anulować karę – dodał. – I wtedy zapłaci pan tylko za przejazd.

\* \* \*

Biura Autostrade per l'Italia znajdowały się w południowej części Rzymu i trzeba było zjechać z Via Tuscolana, drogi, którą i tak powinienem wybrać, kierując się do serca Wiecznego Miasta. Miałem stamtąd raptem parę kroków do słynnego włoskiego studia filmowego Cinecittà, gdzie swoje najlepsze filmy, w tym *Słodkie życie*, nakręcił Marcello Mastroianni.

Zaparkowałem mojego Marcella przed wejściem do studia i zrobiłem mu zdjęcie. Budynek Cinecittà zaprojektował Gino Peressutti, słynny włoski architekt, i uważa się je za jeden z najlepszych przykładów architektury modernistycznej w Europie. Uroczystego otwarcia dokonał

Benito Mussolini w 1937 roku, a krój pisma w stylu art déco, użyty do zapisania nazwy „Cinecittà” nad głównym wejściem do studia, doskonale oddawał ducha czasu. Marcello idealnie pasował do tego miejsca.

Studio ma długą i wspaniałą historię. Nakręcono tu ponad trzy tysiące filmów, a osiemdziesiąt trzy z nich otrzymały nominacje do Oscara. Z tej liczby czterdzieści osiem zdobyło słynną statuetkę. To tutaj Charlton Heston wygrał wyścig na rydwanie, Peter Ustinov zabawiał się muzyką, gdy płonął Rzym, a Richard Burton był Antoniuszem dla Kleopatry, którą grała Liz Taylor (tu także zaczął się ich prawdziwy burzliwy związek).

W latach pięćdziesiątych studio Cinecittà nazywano Hollywoodem nad Tybrem. Powstały w nim takie przeboje kasowe, jak *Rzymskie wakacje*, *Ben Hur* czy *Kleopatra*, a później filmy z serii *Różowa Pantera* i spaghetti westerny Sergia Leone. W tym rzymskim studiu wszystkie swoje filmy nakręcił Fellini. Zresztą i samo studio stało się bohaterem jego na poły autobiograficznego *Wywiadu*, powstałego w 1987 roku. Przy jakiejś okazji Fellini wypowiedział słynne słowa: „Każda podróż zaczyna się i kończy w studiach Cinecittà. To mój idealny świat, kosmos przed Wielkim Wybuchem”.

Dzisiaj Cinecittà to największe centrum produkcji telewizyjnej i filmowej w Europie kontynentalnej. Wielkie nazwiska w branży dalej pozostają pod jego urokiem. W 2002 roku Martin Scorsese nakręcił tu *Gangi Nowego Jorku*. Powiedział wówczas, że „świadomość miejsca, historii i ducha tego studia inspirowała go, a zarazem uczyła pokory”. Terry Gilliam nazwał Cinecittę „uwodzicielką wielkich, sławnych i szalonych”. Muszę powiedzieć, że tamtego ranka, gdy stałem przed słynnym głównym wejściem do studia, także poczułem magię promieniującą z tego miejsca.

Trochę tej magii musiało pewnie do mnie przylgnąć, bo kiedy zaraz potem zaszedłem do biurowca Autostrade per l’Italia, sprawę mojego zgubionego biletu rozwiązano w kilka minut. Dziewczyna przy stanowisku obsługi klientów otworzyła na swoim komputerze mapę włoskich autostrad i kazała mi wskazać, gdzie wjechałem na autostradę i gdzie z niej zjechałem, a następnie nacisnęła guzik z napisem „calcolare” i powiedziała, że jestem winien Autostrade per l’Italia zawrotną sumę trzech euro trzydziestu eurocentów. Chwilę później mijałem już ruiny ogromnego kompleksu budowli wzniesionych przez cesarza Domicjana na Palatynie, kierując się drogą wysadzaną starymi drzewami w stronę Koloseum. Byłem znowu w Rzymie. Razem z Sally spędziłszy tutaj długi weekend pod koniec mojej pierwszej podróży wespą po Włoszech.

Zatrzymałem się w tym samym hotelu, co wówczas. Było to skromne, urocze lokum przeznaczące za Stazione Termini, czyli głównym dworcem kolejowym Rzymu. Dostałem cichy pokój w głębi budynku. Okna z okiennicami otwierały się na wewnętrzne podwórko, poprzecinane sznurami z bielizną, chroniącą je przed ostrymi promieniami popołudniowego słońca.

Nie ma nic bardziej ekscytującego i ożywczego niż przejażdżka wespą po ulicach Rzymu. Zaraz na drugim miejscu umieściłbym szybki przejazd skuterem przez centrum Neapolu. Tam dreszczyku emocji temu doświadczeniu dodaje świadomość, że zaraz może być po tobie. Rzym natomiast oferuje jeżdżącym na skuterach wspaniałe widoki. Jeśli miałbym wybierać między objazdem głównego dworca kolejowego w Neapolu a objazdem Koloseum w Rzymie, zdecydowanie wybieram Koloseum.

W czasie mojego pierwszego pobytu wytyczyłem trasę, która szczególnie przypadła mi do gustu. Prowadziła obok Ołtarza Ojczyzny (tego pomnika, który wygląda jak ogromny tort), a potem dalej Via dei Fori Imperiali, obok Forum Romanum, następnie objazd Koloseum i powrót tą samą drogą. Tysiąc lat historii i terapia wstrząsowa podczas jazdy po kostce brukowej zostały zaliczone w ciągu kilku minut wycieczki dwusuwem.

Na Marcellu przejazd tą trasą zapewnił mi jeszcze więcej frajdy. Wystarczyło tylko dodać

gazu i mogłem swobodnie lawirować między samochodami, zmieniając pasy, i wjechać na ulicę obiegającą Ołtarz Ojczyzny z dużą szybkością. Marcellowi chyba też się to podobało, bo wydawał z siebie przyjemny, gardłowy ryk. Jacyś mężczyźni przebrani za rzymskich centurionów spojrzeli za mną, gdy ich mijałem, i z aprobatą pokiwali głowami.

Zaparkowałem Marcella przed Koloseum i poprosiłem jakiegoś turystę, by zrobił mi zdjęcie na skuterze. Było to niedaleko miejsca, w którym fotograf Slim Aarons sportretował w 1949 roku siedzącego na vespie Louisa Armstronga. Na tym zdjęciu Louis oczywiście gra na trąbce. Aarons zapamiętał, że słynny muzyk siedział chwilę przedtem na stopniach w Koloseum i komponował jakąś piosenkę, a potem zagrał ją, siedząc na skuterze. Ale fotograf nigdy nie powiedział, co bardziej zainspirowało Armstronga: pradawna budowla czy nowa vespa. Myślę, że jednak vespa.

Moja ulubiona pora na przejażdżki po Rzymie to wczesny wieczór. Nie ma już takiego nieznosnego upału, ale nadal jest ciepło. A kiedy mija się drzewa rosnące pośród starożytnych ruin, cykady tak hałasują, że nie zagłusza ich nawet dwusuwowy silnik.

O tej porze także rzymianie wychodzą na ulice, by przyjemnie spędzić czas. Tamtego wieczoru, gdy objeżdżałem Piazza della Repubblica, natknąłem się na grupę kobiet i mężczyzn z Ameryki Południowej pracujących w rzymskich domach i hotelach. Siedzieli wzdłuż płotu, rozmawiali, śmiali się, obejmowali i pili z butelek heinekena. (Kierownik mojego hotelu wyjaśnił mi później, że spotykają się tak w każdy czwartek wieczorem). Ich dzieci biegały między boom-boksami, tańcząc przy dźwiękach salsy, hałasując i machając do mnie, gdy mijałem je na Marcellu. Tamten wieczór zakończyłem przy fontannie di Trevi. Sally uwielbia film *Trzy monety w fontannie* i bardzo chciała zobaczyć tę słynną fontannę, która pojawiała się na ekranie. Film – reklamowany sloganem „Kto nie kochał w Rzymie, ten nie wie, co to życie” – opowiada o przygodach trzech amerykańskich dziewcząt, które wrzuciły do fontanny monetę, wypowiadając przy tym życzenie, by spotkać mężczyznę swoich marzeń. Według tradycji, kto wrzuci monetę do fontanny, stojąc do niej tyłem, wróci do Rzymu. Kto wrzuci dwie, zakocha się we Włochu lub Włoszce. A kto trzy, stanie z tą osobą na ślubnym kobiercu.

Kiedy byłem przy fontannie z Sally, nie pozwoliła mi zobaczyć, ile monet wrzuca. Nie powiedziała mi także, czego sobie zażyczyła. Dwa lata później byliśmy małżeństwem i spodziewaliśmy się dziecka. Więc sami możecie wyciągnąć wnioski. XVII-wieczna fontanna została uwieczniona także w jednej z najsłynniejszych scen w historii kina, tej z filmu *Słodkie życie*, w której Anita Ekberg wskakuje do fontanny i zaczyna figlować w wodzie. Gdy Marcello Mastroianni widzi stojącą w wodzie Szwedkę o bujnych kształtach, wypowiada pamiętne słowa: „Jesteś pierwszą kobietą w dniu stworzenia. Jesteś matką, siostrą, kochanką, przyjaciółką, aniołem, diabłem, ziemią, niebem!”.

Kilka dni przed moim przyjazdem do Rzymu czterdziestolatka z Mediolanu, o której wiadomo tylko tyle, że miała na imię Roberta, odtworzyła tę scenę, tym razem w wersji dla widzów powyżej lat osiemnastu, wskakując do wody nago. Tamtego dnia panował wyjątkowy upał i chciała się ochłodzić. Policja odprowadziła ją, żegnaną brawami tłumu gapiów, którzy na jej widok natychmiast włączyli kamery i komórki. Kiedy później oskarżono ją o obnażanie się w miejscu publicznym, oświadczyła: „Woda należy do wszystkich, a dzień był gorący. Czy kąpiel to przestępstwo?”. Ta „kąpiel”, zarejestrowana przez jakiegoś turystę, otwierała tamtego dnia wszystkie wydania wieczornych wiadomości we włoskiej telewizji.

Gdy znalazłem się przy fontannie, nie pluskała się w niej żadna naga kobieta z Mediolanu, za to jakaś stara Włoszka wyciągała z wody monety, pomagając sobie patykiem. Na szczęście była kompletnie ubrana. Wysłałem do Sally SMS, pisząc, że stoję przy fontannie. Odpisała natychmiast, informując, że mała kopie jak kangur i że pod żadnym pozorem nie wolno mi wrzucać

do wody kolejnych monet.

Następnego dnia pojechałem zobaczyć Bocca della Verità, czyli Usta Prawdy, twarz wyrzeźbioną w marmurze *pavonazetto*, znajdującą się teraz w portyku kościoła Santa Maria in Cosmedin, niedaleko Koloseum. Rzeźba przedstawia pogańskiego bożka i sądzi się, że była częścią rzymskiej fontanny, a może po prostu zakrywała jakiś właz. Na obecne miejsce przeniesiono ją w XVII stuleciu. W średniowieczu Usta Prawdy zyskały sławę jako wykrywacz kłamstw. Jak mówi legenda, jeśli ktoś wsunie rękę do ust rzeźby i wypowie przy tym kłamstwo, maskara mu ją odgryzie.

Słynna jest scena z *Rzymskich wakacji*, w której Gregory Peck i Audrey Hepburn razem przychodzą do Ust Prawdy. Scena ta pełni kluczową rolę w filmie, bo postaci grane przez Hepburn i Pecka nie są wobec siebie szczerze. Ona nie powiedziała mu, że jest księżniczką, on jej, że jest dziennikarzem.

W filmie Gregory poddaje próbie Audrey, każąc jej włożyć dłoń do Ust Prawdy. Hepburn czyni to niechętnie, ale wyjmując rękę bez przeszkód. Po chwili Gregory Peck wkłada rękę do otworu, wydaje okrzyk i wyjmując ją bez dłoni, na co Audrey zaczyna wrzeszczeć z przerażenia. A wtedy Peck, który chciał zrobić kawał Hepburn, wysuwa dłoń z rękawa marynarki i mówi: „Hello!”. Na koniec wszyscy śmieją się z ulgą.

Podobno kiedy kręcono tę scenę, Peck rzeczywiście zrobił psikusa niczego nieświadomej Hepburn przy włączonych kamerach. Williamowi Wylerowi, reżyserowi filmu, tak się spodobały te ujęcia, że włączył je do skończonego już filmu.

Zaparkowałem Marcella w alejce przed wejściem do kościoła i dołączyłem do długiej kolejki osób tak jak ja czekających, by dowieść swej prawdomówności. Kiedy znalazłem się przed Ustami Prawdy, poprosiłem pewnego Japończyka, żeby zrobił mi zdjęcia, jak wkładam rękę do otworu i jak ją wyjmuję całą i zdrową, potwierdzając tym samym, że jestem uczciwym, szczerym człowiekiem.

A potem natychmiast udałem się do kafejki internetowej w Museo del Corso, żeby przesłać te zdjęcia Sally. Kawiarenkę zamykano o siódmej wieczorem. Była szósta, więc wykupiłem dostęp na godzinę i podszedłem do stanowiska wskazanego przez pracownika kafejki. Kwadrans później ten sam człowiek kazał mi wyłączyć komputer. Powiedział, że już zamykają. Wskazałem wywieszkę, którą miał za ladą, z informacją, że zamyka kawiarenkę o siódmej, ale on tylko wzruszył ramionami.

– Muszę odłączyć Internet i włączyć alarm – powiedział.

Odparłem, że w każdym innym kraju robi się to po zamknięciu lokalu. Spojrzał na mnie jak na wariata.

– Wtedy musiałbym tu zostać po siódmej – odrzekł, robiąc wrażenie, że nie rozumie, jak ktoś mógłby zrobić coś tak głupiego.

Miałem ochotę powiedzieć, że w takim razie powinien napisać, że zamykają o szóstej piętnaście, ale wiedziałem, że szkoda mojego gadania.

Udało mi się więc przeczytać tylko parę maili. Autorem jednego z nich był Gianluca Grande z Vespa Club Roma. Napisał do mnie pierwszy raz przed paroma miesiącami po lekturze mojej pierwszej książki o podróży po Włoszech: *Z widokiem na Italię*. Prosił, żebym się do niego odezwał, jeśli zajrzę jeszcze kiedyś do Rzymu. Następnego dnia rano mieliśmy więc wypić razem kawę. Korespondowanie z przewodniczącymi klubów vespy w różnych częściach Włoch staowało się powoli moim nawykiem.

Umówiliśmy się w kawiarni niedaleko Panteonu. Pisał, że przyjedzie na czarnej vespie PX z nalepką z żółtym bykiem. Dostał tę nalepkę w Hiszpanii, w drodze na rajd Euro Vespa organizowany w Lizbonie. Dzięki niej odróżniał się od tysięcy czarnych poobijanych vesp śmigają-

cych codziennie po Rzymie.

Gianluca był muskularnym dwudziestolatkiem, który przywitał mnie przyjaznym uśmiechem. Wypiliśmy kawę i zjedliśmy słodkiego rogalika, a on wypytał mnie o wszystkie dotychczasowe przygody. Pochwaliłem się, że Marcello jest niezawodny. Wcale nie był tym zaskoczony.

– Rally to mocna vespa – powiedział. – Sam bym taką kupił, gdyby było mnie stać.

Równo o dziesiątej Gianluca wstał i oświadczył, że musi się pożegnać. Dodał, że chciałby mnie oprowadzić po Rzymie, ale o pierwszej wyjeżdża z kolegą z klubu do Pizy na nocny rajd.

– To jedyny nocny rajd vesp we Włoszech – powiedział z wyraźną ekscytacją. Długa trasa zapowiadała się rewelacyjnie: miała to być pętla wiodąca przez dziki, górzysty rejon Alta Versilia. Mój umysł zaczął pracować na szybszych obrotach. I tak planowałem, że jutro opuszczę Rzym. Chciałem jechać wzdłuż wybrzeża, dokładnie tą trasą, którą mieli zamiar jechać Gianluca i jego przyjaciel, ale z dłuższym postojem w Grosseto. A może zamiast tego wybrałbym się na ten rajd?

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej sensowne mi się to wydawało. Rajd miał się zacząć i skończyć na polach w okolicy kościoła San Piero a Grado w miejscowości Marina di Pisa, zaledwie piętnaście kilometrów od Livorno, gdzie i tak chciałem zakończyć swoją wspaniałą przygodę. A szalona nocna jazda bez żadnych ograniczeń przez jedną z najbardziej odludnych górskich części Włoch byłaby doskonałym zwieńczeniem beztroskiego okresu mojego życia. Nie zwiedzę Grosseto, ale to da się przeżyć. Zresztą chciałem tam zobaczyć tylko dość dziwaczny, alegoryczny posąg Leopolda II miażdżącego węża malarii. Rajd tymczasem zdawał się być nie lada atrakcją. Spytałem Gianlucę, czy mogę do nich przyłączyć, a on odparł:

– Jasne!

Pognałem więc do mojego hotelu za dworcem kolejowym, żeby się szybko spakować.



## *Piza*

### *Patron: Bobby Solo*

Drugi doroczny Tappa Notturna, czyli nocny rajd, organizowany przez klub vespy w Pizie rozpoczynał się o siódmej wieczorem. Gianluca zjawił się u mnie w hotelu o pierwszej po południu. Mieliśmy sześć godzin na pokonanie trzystu siedemdziesięciu pięciu kilometrów. Kiedy wysłałem do Sally SMS z informacją, dokąd jadę i co zamierzam robić, odpisała, że mi odbiło. Ale ja byłem ogromnie podekscytowany.

Jechałem za Gianluca przez przedmieścia Rzymu. Kierowaliśmy się na północ, gdzie na stacji benzynowej miał na nas czekać Pieter, skarbnik Vespa Club Roma i nasz towarzysz podróży. Gdy mijaliśmy plac Świętego Piotra, Gianluca nakłonił mnie, żebyśmy zatrzymali się tam na chwilę, i zrobił zdjęcie Marcella z Gwardią Szwajcarską. Podobało mu się, że kolor mojego skutera jest taki sam jak jaskrawopomarańczowe elementy stroju papieskich gwardzistów.

Dokładnie o pierwszej trzydziści dotarliśmy na stację benzynową. Pieter już tam na nas czekał i korzystając z postoju, przymocowywał plastikowe wiatraczki do bagażnika swojej niebieskiej vespy PX 125. Wiatraczki miały się kręcić w czasie jazdy, wprowadzając radosny nastrój. Pieter wyglądał jak Roberto Benigni i pomyślałem, że pewnie ten włoski reżyser i aktor też przyczepiłby wiatraczki do vespy. Już w trójkę pojechaliśmy autostradą w kierunku miejscowości Civitavecchia, żeby było szybciej. Sunęliśmy drogą w trójkątnym szyku, z Gianluca w szpicie. Popołudniowe słońce odbijało się w morskich falach, a wiatraczki na vespie Pietera furkotały jak szalone. Pieter i Gianluca na zmianę wyjeżdżali na pierwszą pozycję, pochylając się nisko, żeby zmniejszyć opór powietrza. Znów poczułem się jak nastolatek na wypadzie z kumplami. Dokładnie to miał na myśli Renato Tassinari, kiedy organizował pierwszy zlot *vespisti*, miłośników vesp, na targach w Mediolanie w 1949 roku.

W Civitavecchia autostrada się skończyła, więc dalej pojechaliśmy węższą drogą krajową biegnącą wzdłuż wybrzeża, mijając co chwila rozległe pola kempingowe. Pędzenie po autostradzie najwidoczniej uszkodziło prędkościomierz Marcella, bo zaczął dziwnie brzęczeć. Strzałka zwariowała i wędrowała w górę i w dół. Dałem ręką znak Gianluce, że musimy się zatrzymać. Gdy stanęliśmy na poboczu, spytał, co się dzieje. Powiedziałem mu, że w mój prędkościomierz wstąpił jakiś diabeł.

– Potrzebuję młodego i starego księdza – zażartowałem.

Gianluca nie załapał, że to aluzja do filmu *Egzorcysta*. Może dlatego, że była to również aluzja do innej aluzji w filmie z serii *Austin Powers*, gdzie nagle krzesło doktora Zło ożywa i zaczyna kręcić się jak bąk. Ale zamiast odprawiać egzorcyzmy, Gianluca zaczął grzebać w swojej skrzynce z narzędziami, szukając klucza, potem odkręcił linkę prędkościomierza i taśmą izolacyjną przymocował ją do przedniego amortyzatora, tak żeby nie uległa dalszemu uszkodzeniu.

Parę minut po wpół do czwartej minęliśmy Grosseto i zatrzymaliśmy się dwadzieścia osiem kilometrów dalej, w Gavorrano, żeby zatankować. Gdy waliśmy do zbiorników benzynę z odpowiednią ilością oleju, przejechałem przez stację i ustawiłem Marcella obok kilku czarnych



harleyów. Stały w cieniu, pod zadaszeniem; też chciałem schować skuter przed słońcem na czas, gdy będę płacić za paliwo. W oczach Gianluki ujrzałem strach.

– To motory gangu Kłamcy z Rzymu. Najgorszych z włoskich motocyklistów – wyszczał do mnie.

W tej samej chwili, jak na zawołanie, właściciele harleyów wyszli z restauracji przy stacji i ubrani w przybrudzone skórzane kombinezony zaczęli wkładać kaski podobne do hełmów niemieckich żołnierzy z okresu I wojny światowej. Motocyklista, który zaparkował najbliżej mojego Marcella, wielki drab z brodą, w której tkwiły jeszcze okruchy jedzenia, zlustrował skuter z góry na dół, a potem wbił we mnie długie, przenikliwe spojrzenie. Myślałem, że za chwilę trąci butem Marcella i przewróci go na ziemię. On jednak powiedział:

– *Bella moto*. Piękna maszyna.

Po czym mocnym kopniakiem uruchomił swojego harleya. Znowu okazało się, że mój Marcello, podobnie jak jego imiennik Marcello Mastroianni, miał w sobie *machismo*, które doceniali wszyscy Włosi.

Gdy staliśmy w kolejce, żeby zapłacić za paliwo, Pieter wskazał na stojącego przed nami grubego faceta w czarnych dżinsach i czarnej koszulce, z bardzo źle dobraną peruką.

– Nie do wiary! – zawołał podekscytowany. – To Bobby Solo!

Bobby Solo był nastoletnią gwiazdą włoskiej muzyki pop z lat sześćdziesiątych, wykonującym piosenki na modłę Cliffa Richarda. Jego przebój *Una lacrima sul viso* (*Jedna łza na twarzy*) to kawałek, przy którym do dzisiaj Włosi sześćdziesięciolatkiem wylegają na parkiet na każdym weselu. Bobby wystąpił też w filmie pod tym samym tytułem, a w 1978 roku, gdy jego przebój ukazał się w wersji disco, znowu na jakiś czas stał się popularny. Zmiotł wtedy z notowań list przebojów zespół Cugini di Campagna. Grupą tą zainteresowałem się w czasie mojej pierwszej podróży po Włoszech. Nazwa zespołu, która po włosku znaczy „nasi kuzyni ze wsi”, bardzo mnie rozbawiła, podobnie jak to, że jego członkowie śpiewali falsetem. Byli taką włoską wersją Bee Gees. Ale najbardziej ujęło mnie to, że Włosi używają zwrotu *cugini di campagna*, mówiąc o osobach nierozgarniętych. Skrót tego wyrażenia to *cugi* i oznacza coś kiczowatego lub w złym guście.

Spytałem Gianlucę, czy jego zdaniem Bobby Solo zna członków zespołu Cugini di Campagna. Odparł, że tak.

– Chyba się nawet przyjaźnią – dodał i widać było, że moja znajomość tego zespołu zrobiła na nim wrażenie.

Gianluca powiedział, że Bobby Solo był włoskim odpowiednikiem Elvisa. Podobnie jak Elvis, także i on z czasem mocno przytył. Co więcej, widać było, że ma makijaż. I to nie dyskretny, ale grubą warstwę pudru, podobną do tej, jaką nakłada się osobom występującym w telewizji, żeby nie świeciła im się twarz. Podzieliłem się swoim makijażowym spostrzeżeniem z Pieterem, który zauważył enigmatycznie, że Bobby nie jest już taki młody jak kiedyś. Piosenkarz ożenił się z bogatą Amerykanką i obecnie najwięcej zarabiał, śpiewając dla rodaków w Stanach. Bobby zauważył stojącego w kolejce Gianlucę i podszedł do niego. Spytał, czy Gianluca ćwiczy na siłowni, a kiedy ten potwierdził, poprosił go, żeby opowiedział mu dokładnie, jakie ćwiczenia i na jakich przyrządach wykonuje.

Z kolei Gianluca i Pieter poprosili Bobby’ego o autograf. Kiedy podpisywał im serwetki – nie było niczego innego pod ręką – spytałem go o członków zespołu Cugini di Campagna. Twarz mu pociemniała.

– Dość dawno z nimi nie rozmawiałem – wymruczał pod nosem.

Widać było, że woli nie poruszać tego tematu. Po udanym spotkaniu z włoską sensacją muzyki pop lat sześćdziesiątych z pełnymi bakami ruszyliśmy w dalszą drogę, na północ, mijając

Follonicę, San Vincenzo i Cecinę. Szybko znaleźliśmy się przy przedmieściach Livorno. Teraz przyszła moja kolej na prowadzenie, więc gdy przejechaliśmy przez tunel Montenero, wyprzedziłem Gianluca i Pietera i pokazałem im drogę do Mariny di Pisa.

Marina di Pisa zajmuje szczególne miejsce w moim sercu. To właśnie tam, koło kościoła San Piero e Grado, dokładnie w tym samym miejscu, w którym miał rozpocząć się rajd, po raz pierwszy wziąłem udział w święcie orzeszków piniowych. Prawdę mówiąc, Sagra del Pinolo w Marina di Pisa to jak na razie jedyne święto orzeszków piniowych, w którym uczestniczyłem.

Wybraliśmy się na nie we trójkę: Marco, Filippo i ja. Jechaliśmy tak jak teraz, na vespach i lambrettach. Zespół grał, dzieci tańczyły, a orzeszki piniowe podawano ze spaghetti, dodawano do obrzydliwie smakującego napoju i palono nimi pod grillami, na których smażyły się steki.

To podczas Sagra del Pinolo Marco i Filippo poinformowali mnie, że siły Matki Boskiej są już na wyczerpaniu i powinienem poszukać jakiegoś nowego świętego, takiego jak Ojciec Pio.

Tam także dowiedziałem się, że w Livorno na zaokrąglone boczne osłony vesp mówi się *puppa*, co w slangu oznacza kobiece piersi. Kiedy dzisiaj wracam pamięcią do tych chwil, widzę, że była to istna noc-instrukcja sposobu życia we Włoszech.

Większość uczestników rajdu przybyła już na miejsce i zaparkowała skutery przed kościołem San Piero e Grado. To jeden z najstarszych kościołów we Włoszech, wzniesiony w miejscu, gdzie w 44 roku zszedł na ląd święty Piotr, przybywający tu z Antiochii. Tak się złożyło, że tego samego dnia kościół otrzymywał nowy dzwon, więc osoby, które zjawily się, by wziąć udział w rajdzie, siedziały i słuchały przemówień miejscowych dygnitarzy. Gdy burmistrz po raz pierwszy uderzył w nowy dzwon, wszystkie vespy równocześnie zaczęły trąbić. Brzmiało to jak stado kwaczących kaczek i było jedną z najśmieszniejszych sytuacji, jakie widziałem.

Gianluca poprowadził mnie do punktu rejestracyjnego. Chociaż zapisy na rajd zakończyły się tydzień temu, wydawał się dość pewny tego, że uda mi się jeszcze dołączyć do uczestników. A nawet jeśli nie, zawsze będę mógł pojechać jako uczestnik nieoficjalny.

Ponieważ byliśmy we Włoszech, organizatorzy wiedzieli, że wiele osób nie dopełni obowiązku rejestracji z wyprzedzeniem, i dlatego zarejestrowałem się bez żadnych problemów. Osoba wpisująca mnie na listę spytała, do jakiego lokalnego klubu należę, a wtedy Gianluca szybko wtrącił, że do Vespa Club Roma. Potem wręczył mi klubową koszulkę, którą trzymał w ręku, schowaną za plecami i kazał mi ją założyć.

– Dzisiaj wieczorem jedziesz z nami – powiedział.

Byłem wzruszony.

Jako oficjalny uczestnik drugiego dorocznego Nocnego Rajdu Pizy, otrzymałem specjalny pakiet startowy: naszywkę, vouchery na zdjęcie na rampie startowej, na kanapki w barze z kanapkami w połowie trasy rajdu i na posiłek w czasie ceremonii rozdawania nagród w górskiej chacie u stóp Monte Pisanino w Gorfigliano. Dostałem także pomarańczową kamizelkę odblaskową z numerem sto trzydzieści jeden. Większość tych kamizelek była mała i dobrze dopasowana, ale ponieważ rejestrowałem się w ostatniej chwili, został tylko rozmiar XL z tak szerokimi ramionami, że wyglądałem jak Joan Collins w *Dynastii*. Kamizelka miała dokładnie taki sam kolor jak Marcello, więc przynajmniej od tej strony wszystko grało.

Spacerując między uczestnikami rajdu, spostrzegłem znajomego z pierwszej podróży. Był to Roccia, przyjaciel Marca i Filippa, który w Pizie miał sklep z angielską odzieżą z szyldem „Made in England” i sprzedawał w nim takie marki, jak Lonsdale czy Ben Sherman. Roccia był ważną figurą w klubie skuterowym Pizy, który organizował ten rajd. Poznałem go – i jego dziewczynę Rossanę – właśnie na święcie orzeszków piniowych. Teraz przywitał mnie jak starego przyjaciela.

– Ja też się ustatkowałem – oznajmił, gdy mu powiedziałem, że będę ojcem. – Rok temu

wzięliśmy z Rossaną ślub na rajdzie po Elbie!

Ponieważ na tylnym bagażniku Marcella miałem pokątną torbę, spytałem Roccie, czy mógłbym ją gdzieś zostawić na czas rajdu. Z tego, co słyszałem, wynikało, że przygotował razem z kolegami dość wymagającą trasę i nie uśmiechała mi się jazda ze świadomością, że gdzieś wysoko w górach w każdej chwili mogę zgubić wszystkie swoje rzeczy. Roccia przedstawił mnie jakiemuś facetowi, który miał kamper, a ten wziął moją torbę do samochodu i dał mi drugi klucz, żebym miał do niej dostęp, kiedy zechcę. Podziękowałem mu, mówiąc, że to piękny gest z jego strony.

– Jesteś przyjacielem Roccii – odparł.

Pierwszy Nocny Rajd Pizy sprawił, że klub vespy z tego miasta i organizowana przez niego impreza stały się chyba najważniejszym wydarzeniem dla włoskich miłośników vesp. Sam pomysł na rajd był wyjątkowo prosty. Ot, jechało się do Abetone, kurortu narciarskiego położonego wysoko w górach powyżej Lukki, i z powrotem, ale nikt nie wpadł wcześniej na pomysł, by jechać nocą, podczas pełni księżyca.

Jazda stanowiła jednak poważne wyzwanie. Mieliśmy jechać przez Alta Versilia, górski region, gdzie od linii wybrzeża ostro w górę pną się wzniesienia. Droga prowadziła przez niebezpieczne górskie przełęcze, z których części nie zaznaczono na mapie. A na dodatek z prognozy pogody wynikało, że mogą pojawić się burze.

W rajdzie uczestniczyły kluby vespy z całych Włoch. Skutery przepasano szarfami, niczym finalistki konkursów piękności, a na szarfach wypisane były dumnie nazwy poszczególnych klubów.

Dokładnie o siódmej wieczorem poinformowano wszystkich, że za chwilę zacznie się rajd. Dołączyłem do tłumu ludzi na vespach zgromadzonego za kościołem i czekałem na swoją kolej, żeby wjechać na rampę i zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Potem skierowano mnie na drogę przed kościołem i razem z kierowcami stu kilkudziesięciu innych skuterów kazano czekać na sygnał do rozpoczęcia rajdu.

Po chwili na czoło kawalkady wysunął się jakiś gość na żółtej vespie Rally 180, uniósł w górę starą trąbkę samochodową z klaksonem i zatrąbił. Potem wyjechał na drogę i dodał gazu.

– Za tym facetem! – krzyknął Gianluca, mijając mnie w pędzie.

Rozpoczął się drugi Nocny Rajd Pizy.

Doświadczenia jazdy w środku roju bzydcących vesp nie da się porównać z niczym innym. Włącza się wtedy mentalność ula, człowiek pochyla się na skuterze i wchodzi w zakręty z szybkością, jaką w normalnych okolicznościach uważaliby za niebezpieczną. Z całego serca wszystkim polecam takie przeżycie. Nawet jeśli miałyby to oznaczać, że będziemy żyć kilka lat krócej, bo nałykamy się spalin z dwusuwów.

Klub vespy z Pizy rozstawił na całej trasie osoby w kamizelkach odbłaskowych, które kierowały nas na właściwą drogę. Gianluca lawirował między skuterami, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą robiąc zdjęcia z komórki. Chciał je potem zamieścić na stronie internetowej swojego klubu. To samo robili także inni kierujący skuterami, co było trochę niebezpieczne.

Pierwszy postój przewidziano zaraz za Viareggio, obok ładnego kościoła otoczonego polami słoneczników. Mieliśmy stąd podziwiać zachód słońca, co dowodzi, że nawet najwięksi twardziele wśród posiadaczy vesp w głębi serca są romantykami. Na tym postoju Gianluca odszukał mnie i postanowił przedstawić przewodniczącemu Vespa Club Italia.

– To on napisał *Vespa tecnica* – powiedział z szacunkiem w głosie.

*Vespa tecnica* to rodzaj czterotomowego przewodnika ze szczegółami technicznymi dotyczącymi wszystkich kiedykolwiek wyprodukowanych modeli vespy. Entuzjaści tej marki sięgają po niego, ilekroć chcą się dowiedzieć, na jaki kolor pomalować swój skuter, by wyglądał jak

oryginał, albo czy specjalna seria GS z 1964 roku to rzeczywiście pierwszy model vespy ze schowkiem z przodu, bo tak im powiedział kumpel w pubie.

Od przewodniczącego były dostojność i spokój. Miał inteligentny wyraz twarzy i rzeczywiście wyglądał jak ktoś, kto potrafi napisać szczegółowy poradnik techniczny. Na szczęście mówił po angielsku. Powiedzmy sobie szczerze, mój włoski nie sięgał wyżyn władz klubu. Wyjaśniłem mu, że jestem z Australii, i zrobiło to na nim ogromne wrażenie. Zdaje się, że sądził, że przyjechałem specjalnie na rajd.

Powiedziałem mu także, że zatrzymałem się w czasie mojej podróży w Casa Solotti, pensjonacie na Monte Ortobene. Dodałem również, że Mario Zizi, właściciel pensjonatu, bardzo ciepło go wspominał.

– A Mario, historyk! – odparł przewodniczący enigmatycznie. – Co u niego słychać?

Zapewniłem go, że Mario ma się dobrze, aczkolwiek odbudowa vespy GS z 1964 roku na razie stała w miejscu. Marco miał problemy ze zdobyciem niektórych oryginalnych części z listy, którą przesłał mu przewodniczący.

Cała ta sytuacja była dość surrealistyczna. Byłem w Toskanii, stałem przed kościołem otoczonym polami słoneczników i rozmawiałem o naszym wspólnym znajomym mieszkającym gdzieś na odludziu, w górach Sardynii. Obok mnie stał mój nowy przyjaciel z Rzymu i przysłuchiwał się tej rozmowie. W pewnej chwili dotarło do mnie, że mam coraz więcej przyjaciół w gronie miłośników vesp w całych Włoszech.

Facet na żółtej vespie Rally 180 zatrząbił klaksonem i znowu ruszyliśmy w drogę. Odbiliśmy od wybrzeża i ruszyliśmy w góry. Byłem rad, że jechałem na Marcellu. Mimo że miał za sobą długą drogę z Rzymu, pokonywał stromizny beztrudno i bez wysiłku. Sophia ciągle by kasłała, krztusiła się i wreszcie, wzdychając z irytacją, odmówiłaby dalszej jazdy. Zauważyłem w kawaladzie pięć innych vesp Rally: trzy czerwone, jedną w burozielonym kolorze, z „lat ołowianych”, i jedną pomarańczową, taką jak moja. Zdaje się, że wszystkie łykały kolejne kilometry górskiej drogi z taką samą radością jak Marcello.

Kiedy wjechałem do wioski położonej na wzgórzach, zobaczyłem, że inni kierowcy zatrzymali się przed małą kafejką. Człowiek z megafonem kazał nam się ustawiać w kolejkę. Tu właśnie dołączony do zestawu startowego zielony *voucher* upoważniał nas do otrzymania posiłku: było to *panini*, kanapka, z serem i szynką i puszka coli. Właściciel już na nas czekał. Przygotował z wyprzedzeniem kanapki i podawał je teraz, stojąc w drzwiach. Każdy dostawał kanapkę w serwetce i puszkę coli prosto z kartonu.

Nisko nad górami wisiały ciężkie, czarne chmury i gdy tylko ruszyliśmy spod kafejki, niebiosa się rozwarły.

Wiem, że za to, co teraz powiem, ktoś uzna, że trzeba wysłać mnie do czubków, ale naprawdę lubię jeździć vespą w deszczu. Jest coś wyzwalającego w tym, że jedziemy sobie wolniutko czterdzieści kilometrów na godzinę, a po twarzy spływają nam strugi wody.

Nawierzchnia zrobiła się oleista, więc wszyscy zwolniliśmy i powolutku pieliśmy się, wiążąc się jak wąż drogą. Gdy wyjechaliśmy wyżej, korony drzew rosnących po obu stronach drogi utworzyły baldachim nad asfaltem. Chroniło nas to od deszczu, ale pojawiły się nowe niebezpieczeństwa, bo na szosie leżało dużo liści, które wiatr zrzucił z drzew, a deszcz zmoczył, przez co zrobiło się bardzo ślisko.

Organizatorzy rajdu wybrali trasę widokową wiodącą rzadko uczęszczanymi drogami. Gdy potem spojrzałem na mapę, zobaczyłem, że niektóre z nich zaznaczone były niewyraźnymi przerywanymi liniami. W pewnym miejscu jechaliśmy przez wąski tunel, który wyglądał, jakby wydrążono go ręcznie, oskardami. Przypominało to scenię z *Władcy Pierścieni*.

Po drugiej stronie tunelu połowę drogi zmyła woda, teraz stał tam mężczyzna w kamizel-

ce odblaskowej i z latarką, pokazując, jak objechać to miejsce.

– Uwaga na kałuże! – wołał Gianluca, gdy jechaliśmy przez wodę. Kałuże rzeczywiście były głębokie, mógłby się w nich wykapać nawet słoń.

Kilkaset metrów dalej wyznaczono punkt postojowy, więc zatrzymałem się, żeby zorientować się, gdzie jadą Pieter i Gianluca. Dopiero teraz zauważyłem, że za długim węzłem utworzonym przez skutery jadą dwa ambulanse. Co prawda z wyłączonym sygnałem, ale za to z migającym kogutem.

– Ambulanse muszą być, bo inaczej firma ubezpieczeniowa nie dałaby nam polisy – wyjaśnił Gianluca.

Byłem pod wrażeniem tego, że wszystko tak przewidująco zaplanowano, aczkolwiek równocześnie niepokoiłem się tym, że obecność ambulansów uznano za konieczność.

Rajd ruszył znowu i teraz pieliśmy się coraz bardziej pod górę. Gdy wyjechałem z kolejnego zakrętu, zobaczyłem leżące w poprzek drogi zwalone drzewo. Zaraz za drzewem ze skutera spadła Rossana, żona Roccii, i skaleczyła się w kolano. Roccia klęczał obok niej. Zatrzymałem się i spytałem, czy wszystko w porządku.

– Chyba nic jej nie jest – powiedział Roccia. – Zaczekamy tu na ambulans, gdyby to miało być coś poważnego.

Ceremonię wręczania nagród i wspólną kolację zaplanowano na godzinę dziesiątą wieczorem, ale była już północ, a my ciągle wspinaliśmy się, gdzieś na wysokości rzeki Serchio.

W Camporgiano, małej górskiej wiosce, gdzie ludzie chodzą spać z kurami, znajdowała się stacja benzynowa – pierwsza, jaką widziałem na trasie rajdu. Była czynna i obsługiwała wszystkich uczestników. W sumie „stacja” to za dużo powiedziane. Była to po prostu budka z jednym dystrybutorem. Trzeba oddać sprawiedliwość moim kolegom na skuterach, którzy stali w kolejce zupełnie nie po włosku, czyli spokojnie i z zachowaniem porządku. I znowu okazało się, że organizatorzy wszystko zaplanowali i przygotowali, łącznie z tym, że każdy z nas miał *voucher* wartości pięciu euro, otrzymany w ramach dwudziestu euro wpisowego, który można było zrealizować właśnie na tej stacji. Po chwili ruszyliśmy w dalszą drogę.

Docelowym punktem rajdu (nie biorąc pod uwagę drogi powrotnej) była górská chata w miejscowości Gorfigliano, u stóp Monte Pisanino, na wysokości czterystu osiemdziesięciu pięciu metrów. Tam miała się odbyć ceremonia wręczania nagród i wspólna kolacja. Dotarłem na miejsce razem z pozostałymi uczestnikami rajdu o pierwszej trzydziści w nocy. Zgodnie z planem o tej porze mieliśmy być już z powrotem w Marina di Pisa.

Chata stała na końcu szutrowej drogi i wyglądała jak domek myśliwski. I znowu facet z megafonem skierował nas do wielkiej sali, gdzie ze ścian lypały na nas jelenie głowy, ku długim, ustawionym w rzędach stołom, przy których mieliśmy otrzymać posiłek. Kelnerzy i kelnerki biegali między nami, złani potem, przynosząc talerze z szynką, makaronem i chlebem i starając się jak najszybciej nakarmić głodny tłum, żeby wreszcie pójść do domu spać.

W zasadzie byliśmy dopiero na półmetku rajdu, bo musieliśmy jeszcze przejechać z powrotem całą drogę i wrócić do Marina di Pisa. Wszyscy jednak z takim entuzjazmem opowiadali, co się im wydarzyło po drodze: jak spadli ze skutera, jak w ostatniej chwili wyminęli drzewo, jak zatrzymali się nad urwiskiem, że istotnie można było odnieść wrażenie, że już jest po wszystkim. Na oparciach krzeseł wisiały, susząc się, mokre ubrania. W sali panował chaos. A pękate butle z czerwonym winem stojące na każdym stole były opróżnianie z niebezpieczną prędkością. Od uczestników biła radość życia.

Gdy zmieciono już wszystko z talerzy, przyszła pora na ceremonię wręczania nagród. Z przyjemnością donoszę, że Vespa Club Roma zdobył puchar za największą liczbę kilometrów przejechanych przez uczestników przybyłych na rajd. Organizatorzy mierzyli odległość od sie-

dziby klubu do miejsca rajdu i następnie mnożyli ją przez liczbę tych, którzy przyjechali z danego klubu.

– To dzięki twoim kilometrom zwyciężyliśmy – powiedział Pieter, śmiejąc się radośnie.

Jedno z moich ulubionych zdjęć z tej wyprawy to właśnie to, na którym spocony i zmęczony trzymam w ręku puchar, uginając się pod jego ciężarem.

O czwartej nad ranem hardcorowi skuterowcy byli już gotowi, by wracać do Marina di Pisa, ale Pieter i Gianluco stwierdzili, że są zbyt zmęczeni rajdem i wcześniejszą podróżą z Rzymu, i zostali w chatce, gdzie jeszcze przed wyjazdem na rajd zarezerwowali sobie nocleg.

Ja natomiast ciągle byłem nabuzowany adrenaliną i chciałem jechać dalej. Dołączyłem więc do ludzi z klubu vespy w Lukce. Obrali prostszą drogę powrotną. Deszcz zelżał i jechało się znacznie łatwiej. Zatrzymałem się na Diabelskim Moście, żeby zrobić mu wyjątkowe zdjęcie jeszcze przed świtem. Godzinę później byłem w Marina di Pisa. Zabrałem z kampera swoją torbę, zostawiłem na prawej tylnej oponie kluczyk, jak było to umówione, i ruszyłem do Cevoli, do willi Filippa.

Zjawiłem się tam równo ze świtem, gdy zaczynały śpiewać ptaki, a niebo za Castello di Lari dopiero się różowiło. W willi było cicho i wszyscy jeszcze spali. Wiedziałem, że budzenie ich o tej porze jest niehumanitarne, ale zmęczenie sprawiło, że było mi wszystko jedno. Miałem jedynie nadzieję, że to, co przyniosłem z sobą (pączki i espresso z kawiarni), złagodzi trochę ból tak wczesnej pobudki. Od czterdziestu ośmiu godzin, z krótkimi przerwami, nie schodziłem z siodełka vespy i musiałem się wreszcie gdzieś położyć i wypaść.



## *Znowu Livorno*

### *Patronka: ponownie Matka Boska z Montenero*

Przed willą Filipa, na trawniku porośniętym stokrotkami, zabrałem się po raz ostatni za mycie Marcella. Zdjąłem bagażniki i opróżniłem schowek, wyjmując także świętych. Kiedy starannie myłem skuter gąbką i ciepłą wodą z mydłem, zauważałem blizny i okaleczenia – pamiątki po dwóch i pół tysiącu kilometrów naszej wspólnej eskapady. Bagażnik za siodełkiem zdarł lakier nad tylną lampą. Na bocznych osłonach też widać było drobne odpryski lakieru – powstały na skutek uderzeń kamyków na pustych, górskich drogach. No i głębokie zadrapanie zaraz pod licznikiem, sprawka Rzeźnika z Neapolu, który wstawiał nową linkę. Gdy znowu je dostrzegłem, mimowolnie się wzdrygnąłem. Wyglądało to tak, jakby ktoś wbił Marcellowi nóż.

Gdy przebywałem w gościnie u Maria Ziziego w jego pensjonacie na Monte Ortobene w samym sercu dzikiej Sardynii, Mario zwierzył mi się z przekonania, że vespy mają ludzkie uczucia. W czasie podróży doszedłem do wniosku, że być może ma rację. Marcello zachowywał się dokładnie tak, jak należało się spodziewać po skuterze z dynamicznymi paskami na karoserii w kolorze sztucznej opalenizny. Pysznił się na plażach, dziarsko i z wigorem atakował górskie drogi i popisывał się przed dziećmi i ładnymi dziewczynami. Mężczyźni chcieli być kimś takim jak on. Kobiety chciały być z kimś takim jak on.

Niestety, u Marcella, jak u człowieka, zaczęło szwankować zdrowie. Nie był już młodym skuterem. Stuknęły mu już dwadzieścia cztery lata, co w przeliczeniu na wiek vesp oznaczałoby czterdzieści osiem lat. (Mój sposób obliczania wieku vesp był bardzo prosty. Wiek skutera liczony od daty produkcji należało pomnożyć przez dwa).

Teraz, kiedy podróż dobiegała już końca, trochę spuścił z tonu. Od czasu do czasu wyłaziła linka gazu. Przełącznik uruchamiający światło stopu podczas hamowania złamał się. A nalepka „Rally 200” pod tylnym zderzakiem zupełnie się odkształciła. Marcello, kiedy nie musiał mierzyć się gdzieś na plaży z bezczelnymi, nowymi vespami GT i LX, zdejmował maskę macho i gotów był się przyznać, że być może, ale tylko być może, nie jest już taki młody.

Przypomniiał mi się Bobby Solo i jego peruka. Różnica między Bobbym a Marcellem polegała na tym, że Marcello będzie wyglądał prawie tak samo jak w czasach swej młodości, gdy tylko podwinę rękawy i go wypoleruję.

Filippo i Waleria przyjęli moje wczesnoporanne najście z wyrozumiałością. Pomogły pączki i kawa. Usiedliśmy przy stole przed domem i zjedliśmy je. Przez liście drzew oliwnych przebijały się poranne promienie słońca, ptaki ćwierkały, a równo o ósmej zaczęły bić dzwony w kościele w Cevoli, wzywając mieszkańców wioski na mszę. Było przecudownie.

Filippo dzwonił do mnie w czasie mojej podróży, żeby dowiedzieć się, jak sobie radzę. Większość historii o tym, co mi się przydarzyło, już słyszał, ale teraz chciał usłyszeć je jeszcze raz. Ciekawiło go, jak jest na Wyspach Eolskich, bo planował zabrać tam Walerię na wakacje. I nie miał dość opowieści o karabinierach na Sardynii, zwłaszcza tego, jak poprosiłem ich, żeby mi pozwolili do zdjęcia.



– Mówiłem ci, że to będzie najbardziej legalna vespa we Włoszech! – powiedział, śmiejąc się.

Zacząłem grzebać w torbie, szukając zdjęcia, o którym rozmawialiśmy, i znalazłem przy okazji nóż myśliwski, który kupiłem dla Filippa w Nuoro. W pewnej chwili spostrzegłem, że mam w torbie egzemplarz *La Smorfia* i spytał podekscytowany, czy mógłby do niego zajrzeć.

– *La Smorfia!* – zarechotał. – I ty to kupiłeś!

Walerii właśnie się śniło, że wypadają jej zęby. Filippo zaraz zaczął szukać właściwego numeru.

– Czy te zęby wypadają ci we śnie, czy śniło ci się, że już nie masz zębów? – dopytywał.

– Że mi wypadają – odparła. To był numer 68. Dla zębów, które już wypadły, był inny numer.

Potem znalazłem w torbie ceramiczną vespę, którą dostałem od Joego w Caltagirone. Marco miał kolekcję miniaturowych vesp i tę chciałem dać właśnie jemu, w dowód wdzięczności. Spytałem Filippa, co słychać u Marca i Lucilli, i dowiedziałem się, że pojechali na wysepkę Capraia, sześćdziesiąt cztery kilometry od Livorno.

– Chcą, żebyś ich tam odwiedził – dodał.

Nawet jeśli miałbym tam pojechać, to bez Marcella. Na wyspę nie wolno wjeżdżać własnymi pojazdami z silnikami spalinowymi. Filippo powiedział, że zawiezie mnie na prom, a sam w tym czasie zatroszczy się o Marcella. A więc rozstaniemy się na jakiś czas po raz pierwszy od dnia, kiedy go kupiłem. Pomyślałem, że Marcello się ucieszy.

Wcześniej nie brałem pod uwagę wyjazdu na Capraię. Prawdę powiedziawszy, nigdy o niej nie słyszałem. Na promie zabrałem się za czytanie przewodnika, żeby dowiedzieć się o niej jak najwięcej. I tak po trwającej godzinę z okładem podróży mogłem już powiedzieć, że długość linii brzegowej wyspy to dwadzieścia siedem kilometrów, że ma powierzchnię tysiąca dziewięćset trzydziestu hektarów i osiem kilometrów dróg, po których kursuje lokalny busik stawiający się w porcie przed przybiciem każdego promu. Wyspa należała do Parku Narodowego Wysp Toskańskich, mieściła się na niej niewielka winnica i przetwórnia sardeli.

Dzięki wyszukiwarce Google dowiedziałem się później, że nazwa wyspy pochodzi od słowa *capra*, które po łacinie oznaczało dziką kozę, i że do 1986 roku Capraia była kolonią karną. (Na szczycie jej najwyższego wzniesienia nadal można zobaczyć nieczynne już więzienie). W 1796 roku przez krótki czas Capraię okupował admirał Nelson, próbujący stąd podbić Korsykę, leżącą zaledwie trzydzieści kilometrów dalej na północ.

Marco i Lucilla wynajmowali kwaterę z widokiem na marinę w Porto Vecchio, sennym porcie, do którego przyływały i odpływały promy łączące wyspę ze światem. Na nabrzeżu stało kilka osób czekających na przybyłych promem. Na mnie czekała Lucilla, opalona i zrelaksowana.

– Moja skamielina właśnie bierze lekcje nurkowania – zakomunikowała mi od razu na wstępie. – Niedługo wróci.

„Skamieliną” był oczywiście Marco, który miał czterdzieści pięć lat, podczas gdy Lucilla zaledwie trzydzieści cztery.

Ich kwatery znajdowała się kilkaset metrów dalej, w domu o barwie terakoty, który umocnił się na stromym zboczu góry wyrastającej zaraz za portem. Wspięliśmy się tam po starych kamiennych stopniach, mijając ogromne, dziko rosnące jojoby.

Rzuciłem torbę na wąskie łóżko, przygotowane dla mnie w przedpokoju, i wróciliśmy do portu, tym razem kierując się do lokalu, który był równocześnie barem i lodziarnią i miał stoliki z widokiem na morze.

– Jak Marco mnie szuka, zagląda najpierw tutaj – wyjaśniła Lucilla, gdy zamówiliśmy lody.

Dwadzieścia minut później przyczłapał Marco – w płetwach i kombinezonie do nurkowania.

– *Ciao!* – przywitał nas z uśmiechem.

Wieczorem Marco ugotował nam makaron z owocami morza, który zjedliśmy, siedząc przy stole przed domem. Wieczór był cichy i spokojny, słychać było tylko jaskółki śmigające w powietrzu za owadami i łódzie stukające o siebie burtami w porcie na dole.

Gdy skończyliśmy jeść, Lucilla zaczęła nalegać, żebym wyjął mój egzemplarz sennika *La Smorfia*. Filippo napisał jej w SMS-ie, że kupiłem go w Neapolu, a Lucilla odpisała mu, że mam go koniecznie przywieźć.

– No więc tak – zaczęła. – Śnił mi się dzik nurkujący pod wodą z aparatem tlenowym na plecach – dokończyła ze śmiechem. – Zobaczmy, jaki to będzie numer.

Zaczęła szybko i sprawnie kartkować sennik, jakby robiła to nie po raz pierwszy. Najpierw zlokalizowała dzika, potem aparaty tlenowe, potem nurkowanie. Znalazła numery dla każdego z tych elementów, ale nie było numeru na wszystkie te trzy rzeczy razem.

– Ten sen jest zbyt zwariowany nawet dla neapolitańczyków – oświadczyła z odcieniem dumy w głosie.

Marco powiedział, że powinna napisać do wydawcy, i zaproponował, że podyktuje jej treść takiego listu.

– Szanowni Państwo – zaczął. – Właśnie nabyłam wasz sennik *La Smorfia* i ze smutkiem skonstatowałam, że nie ma w nim numeru dla dzika pływającego pod wodą z aparatem tlenowym. Proponuję w kolejnym wydaniu poprawić to przeoczenie.

To był piękny wieczór. Piliśmy wino, kartkowaliśmy sennik, szukając jak najbardziej zwariowanych kombinacji, albo milkliśmy na długą chwilę, wsłuchując się w niewyraźny odgłos radia dobiegający z sąsiedniego domu. Wieczór był gorący, ale chłodziła nas przyjemna bryza. Nad nami wisiał kobierzec z gwiazd, które lśniły jasno, nietlumione żadnymi światłami cywilizacji.

Lucilla od dzieciństwa spędzała wakacje na Caprai. Mieszkańcy wyspy znali ją, bo dorastała na ich oczach. Kiedy następnego dnia wynajęliśmy łódź, żeby spenetrować skaliste wybrzeże, jej właścicielka policzyła nam tylko za paliwo.

Wyłynęliśmy łodzią z terkoczącym silnikiem zaledwie poza skalny występ chroniący port, ale i tak miałem wrażenie, jakbym znalazł się miliony mil od cywilizacji. Z morza wyrastały strome wulkaniczne klify, w które gdzieniegdzie wcinały się niewielkie zatoczki. Mogliśmy w nich zarzucić kotwicę i pływać od strony łodzi. Jeszcze u Filippa, w jego willi, widziałem w telewizji reklamę wody toaletowej firmy Dolce & Gabbana, na której opalona para o ponętnych kształtach też zarzuca kotwicę łodzi w zatoczce przy pięknym skalistym brzegu. Jednak tu, na Caprai, było o niebo piękniej.

Uświadomiłem sobie, że dopiero teraz, pod koniec podróży, przekonałem się, co to znaczy doświadczyć pobytu nad morzem we Włoszech. Byliśmy sami na krystalicznie czystym morzu, z dala od plaż pełnych kabin, leżaków, parasoli i ludzi. Przypomniał mi się bardzo stary film *Chłopiec na delfinie*, w którym młoda Sophia Loren nurkuje w takich wodach jak te, korzystając z takiej łodzi jak ta, i szuka starożytnego posągu. Akcja filmu rozgrywa się w Grecji, ale było coś zdecydowanie włoskiego w tym, jak Sophia Loren robi grymaśną minę, mając na sobie mokrą koszulę wieśniaczki.

Także powietrze na wyspie było orzeźwiająco świeże. Kiedy siedziałem na kamienistej plaży przy wulkanie Pollara na Salinie na Wyspach Eolskich, osaczał mnie zapach mokrego tytoniu, bo wszędzie między kamieniami wały się niedopałki. Morze wokół Caprai było czyste, co budziło mą ogromną radość.

W czasie poprzedniej wizyty na wyspie Marco i Lucilla natknęli się na leżący w piasku wrak statku z czasów rzymskich. Powiadomili o tym władze i wrak zyskał status znaleziska o wartości historycznej.

– Miejsce, gdzie się znajduje, jest trzymane w tajemnicy, żeby nie dotarli do niego nielegalni poszukiwacze skarbów – powiedziała Lucilla.

Zresztą ona sama i Marco także nie pamiętali, gdzie go znaleźli.

Wróciliśmy do portu zmęczeni, odrobinę opaleni, ale równocześnie zrelaksowani i odświeżeni. O zmierzchu wybraliśmy się na wzgórze, do starego miasteczka. Usadowiło się ono na skalnym klifie opadającym prawie pięćset metrów w dół do morza i tchnęło ciszą, spokojem i atmosferą dawnych wieków. Z punktu widokowego w głębi miejscowości dostrzegłem w oddali znajome postacie z kreskówek *Zwariowane melodie*. To płynął na Sardinie prom „Moby Lines”. Miałem wrażenie, że upłynęły całe lata, odkąd sam nim podróżowałem, zaczynając swoją ostatnią wielką przygodę przed rzuceniem się w wir ojcowskich obowiązków. Czułem, że nie tylko moja eskapada dobiega końca, ale również pewien etap w moim życiu.

Tamtego wieczoru kolację zjedliśmy w barze Centrali, budzie o rustykalnym wystroju ze zdezelowanymi krzesłami i chwiejącymi się stolikami udekorowanymi plastikowymi kwiatami. Nie był to na pewno wymuskany lokal, przypominał raczej jakąś knajpkę w Meksyku. Za to jedzenie było tanie i smaczne, a beztraska atmosfera doskonale harmonizowała z kolorytem tej cudownej wyspy.

Potem zeszliśmy spacerkiem ze wzgórza do portu. W powietrzu unosił się zapach rozmarynu, a w pewnej chwili Lucilla pokazała nam małą żółtą orchideę. Była to *Orchis provincialis capraria*, endemiczny gatunek orchidei, występujący tylko na tej wyspie.

Marco i Lucilla szli przede mną, trzymając się za ręce. Pomyślałem o Sally i wysłałem jej SMS, żeby zapytać, co u niej słychać. Odpisała, że jest zimno, pada i że chciałaby być teraz z powrotem w Positano, siedzieć w Le Sirenuse i jeść makaron *linguine* z główkami karczochów.

W porcie grupa dzieci, prawie nastolatków, siedziała na betonowym falochronie. Falochron był dość wysoki i żeby się na niego dostać, trzeba było wskoczyć tam z rozbiegu. Marco i ja zdołaliśmy to zrobić za pierwszym razem. Lucilla trzeba było pomóc, wyciągając do niej dłoń. Powiedziała, że nic się nie zmieniło, odkąd siadywała na tym murze jako dziecko.

– Tu, na tym falochronie, pierwszy raz się pocałowałam – powiedziała, gdy klapnęła obok nas, wywołując udawaną dezaprobatę na twarzy Marca.

Chociaż było jeszcze wcześniej, czułem się już bardzo senny. Miałem nawet wrażenie, że przespałem większą część czasu, jaki spędziłem na Caprai. Lucilla powiedziała, że to zupełnie normalne i że ona i Marco przez pierwsze dni na wyspie też cały czas spali.

– W powietrzu jest jakiś odurzający narkotyk czy coś – zakomunikowała. – Nic na to nie można poradzić.

Potem powiedziała jeszcze, że powinienem spać, ile się da.

– Niedługo nie zmrzysz oka – dodała. – Twoje *bambino*, dziecko, nie da ci zasnąć.

\* \* \*

Do Livorno wróciłem w przeddzień odlotu do Londynu. W porcie czekał na mnie Filippo z Marcellem i kaskiem, tak więc mogłem przejechać się ostatni raz na moim skuterze. Waleriajechała za mną samochodem i spytała, czy mam ochotę wstąpić na ostatniego drinka do Station Gallery, baru w Castiglioncello, nadmorskim kurorcie na południe od Livorno.

Odwiedziłem ten bar na początku mojej pierwszej wyprawy po Włoszech. Spotkałem tam mnóstwo eleganckich osób pijących koktajle i było to dla mnie uosobienie wspaniałej Italii, której obraz, utrwalony w czarno-białych włoskich filmach, podziwiałem jako nastolatek. Było

to dokładnie takie miejsce, do którego na drinka wstąpiłby Marcello Mastroianni, i dlatego doskonale nadawało się, by zakończyć w nim podróż, podkreślić ją trzy razy i postawić na końcu wykrzyknik.

Droga biegnąca wzdłuż wybrzeża z Livorno do Castiglioncello także należy do moich ulubionych dróg we Włoszech. Wije się, przyklejona do skalistych klifów opadających w morze. Marcello czuł się na niej świetnie. Zapomniał o wszystkich swoich bolączkach i kontuzjach i jechaliśmy wśród pinii i oleandrów, rozkoszując się chłodną wieczorną bryzą i szumem fal uderzających w dole o skały.

Po krótkim czasie zatrzymałem skuter przed Station Gallery. Nic się tam nie zmieniło od czasu mojej ostatniej wizyty. Ubrany ekstrawagancko właściciel przywitał Filipa i Walerię jak starych znajomych, a dla mnie kazał przyrządzić koktajl na koszt firmy za to, że tak pochlebnie przedstawiłem jego lokal w książce *Z widokiem na Italię* opisującej moją pierwszą podróż po Włoszech. Kiedy dowiedział się, że właśnie skończyłem kolejną włoską przygodę na vespie, zaprosił mnie do baru i kazał sobie wszystko opowiedzieć.

Z pierwszego pobytu w Station Gallery najlepiej zapamiętałem elegancką brunetkę, która siedziała na poduszce na kanapie w głębi baru, piła brzoskwiniowego sznapsa i koniak i paliła papierosa leniwie niczym gwiazda ekranu z lat sześćdziesiątych. Tym razem jednak na poduszce siedziała zupełnie inna dziewczyna. Z opalenizną z solarium i obwieszona biżuterią wyglądała fatalnie. Pokazałem ją Filippowi i spytałem, czy pamięta piękną dziewczynę, która siedziała na jej miejscu poprzednio.

– Danielle – odparł z uśmiechem. – Jest tam, na drugim końcu baru.

Danielle siedziała na stołku barowym, bo nie była już w stanie siedzieć na poduszce. Nie piła sznapsa ani koniaku, nie paliła papierosów, leniwie czy nie leniwie. Danielle była w ciąży, a termin jej rozwiązania wypadł tydzień wcześniej niż termin Sally.

We Włoszech tego rodzaju zbieżność wydarzeń uważana jest za cud i dlatego szybko znalazło się dla mnie miejsce obok Danielle i jej partnera, Roberta. Kiedy dowiedzieli się, że również spodziewam się dziecka, jedno przez drugie zaczęli mi udzielać rad na temat najlepszych mieszanek do karmienia i technik usypiania. Roberto zrobił mi przyśpieszony kurs dotyczący tych aspektów ojcostwa, o których nie miałem pojęcia, bo nie chodziłem do szkoły rodzenia.

– Najważniejsze to oddychać w czasie skurczów – powtarzał.

Kiwałem głową, jakbym wiedział, o czym mówi.

Gdy tak rozmawiałem z Danielle i jej chłopakiem na temat sterylizatorów do butelek i śpioszków, uświadomiłem sobie, że wreszcie jestem gotowy przyjąć swoje ojcostwo z tym samym zachwytem, z jakim Włosi przyjęli mnie i moją vespę. Podróż dobiegła końca, a razem z nią kończył się pewien etap mojego życia. Lada dzień miał się zacząć nowy, równie ekscytujący.

Nie będzie w nim kupowania vespy pod wpływem chwili i podróży po Włoszech, ale mogę obyć się bez tego. Przynajmniej do czasu, kiedy moja córka będzie na tyle duża, że też kupię jej tę vespę.

